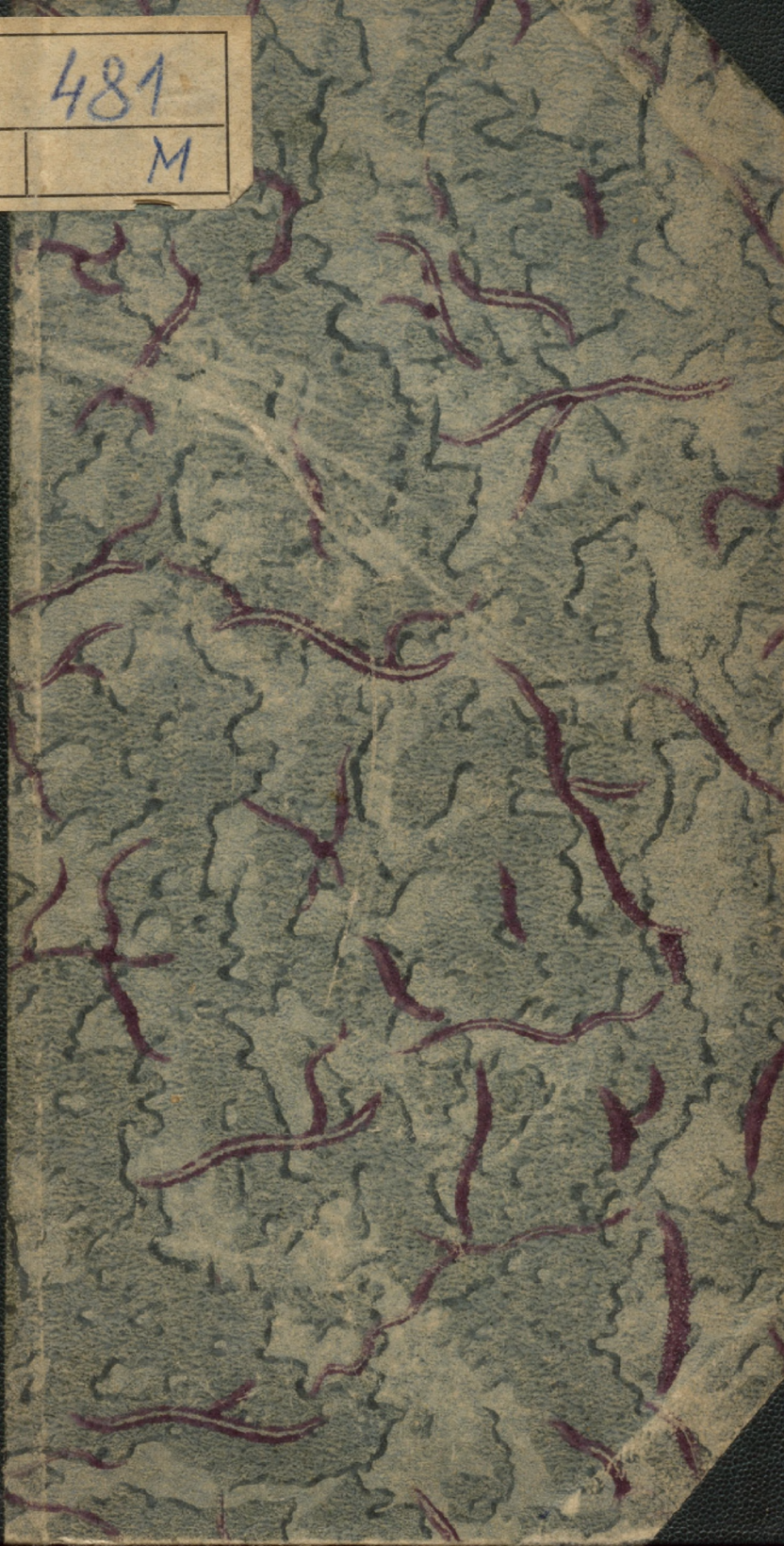
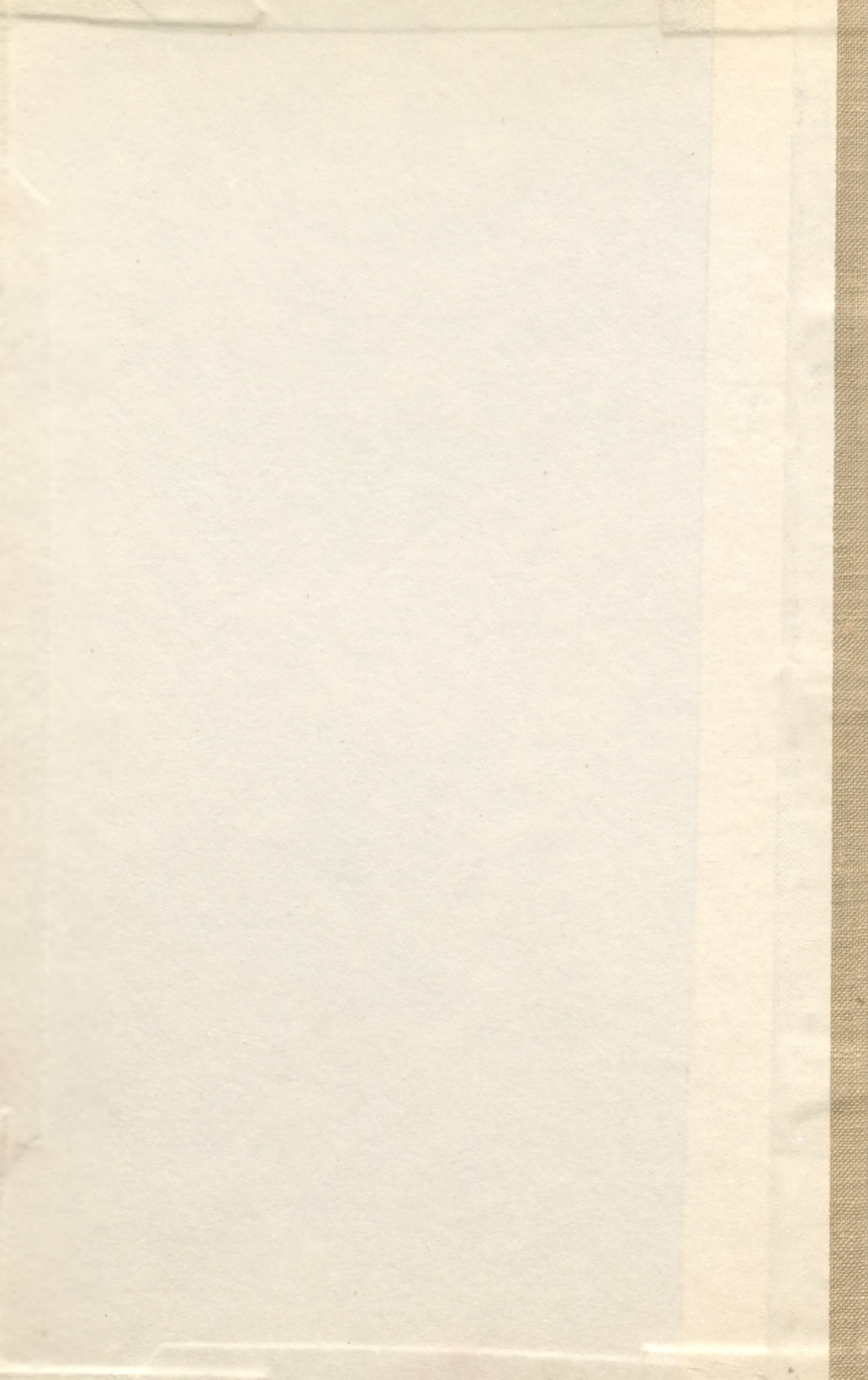


BIBLIOTEKA
PW
SP.
KRAKÓW

481

M





DR MARJAN REITER

CZYTANIA POLSKIE

TOM III

Z 54 RYSUNKAMI MARJANA OLSZEWSKIEGO, 5 RYSUNKAMI
WANDY KORZENIOWSKIEJ I MAPKĄ W TEKŚCIE ORAZ Z DWIEMA
TABLICAMI CZARNymi I JEDNĄ BARWNĄ, PRZEDSTAWIAJĄ-
Cymi: OBRAZ HENRYKA SIEMIRADZKIEGO, RZEźBĘ WITA
... STWOSZA I OBRAZ WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO ...

WYDANIE SZÓSTE



Jagiellońska Biblioteka
III kl. gimn. —

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
K. S. JAKUBOWSKIEGO WE LWOWIE



70449

481
M

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

SPIS USTĘPÓW.

	Str.
I. Do Świętych Patronów — przez Marię Konopnicką	1
II. O wielkim siłaczku — przez Elżę Orzeszkową	1
III. Kto zawsze tylko... — przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera	3
IV. Kto dla siebie pracuje... — przez Marię Konopnicką	3
V. Przygoda tygrysa — przez Wacława Sieroszewskiego	3
VI. Wstęp do „Pieśni o ziemi naszej“ — przez Wincentego Pola	11
VII. Od Bałtyku po morze Czarne — przez Adama Mickiewicza	12
VIII. Z zarania dziejów — przez Franciszka Jaworskiego	14
IX. Krajobraz jesienny — przez Elżę Orzeszkową	16
X. Diament — przez Feliksa Brodowskiego	19
XI. Świętowita pogrom — przez Stanisława Rossowskiego	21
XII. Koń Swantewita — przez Felicjana Faleńskiego	25
XIII. Chrystus na łodzi (Ew. św. Marka IV. 35—41) (il. na tablicy)	27
XIV. Chrystus z nami — przez Antoniego Czajkowskiego	28
XV. W Kajbarskim wózcie — przez Edmunda S. Naganowskiego	28
XVI. Najświętsza relikwia — przez Jana Kasprowicza	33
XVII. Lipa — przez Feliksa Brodowskiego	34
XVIII. Już lipa rozstula... — przez Marię Konopnicką	35
XIX. A słowiki śpiewały... — przez Annę Jeleńską	36
XX. Ukraina i Podole — przez Marię Konopnicką (il.)	40
XXI. Stepy Akermzańskie — przez Adama Mickiewicza	42
XXII. Triumf Zawiszy Czarnego — przez Teodora Jeske-Choińskiego	43
XXIII. Zbroja Zawiszy — przez Kazimierza Przerwę-Tetmajera	47
XXIV. Alpuhara — przez Adama Mickiewicza	49
XXV. Psia dola — przez Adolfa Dygańskiego	51
XXVI. Wyżeł i brytan — przez Ignacego Krasickiego	53
XXVII. Na Jasnej Górze — przez Władysława Reymonta (il.)	54
XXVIII. Chwila była przedwieczorna — przez Ignacego Dąbrowskiego	57
XXIX. Poszłabym ja... — przez Marię Konopnicką	58
XXX. Koronacja królowej polskiej — przez Stanisława Kutrzebę	59
XXXI. Duch królowej Barbary — przez Lucjana Rydla	60
XXXII. Pani Twardowska — przez Adama Mickiewicza	61
XXXIII. Dobra służba — przez Marię Rodziewiczównę	63
XXXIV. Siedzi płaszek na drzewie — przez Adama Asnyka	66
XXXV. Dawne drogi — przez Bohdana Dyakowskiego	67
XXXVI. Domejko i Dowejko — przez Adama Mickiewicza	69
XXXVII. „El mole rachmim...“ — przez Wiktora Gomulickiego	71
XXXVIII. Nad Niemnem — przez Elżę Orzeszkową	74
XXXIX. Świtez — przez Adama Mickiewicza	79

	Str.
XL. Ołtarz Wita Stwosza w kościele N. P. Marji w Krakowie — przez Feliksa Koperę (il. na tablicy)	84
XLI. Choroba — przez Włodzimierza Perzyńskiego	86
XLII. Za rodziców — przez Marję Konopnicką	90
XLIII. Z życia Ormian polskich — przez Franciszka Jaworskiego	91
XLIV. Kulig — przez Stefana Żeromskiego	92
XLV. „Mors nigra“ — przez Ludwika Kubalę	97
XLVI. Dżuma w próbowce — przez Stanisława Rossowskiego	100
XLVII. Z życia rybaków w Normandji — przez Marję Konopnicką	104
XLVIII. Stary rybak — przez Kazimierza Glińskiego	109
XLIX. Wschód słońca na morzu — przez Kazimierza Tetmajera	111
L. Poranek na wsi — przez Adama Mickiewicza	111
LI. Umiłowanie koni w dawnej Polsce — przez Bohdana Dyakowskiego	113
LII. Śmierć Stefana Czarnieckiego — przez Antoniego Czajkowskiego	114
LIII. Bitwa pod Chocimem — przez Henryka Sienkiewicza	115
LIV. Chocim — przez Franciszka Jaworskiego	125
LV. Katarynka — przez Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego)	128
LVI. Miłość ludzi — przez Marję Konopnicką	132
LVII. Urządzenie wewnętrzne dworu polskiego w XVII wieku — przez Władysława Łozińskiego (il.)	133
LVIII. Dwór szlachecki — przez Adama Mickiewicza	139
LIX. Legja królowej — przez Wiktora Gomulickiego	140
LX. Bazie — przez Władysława Orkana	144
LXI. Modlitwa wiosenna — przez Marję Konopnicką	146
LXII. Dawne wozy i powozy — przez Bohdana Dyakowskiego (il.)	147
LXIII. Kolaska — przez Kajetana Węgierskiego	151
LXIV. Ostatnia nobilitacja — przez Józefa Szujskiego	151
LXV. Po bitwie (List z 1794 r.) — przez Marję Konopnicką	154
LXVI. Puszcza brazylijska — przez Dr. Józefa Siemiradzkiego	156
LXVII. Puszcze litewskie — przez Adama Mickiewicza	159
LXVIII. Na wakacjach — przez Bolesława Prusa (Aleksandra Głowackiego)	161
LXIX. Do młodzieży! — przez Kazimierza Tetmajera	164
LXX. Somo-Sierra — przez Artura Oppmana (Or-Ota)	164
LXXI. Z młodych lat księcia Józefa Poniatowskiego — przez Bronisława Pawłowskiego	166
LXXII. Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego — przez Szymona Askenazego	169
LXXIII. W lesie — przez Elżę Orzeszkową	171
LXXIV. Koncert myśliwski — przez Adama Mickiewicza	174
LXXV. Mazowsze — przez Marję Konopnicką	175
LXXVI. Warszawa — według Lucjana Rydla (il.)	178
LXXVII. Mazur — przez Wincentego Pola	182
LXXVIII. O chłopie, co osukoł djabła — przez Antoniego Piotrowskiego	182
LXXIX. Zachód słońca w Alpach — przez Jerzego Żuławskiego	186
LXXX. Wieczorny pacierz — przez Marję Konopnicką	187
LXXXI. Wodospad Niagary — przez Henryka Sienkiewicza	188
LXXXII. Wspomnienie z Maripozy — przez Henryka Sienkiewicza	191

	Str.
LXXXIII. Legenda o grzechach — przez Edmunda Zechentera	195
LXXXIV. Bitwa pod Ostrołęką — przez Leona Dembowskiego (z mapką)	198
LXXXV. Śmierć pułkownika — przez Adama Mickiewicza	201
LXXXVI. Przez przełęcz nad Morskim Okiem — przez Stanisława Witkiewicza	202
LXXXVII. Na Dunajcu — przez Marię Konopnicką	207
LXXXVIII. Opowiadanie górala (obraz Wacława Szymanowskiego) — przez Emila Petzolda (il. na tablicy barwnej)	209
LXXXIX. Sabałowa bajka — przez Henryka Sienkiewicza	212
XC. Z ziemi chełmskiej — przez Władysława Reymonta (il.)	213
XCI. Do granicy — przez Marię Konopnicką	218
XCII. Drwal — przez Marię Rodziewiczównę	221
XCIII. Trzej — przez Stanisława Rossowskiego	227
XCIV. Lotnik — przez Stefana Żeromskiego	228
XCV. Przechadzka po Rzymie — przez Jerzego Żuławskiego (il.)	231
XCVI. Koronacja Piusa X — przez Jana K. Kochanowskiego (il.)	235
XCVII. Na ojcowym zagonie — przez Marię Konopnicką	242
XCVIII. W zbożu — przez Józefa Wiśniowskiego	247
XCIX. Godzina popołudniowa w lesie — przez Henryka Sienkiewicza	247

SPIS RYCIN.

Marjan Olszewski:

	Str.		Str.
1. Wieśniacy z Ukrainy i Podola	41	21. Broń zawieszona na ścianie	137
2. Wieśniaczki z Ukrainy i Podola	41	22. Szabla i szpada	138
3. Kościół na Jasnej Górze	54	23. Ikona moskiewska	138
4. Krzesło gdańskie	133	24. Bandolet	138
5. Zydel	133	25. Lisowczyk	138
6. Karło kordybanowe	133	26. Bryka pokryta płótnem	148
7. Apteczka	133	27. Pałuba	149
8. Sepet czyli skrzynia	133	28. Kolebka	150
9. Almarja czyli szafa	134	29. Wieśniacy z Chełmszczyzny	213
10. Służba czyli kredens	134	30. Wieśniaczki z Chełmszczyzny	214
11. Sekretarz	134	31. Resztki murów królewskich w Rzymie	231
12. Świerzeń (lamus)	135	32. Katakumby	232
13. Pająk	135	33. Widok Palatynu	232
14. Meluzyna	135	34. Bazylika Maksencjusza	232
15. Pułap drewniany dworu	135	35. Filary świątyni Kastorów	232
16. Siestrzan	136	36. Biblioteka Augusta	233
17. Komin	136	37. Fresk z kościoła Santa Maria Antica	233
18. Piec gdański	136	38. Atrium domu westalek	233
19. Kołtryna	137		
20. Portret antenata	137		

	Str.		Str.
39. Łuk Tytusa	233	47. Łuk Druzusa	234
40. Kościół Santa Francesca Roma- na	234	48. Kapliczka „Quo vadis“	234
41. Ruiny Koloseum	234	49. Kościół św. Sebastjana	235
42. Łuk Konstantyna	234	50. Grobowiec Cecylji Metelli	235
43. Akweduktu ruiny	234	51. Chłopski wóz o dwu kołach z mu- łem	235
44. Ruiny łaźni Karakalli	234	52. Zamek św. Anioła w Rzymie	236
45. Brama św. Sebastjana	234	53. Gwardzista papieski	237
46. Via Appia	234	54. Papież na sedji	239

Wanda Korzeniowska:

	Str.		Str.
1. Kolumna Zygmuntowska	178	4. Pałac Łazienkowski	180
2. Wieża zegarowa	179	5. Katedra św. Jana	181
3. Pałac w Wilanowie	180		

Mapka okolic Ostrołki	199
---------------------------------	-----

SPIS TABLIC.

	Przy str.
I. Henryk Siemiradzki: Chrystus na łodzi	27
II. Ołtarz Wita Stwosza w kościele N. P. M. w Krakowie	85
III. Wacław Szymanowski: Opowiadanie górala	209

SPIS USTĘPÓW

zawartych w I, II i III tomie Czytań polskich, ułożony według nazwisk autorów.

Amicis Edmund: Śnieżna kula I.	cieczka na Czarnohorę II.
Andersen Chrystjan: Dziewczynka z za- palkami I.	Choiński Teodor: Triumf Zawiszy Czar- nego III.
Askenazy Szymon: Śmierć ks. Józefa Poniatowskiego III.	Chrzaszczewska Jadwiga: Legenda o bocianie I.
Asnyk Adam: Na śniegu I. Pan Jezus chodzi po świecie II. Siedzi ptaszek na drzewie III.	Czajkowski Antoni: Chrystus z nami, Śmierć Stefana Czarnieckiego III.
Baliński Ignacy: Z rad dla syna II.	Dąbrowski Ignacy: Wezuwjusz II. Chwila była przedwieczorna III.
Bałucki Michał: Dla chleba II.	Dembowski Leon: Bitwa pod Ostro- łęką III.
Bełza Władysław: Z życia wiarusów, Odpowiedź Dwernickiego I.	Dyakowski Bohdan: Mistrz fortelów I. Dawne drogi, Umiłowanie koni w da- wnej Polsce, Dawne wozy i powozy III.
Bogusławska Marja: Krzyż babuni I.	Dygasiński Adolf: O zajączku sprawie- dliwym, Gniazdo bocianie, Rozum wroble, Życie i śmierć jastrzębia, Ku- ropatwy I. Hetman żorawi, Jesień,
Bolesławicz: Współzawodnicy I.	
Brodowski Feliks: Diament, Lipa III.	
Bukowiński Władysław: Na obcy ład II.	
Chmielewski Konrad: Bzik I. Wy-	

- Przygoda z dzikiem, Wroniec i szarak,
W gniazdku strzyżyka, Bór II. Psia
dola III.
- Ewangelja św. Mateusza: Chrystus na
lodzi III.
- Ezop: Koń i osieł, Zimorodek, Skąpiec,
Mysz polna i mysz domowa I.
- Faleński Felician: Koń Swantewita III.
- Fredro Aleksander: Paweł i Gawęł I.
- Gaszyński Konstanty: Wspomnienia
szkolne II.
- Gąsiorowski Wacław: Czyn kompanji
grenadjerskiej II.
- Gliński Kazimierz: Ojcowa chata, Król
budowniczy I. Arniata II. Stary ry-
bak III.
- Gloger Zygmunt: Wielkanoc I.
- Głowacki Aleksander (Prus Bolesław):
Koń i Jowisz I. Ramię i głowa II. Ka-
tarynka, Na wakacjach III.
- Gomulicki Wiktor: Chora noga I. Da-
wid i Goljat, Oracz, Mucha II. El mole
rachmin, Legja królowej III.
- Gryf: Ze starych kronik I.
- Hryczenko Borys: O smoku kijow-
skim I.
- Jachowicz Stanisław: Do młodości I.
- Janowski Aleksander: Cień ks. Piotra
Skargi I.
- Jaworski Franciszek: O Słowianach,
Lud polski, Wieś polska, Lwów, Kra-
ków I. Jeden dzień w dawnem mie-
ście, Hetmański pogrzeb, Sahajdaczny,
Szmul Jakubowicz Zbitkawer, Bez śla-
du i ruin II. Z zarania dziejów, Z ży-
cia Ormian polskich, Chocim III.
- Jeleńska Emma: A słowiki śpiewały III.
- Karpiński Franciszek: O narodzeniu
Pańskim II.
- Kasprowicz Jan: Jak się Kubie Ło-
kietkowi spalił dom, Sierotka, Przy-
powieść o królewicu Kazimierzu,
O człowieku łagodnym i o zwierzę-
tach, Podanie o podziemiach wawel-
skich I. O królu węzów i Perłowicu,
O śpiących rycerzach w Tatrach, Cho-
raży ziemi lwowskiej II. Najświętsza
relikwia III.
- Kipling Rudyard: Stoniatko I.
- Kochanowski Jan K.: Koronacja Piu-
sa X. III.
- Konopnicka Marja: Młodemu chłopcu,
O Piście, Wstan, o dziecię, Chrystus
i dzieci, Święta Agnieszka, Kiedy Pan
Jezus, Racławice, O polskim żołnierzu
i o jenerale francuskim, Co ojczyzna,
Sobotka krasnoludków, Stopnie pozna-
nia I. Izba wiejska, Ku chacie, Pole-
sie, Obraz, A za tego króla Jana, Nasza
czarna jaskółeczka, Co Kurta robił na
podwórku? Jaki to ze Inem było II. Do
Świętych Patronów, Kto dla siebie
pracuje, Już lipa rozlula, Ukraina i Po-
dole, Poszłabym ja, Za rodziców, Z ży-
cia rybaków w Normandji, Miłość lu-
dzi, Modlitwa wieczorna, Po bitwie,
Mazowsze, Wieczorny pacierz, Na Du-
najcu, Do granicy, Na ojcowym zago-
nie III.
- Kopera Feliks: Oltarz Wita Stwosza III.
- Krasicki Ignacy: Wilczek, Talar i czer-
wony złoty, Zółw i mysz I. Lew i zwie-
rzęta, Mądry i głupi II. Wyżeł i bry-
tan III.
- Kraszewski Józef Ign.: Dziad i baba II.
- Kremer Józef: Rynek krakowski w no-
cy, Barbakan w Krakowie II.
- Kubała Ludwik: Mors nigra III.
- Kutrzeba Stanisław: Jak powstała
szlachta polska I. Turnieje polskie II.
Koronacja królowej polskiej III.
- Lagerlöff Selma: Pliszka czerwono-
gardła I.
- Lange Antoni: Nie na dzień jeden II.
- Laskowski Kazimierz: Wieś w zimie II.
- Lemański Jan: Grobla II.
- Ligocki Edward: Grzmia pod Stocz-
kiem armaty II.
- Łoziński Walery: Podania herbowe I.
- Łoziński Władysław: Dom szlachecki
w XVII w. I. Ubory w Polsce II.
Urządzenie wewnętrzne dworu pol-
skiego w XVII w. III.
- Mickiewicz Adam: Lis i kozieł, Powrót
taty, Pierwiosnek, Przyjaciele, Bezpie-
czeństwo, Ogród warzywny I. Zając
i żaba, Chłop i żmija, Polowanie z cha-
tami, Polonez, Nasze drzewa, Pies
i wilk II. Od Bałtyku po morze Czar-
ne, Stepy Akermanskie, Alpuhara, Pani
Twardowska, Domejko i Dowejko,
Świż, Poranek na wsi, Dwór szla-
checki, Puszcze litewskie, Koncert
myśliwski, Śmierć pułkownika III.
- Morawska Zuzanna: Pajęczce nici I.
- Morawski Franciszek: Osieł i Jacek I.
Cierpliwość, Giermek II.
- Naganowski Edmund: Dick na lodzie
II. W Kajbarskim wąwozie III.
- Niewiadomska Cecylja: Dotrzymuj
słowa, Po hurzy, W klasztorze śre-
dniowiecznym, Słoneczko I.
- Norwid Cyprjan: Moja piosenka II.
- Nusbaum-Hilarowicz: Zbójnik II.
- Olechowski Gustaw: Grzeczność Chiń-
czyków II.

- Or-Ot (Oppman Artur): Srebrne dzwonki, Lis i bocian, Mysz polna i mysz domowa, Zima, Okrężne I. Legenda o babiem lecie. Stary dom II. Somo-Sierra III.
- Orkan Władysław. Wilja I. Wesoly dzień, Lis II. Bazie III.
- Orzeszkowa Eliza: Pani Dudkowa, Wieczór letni na wsi I. Legenda, Polów jacycy II. O wielkim siłaczku, Krajobraz jesienny, Nad Niemnem, W lesie III.
- Osika Zygmunt: Mistrzowski chwyt II.
- Ostrowski Stanisław: Dobosz Markowski I.
- Pawłowski Bronisław: Z młodych lat ks. Józefa Poniatowskiego III.
- Paygert Adam: Dawni rycerze I.
- Pepłowski Stanisław: Majówka na Bielanych II.
- Perzyński Włodzimierz: Kair II. Choroba III.
- Petzold Emil: O Kasi pastuszcze, Spełnione życzenie I. Bajka II. Opowiadanie górala III.
- Piotrowski Antoni: O chłopie co osuwał diabła III.
- Pol Wincenty: Święta toga, Litwa, Krakusy I. Wstęp do pieśni o ziemi naszej, Mazur III.
- Reymont Władysław: Bóg się rodzi, moc truchleje, Los Toros, Przysięga Kościuszki, Wiosna polska, W głębiach, Pęknięty dzwon II. Na Jasnej Górze, Z ziemi chełmskiej III.
- Rodziewiczówna Marja: Lokatorowie choiny I. W noc grudniową, Pięć koron II. Dobra służba, Drwal III.
- Rossowski Stanisław: Korona polska, Przygoda Myszka, Lobni, Dwaj królowie I. Powrót z wakacyj, Smok, Mistrz Jan, Dzwon Hozjusza, Mieszczanin lwowski, Tęcza, Osieł ogrodnika II. Świętowiła pogrom, Dżuma w próbówce, Trzej III.
- Rydel Lucjan: Dobroć, Zdaleka I. Jesień, Zgon i pogrzeb Kazimierza Wielkiego, Wjazd i koronacja królowej Jadwigi, Legenda o królowej Jadwidze, Igrzyska olimpijskie II. Duch królowej Barbary, Warszawa III.
- Ryszkiewicz Józef: Założenie Gniezna, Polowanie z sokołem I.
- Sapieha Paweł: Obrazki z Japonji, Obrazki z Chin II.
- Siemieński Lucjan: Pani Kinga I.
- Siemiradzki Józef: Puszcza brazylijska III.
- Sienkiewicz Henryk: Obrazki z bitwy pod Grunwaldem, Czy ci najmilszy? I. Polowanie na jelenia w Ameryce, Polowanie na niedźwiedzia w wiekach średnich, Huragan w pustyni, Przegląd wojsk przed wyprawą wiedeńską, Płomyk, Modlitwa wieczorna II. Bitwa pod Chocimiem, Wodospad Niagary, Wspomnienia z Maripozy, Sabałowa bajka, Godzina popołudniowa w lesie III.
- Sieroszewski Wacław: Polowanie na wieloryby I. Obrazki z Japonji II. Przygoda tygrysa III.
- Słowacki Juliusz: Nad Gopłem I.
- Staff Leopold: O cudzie św. Antoniego, Południe II.
- Szujski Józef: Święta Kinga I. Ostatnia nobilitacja III.
- Słeczowska Mieczysława: Przyjaciele św. Jana Kantego, Tadeusz Kościuszko w szkole rycerskiej I.
- Teresa Jadwiga: Bolesław sędzią I.
- Tetmajer Kazimierz: Pochwała dawnej dzielności greckiej, Do syna, Życie pasterskie w Tatrach, Pozdrowienie II. Kto zawsze tylko, Zbroja Zawiszy, Wschód słońca na morzu, Do młodzieży III.
- Udziela Seweryn: Olbrzymi, Świątyni I.
- Wasilewski Edmund: Konik zwierzyński II.
- Wernic Zygmunt: Miłość braterska I.
- Węgierski Kajetan: Kolaska III.
- Wiśniewski Józef: Jaskółki II. W zbożu III.
- Witkiewicz Stanisław: Przez przełęcz nad Morskiem Okiem III.
- Wójcicki Kazimierz: O założeniu Warszawy I.
- Zaleski Bohdan: Do Anioła Stróża. Wyjazd bez powrotu II.
- Zechenter Edmund: Legenda o grzechach III.
- Zofja z Rymanowa: Osieł I.
- Zmorski Roman: Sobotnia góra I.
- Żeromski Stefan: Śmierć Żółkiewskiego II. Kulig, Lotnik III.
- Żuławski Jerzy: Modlitwa II. Zachód słońca w Alpach, Przechadzka po Rzymie III.

I.

Do Świętych Patronów.

Z wspólnej nam ziemi wyrosli, jak kwiaty,
Wielbiący Stwórcę we wspólnej nam mowie,
Do Was ja wołam, Święci Młodziankowie,
Przyobleczeni w zórz bożych szkarłaty.

O Kazimierzu! Królewiczu miły,
Coś liję serca na ołtarz dał Boga,
Świeć mi przykładem i użycz mi siły,
Bym szedł Twym śladem, choć trudna jest droga.

O Stanisławie, o cudne pachole,
Coś ród swój Kostków mianował imieniem,
Dłoń Swoją bratnią na mojem złóż czole
I ducha rozpal łaski Twej promieniem!

A Ty, o Pani, co nasze dąbrowy
I strzechy świętą błogosławisz ręką,
Hetmanko starej naszej Częstochowy,
Wjeżdż nam w noc smutku przejasną jutrzeńką!

Niechaj to czuję, że nad ziemią naszą
Połyska Twoja gwiazdzista korona,
I niech nas żadne przygody nie straszą,
Zdrowaś Maryjo i błogosławiona!

Marja Konopnicka.

II.

O wielkim siłaczu.

Są na świecie ludzie nader silni, od wszelakiego złego silniejsi, którzy
żeby nie wiedzieć jaka przeszkoda przed nimi stanęła, każdą — jak pró-
chno — z drogi zmiotą.

Było raz tak:

Legł pośród drogi, którą ludzie chodzili, kamień wielkości tak okru-
tnej że ani przejść ani przejechać nikomu nie dawał. Jednym się koła

u wozów o niego potrzaskały, inni, zaczepiwszy się, śmiertelnych upadków doświadczyli, inni daleko wokół objeżdżać go byli zmuszeni. Skąd się wziął ten głaz, niewiadomo. Ziemia go pewnie sama na utrapienie ludzkie wydała. Dość, że ilu tylko ludzi na puszcę i okolicę było, wszyscy od głazu frasunek, biedę, a czasem i nieszczęście cierpieli.

Aż nakoniec przebrała się ludzka cierpliwość i razu jednego, kto żyw, do kupy przybiegł i — hejże! — wszyscy razem przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Jako gałęzie naokoło pnia dębowego, tak ręce, co najsilniejsze, oplótły się naokoło głazu i — hej, hej, w górę go! Silniej! Dłużej! Jeszcze raz! Jeszcze raz! Nic. Jak leżał, tak leży i z pośród mchu brunatnego, co go obrósł, białe zęby wyszczerza z pośmiewiskiem.

Stanęli tedy z pospuszczanemi rękoma, w zasmuceniu wielkiem. Aż widzą, że kłóściś na koniu drogą nadjeżdża. A ponieważ droga leśna była tedy, co wybłyśnie z pośród drzew promień słoneczny, to mu na głowie, w hełmie wysokim, niby gwiazda złota, niby brylant tęczę świecącą zapali. Pan — nie pan. Rycerz — nie rycerz. Chyba rycerz, bo hełm ma na głowie i odzież gdzie niegdzie od stali błyszczącą. Oblicze zaś jego jaśniało taką dobrocią i pięknnością, że wszyscy odrazu wielką śmiałość i ufność ku niemu poczuli, a gdy przybliżył się i konia wstrzymawszy, rozpytywać jął, czego by tu zgromadzili się w liczbie tak wielkiej i z tak zasmuconemi twarzami, oni zaraz opowiedzieli mu swoją biedę: Tak i tak, wielmożny panie, tak i tak! Aż tu patrzą, że na jasne oblicze rycerza litość występuje i że z konia zsiadać on zamierza.

— Ja wam — mówi — kamień ten z drogi odrzuć.

A oni nato z podziwieniem:

— Gdzieby wielmożny pan dla nas taki trud ponosił?

A on im nato z cudnym uśmiechem:

— W tym celu po świecie jeżdżę, aby niewinnych i pokrzywdzonych ratować.

Oni znów na to z wątpliwością:

— Nie wystarczy tu żadna siła choćby największa!

A on im znów z oczyma błyszczącemi jako gwiazdy:

— Moja wystarczy, bo ją z żalu nad wami czerpię!

Głaz okrutny rękoma opasał, zatrząsł nim, aż ziemia stęknęła, i odrzucił go daleko w las, kędy zagrzmiało w powietrzu i z trzaskiem złamało się kilka świerków młodych. Droga leżała gładka i równa, a po twarzach ludzkich wprzód zasmuconych skrzydło anielskie wypisało litery radości. Rycerz zaś na konia znów siadł i pięknie się ukłoniwszy, pojechał dalej niewinnych i ukrzywdzonych ratować.

Eliza Orzeszkowa.

Co przedstawia kamień, leżący na drodze? Kogo przedstawia ów siłacz? Czy każdy człowiek może być takim siłaczem?

III.

Kto zawsze tylko...

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
niechaj nikogo ten nie wini,
że nie podniosą się rozpacz
i tylko nad nim kruk zakracze.

Kto się nie imał ludzi sprawy,
nie wcielał siebie w ból ich krwawy,
niech nie narzeka ten z pod ziemi,
że ludzie nad nim idą niemi.

Kto kochał tylko wiatr i skały,
od skał i wichru li ma prawo
żądać, aby go żałowały,
kiedy pod zimną legnie trawą.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

O jakim człowieku można powiedzieć, że zawsze żyje w pustyni?

IV.

Kto dla siebie pracuje...

Kto dla siebie pracuje, ten siły utracą.
Rąk jego, jego ramion znikoma jest praca,
A wicher czasu, lecąc szeroko po świecie,
Przędzę ową pajęczą uniesie — i zmiecie.

Kto dla braci pracuje, ma moc za miliony,
Rośnie w siłę, jak olbrzym¹⁾ o ziemię rzucony;
Czas mu cegły podaje, utrwała budowę
I kładzie na jej szczycie swe piętno wiekowe.

Marja Konopnicka.

V.

Przygoda tygrysa.

Był gruby, tęgi, był większy od największego psa. A podobny był do ogromnego kota. Sierść miał rudą, jak czerwona ziemia, a na niej czarne pręgi. Kiedy spał na słońcu wśród traw albo czałował na zwierzynę, ukryty w trzcinach, te pręgi podobne były do cieni, rzucanych przez bądzle. Nawet bystre oczy ostrożnej sarny zoddala nie mogły go roz-

¹⁾ Anteusz, syn Posejdona i Gai (Ziemi), był niezwyciężony pót, póki stykał się z ziemią, albowiem matka-ziemia była źródłem jego siły.

poznać wśród gęstwiny; zbliśka zaś było zawsze za późno. Ogromnemi skokami dopadał zwierzęcia, chwycił je ostremi kłami, bił łapami, z których wysuwały się szpony wielkie, krzywe i twarde, jak haki żelazne. I było po wszystkim...

Co żyło w puszczy, bało się go, a on nie bał się nikogo.

Zaledwie słońce schowało się za borem, wypełzał ze swej pieczary i cichemi krokami, parszkając i oblizując się czerwonym, jak krew, językiem, biegł między olbrzymimi pniami drzew wśród zmroku na skraj lasu.

Tam, ukryty w gęstwinie, wychylał ostrożnie z zieleni swój żółto-czarny pstry łeb z wiechciami siwych wąsów i patrzył uważnie, czy się gdzie co nie rusza. Nasłuchiwał, węszył zapachy, czał się nisko przy ziemi i dalej pomykał wśród wysokich traw. Niekiedy zapędzał się aż do wiosek ludzkich, chociaż tam czekały psy, pachniał dym i błyszczały ognie, których blasku nie znosiły jego wąziutkie, jak szparki, źrenice; dotąd włóczył się dokoła domów, parskał, porykiwał, straszył, aż wypatrzył jaki chlewec albo obórkę źle zbudowaną. Wtedy wyłamywał dach i porywał ukrytą tam kozę, świnię, nawet krowę. Ludzie nie śmieli wychodzić na obronę swego dobytku, gdyż i na nich rzucał się i rozszarpał ich, a psy dusił jedną łapą.

Tak mu się nawet podobało koło tych wiosek ludnych, pełnych zwierząt, że coraz rzadziej wracał do swej pieczary leśnej. Sypiał wtedy w trawach albo w krzakach na słońcu, bo lubił ciepło. Roztył się i rozsuchwał niezmiernie. Zdawało mu się, że już wszystko zna na świecie, że już wszystkiego spróbował. Ale raz, kiedy sobie spał w kępie gęstej trawy na łączce, obudził go niezwykle szelest. Nic podobnego nigdy przedtem nie słyszał. Coś tłukło się gwałtownie wśród traw, jak wąż, a jednocześnie tupało kopytami, jak bawół. Stary zbój przysiadł na ogonie i wychylił ostrożnie swój wąsaty pysk ponad trawy. Zdumiał się. Tuż przed nim uwijała się jakaś niewidziana dotychczas istota w białej skórze, rozwiewającej się u dołu, jak skrzydła...

Był to podróżnik angielski w białym ubraniu.

— Pewnie ptak! — pomyślał tygrys. — Zaczekam, aż się zbliży, bo inaczej frunie mi w powietrze! Ale co on robi? Aha, łapie motyle!... Ale jaki zabawny ma dziób!... Szeroki, jak strzecha!... Kładzie go na głowę, a później zdejmuje... Oho, bacność!... Biegnie wprost ku mnie... Ojoj!... Co to?... On ma takie same białe wąsy i bokobrody, jak ja!... A i na nosie, tuż przed oczami, świecą mu się jakieś niebezpieczne blaski... — rozważał, przyglądając się rozmachanym rękoma, kapeluszowi podróżnika i jego okularom.

Już chciał ryknąć, aby wroga nastraszyć, gdy niespodzianie na trawie tuż przed jego nosem siadł ogromny, czerwony motyl i zasłonił mu skrzydłami widowisko.

Jednocześnie coś ogromnego, twardego spadło mu na oczy, na łeb, na pysk i zakryło świat... Tygrys wyrzucił z siebie wstrzymany ryk, podskoczył wszystkimi czterema łapami do góry i puścił się pędem do lasu... Twardy kapelusz trząśł mu się na łbie, szorował bardzo przykro po nosie i zupełnie oślepiał. Tygrys nawet nie śmiał powiek otworzyć. Sadził ociemniały, zrozpaczony, aż wyrznął łbem w pień.

— Stało się!... Zabił mnie ten dziób przeklęty!... — zdążył tylko pomyśleć i utracił przytomność.

Kiedy ślepia otworzył, zdziwił się bardzo, że wokoło tak jasno i miło. Wstał, potrząsnął głową i parsknął. Wdali usłyszał wielki hałas, wspiął się więc cokolwiek nad trawy i spojrzał na polankę. Podróżnik, jak „biały ptak“, uciekał z wielkim pośpiechem, a przed nim pędziły, porykując, wystraszone bawoły...

— Oho, niema głupich!... Niech on już lepiej ich podziobie! Ja tam nie pójdę!

Odzyskiwał dobry humor. Potrząśł znowu rozbitym łbem i ziewnął przyjemnie. Już łapy odebrał i chciał ruszyć w lekkich podskokach do wiadomej sobie wioski, gdzie wypatrzył obórkę, gdy wtem dostrzegł w trawie przed sobą przedmiot okrągły, jasny, wydęty. Z przerażeniem poznał w nim koniec okropnego „dzioba“ ludzkiego, który niedawno spadł mu na głowę i świat cały zakrył.

Tego tylko brakowało!

Zamarł bez ruchu. „Dziób“ też leżał nieruchomo. Przyczajony u ziemi, niewiedomo, co zamierzał. Czas jakiś przyglądali się sobie. Nareszcie tygrys wciągnął mocno nozdrzami powietrze. Zaleciał go wcale przyjemny, ale zgoła nieznaný zapach.

— Urwał się z długiej jego szyi!... Ho, ho!... Mocny jestem!... Coby to było, gdybym tak odrazu do góry nie podskoczył! A może on do jedzenia?... — rozważał, przyglądając się nieprzyjacielowi zoddala.

„Nieprzyjaciół“ leżał wciąż na trawie i ani się ruszył.

— Zdechł pewnie! Trzeba spróbować!

Stary żbój wyciągnął przed siebie szponiaste łapy, podpełznął na brzuchu do dziwnego przedmiotu i trącił go końcem pazura. Ale gdy kapelusz potoczył się i przewrócił niespodzianie do góry otworem, srogi zwierz znów odskoczył z przerażeniem.

— Nie żarty!... Taka duża paszcza!...

Stał z wyciągniętym ogonem, pilnie bacząc na wszystko, gotowy przy najmniejszym poruszeniu drapnąć, gdzie pieprz rośnie. Po chwili jednak, widząc pokorną postawę kapelusza, poskoczył ku niemu i przycisnął go łapą. Białe kły przebiły mu brzegi, wyrwały środek i poszarpały na kawałki kapelusz. Szorstki język przewracał go z boku na bok, a gardło wciągało w czarną przepaść.

Gdy niestało nieprzyjaciela, tygrys rzucił w powietrze przeciągły, zwycięski ryk i ogromnemi susami pomknął w las. W pysku miał przyjemny, słodkawo-słony smak, a w nozdrzach pamięć przyjemnego zapachu. Od tego czasu marzenie o tym smaku i tym zapachu nie opuszczało go ani na chwilę.

— Ach, gdyby tak najeść się, nasycić, nawąchać tego wszystkiego!.. — myślał sobie nieraz, czatując w trawach na spowszedniałe mu kozy i dzikie świnię.

Wolał już brązowych Hindusów, których udawało mu się upolować na drodze albo w polu przy robocie. Ich ciało i krew miały coś z tych wymarzonych smaków i zapachów.

Ale o Hindusów coraz było trudniej. Wieczorem albo wcale nie wychodzili z chat albo wychodzili z brzydko płonąca pochodnią w rękę, o którą łatwo się było sparzyć. We dnie pilnie się strzegli i, zobaczywszy go zdaleka, uciekali co tchu, włączili wysoko na drzewa tak, że on mógł tylko obwąchiwać ich ślady, zadartszy łeb do góry, gdy oni tam czynili wielki hałas.

Tygrys wogóle nie lubił hałasu, gdyż ten wystraszał w okolicy zwierzyńę. Nie lubił również wysiadywać pod drzewem, na którym ukryły się małpy albo Hindusi, gdyż oni rzucali nań stamtąd gałęzie, orzechy, drzazgi, które łaskotały nieprzyjemnie ciało, a nawet raniły boleśnie. Gardził zresztą Hindusami, którzy, napadnięci zbliżka, padali przed nim na twarz i pozwalali się zagryzać łatwiej, niż barany. Byli czarni, brudni, przepoceni, a co najgorsza... bardzo chudzi.

Jakże odmiennie wyglądał ów podobny do nich „biały ptak“!

— Miał wąsy i bokobrody, jak ja... Taki wielki pan i mocarz to musi być tłusty!... Pewnie wszystkich zjada i rozbija. Wcale się mnie nie bał!... Nietylko nie uciekał, nie padał na twarz, ale sam pierwszy wyciągnął do mnie swój straszny dziób!... Brr!... — wzdrygał się tygrys, przypominając sobie rękę podróżnika, wyciągniętą z kapeluszem ku siedzącemu przed jego nosem motylowi. — Jakże to źle, kiedy świat robi się we dnie czarnym!... Możeby znowu wyrznął mnie w łeb zoddala, jak wtedy!... Oho, niema głupich!... Zprzodu doń nie podejdę, schowam się... Podejdę go z tyłu, skoczę na niego znienacka, utopię w nim odrazu wszystkie moje kły i pazury!... Nie ostoi się, nie!... Nic mi się do tychczas nie ostało!... Czyż nie jestem tygrys królewski!?... Pan puszcz!?... Księżę ziemi!?... Zobaczmy, kto chytrzejszy, kto mocniejszy! Ho, ho!...

Ryczał przeciągle i parskął, a wszystko drżało wokoło, chowało się do gniazd, do nor, uciekało bez pamięci, zamykało się w chatach...

Rozszalały tygrys krążył po okolicy. Zuchwałość jego nie znała granic. Wdzierał się nawet do chat. Posyłano przeciw niemu wyprawy myśliwskie, ludzi zbrojnych w łuki i dzidy, śmiałych „szikari“ — łowców hinduskich, którzy z nożem w rękę mieli odwagę rzucać się na potwora.

Ale tygrys-ludojad, jakby czuł, co się święci, nigdzie długo nie posaż. Żył w ciągłym biegu, w ciągłym pośpiechu, w nieustannem przekradaniu się z miejsca na miejsce, z lasku do lasku, z sitowia do sitowia...

Aż pewnego dnia wybiegł na skraj ziemi.

Nigdy przedtem niewidziana przepaść otworła się przed nim. W górze nad nią wisały dobrze mu znane chmury, ale w dole z błękitów coraz to wznosiły się jakieś potworne góry, jakieś kosmate wały, które, rycząc, toczyły się ku ciemnemu brzegowi ładu.

— Ho, ho!... Niema głupich!... To wygląda coś gorzej, niż stado krokodyli!... Nie pójdę tam, zawrócę lepiej!... Co prawda, zawracać teraz po dniu niebardzo bezpiecznie!... Niedaleko ta wioska, gdzie narobili takiego wielkiego hałasu z powodu marnego dzieciątka, ale cóż robić?... Tu się nawet niema gdzie ukryć!...

Wtem spostrzegł niedaleko brzegu dziwne, białe skały. Miały na sobie szeregi czworokątnych otworów, w których połyskiwały niby lustra dziwacznej wody. Szczyty miały równo ucięte, śpiczaste albo płaskie, rogate, czubate... Z czubów gęsto dymiło się i mocno śmierdziało ogniem...

Były to kamienice miasta, nigdy dotychczas przez niego niewidziane.

Tygrys zawahał się. Ale jednocześnie z tym dymkiem zaleciało go coś, o czym zdawna marzył, mianowicie ów słodko-słonawy zapach spotkanego niegdyś dziwadła. Mrucząc zeicha, podniósł ogon i oblizując się, pomknął ku głębokim wąwozom ulic, ciągnącym się prosto wśród białych skał domów.

Gdy tam znalazł się, zastanowił go i nawet cokolwiek oszołomił nieustanny, niesłyszany nigdy przedtem szum i turkot, oraz wielki ruch, od którego wprost mieniło się w oczach. Środkiem biegly pojazdy, szybko przemykali na dwu kręcących się kołach cykliści, jak ogromne, podobne do ludzi pajaki, z hukiem przelatowały zielone słonie tramwajów elektrycznych z przezroczą skórą, poprzez którą widać było siedzących we wnętrzu ludzi. Popod samymi domami szły całe tłumy tych ludzi i znikwały w otworach zaciągniętych przezroczystą wodą wielkich, lustrowanych szyb.

Tygrys trochę się wystraszył i nie wiedział, co robić. Na szczęście spostrzegł niedaleko przed sobą starego Hindusa w białym turbanie, gołego do pasa, z białą zapaską dokoła bioder. Stary szedł obok pary siwych wołów, zaprzężonych w ciężki wóz miejscowy, i poganiał je małym pręcikiem.

Dobrze znany widok ośmielił tygrysa. Skierował się prosto ku starym znajomym. Hindus, zobaczywszy go, jednym skokiem schował się między woły, które zatrzymały się natychmiast i nastawiły rabusiowi ostre rogi. Jednocześnie wszczął się niebывały krzyk i zamęt. Konie stawały dęba, wrzeszczeli ludzie, czekały psy... Gorzej, że wśród tej wrzawy

rozległ się nagle suchy, również dobrze znany tygrysowi trzask strzału. Stary zbój drgnął, wstrzymał podniesioną na woły łapę i odskoczył swym zwyczajem pod skałę. Chciał schować się w jaką szparę, skąd mógłby przyjrzeć się, co się wkoło dzieje, i powziąć odpowiednie postanowienie. Ale wsunawszy łeb w dziurę, w której tak łatwo znikali ludzie, trafił na twarde drzewo zamkniętych drzwi, a kiedy wspiął się na łapy i mordę przystawił do taflí przezroczystej, jak szyba wody, znowu stuknął się porządnie w swój czuły nos. Cofnął się więc zaraz i z przyjemnością spostrzegł, że w szczelinie dziwacznych skał pusto, że niema tam już ani pojazdów ani ludzi, że tylko wdali coś przed nim szybko kotłuje i ucieka. Znow więc podniósłszy ogon i wygiąwszy grzbiet, wypadł na środek drogi i popędził za zbiegami. Zadowolony, zwycięski jego mruk przechodził zwolna w głuchy ryk. Bystre jego oczy poznawały wśród uciekających osobniki podobne do pamiętnego „białego ptaka“. Nozdrza miał pełne ich zapachu i nawet spostrzegł tuż przed sobą porzucony, okrągły „dziób“. Schwycił go w zęby i z pyszną miną, wysoko podnosząc łapy, sadził dalej po szerokiej, ucichłej drodze. Tylko w górze, w czworokątnych dziurach, migały mu blade twarze. Jakżeby je chętnie schrupał, ale były za wysoko. Wtem na rogu jednej z poprzecznych szczelin, w których ginęły, jak mary, tłumy uciekających, zetknął się oko w oko z tem samem straszidłem, co przed laty... Na pewno z tem samem, gdyż miało, jak i tamto, białe tygrysie wąsy, białe bokobrody, na głowie okrągły „dziób“, a na długim nosie dwie duże krople wody w lśniącej oprawie.

Tygrys drgnął i przysiadł na tylnych łapach.

Czekał struchlały, co będzie dalej; nawet niesionego kapelusza z pyska z przerażenia nie wypuścił, wysunął jeno pazury, gotując się do obrony.

— Kiedy on podniesie swą „trąbę“ i zdejmie „dziób“, aby mnie oślepić, wtedy rzucę się z dołu pod trąbę i zaduszę go! — rozważał przebiegle, nie spuszczać oczu z ręki i kapelusza.

Straszidło jednak nie podniosło „trąby“ do góry, lecz dotknęło się nią boku, poczem wyjęło stamtąd rewolwer, który błysnął, jak kawałek słońca. Strasznych, bladych, spokojnych oczu nie spuszczało z osowiałych ślepi tygrysa. Jednocześnie zahuczał strzał i „ognista mucha“ przeleciała tak blisko koło pręgowanego cielska leśnego rabusia, że ciarki po nim przeszły i skóra zmarszczyła się na nim, jak woda od podmuchu wiatru. Zamiast skoczyć naprzód, skoczył w bok, a gdy strzały nie przesławały grzmieć raz za razem, podwinął ogon i zaczął uciekać, ogarnięty trwogą. Teraz już nie sadził prosto szeroką drogą, ale skręcał co chwila w boczne wąwozy, kręcił, rzucał się, szukał wyjścia. Zerkając za siebie lękliwie, widział tam coraz zwiększający się tłum białych straszideł, od których coraz częściej wylatywały „ogniste muchy“. Parę z nich już go ugryzło... Wypuścił z pyska smakowity kapelusz, wysunął ośliniony ózór i zziąjany

pędził, ile mu sił starczyło w łopatkach... Zakręcał, zawracał, wypatrując, gdzie tu las, gdzie zieleni się choć jaka taka kępa lub kupeczka trawy, aby móc na chwilę przywarować, wytchnąć, zebrać siły i myśli.

Ale wszędzie były tylko białe, straszne skały z dziurami, z których wyglądały straszne, białe twarze. Nareszcie spostrzegł drzewa, zebrał siły, przesadził żelazne sztachety, oddzielające gęstwinę od ulicy, i wpadł między miłe sercu liście i gałązki. Ale jednocześnie koło sztachet zaroiło się od „białoliczych“, roje „ognistych much“ zaczęły latać dokoła głowy i boków tygrysa. Musiał zmykać dalej ku bielejącej w głębi samotnej skale. Był pewny, że tam już znajdzie schronienie. Istotnie spostrzegł czworokątny otwór, na szczęście niezamknięty ani drzewem ani wodą. W głębi znowu widniała zielona gęstwina. Tygrys rzucił się w ten otwór i schował się w gęstwinę.

Ta skała samotna w ogrodzie, był to ustronny, bogaty hotel; dziura, przez którą on skoczył — otwarte drzwi; gęstwina, w której się ukrył — zielone sukno, pokrywające bilard w małej bilardowej sali. Tygrys czuł się tu bezpiecznym; wokoło było cicho i zielono. Położył się, zmrużył ślepią i sapał, wypoczywając...

Po chwili jednak znowu rozległy się gdzieś niespokojne głosy, nadstawił więc jedno ucho. Trzasnęły przywarte drzwi. Zrobiło się jeszcze ciemniej i jeszcze ciszej. Tygrys uszy zwiesił i ślepią zupełnie zmrużył. Wtem z tyłu za nim w przeciwległej drzwiom ścianie u okna zagrzmiał gwar już bardzo wyraźny, poczem zagrzmiały strzały. Tygrys, ranny jednocześnie w łapę i zadraśnięty w mordę, zerwał się z rykiem wściekłości i palnął łbem odrazu w grube dno bilardu. To pozbawiło go resztki rozwagi. Ryczał, szczyrzył zęby, rzucał się w ciasnem swem schronisku, ale nie miał odwagi wyskoczyć z „zielonej gęstwiny“, zakrywającej go od wrogów. Kule jednak gwizdały coraz gęściej, zjadliwy dym wypełnił pokój, wreszcie uderzone łapą kręcącego się tygrysa sukno zielone opadło, obnażając zwierza.

Wyskoczył z wyszczerzonymi kłami z pod stołu. Zebrani u okna ludzie pierzchnęli, ale gdy zwierz nie wyskakiwał stamtąd, znowu wrócili i prażyli go zbliższymi strzałami. Dym, blask ognia, gwizdanie kul, piekące rany doprowadziły tygrysa do ostateczności. Biegał wkoło po pokoju, szukając wyjścia, wreszcie wspiął się na wysokie podmurze, i rzucił się na strzały, na ludzi. Dym i szal osłępiły go zupełnie. Wtem dojrzał w skoku białe plamy, rozwieszone w powietrzu.

— Aha!... Oto on!... Zemszczę się!... Zemszczę!... — zaryczał.

Jednym ze swych najpotężniejszych skoków rzucił się na jedną z tych plam, kołyszając się na wietrze.

O dziwo! Straszdyło gdzieś znikło, a tygrys, przesadziwszy płot, na którym suszyła się bielizna, wyrócił z impetu kilka koziołków przez

łeb. To go otrzeźwiło. Wstał i milczkiem z podwiniętym ogonem zaczął szorować dalej. Szczęśliwie zdarzyło się, że wyskoczył na tylne podwórko; stamtąd, sadząc przez parkany i ogrodzenia, wydostał się do sąsiednich ogrodów i, już nie zaprzatając sobie niczem głowy po drodze, umykał za miasto.

Tchu mu w paszczy brakło, rany broczyły krwią i piekły nieznośnie, ale, co najgorsza, dokoła szyi czuł straszny, nieznany dotychczas ucisk, a dokoła łap jakąś szeleszczącą przeszkodę. Spojrzał i struchlał: miał na sobie białą skórę... straszyla. Prerażony pędził teraz już jak wiatr, skakał jak piorun, starając się wyskoczyć z dziwnej, powiewnej pułapki. Daremnie, gdyż była to koszula, susząca się na płocie, którą w skoku wdział sobie przez łeb na szyję.

To go jednak ocaliło, gdyż ludzie, widząc jakiś biały, toczący się po ziemi przedmiot, nie poznawali tygrysa i nie strzelali doń, a gdy zbliżka stawał przed nimi na tylnych łapach, straszny i śmieszny w tem swoim ubraniu, krzyczeli nań tylko i zataczali się ze śmiechu.

— Ha!... Ha!... Ha!... Zupełnie piekarz z piekarni!...

Tygrys nie miał już odwagi napadać na nich.

Łapy płały mu się w płótnie, a śmiech przejmował grozą. Nigdy go dotychczas nie słyszał. Przyzwyczajony był do łez, wyrzekań, lamentów, przekleństw, ale śmiech?... Brr!... Tego jeszcze brakowało!...

— Ha!... Ha!... Ha!... Hi!... Hi!... Ho!... Ho!... — ściagało go wszędzie i okrutne jego serce ścisnęło się z przerażenia i biło, jak młotem.

Jak wichur — przelatywał pola, wioski, rozłogi, a wzdęta wysoko koszula furczała mu nad grzbietem. Przykry ucisk i łaskotanie wciąż czuł pod brodą.

Wreszcie wpadł w ojczyście lasy niebotyczne, cieniste i przysiadł odpocząć. Ale tu nowa czekała go niespodzianka. Dzięki białej koszuli spostrzegły go natychmiast dokuczliwe małpy i dalejże rzucać gałęzmi, orzechami, pokazywać mu języki, wykrzywiać się obrzydliwie i zwoływać wszystkie stworzenia... Zleciały się roje wrzaskliwych papug, przyfrunęły pawie z pawicami, zaśniły w trawach bażanty złote, jak ogień, i zerwały się z kwiatów kolibry, kolorowe, jak motyle.

— Ha!... Ha!... Ha!... Hi!... Hi!... Hi!... Ho!... Ho!... Ho!... Co to za dziwadło?... Zupełnie jak stara sowa!...

Tygrys starał się nie słyszeć tych wrzasków i leżał posepny, zmęczony. Wkrótce jednak rozległ się w pobliżu cichy, straszny szelest, który zmusił zwierza do otwarcia oczu.

Po lianach pełzał na dół wielki wąż dusiciel. Złote, rozgorzałe oczy utkwiał w białą płachtę, okrywającą tygrysa, a z wąskiego pyska wysuwał od czasu do czasu cienki, jak żądło, język.

Tygrys powstał i oddalił się z pomrukiem.

Lecz leśna wrzawa szła wszędzie za nim, wzbudzana nienawiścią ku niemu. Jego nowy, biały ubiór czynił go zdala widocznym. Choć więc krył się w cieniu, wykrywano go natychmiast. Znowu zaczął wychodzić na łowy nocami, ale niewiele udawało mu się upolować. Szelest szmat, wlokących się za nim i zaczepiających się o gałęzie, biały kolor, przyswiecający nawet w ciemnościach, straszyły zwierzyne, a małpy i papugi nieomieszkały nigdy wydać jego kryjówek nieznośnym wrzaskiem. Zgłodniały, wychudły, żywił się prawie wyłącznie myszami i szczurami. W ranach zaległy się robaki, które dokuczały mu niezmiennie.

— Przekłète „muchy ogniste“! Przekłète białe dziwadło! Zginę, a nie daruję mu!... Skoro wrócą mi siły, a spotkam się z nim, stoczę bój śmiertelny: albo ja albo on zginiemy!... — obiecywał sobie, wrac od tłumionej wściekłości, i głuchym, posępnym rykiem napełniał las.

Ale siły wracały mu bardzo powoli.

Wszystko jednak ma swój koniec. Koszula podarła się na strzępy i zbrukała o tyle, że już nie zwracała uwagi w zaroślach i został z niej tylko koło szyi tygrysa bielszy kołnier, który nie przeszkadzał na łowach.

Coraz częściej stary zbój chwycił nieostrożne kozy i sarny. Zaczął przemyślać nawet o bawołach. Zapomniał o swoich biedach niedawnych, odzyskał dufność. Zaczął znowu marzyć o słodkim, ludzkim mięsie, o ludnych wioskach, zaopatrzonych w kozy, krowy i świnie. Pomrukiwał groźnie, myśląc o swoich nieprzyjaciółach.

Aż pewnego wieczora, spuszczając się do wodopoju ze stromego brzegu, spostrzegł nagle pod sobą w złotem od słońca lustrze jeziora nienawistne białe dziwadło: miało siwe wąsy tygrysie, białe tygrysie bokobrody i białą skórę, zwisającą od szyi na ramiona.

Nie poznał swego odbicia, ryknął wściekle i rzucił się na domniemanego wroga. Rzecz prosta, że znalazł się w głębinie, a tu już czyhał nań czarny, zdradziecki krokodyl. Ten podpłynął szybko i cicho, jak strzała, chwycił nurzającego się niezdarnie tygrysa i pociągnął w odmet.

Wacław Sieroszewski.

VI.

Wstęp do „Pieśni o ziemi naszej“.

A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody,

Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i dunaju¹⁾?

A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się śmiły?

¹⁾ Tu wogóle: rzecze.

A czy wiesz ty, co w nich leży? —
O nie zawsze, o nie wszędzie,
Młody orle, tak ci będzie,
Jako dzisiaj przy macierzy!

Kto tam zgadnie, gdzie osiedziesz,
Jaką wodą w świat popłyniesz,

W której stronie walczyć będziesz
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda!
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzeć z góry na swe ziemie
I rodzinne swoje plemię...

Wincenty Pol.

VII.

Od Bałtyku po morze Czarne.

Ktoby przechodził po szczytach Karpat od Śląska ku morzu Czarnemu w takiej wysokości, iżby cały kraj okiem ogarnął: obróciwszy się ku Bałtykowi, ujrzałby naprzód z lewej krawędzi gór, z pogranicza Śląska, wypadającą Odrę, która na lewo, na zachód i północ kręcąc się, w morze Bałtyckie bieży; niedaleko od jej źródeł Wisła w przeciwną stronę kieruje się na prawo i trafia w drodze na przedmurze Łysogór, a obiegłszy je i znowu na lewo pomknąwszy się, kręto dąży ku Gdańskowi. O kilkanaście mil od źródeł Wisły San, hystro ku Łysogórom pędząc, napotyka Wisłę: tu obie rzeki tworzą trójkąt, zabierając w siebie kilkanaście pomniejszych rzek z podstawy wynikających. Za źródłami Sanu Karpaty wypuszczają róg, który oddziela się od głównego łańcucha i, coraz wznosząc się i rozplaszczając, tworzy płaskowzgórze Wołyńsko-Podolskie. Dniestr, tym rogiem od Sanu oddzielony, zbiega na prawo, między podnóżem Karpat i Wołyniem zamknięty, a zabrawszy resztę wód z tej strony leżących, niesie je w morze Czarne. Wszystkie więc wody właściwie karpackie do Wisły lub Dniestru zmierzają. Płaskowzgórze Wołyńsko-Podolskie, wąską i nieznaczną szyją z Karpatami połączone, a zresztą oddzielne, tworzy nowy system wód. Wszystkie jego rzeki, jak Bug, Horyń, Zbrucz i t. d., w różnych kierunkach naksztalt wachlarza: jedne do Dniestru, drugie do Wisły, inne znowu zbiegają w dolinę Pińską, gdzie Prypeć głównym jest nurtem i wodzem rzek ku Dnieprowi. Za doliną Prypecką podnosi się znowu ład i wysoko na północy wydaje rzeki, które znowu naksztalt wachlarza już ku dolinie Prypoci, już ku morzu Bałtyckiemu ujścia szukają. Brzeg bałtycki tworzy czwarty systemat wód. Brzeg ten w kształcie szerokiego i płaskiego wału od morza w różnych od niego odległościach krąży, od Dynaburga do Grodna w prostej prawie linii ciągnie się, od Grodna zachyliwszy się ku morzu, przez Prusy i Wielkopolskę aż ku Wiśle zniża się coraz, w kilku miejscach rozerwany wielkimi rzekami: Dźwiną, Niemnem i Wisłą, wszystkie pomniejsze odpięra i zawraca. Na tym płaskim wale leżące wody, nie mając spadku łatwego,

tworzą naprzód jeziora, a z nich dopiero wypychają rzeki i potoki albo w dolinę średnią albo ku morzu Bałtyckiemu.

Ktoby, wróciwszy się znowu ku środkowi Karpat, wzniosł się nad ich wierzchołek w powietrze tak wysoko, iżby okiem ogarnął całą tę krainę, ujrzałby na prawo ku Dnieprowi i morzu Czarnemu niebo pogodne, jasne, ziemię płaską i jednostajną. Tu jest wielki trakt z Azji do Europy. Po stepie bezleśnym, podobnym zielonemu morzu, przyczółgały się różne gatunki wężów, między niemi kilkułokciowe z Medji połosy¹⁾. Skorpjony mniej liczne uczepiły się nadbrzeżnych łóz i opok. Na podniesionych suchszych miejscach gęsto siedzą w osobnych jamkach tarantule. Najliczniejsza z owadów i najstraszniejsza dla roślin szarańcza ciągnęła tu niegdyś górą szerokimi chmurami. Wylęgła w stepach Azji, z wiatrem południowym i wschodnim przelatywała niekiedy morze Kaspijskie, a częściej międzymorzem Kaukaskiem, przeciągnawszy nad brzegami Czarnego morza, ku Dnieprowi dążyła i wykaszła po drodze całe stepy. Zakopywała w nich nasiona, skąd potem znowu pieszne owady leniwo przez rzeki i góry w głąb Europy ciągnęły, a dostawszy skrzydeł, niekiedy aż do Wisły i Elby zapędzały się. W wyższych strefach powietrza również ciągnął panuje ruch podróżnych ptaków. Ciężkie i poziome²⁾ dropie, nieprzeliczone stada szpaków, oddziały bocianów i gęsi dzikich, a najwyżej ledwie dojrzone sznury żorawi. Mniej daleko czworonożnego zwierza: tylko zające, lisy śmigają po gęstej trawie. Pasą się tabuny koni, a po łożach nadbrzeżnych, trzcinach i sitowiacz żerują wilki.

Prowadząc wzrok dalej ku płaskowzgórzu Wołyńsko-Podolskiemu i ku wyższej krainie — nowy, rozmaitszy obraz. Ziemia podnosi się coraz, tu i ówdzie widać kępy dębów, które coraz liczniejsze tworzą wielkie i piękne dąbrowy. Na pograniczach Wołynia i na Podolu, pełnem wzgórków i skał, las coraz rozmaitszy obfituje w huki, w topole, graby i leszczynę. Stamtąd zniża się wzrok ku dolinie Prypeciowej, ciemnozielonej od gąszczy lasów, zarośli i bagien, przeświecającej się wodami. Tu jest główny gościniec czworonożnego zwierza: tędy z głębi północno-wschodniej Rosji ciągnęły niedźwiedzie, dziki, łosie, jelenie, tury, żubry; stąd przez Litwę ku Mazowszu ciągnie się jedna, prawie nieprzerwana puszcza, naczerniona jodłami i sosnami, której reszty nietknięte siekierą zostały w Białowieży i dotąd przytułek dają żubrom. Między puszcza świecą się kręte pręgi błękitnej Wilji, stalowego Niemna, a dalej płowej Wisły; nad brzegami rzek zielone łąki, otoczone galkami brzoźowymi i olchami.

Podnieśmy znowu oczy ku brzegowi bałtyckiemu. Tu na długim i rozplaszczonym wale błyszczy szereg szyb wodnych. Sto jezior od Finlandji na zachód do Gopła leżą jedno obok drugich, jak zwierciadła

¹⁾ = węże. ²⁾ = po ziemi biegające.

różnej wielkości, ocienione lasami różnego gatunku, a ku północy jodłami i brzoziami. W tej krainie oprócz zamieszkałych zwierząt i ptaków, o których już wspomnieliśmy, tułają się liczne czworonogi i ptaki gościnne. Nad morzem wije się bezprzestannie ptactwo wodne, a wyżej na północ zabłąkają się czasem myszy wędrowne, ta północna szarańcza, która miljonowemi tłumami w pewnym kierunku wędruje.

Klimat tych rozległych krain jest umiarkowany, od południa ku północy nieznacznie zmienia się stosownie do położen geograficznych; stąd i między roślinami i mieszaninami zwierza nie można oznaczyć wyraźnych granic. Różne gatunki razem osiadają i daleko od właściwych siedlisk zachodzą. Powietrze zdrowe, ciche, poruszane szerokimi, jednostajnymi wiatrami, gwałtowniej na stepach, łagodniej ku zachodowi. Burze i huragany rzadkie. Ziemia spokojna doświadcza rzadkich wstrząśnień, zawsze w jednym kierunku od Azji ku Europie. Cztery pory roku z oddzielnymi i wyraźnymi charakterami jednostajnie po sobie następują. Wiosna pełna ruchu, życia i świeżości dla nagłego roztopiania wód, rozwijania się drzew i przelotu ptaków. Lato krótkie, ale wystarcza na dojrzewanie owoców. Jesień długa mgłami częstymi okrywa doliny, warząc i obrywając liście, dziwnie maluje lasy. Z początkiem zimy cała przestrzeń od Odry aż po Dniepr zamienia się w jednostajną, białą, śnieżną równinę, przez którą zielenią się puszcze jodłowe. Powietrze zaciemnia się wtedy chmurami czarnych ptaków z rodzaju kruków i wron.

Adam Mickiewicz.

VIII.

Z zarania dziejów.

Plemionom słowiańskim nad Łabą i Odrą mieszkającym ostatnia już wybijała godzina. Snadź bogi opuściły lud swój wierny i jego ofiarami wzgardziły, bo oto wróg ciężki przyszedł i wolność odbierał jednemu po drugim. Padły osady Stoderanów i gród ich przesławny Branibor padł w gruzy pod mieczem najeźdźców; poszedł do niewoli książę Dalemińców Tugomir, a potem Głomuzom, Lutykom, Czechom, Obotrytom zgotował oręż niemiecki gorzki los niewoli.

Wśród walk tych krwawych padały w gruzy prastare świątynie, a gdziekolwiek sięgnął miecz cesarza Henryka Ptasznika, tam nawet śladów życia nie pozostało. Mieszkańców wycinano w pień, w niewolę wziętych sprzedawano publicznie. Łez pełną i mogił stała się cała kraina.

A wśród wrzawy wojennej, na pobojuwiskach, zasłanych tysiącami trupów, anioł stawał pokoju i miłości, nawołując zwyciężonych, by przyjęli łaskę Bożą i odkupienie Chrystusowe. Lecz jakoż przyjąć mogli białego posłańca z rąk tak bardzo skrwawionych mordem i pożogą? Bój więc trwał dalej srogi i krwawy, bój ostatni na śmierć i życie.

Ale śmierć przyszła najpierw na pogromcę. W roku 936 umarł cesarz Henryk Ptasznik. Krwią zboczona kraina odetchnęła na chwilę tylko, bo oto znowu powstał mąż straszny i nieubłagany, mąż krwi i miecza. Był nim margrabia Geron, wojownik wielki, ale z sercem skamieniałem w nienawiści wszystkich ludów, które Świętowita czcili i jemu niosły do kontynu ofiary.

Lecz najpierw przybrał margrabia Geron uśmiech przyjaciela. Bez miecza zbliżył się do książąt słowiańskich i rzekł, że chce być ich przyjacielem i pokój z nimi zachować, chce chleb z nimi przełamać w gościnie na zgodę i miłość. Książęta usłuchali, bo wszak gościnności prawo najświętszem było przykazaniem wszystkich ludów słowiańskich. Poszli więc na ucztę bez mieczów i bez złej myśli. Trzydziestu książąt słowiańskich zasiadło przy stole margrabiego Geron.

Nagle wśród uczt wypadli zdradziecko jego żołnierze i wymordowali wszystkich gości. Jeden tylko młody książę Heweldów zdołał się ocalić i poniósł straszną nowinę do swoich.

Wśród Słowian zawrzało: chcieli wziąć pomstę, lecz brakło im mocy. Powstali i znowu ulegli Lutycy i Stoderanie, poddał się król czeski Bolesław, książę Obotrytów Stoigniew pokonany i zabity, tysiące Słowian legło na pobojuwisku. Los Słowiańszczyzny zachodniej był rozstrzygnięty.

A wkrótce potem strach wielki padł na ludy, które dotychczas nie znały krwawego wrogów oręża. Nad Wisłą, Wartą i Notecią, tam, gdzie mieszkał dzielny, lecz spokojny lud Polan, gdzie od prawnika Wiślanie siedzieli i Kujawian lud rosły i Mazowszanie i wiele innych ludów złączonych niedawno w jedno państwo przez książąt władających Polanami — tam teraz wici rozgorzały smolne, alarmowe ognie po wzgórkach i wszelkich wzniesieniach. Codzień każdego wieczoru krwawiło się niebo oną łuną od smolnych stosów na znak, że nieprzyjaciół stanął u progu ojczystych rubieży¹⁾. Patrzyli kmiecie i włódcy na te ognie i rozpalali je u siebie, aby dalej mieszkającym podać wieść groźną. W kontynach tłumy ręce ku bogom ojczystym wznosiły, kapłani objaty²⁾ czynili i inne ofiary dla prześlągania bogów, którzy jakoby lud swój wierny opuścić chcieli.

Troska też ponura osiadła na obliczu Mieszka, syna Ziemomysła a Piastowego wnuka. Niedawno złączone zostały ludy pokrewne, dotąd luzem chodzące, w jedno państwo ku wspólnej chwale i obronie, a oto wróg krwawy nastawać począł na ich wolność. Ale chociaż wiedział Mieszko, że wielkim jest rycerzem margrabia Geron, to przecież trwoga nie powstała pod książęcym kołpakiem wnuka Piastowego, a serce jego zakrzepło w tej jednej myśli, aby obronić się przed najazdem.

¹⁾ = granic. ²⁾ = ofiary przepisane obrzędami.

Obesłał przeto wici wojenne po grodach i siołach z wezwaniem do walecznych wojów i do starszyny. I zeszły się woje siedzący po grodach i lud ciągnął bitny ze wszystkich stron kraju, zbrojny we wszystkie przybory, które kupcy z dalekich krain wzamian za zboże, bursztyn i skóry leśnych zwierząt przywozili.

Bogowie jednak nie szczęścili onej sile ani ludowi swemu. Zaraz w pierwszym natarciu pobity został Mieszko i uchodzić musiał przed wrażą potęgą Gerona i Wichmana.

Jest to pierwsze zdarzenie, które o Polakach zapisali piśmienni kronikarze niemieccy, i dlatego od tego czasu, to jest od roku 963, zaczyna się historia polska.

Mieszko dzwignął się prędko po klęsce, przyjął wiarę chrześcijańską wraz z ludem swoim, a synowi swojemu, Bolesławowi Chrobremu, przygotował drogę do chwały i wiekopomnych czynów.

Franciszek Jaworski.

IX.

Krajobraz jesienny.

Nibyto jeszcze koniec lata, a niby początek jesieni. Kalendarz juljański mówi, że to ostatnie dni sierpnia, a gregorjański, że pierwsze września. Mniejsza o to. Kalendarze i podział czasu na miesiące — rzecz ludzka, a natura czyni swoje. Teraz uczyniła tak, że pierwszy rąbek wschodzącej jesieni nasuwa się na ostatni rąbek zachodzącego lata.

Powietrze ciepłe jeszcze, lecz tylko zwierzchu, a na dnie ma chłodek rzeźwy, zwłaszcza w tej chwili, gdy tarcza słoneczna pochyliła się tak nisko ku zachodowi, że tylko połowę jej widać nad pąsem niedużego lasu. Tarcza ta, bladozłota, zstępuje ze sklepienia pogodnego, lecz bladoego, trochę ciemniejszy pośrodku błękit nieba w miarę opuszczania się ku skłonom błednie i przechodzi w seledyn¹⁾ i białość. Chmury żadnej ani nawet obłoku na tem sklepieniu niema, i wznosi się ono, jak kłosz²⁾ przeczysty, nad ziemią, której widoki w powietrzu, jak kryształ przeczystem posiadają wielką wyrazistość i odrębność.

Pole równe, gładkie, rozległe. W lecie były tu łany różnego zboża, ale teraz wszystko zżęte i tylko w jednym miejscu niwka zębu końskiego jaśniejze zielonością majową, przedziwnie świeżą. Możnaby pomyśleć, że figlarz jakiś z kawałka wiosny zrobił łatkę i przyszył ją do żółtego płaszcza, którym jesień okryła ziemię. Ale i płaszcz ten nie jest tak zupełnie żółty, jakim się na pierwszy rzut oka wydaje. Wprawdzie ścierniska, jeszcze niezdeptane i niepoczerniałe, mają kolor świeżej słomy, lecz tu i ówdzie kładą się na nie różowe krepy³⁾ światła, od zachodu padają-

¹⁾ = barwa blado-zielona. ²⁾ = naczynie kształtu dzwonu. ³⁾ = lekka, przezroczysta tkanina.

cych, i z bładożółtej szczotki dobywają się zrzadka ostróżki fioletowe, po raz drugi kwitnące, bławatki w tem lecie ostatnie, a gdzie tylko krzak jaki, gałęzie mu owijają sploty białych, jak mleko, przytulij¹⁾). Brzegami zagonów cykorja odkwita i na łodygach drzewiastych, nagich, jak rogi sterczących w strony różne, zawiesza nad zagonami szeroko rozwarte oczy błękitnych kwiatów. Niżej, u stóp badyli po bylicach pozostałych i końskich szczawi, które gdzie niegdzie stoją, jak czerwone miotły, boki zagonów miękko wyścielają szare puchy kotków i z pomiędzy ździebeł słomianych dobywają się istne korale — gwiazdki małe, z koralu najczystsze, tak pięknego, że choć je w broszę albo pierścionki oprawiać. To kurzyśląd²⁾ po raz drugi w tym roku kwitnie i miejscami tak gęsto koralowe gwiazdki na ściernisko sypie, że aż pali się ono w ich czerwieni.

Z miedz, od grusz dzikich, padają na ziemię cienie długie i migośliwe, bo tańczą po nich krople złotego światła; tu i ówdzie w ramach żółtej ścierni szmata świeżo zoranego pola prawie czarna i leci od niej zapach nieokreślony, jakby pleśni grzybowej, jakby świeżego pieczywa. Z nad jednej z tych szmat porwało się stado wron i z głośnem krakaniem, podobne do chmury na mnóstwo skrzydlatych obłoków rozbitej, powietrzem przeleciawszy, padło na las, z za którego świeci jeszcze część tarczy słonecznej, w dziwny sposób oświetlającej jego wnętrze. Jest to oświetlenie takie, że pojedyncze pnie sosen, doskonale od siebie oddzielone, stały się podobnemi do słupów umoczonych w roztopionem złocie, a u dołu gęszcze paproci tak wyglądają, jak gdyby kto do stóp złotych słupów nastął zwojów koronek strzępiastych, pierzastych, zielonych i rdzawych.

Te zaś punkty błyszczące, które w lecie z za drzew wydały się drobnymi iskrami, wzrosły teraz w płomyki, płonące przy samej ziemi. Jeden z nich, najbliższy, jęczyzkiem ognistym dobywa się z drogi polnej na ściernisko; drugi, trzeci świecą dalej, więc słabiej; czwarty w głębi widnokregu daleko migoce, drży, przygasa, zapala się znowu, jak spadła na ziemię drobna, migająca gwiazda. Są to ognie na miedzach i drogach polnych, zapalone przez pastuszków; pstre trzody mającą też w ich pobliżu. Pora kopania kartofli jeszcze nie nadeszła, lecz są one już w ziemi dojrzałe i obfite, wykopują więc je ręce chłopiące i pieką przy ogniach. Od najbliższego płomyka dochodzi lekki trzask gałęzi łamiących się w ogniu, u dalszego rozlega się wołanie:

— Ho, ho! Hej, hej!

To pstra trzoda powlokła się w kierunku wzbronionym i do powrotu skłania ją pastuszek, smyk wiejski z ogromnem biczyskiem, którem wywija chwilę, biegnąc; poczem kładzie się u ognia. Leniwie wy-

¹⁾ = łac.: *galium*; z rodziny marzanowatych. ²⁾ = łac.: *anagallis*; z rodziny pierwiosnkowatych.

ciąga na ścierni długie, nagie do kolan nogi i z nad samej ziemi podnosi twarz chłopięcą w zsuniętej na tył głowy czapce; z pod rozczochranej gęstwiny włosów błyszczącymi oczyma ściga odlatujące wrony. O kilka kroków dalej dziewczyna z głową w czerwonej chustce, do maku polnego podobna i z upieczonym kartoslem w ręku podskakuje na bosych stopach, piskliwie wykrzykując:

— Hej, hej! Hi, hi!

— Ho, ho! — odpowiada jej głos z bardzo daleka, z głębi widnokregu, od ogniska, które tam u samej ziemi majaczy i mruga.!

Stamtąd też po chwili odzywają się nuty piszczałki pastuszej, trzy tylko nuty biedne, wciąż tę same, ale tak przeciągłe, bo od krańca do krańca rozptylają się tonami tęsknoty nieskończonej, powtarzając się nieskończenie... nieskończenie.

Jednocześnie nad ognikami ukazywać się poczynają dymki sinawe o razu prosto strzelają w górę, lecz latające nad polem wietrzyki wnet pochylają je, gną ku ziemi; wychylają się więc poziomo, opadają na ścierniska i pełzną po nich, jak węże przezroczyste, coraz grubsze, coraz błękitniejsze.

Nad lasami świeci już tylko rąbek tarczy słonecznej w obłoku, który nie wiedzieć skąd wziął się i stoi teraz na całym skłonie nieba w krwistej czerwieni i fioletach, szeroko obrębionych płomiennem złotem. Głębokowo wyżębiony, pogięty w doliny i góry, podobny jest do łańcucha wybuchających wulkanów. Dziwne też światła idą od niego po polu, snują się nad niem smugami, kładą się plamami. W drzewach i krzakach migocą krwawniki i bursztyny; u dróg rozstajnych szczyt topoli włoskiej góruje, jak zapalona głowica kolumny; każde źdźbło słomy na ścierniskach świeci zosobna, jak zapalona świeczka.

Iluminacja, a wśród niej tu i ówdzie ogniki pastusze drżą jak blade iskry i toczą się od nich po ziemi długie już teraz węże dymów.

Toczą się, pełzną, u końców rozwiewają się w opony sinawe, przeczecze, które po źdźbłach słomy drą się na szmaty, wieszają się na krzakach, pajęczą przędzę snują po świeżo zoranej ziemi, mgiełkami płyną po majowej zieloności końskiego zębu, kołyszą się na rogatych cykorjach i na badylach bylic... Wszędzie ich pełno; ciche, jak widma, powiewne, jak woale¹⁾, błękitnawe i lekkie, jak usuwające się w dal nieprzejrzane marzenia, snują się po świetcie wśród blasków zachodu, którym towarzyszą coraz liczniej rozlegające się głosy. Trzody, napędzone ku domowi, porykują; pastuszki coraz częściej wołają: Ho, ho, hej, hej!

Psy kędyś szczekać zaczęły, słysząc dudnienie kół i poskrzypy osi; w głębi zaś widnokregu na całe pole, od krańca jego do krańca, prze-

¹⁾ = zasłona z lekkiej tkaniny.

rzynając światła, blaski i dymy, rozlegają się wciąż trzy nuty, trzy biedne nuty wciąż te same i powtarzają się nieskończenie, z tęsknotą bez końca.

Eliza Orzeszkowa.

Wskaż różnicę pomiędzy tym opisem jesieni a opisem jesieni Adolfa Dygasieńskiego w II tomie Czytań.

X.

Diament.

Nielaskawe, chmurami zawleczone niebo mętną zawisło oponą nad krainą ubogą i smutną od wzgórz skalistych i nagich, szarych płaszczyzn. Droga słała się w wyłobieniach kamiennych, a miejscami zapadała między złomy skalne, skąd trudne było wyjście.

Tą drogą opoczystą, twardą kroczył człowiek jeden i rozglądał się dokoła z uwagą bystrą i wytężoną. Okolica widocznie nieznana mu była, ale on — nawykły snadź zdawna do wędrówek — trafnie odgadywał przejścia. Nie zwiodły go mgły w załomach i rozpadlinach zdradliwie skłębione, w porę zatrzymywał się przy krawędziach przepastnych, a kręte szczeliny same — zda się — wskazywały mu, kędy iść dogodniej.

A idąc, drogę znać było to gałązką wrzосу między skały zatkniętą, to z kilku kamieni ułożonym znakiem, to w miękkiej opoce naciętym krzyżem. Na szczytach przystawał i patrzył ku dolinie. Tam w mgłę płachtami rozestanej niewyraźnie szarzał jakiś kłęb, wydłużający się chwilami w węża, który zwolna się rozkręcał, znikał za występami wzgórza i znów się ukazywał, pełzając widocznie szlakiem przez owego człowieka wytkniętym. To była liczna podróżnych gromada: mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, zwierzęta juczne i tabor cały, on zaś gromady tej był przewodnikiem.

A był ochoczy. Od nieba chmurnego zacinął deszcz drobny, chłodem przejmujący, wokół pustka i zimne milczenie kamieni i po nich snujące się tumany, co osłaniają śmierć zaczajoną w czeluściach mrocznych. Samemu tu się znaleźć, to paść jeno i z żalości wypłakać oczy.

Ale on w sobie samym miał źródło radości, ciepła i światła, był więc ochoczy.

I oto na drodze swej znajduje trafem rzucony diament prześliczny, jak orzech duży, jak gwiazda migocący, diament, królewskiej godny korony. Długo podróżny cieszył nim wzrok swój, wreszcie ukrył go starannie w zanadrzu i, rozradowaniu folgę dając, snuł obrazy pożytku, jaki przyniesie ten losu dar bogaty. A myślał nie o sobie, jeno o tych, co tam, w ślady jego mozolnie ciągnąc, o twardą opokę stopy nóg zmęczonych kaleczyli.

— Umniejszy się im trudu teraz, a wczasy milsze będą. Za diament wielkie otrzyma się pieniądze, więc przykupią zwierząt jucznych

i pociągowych, mężczyźni nie będą dźwigali ciężarów, a niewiasty, starcy i dzieci wątłych sił nie wyczerpią w pieszej wędrówce; wszyscy posiłek otrzymają lepszy i odzież cieplejszą, a u celu podróży staną z niemałym jeszcze groszem. Trosk im ubędzie i dolę rozwidni wesołość.

Tak marzył.

Dzień uchodził. Pociemniało. Droga zaczęła się zsuwać w dolinę, skąd na odwieczną¹⁾ wołającego dzwonka echo przyniosło dzwonicie. Niebawem skończyły się skały i złomy kamienne, a zaczęła się łąka, miękko uścielająca niewielką, zaciszną dolinę, w głębi której tuliły się u wzgórza skromne siedziby ludzkie i kępą drzew osłoniły kościółek.

To miejsce upodobał sobie, obrał je wędrowiec na nocleg dla podążającej za nim gromadki. Dostrzegł niezamkniętą furtę kościelną i wszedł na wieczorną modlitwę i dla podziękowania Bogu za szczęśliwe wydarzenie.

Ubogi to był kościółek: drewniany, zmurszały²⁾, omszony, ze starości dość już wszedł w ziemię i przechylił się w bok, jakby podpory szukając u stojących kołem wiekowych — jak on — dębów. Wewnątrz bieda gospodarzyła z ruiną starości i zaniedbaniem. Po ścianach, niegdyś skromnie wybielonych, a dziś bardzo poczerniałych, węzowemi smugami sączyła się wilgoć, a w kątach pleśń porastała, robak toczył drzewo ołtarzy, okienka małe pajęczą zasnuły się przędzą.

Ukląkł podróżny przed wielkim ołtarzem, gdzie obraz był Bożej Matki z Dzieciąciem. Tu jedyna tliła się czerwonym płomykiem lampka, już dogasająca. Szły od płomyka drżące i nikłe blaski, które ważyły się wśród wieczornych cieni, kładąc się tu i ówdzie nieśmiało, spędzane następującym zewsząd mrokiem. Czasem musnęły obraz, a wtedy klęczący widział niewinną i słodką twarzyczkę Dziecka, które z pod złotej swej korony smutnie i jakby z lękiem wokół patrzyło.

I coraz senniej drżał płomyk, czerwone odbłyски coraz rzadziej i coraz niżej się rozsypywały pomęczone i usypiające. A człowiekowi się zdało, że słyszy skargę dziecięcą:

— Zgaśnie to czerwone światełko, a my z Matusią — jak nocka długa — sami ostaniem w ciemnościach.

Tedy sięgnął w zanadrze i diament, w którym słońce garść negasnących blasków zakłęto, wyjąwszy, kornie go na ołtarzu złożył, szepcząc:

— A niechże Ci, Dziecię, przez wszystkie noce świeci, byś się nie lękało.

Potem wyszedł, cicho stąpając, a było mu lekko na sercu.

Nazajutrz wielu, wielu podróżnych i ludzi z pasterskiej osady zebrało się w kościele na modlitwę, a gdy wieść między nimi poszła o dia-

¹⁾ = pod wieczór. ²⁾ zmurszeć = butwieć.

mencie, cieszyły się serca czyste, iż w tak ubogiej świątyni uczczone tak pięknie jest Dziecię, które, od szczęśliwości niebieskiej, świetlanej uchodząc, zstąpiło na ziemską poniewierkę ku zbawieniu naszemu.

A ów podróżny był już wtedy daleko na przedzie i lekko mu było na sercu, bo myślał: „Nie samym chlebem człowiek żyje“.

Feliks Brodowski.

XI.

Świętowita pogrom.

Było to jesienią.

Lud na Rugji¹⁾ ukończył właśnie zbiory, a wypadły one w tym roku pomyślniej, niżli przewidywano. Śpichlerze zaledwie pomieścić mogły nieprzebrane mnóstwo ziarna; pasieki ociekały przednim miodem; zagrody ożywiał wesoły ryk bydła i beczenie owiec, zapowiadających sutą strzyżę.

Widział w tem lud wyraźną łaskę bogów, a zwłaszcza najmożniejszego z nich Świętowita²⁾. Śpieszył więc do Arkony³⁾, by opiekuna swego hojnemi uczcić dary.

Skarbnicę świątyni wzbogaciły nowe zapasy złota; na ołtarzu ofiarnym nie wygasał ogień, a w świetlicach kapłanów zapanował niebywały dostatek.

Wszystkie umysły i serca gorzały, jak wielka pochodnia, czcig bogów.

I w takiej oto chwili do Arkony hucznej gwarem ludu, jak ul roboczy, zawitał przychodzień z obcej zapewne ziemi, bo nikomu nieznany i przemawiający językiem podobnym, a jednak odmiennym od tego, jakim mówiono na Rugji.

Grubą włosiennicę, rzemieniem opasaną, kurz okrywał; w rękę dzierzył przybysz łaskę pielgrzymią; stopy, przyodziane sandałami, obrzękłe miał wskutek długiej wędrówki. W oczach błyszczała dobroć i roztropność; usta ożywiał uśmiech łagodny; rozwiana broda nadawała całej postaci znamię powagi.

— Kto to? kto to? — biegły pytania wśród rzeszy, a jaki taki, puszczając wodze domysłności, próbował na chybi trafi rozwiązać zagadkę.

— Wielmoża, kneż; poznać mu to z oczu!

— A może nawet jaki król z za Wisty, szukający u Świętowita opieki przeciw nieprzyjaciołom?

¹⁾ Wyspa na morzu Bałtyckiem; w wiekach średnich zamieszkiwali ją Słowianie.

²⁾ Świętowit lub Światowid (t), najwyższy bóg Słowian. ³⁾ Miejscowość na Rugji z świątynią Świętowita.

Jakże wielką posiadał Świętowit sławę, skoro hen z poza morza, z poza siedmiu gór i rzek orla ku niemu ściąga się działwa, jak ku pewnej ostoi!

Dano Świętowitowi dworzec godny jego majestatu: grodzisko na wzgórzu wyniosłem, gdzie wygodnie przemieszkować, skąd bezpiecznie królować mógł stołecznej swej Arkonie. Sama świątynia podobnie, jak trzemy¹⁾ książęce, zbudowana była z modrzewia, wszakże rozmiarem kształtów i bogactwem ozdób budziła powszechny, a słuszny podziw. Ściany pokrywały malowidła, przedstawiające obrzędy religijne; rozłożysty dach omszały czerniał i zielenił się, niby kunsztowna mozaika.

Do wnętrza świątyni prowadziło jedyne wejście: olbrzymia brama, pękami zboża i kwiecica przystrojona.

Z trudem docisnął się do niej podróżnik, dziedziniec bowiem okalający siedzibę boga, silną obwiedziony palisadą, szczelnie zapełniły pobożne rzesze. Kapłani oprowadzali pomiędzy nimi właśnie rumaka Świętowitowego. Bielszy był od śniegu, ale zziąjany i obryzgany błotem: najlepszy dowód harców, jakie na nim wyprawiał w nocy bożek.

Ze zdumieniem przyglądał się pątnik czołobitności oddawanej szlachetnemu zwierzowi. Sam jednak czoła nie pochylił przed nim ani nie dotknął śnieżnej grzywy, by mu przyniosła błogosławieństwo. Kwapiło się snadź wędrownemu mężowi do wnętrza świątyni, do samego Świętowita, panującego dobrotliwie.

Kontynę zalegał uroczysty półmrok. Pęcherzem obleczone małe okna patrzyły niby bielmem oczu w głąb świątyni, zapełnionej ludzką czernią tak samo, jak dziedziniec. Smugi światła ociężałe rozpościerały się tu i ówdzie poprzez kłęby sinego dymu, który wił się z kadzielnic, obsypywanych co chwila miążkim bursztynem. Na ścianach widniały malowidła jeszcze jaskrawsze, niż zewnątrz, ale przytłumione w swej jaskrawości mrokiem; słupce przyboczne i bierzmona²⁾ stropu zbiegały się w harmonijne łuki; w narożach czały się rzezane z drzewa postaci bogów, potworne postawą i wejrzeniem.

Lecz ten, który był panem onej świątyni, miał schron osobny. Na czterech misternie zdobnych filarach wsparty, obwieszony szkarłatnymi oponami, których wzrok śmiertelny przeniknąć nie mógł, wznosił się w samym środku świątyni ów przybytek najświętszy, kapłanom jedynie dostępny, ludowi zaś odstawiający głąb swą chyba w dni wielkich uroczystości.

Dziś też jedną z nich święcono i kapłani postanowili ukazać wier-
nym oblicze władcy zarówno żywota, jak śmierci; pana ziem rozległych,
tłustych łąk i zbożowych łąnów; strażnika kniei nieprzejrzanych — tego,

¹⁾ = dwór, pałac (stąd Trzemeszno). ²⁾ = belki, bierwiona.

który dniom jasność daje, kwiatom woń, owocom słodycz; wielkiego bartnika pasiek słowiańskich; łowcę zubrów; rybaka pełnych węcierzy; dzierżyciela ładu, mir do chat wnoszącego; postrach wszelkich wrogów, skądkolwiek mogliby nadciągnąć.

I oto w tejże chwili, gdy mąż nikomu nieznany stanął na progu świętych przybytków, opadły ciężkie zastony: w otoczeniu kapłanów i guślarzy Świętowit ukazał się swemu ludowi.

Ogromny był: pod sam prawie strop sięgał. Cztery głowy — każda w inną stronę świata zwrócona — wspierał na tyłach szyj. Lecz mimo grozy, jaką przejmować mogły olbrzymie kształty bożka, lud z otuchą patrzył mu w poczwórne lica, bo dobroćliwość wyzierała z nich raczej, niżli srogość. Niemniej zaś dwoje piersi i dwoje grzbietów, sklepięte ponad ludzką miarę, świadczyły, że miłosiernemu bogu nie brakło mocy, iżby złych i podległych zmiażdżył bezlitośnie, śmiertelnie godząc strzałami z łuku, który lewą ręką wsparł sobie o biodro.

Wzorzysta szata dodawała niebiańskiemu mocarzowi niemało blasku. Od szyi czworga spływała mu po kostki w miękkich fałdach niby z najwytworniejszego jedwabiu. A przecie cała sporządzona była przez mistrzów mozolnie z cieniutkich barwnych deszczulek, tak zręcznie naklejonych, że najbystrzejsze oko nie dostrzegłoby nigdzie spojenia.

Bóg, jakby wyrastał z ziemi, stopy miał w nią wryte na znak, że w niej tkwi i z niej powstał.

A dokoła leżały godła jego władzy: wędzidło, siodło i miecz tak ogromny i ostry, że sto głów jednym ściałby zamachem; straszny zaprawdę miecz-sędzia, miecz-mściciel, miecz-zwycięzca.

Lecz ninie Świętowit okazać pragnął ludowi tylko miłość, która wszystkich, jak dzieci, tuli do łona i łaskami darzy.

Tedy w prawicy kamiennej — bo cały był z białego kamienia — wyciągnął róg kruszcowy, naczynie obfitości. Rok temu właśnie róg ów napełniony został przez kapłanów miodem. Teraz zajrzą, ile miodu ubyło: im dalej próżnia w głąb sięga, tem żyźniejszego oczekiwać należy roku. I znowu napełni się róg po kresy, by wróżbę przyniósł na czas dalszy.

Milczące dotąd zaśpiewały gęśle i piszczałki guślarzy, wtórzac hymnom kapłanów, a najstarszy z grona sług bożych, przodownik tego zastępu, przystąpił ku bóstwu. Starzec to był, jak gołąbek siwy, cały w bieli, z długą po pas brodą, z wieńcem bluszczu na skroniach.

Świątynię opanowała cisza. Dech zamierał w piersiach ludu, boć miał wyrok zapaść o przyszłej doli, miał Świętowit ustami kapłanów odsonić tajnie dni nowych.

Zanim jednak starzec, wsparty przez dwu towarzyszy, dotrzeć zdołał do posągu, pielgrzym, przebiwszy się przez ciżbę, wyprzedził go i na-

głębokim pchnięciem wytrącił bożkowi róg z ręki. Z łoskotem runął kruszec na kamienne płyty, a święty napój rozlał się i obryzgał szaty skupionych dokoła.

Przerażenie ogarnęło tłumy. Lud stał, jak skamieniały. Błaznierca mógłby był umknąć bezkarnie, gdyby tylko pokusił się o to.

Ale on stał wyprostowany jeszcze dumniej, niżli widziano go kroczącego przez ulice Arkony; miasto w ucieczce szukać ratunku, wodził oczyma po zebranych, jakby czekał, aż się nań rzucią.

Jakoż, gdy po ogłuszającym pierwszym wrażeniu przyszło ochłonięcie, zahuczały groźne okrzyki i setki rąk podniosły się przeciwko świętokradcy. Chwila jeszcze, a trupem padnie pod pięściami rozszalałej tłuszczy.

Lecz — o dziwo! — jak podcięte nagle kłosa, opadły te dłonie pomsty żądne. To kapłan przodownik, widząc, na co się zanoszą, zasłonił winowajcę własną osobą.

— Biada każdemu, — zawołał — kto dotknie tego oto męża. Bo nie bywało jeszcze u nas, by zgładzono kogokolwiek bez sądu. Tedy pod sąd go biorę, wy zaś bądźcie świadkami, że prawo nie będzie pogwałcone nawet wobec gwałciciela prawa.

Rzekłszy to, zasiadł na wyniosłym krześle sędziowskiem i oburącz wsparł się na mieczu Świętowita, który mu podano. Dokoła krzesła ustawili się półkolem kapłani, za nimi zaś guślarze. W świątyni uczyniła się znowu cisza tak wielka, że usłyszałbyś muchę lecącą.

— Szaleńcze! Kajak się! — przemówił kapłan do cudzoziemca. — A szaleńcem chyba jesteś, bo cóż innego mogło cię popchnąć do takiej zbrodni? Dobry i litościwy bóg nasz Świętowit; my zaś, jego dzieci, strzeżemy się krzywdzić kogokolwiek.

— Wiem o tem — odparł sądzony. — Wiem, że jesteście ludem prawym i życzliwym. Tem bardziej boleję, że bałwochwalstwu oddani nie znacie prawdziwego Pana Niebiosów. I nie ku waszej obrazie wytrąciłem Świętowitowi róg kruszcowy z ręki, jeno, by wam okazać, jak on bezsilny.

— Ojcie Świętowicie, pomścij zniewagę! — modlił się kapłan, wznosząc zgrzybiałe ręce do posagu. — Ojcie Świętowicie, ukarż urągawisko!

Ręce skrzyżowawszy na piersiach, oczyma płomienie ciskając, wołał równocześnie przychodzień:

— Bożku, wzywam cię do walki! Marny zlepk, oto w imię Pana rozkazuję ci, byś złożył świadectwo swej bezsilności. A Ty, Ojcie przedwieczny, wesprzyj sługę, który brać swą o sercach gołębic, acz umysłach pogrążonych w ciemności, pragnie dla Twojej pozyskać owczarni! W imię Boga Przedwiecznego rozkazuję ci, Świętowicie, run!

Słuchającym krew zastygła w żyłach, bo oto ledwie przebrzmiały słowa zuchwalca, postać kamienna, jakby posłuszna wezwaniu, drgnęła

i zachwiała się w posadach. Bujając zrazu to w tę, to w ową stronę, pochylił się wreszcie Świętowit ku swemu przeciwnikowi, jakby zmiażdżyć go miał kamiennem cielskiem.

— Patrzcie! — wołali kapłani. — Oto zemsta Świętowita! Nie wyjdzie żyw zbrodniarz! Cześć i sława bogu naszemu!

Ale te wołania zmieniły się rychło w jęki żałosne, posąg bowiem, nie dosięgnąwszy ofiary, runął słudze Bożemu do stóp, rozpadając się na tysiące drzazg i czerepów.

Rozdartszy szaty, z głośnym płaczem rzucił się na drogie szczątki kapłan przodownik; biadał, załamując ręce, bufiąc kapłanów; guślarze stargali złote struny swych lutni, a lud, na kolana padłszy, wznosił do pielgrzyma błagalinie, jak do Boga, te same ręce, co przed chwilą chciały mu śmierć zadać.

— Litości, — wołano ze wszystkich stron — litości! Zaprawdę, ty sam musisz być bogiem, największym z bogów, skoro pokonałeś Świętowita.

A obcy opuścił głowę i wyciągnął ramiona, jakby ku przygarnieniu wołających.

— Nie tak, o bracia moi — prosił. — Nie rańcie mi serca, w nowy błąd popadając. Nie Bóg stoi przed wami, jeno niegodny sługa, a brat wasz, Wojciech z nad Wełtawy. I nie ja skruszyłem bałwana, jeno moc Boża, tu mnie przywiódłszy, bym kazał słowa Prawdy, która jest życiem wiecznem.

I wstąpiwszy na gruzy Świętowitowego posągu, zwiastował ewangelję, a lud słuchał go i otworzył mu swe serca — i przestał Świętowit królować w Arkonie...¹⁾.

Stantław Rossołski.

XII.

Koń Swantewita²⁾.

Ponad Arkoną trzask i zawierucha,

I wichry, jak wilki, wyją.

Jęk przekleństw, łomot, mieczów zgrzyt z nich bucha,

Krew czuć w powietrzu — lecz czyją?

Brzegiem odmętów, śnieżnych wzdęta piana,

Po kredach tętnią kopyta —

To gdzieś w ślad burzy pomknął w dal nieznana

Wyroczny koń Swantewita.

¹⁾ Legenda powyższa, zaczerpnięta z podań o św. Wojciechu, nie znalazła potwierdzenia w historii; Arkonę i posąg Świętowita zburzyli Duńczycy na początku w. XII.

²⁾ Swantewit czyli Świętowit.

Z nad urwisk trwożny patrzy lud w Zaodrze,
Ku Łabie, w przestrzeń pobladał;
To stamtąd klątwy brzmia i dźwięczy szczodrze
Cios w cios, jak w obuch kowadło.

Minął dzień — drugi — aż gdy na dzień trzeci
Brzask się z Bałtyku wynurza,
Grzmi tętent! Z wichrem w mgle tumanów leci
Czy koń to biały? czy burza?

Wbiegł w stajnię, chrapy wzdął i pręży szyję,
Boka mi robi zziajany,
Ustać nie może, dół kopytem ryje,
Mży z niego pot, lecą piany.

Rozpryskał owies, rozmiótł święte siano
Aż gdzieś pod belki w pułapie
I wiadro kopnął, w którym pić mu dano,
Poczem łeb zwiesił i chrapie.

W kapłany wreszcie wierzgnął!... Jęk rozpaczy
Obleciał rzeszę struchlałą:
— Jeść nie chce, spocząć ani pić nie raczy!
Cóż będzie? Co się to stało?

Z Zachodu goniec pędzi. — Gończe krwawy,
Jakąż wieść niesiesz ponurą?
— Ratuju, kto wierzy w Boga Dobrej Sławy!
Żelazne Niemce znów górą!

Z pola Lutyki pierzchli, nędzne tchórze!
Sam, walcząc przy świętem godle,
Z konia się Niklot zwałił w krwi kałużę.
Syn własny zdradził go podle! —

To rzekł i trupem padł. Wtem drugi pędzi:
— Duńczyki w morskiej zamieci
Od bursztynowych dążą tu krawędzi! —
A gdy on mówił, wpadł trzeci:

— W pomoc Duńczykom czerń Pomorców sroga
Od Wschodu czai się zdradnie!
Czuj duch! — Natenczas do stóp swego boga
Lud cały plackiem przypadnie:



J. W. May
George
Dion

na pr
100



— O Swantewicie! O ty nasz wielbiony
Z poczwórnem obliczem boże,
Co wzrok masz wryty w cztery świata strony,
Spójrz, skąd nam pomoc przyjść może! —

Wraz buchnął wichur w gąszcz Bugajów mroczną,
W zrębach się wstrzęsła gontyna,
I z głębi głosy wylatywać poczną,
Od których w lód się krew ścina:

— Precz ty, narodzie! Słuchaj, co ci prawię:
Dział twój niezwoitny, a srogi!
Skąd tobie pomoc, kiedyś ty w obławie
Sam sobie wróg ponad wrogi?

Bezrządu, zdrady, lichych zwad zamiecie
W was walczą! Wicę gdy wy sami
Z woli swej własnej silni być nie chcecie,
Ja — bóg wasz — nie chcę być z wami! —

Rzekł i gdy jeszcze nad urwiskiem stromem
Przekleństwo głos jego zgrzyta,
Błysło — i zagnała padł rażony gromem
Wyroczył koń Swantewita.

Felician Faleński.

XIII.

Chrystus na łodzi.

„I mówił im w on dzień, gdy już był wieczór: Przepawmy się na drugą stronę. A opuściwszy rzeszę, wzięli Go tak, jako był w łodzi. A inne łodzie były z Nim. I stała się nawalność wielka wiatru i wały lały w łódkę tak, iż się łódź napełniła. A On był na zadzie łodzi, śpiąc na wezgłówku. I obudzili Go i mówili Mu: Nauczycielu, nie dolega Cię, iż giniemy? A ocuciwszy się, zagroził wiatrowi i rzekł morzu: Milcz, zamilknij. I przestał wiatr i stała się cisza wielka. I rzekł im: Czemużecie bojaźliwi? Jeszczeż nie macie wiary? I przelekli się bojaźnią wielką i mówili jeden ku drugiemu: Któż wždy ten jest, że i wiatr i morze są mu postuszne?“

Ew. św. Marka, rozdz. IV. 35—40.

Ile postaci widzimy na obrazie? Jakie jest ich zatrudnienie codzienne? Po czym możemy to poznać? Gdzie się rzecz dzieje? Co grozi osobom przedstawionym na obrazie? W jaki sposób artysta przedstawia burzę? (morze, niebo, łódź, maszt, odzież). Jakich uczuć doświadczają osoby znajdujące się w łodzi? (ich twarze, układ ciał, ruchy rąk). Czy wszystkie osoby doświadczają takich samych uczuć? Która różni się od reszty? Z czego wnioskujemy? (wyraz jej twarzy, ruch ręki, postawa). Co oznacza ów ruch ręki? W jakiej chwili używamy takiego ruchu ręki? Co widzimy naokoło głowy postaci głównej? Kogo więc malarz przedstawił w tej postaci?

Obraz ten, będący własnością Kościoła Ewangelickiego w Krakowie, namalował znakomity malarz polski, Henryk Siemiradzki, zmarły w r. 1902, pochowany w grobach „zaśluzonych“ na Skałce w Krakowie.

XIV.

Chrystus z nami.

Łódź gibka na modrem jeziorze usiadła
 I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła;
 Płynęli spokojnie wietrzykiem owiani,
 Aż fala zahuczy, wełnami bałwani;
 To wody się nagle podniosą, to zwiną
 I z łodzią igrają, jak z wążką łupiną.
 Więc ucznie się zlekli i w okropnej chwili
 Uśpionego Mistrza z przestraczem budzili.
 — Ach, ratuj nas, Rabbi! — wołali ze łzami.
 A Chrystus: — O słabi! wszakże jestem z wami. —
 I kazał się burzy uciszyć. — Opadła,
 I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła.

O duszo chrześcijańska! Gdy burza szalona
 Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
 Ty rozpacz odepchnij świętymi piersiami
 I spojrzuj spokojnie, bo — Chrystus jest z nami.

Antoni Czajkowski.

Jaka jest różnica między opisem burzy w wyjątku z Ewangelji a w wierszu Czajkowskiego? Z ilu części składa się całe zdarzenie w opowiadaniu poety? Czy Siemiradzki przedstawił przebieg zdarzenia od początku do końca? Dlaczego?

XV.

W Kajbarskim wąwozie¹⁾.

Oczy moje patrzyły i widziały przez gęstą osłonę krwi i dymu, a ja sam, dowódca, odpowiedzialny za swych ludzi i za wynik tej nierównej walki — ja, człowiek czujący i myślący, miałem tajemnicze, dziwne wrażenie, jak gdybym znajdował się gdzieś daleko, daleko i jak gdybym spokojnie w chłodnym ustroniu oczekiwał końca tej okropnej rzezi.

Straszny huk naszych szybkostrzelnych kartaczownic zderzał się z bezustannym trzaskiem i łomotem płonących i walących się domostw pobliskiej, wielkiej osady indyjskiej na wąwozu wylocie północnym. Skłębione, czarne tumany dymu, które tylko tu i ówdzie przedzierał lub rozpędzał wiatr wpadający do wąwozu od południa, nie pozwalały nic rozeznąć w odległości kilkunastu kroków, a duszący swąd pożaru i zgliszczy zapierał ludziom oddech, gryzł i krwawił oczy.

Dlatego wyteżałem wzrok poprzez dym i krew... Nasze kartaczownice zionęły ogniem z góry ponad wąwozem, lecz cel ich był już daleki. Bo

¹⁾ Wąwóz wiodący z Indji do Afganistanu, a mający ważne znaczenie strategiczne.

dzicz górska, idąca nieprzejrzaną ciżbą, już wtargnęła do wąwozu i nas, jego obrońców, parła gwałtowną siłą wtył. Dwie nasze kompanje padły pokotem pod szablami Afrydów¹⁾. Ja — pułkownik Jan Gorst, na czele trzeciej, stanowiącej resztę pozostałej siły, broniłem wąwozu z ostatnią zaciekłością rozpaczy.

Walka wrzała piekielna, człowiek godził w człowieka, pierś w pierś. Ręce mdlały i opadały z szablą czy bagnetem krwią ociekającym. Na nie nie zdały się nasze rewolwery, nie było już nabojów. Obok mnie major, podporucznik i trzech szeregowcy dotrzymywali placu; za nami reszta kompanji. Nastąpiła chwila, kiedy Afrydzi, nie cofając się, zwarcili murem przez całą szerokość wąwozu, zawiesili walkę. Pod wrażeniem tej nagłej bezczynności i my na chwilę ustaliśmy. Zamilkł też huk naszych kartaczownic. Zanim jednak zrozumieliśmy przyczynę ciszy, dzicz przed nami podniosła straszliwy okrzyk i zakołysała się do nowego ataku. Jednocześnie taki sam okrzyk zerwał się z góry, ze stoków wąwozu i ztyłu. Kartaczownice zostały wzięte! Byliśmy osaczeni. Przyszło ginąć, ginąć z bronią w ręku, jak przystało żołnierzom, w daremnej obronie Kajbaru. Koniec nasz był dziełem okamgnienia. Co stało się z moimi towarzyszami, nie wiedziałem. Sam, cięty w prawe ramię, puściłem szablę z dłoni i natychmiast znalazłem się pod stopami ciżby. Niebawem straciłem przytomność.

Gdym ją odzyskał i otworzył oczy, sądziłem zrazu, że to sen był. Dopiero piekący ból w ramieniu i widok dokoła przywróciły mi pełną świadomość i pamięć. Leżałem sam na barłogu. Na lewo rozciągały się niedopalone zgłiszcza rozległej indyjskiej osady, której miałem bronić. Poza nią rozpoczynał się wąwóz. Zachodzące słońce złociło krzewy na stokach, a dołem zalewało czerwienią rozrzucone postaci ludzi, trupy, szczątki moich żołnierzy. Na prawo, odwróceniu ode mnie, twarzami zaś zwróceniu na południowy zachód, w białych burnusach siedzieli w kuczki Afrydzi. Było ich kilkunastu tuż blisko, nieco dalej siedzieli liczniejsi w tej samej postawie. Odprawiali wieczorne modły do Allaha i proroka z Mekki. Swoich nie dostrzegłem nigdzie. Poległych zostawiono zapewne w wąwozie, jeńców zawleczono może poza ten pagórek naprzeciw, na którego wierzchołku czerniały skórzane namioty wroga.

Dreczyło mnie straszne pragnienie. Czekałem na koniec modlitw, by prosić o wodę. Afrydzi obok mnie kiwali zakapturzonemi głowami; ten i ów powtarzał jednostajnym, nieco śpiewnym głosem przepisane zdania Koranu. Usiłowałem objąć zgorączkowaną myślą całe położenie. Widocznie błędne, może rozmyślnie fałszywe doszły nas były informacje. Główny nasz sztab stał z dwiema dywizjami w Ozoporze, w odległości 18

¹⁾ = lud górski, osiadły w Afganistanie na północno-zachodniej granicy Indyj angielskich.

kilometrów od południowego, a około 60 kilometrów od północnego końca wąwozu. Według przespiegów mieliśmy spotkać tu, przy tym północnym końcu, nie więcej jak jedną szczupłą watahę Afrydów, watahę dojazdową, o której okrucieństwach, na okolicznej ludności indyjskiej popełnianych, wiadano aż w stolicy prowincji naszej, Pendżabu, w Lahorze. Mówiono że dowódcą watahy był sam Abdulla chan, człowiek, o którym dziwne chodziły wieści; a ta najdziwniejsza, iż nie pochodził z Afrydów, że był wśród rozbójniczych plemion afgańskich przybłądą, zjawił się u nich przed pięciu laty i zjednał sobie naczelników szczególni zaletami: wiedzą wojenną europejską i znajomością wojskowych spraw anglo-indyjskich. Sam słyszałem z ust wędrownego fakira, że Abdulla był... Anglikiem, że za rzekomo doznane krzywdy zaprzysiągł przed laty zemstę i tej zemsty chciał dopiąć przez najazd i spustoszenie prowincji Pendżabu.

Gdy tak rozmyślał i wspominał, a okropne pragnienie przyprawiło mnie o ciągłe mdłości, spostrzegłem nagle ruch na pagórku przeciwna. Jacyś jeźdźcy śpieszyli do wąwozu w moją stronę. Straż zerwała się na nogi i otoczyła mnie półkolem. Za chwilę oddział jeźdźców stanął przede mną. Wszyscy zsiadli i puścili konie na paszę. Jeden z przybyłych zbliżył się, schylił i wpatrzył się w moją twarz oczyma, w których czytałem naprzemiany bystrość i złość. Ja mu omdlewającym ze znużenia, bólu i pragnienia wzrokiem usiłowałem dotrzymać, gdy coś w grubych rysach twarzy opalonej i prawie szerniałej, a nadewszystko coś w jego oczach tknęło mnie i jakby umysł mój przeszło odległym wspomnieniem.

Lecz do zdania sobie sprawy z dziwnego uczucia nie było czasu. Mąż ów wyprostował się, odstaąpił parę kroków i zwrócony do mej straży miał przemówić, gdy ja ostatnim wysiłkiem głosu znanym mi językiem tych plemion zawołałem o wodę. Ów człowiek rozkazał natychmiast podać mi jej. I wtedy dowiedziałem się, kim był. Jeden z Afrydów rzekł bowiem:

— Stanie się, Abdullo chanie; angielskiemu psu dam wody.

Stał więc przede mną tajemniczy, okrutny Abdulla chan! Ci, którzy z Abdullą zjechali z pagórka, widocznie również plemienni wodzowie, rozmawiali z nim półgłosem, naradzali się. Człowiek, który poszedł po wodę, wrócił, niosąc ją w dużym, glinianym naczyniu. Uchwyciłem dzban oburącz mimo srogiego bólu i, zbliżywszy do spiekłych ust, piłem, piłem chciwie, dziękując Bogu, a zarazem trwożąc się, by, gdy wypiję ostatnią kroplę, wody tej nie było za mało na ugaszenie tak okropnego pragnienia. Lecz nie dopiłem jeszcze ani trzeciej części, gdy Abdulla przyskoczył, kopnięciem nogi wytrącił mi z rąk naczynie i zaśmiał się dziko...

— Naprzód zeznanie! — zawołał ochryplym głosem. A mnie ten głos przejął znów błyskawicznie jakimś z przeszłości wspomnieniem.

— Gdzie wasza główna kwatery? — zapytał i zaraz ciągnął dalej: —

Wiem, że w Ozoporze. Lecz ile jest pułków, gdzie reszta brygady, do której należysz, dokąd się rozeszła i jaka wasza artylerja? Odpowiedz!

Milczałem, patrząc to na Abdullę, to na rozbite naczynie, na rozlaną wodę.

— Daj wody! — rzekłem wkońcu.

— Odpowiedz, powiedz prawdę, a dostaniesz wody i będziesz wolny!

Jeden Bóg tylko wie, co wtedy odczułem jednocześnie. Ale to wszystko: nadmiernie spotęgowane po skosztowaniu wody pragnienie, gniew wielki i większe oburzenie, pewność śmierci i większa jeszcze pewność, że mi okrutnik gotuje przed nią męki, ludzka przed nieznanymi męczarniami trwoga i jakaś nieludzka, nieziemska, niecielesna na męki i śmierć gotowość — wszystkie te uczucia razem ogałnęły mnie jednocześnie. Trwały krócej, niż chwila mego namysłu — a ta nie trwała dwu sekund...

— A jeśli nie odpowiem? — rzekłem z pogardą.

— Za dziesięć minut drzeć z ciebie będziemy pasy! — krzyknął...

W tej jednej chwili przestał dla mnie istnieć Abdulla chan. Poznałem w nim dawnego współucznia. Wyteżyłem wzrok, wpatrzyłem się w głębię jego wzroku. Tak, to on! On: William Crossby! On, nasz dawny kolega w kolegium Cheltenham, on, haniebnie z Cheltenham wypędzony; on, kłamca i zdrajca, który...

— Wybieraj! — wrzasnął. A ja zrozumiałem, że i on w tej chwili mnie poznał i sobie przypomniął. Więc zawołałem, ile mi głosu starczyło, po angielsku:

— Kłamca i zdrajca w szkole, kłamca i zdrajca całe życie! William Crossby, ty wiesz, co wybierze angielski dżentelman! Jestem gotów!

Ciemne oczy Abdulli zaszyły jakimś złowrogim, płowym blaskiem. Szybko spojrzał z podełba po swoich towarzyszach i kazał sobie podać konia. Wszyscy naczelnicy również dosiedli swoich. On tedy z konia, nie mówiąc do mnie ani słówka, wybełkotał, trzęsąc się ze złości, jakiś rozkaz mej straży. Kilku z niej natychmiast się rozbiegło, dwaj przyskoczyli do mnie. Podnieśli mnie z barłogu, poczęli zdierać odzienie. Gdy ścigali mundurową kurtkę, krzyknąłem z bólu. Lecz niczem on był w porównaniu z tym, jaki mi sprawiło nagłe zdarcie rękawa koszuli z ramienia. Głęboka rana poczęła krwią sączyć na nowo.

Całkiem obnażonego zawlekli mnie pod samotnie stojącą sosnę opodał, do niej przywiązali mi ręce wtył, nie zważając zgoła na ranę, z której krew płynęła teraz strumieniem. Już zbliżali się do mnie oprawcy.

Słońce zaszło, nastawał szybko mrok nocy.

Lecz jeszcze do mnie nie doszli, gdy doznałem znów onego dziwnego wrażenia, jak gdyby tu, pod tem samotnem drzewem, była tylko jakaś drobna część mej istoty, część jednak, która przed Anglią, przed światem, wobec nieba i ziemi zdać miała w życiu ostatni, najtrudniejszy

egzamin; jak gdybym ja sam znajdował się gdzieś wysoko i daleko i tam, cały i rzeczywisty, w spokojnem i chłodnem ustroniu czekał końca tej ostatniej sprawy.

Wielka i spokojna spłynęła mi z tego uczucia do serca odwaga. W jednej chwili zrozumiałem męstwo chrześcijańskich męczenników. Bogu się poleciłem i tej samej chwili zdało się mi, że skądś, zniedaleka, słyszę pułkową naszą pobudkę, że gdzieś w pobliżu zadzwoniło echo trąbki. Na ten dźwięk, czy na jego złudę, zawołałem mimowoli raz jeszcze, zwracając oczy na Abdullę:

— Gotów!

Lecz on podjechał blisko mnie i jak gdyby między nami nic nie było zaszło, odezwał się językiem Afrydów:

— Tyś żołnierz, śmierci się nie boisz. Ale czekają cię długie i nieznane ci męki, jeśli nie odpowiesz i nie zeznasz prawdy. Raz ci mówię ostatni: wybieraj życie i wolność lub męki i śmierć!

Jeszcze nie skończył, a znów — rzeczywistość czy złudzenie — uszu moich doleciał głos trąbki i jakowys szum, jak gdyby szum liści, zmieniających przez jesienną wicherę.

— Gotów! — powtórzyłem słabym, lecz stanowczym głosem.

Wtem huk straszny rozdarł ciszę wieczorną, a niebo jednocześnie spłonęło łuną. Huk — raz, drugi i trzeci! Tej chwili afrydzcy jeźdźcy, obejrzawszy się poza siebie, zatoczyli konie i ruszyli wyciągniętym skokiem na pagórek. Za nimi, wydając dzikie okrzyki zdumienia i trwogi, rozbiegli się wszyscy, którzy tu u wylotu wąwozu czekali, — wszyscy, a pierwsi moi oprawcy. Tam, za przełęczą stromego pagórka, toczyła się bitwa. Szedł regularny, a dobrze mi znany huk naszych dział polnych, szybkostrzelnych, przerywany co chwila rykiem większych dział. Na ściemniałem niebie wieczornem rozlała się żółtawa jasność, którą bezustannie przerywał błysk ognistych pocisków.

Jedno przepotężne uczucie, jedno bezmierne i ostatnie pragnienie rozpierało mi piersi: Być tam! Wśród swoich! Walczyć, pomścić niedawną klęskę w wąwozie, zanim przyjdzie śmierć.

I wtedy, po raz drugi owego dnia, zemdlałem.

Obudziłem się w namiocie. Schyleni nade mną stali — sztabowy lekarz i generał, lord Burton. A w kilka godzin później obandażowany, wzmocniony posiłkiem zdawałem generałowi raport. Gdy przyszło mówić o Abdulli, dowiedziałem się, że wśród zwycięskiej dla nas bitwy został wzięty i czeka na sąd, jako herszt afgańskich zbójów, który bez wiedzy i woli emira w Kabulu porwał się z innymi naczelnikami dzikich plemion górskich na rozbójniczą wojnę przeciw anglo-indyjskiemu rządowi.

Obecny przy mej rozmowie z generałem James Dartmouth, z którym ongi kolegowałem w szkole, a później w pułku, zwrócił się do mnie z pytaniem:

— Czy przypominasz sobie Crossbyego i czy pamiętasz, co wróżyliśmy mu, siedząc z nim na jednej ławie w Cheltenham?

I opowiedział generałowi te dawne dzieje; opowiedział, jakto Crossby, a dzisiejszy Abdulla chan przybył do nas z Indyj Zachodnich i wcześniej już objawiać począł złe skłonności. Jedynak, bogaty — miał niezawodnie pewne cenne przymioty: był zdolny, pilny, wytrwały; lecz miał też przywarę, której nie ścierpią chłopcy żadnej porządnej szkoły w Anglii: chełpił się i kłamał. Kłamał, jak najęty, a czynił to przebiegle i — co najszkaradniejsze — dla korzyści. Z tego mętnego źródła płynęły, zdaje się, wszystkie jego błędy i winy. Tak zaś zniechęciły nas one do Crossbyego, że cała klasa oświadczyła mu pewnego dnia przez usta jednego z kolegów, iż dłużej nie ścierpi go w swem gronie. Pod naciskiem tego wyroku William zmuszony był napisać do ojca z prośbą o przeniesienie do innej szkoły i w istocie niebawem potem zniknął nam z oczu.

Dalsze losy Crossbyego osłania tajemnica. Dopiero tu w Indjach dowiedzieliśmy się, że Crossby służył w jednym z pułków angielskich, naprzód w Irlandji, później w południowych Indjach; że atoli prowadził się tak źle, iż go z armji wypędzono i że go potem widziano w najgorszym towarzystwie różnonarodowem w Kalkucie, w Madrasie i w Bombay¹⁾; że został przez ojca wydziedziczony, a wkońcu znikł.

Nazajutrz odbył się sąd wojenny.

W godzinę później William Crossby już nie żył. Został rozstrzelany.

Edmund S. Naganowski.

XVI.

Najświętsza relikwia.

Zjechali się przed kilkuset laty panowie polscy do Rzymu, aby u Piusa V²⁾ wyprosić sobie relikwie.

Życzliwie przyjął ich świątobliwy papież, pochwalił, że w celach pobożnych tak daleką odbyli podróż, w tej samej jednak chwili zamysliwszy się głęboko i spojrzawszy im w oczy, w te odezwał się słowa:

— Niemałość ja się dziwuję, słysząc, jak żądają ode mnie męczeńskich pamiątek przedstawiciele narodu, którego ziemia tak przesiąkła jest krwią, że wziąć jej grudkę do ręki i ścisnąć, to ręka ta purpurową zrosi się wilgocią.

Zakłopotanie odmalowało się na obliczach pielgrzymów polskich; pojąć nie mogli, iżby cud taki przywiązany był do ziemi, po której codziennie własnymi depcą stopami, iżby pola, sypiące im ziarnem, miały ponadto moc, przypisywaną kościom wyznawców, podniesionych do rzędu Świętych za wytrwałość w wierze.

¹⁾ Czytaj: Bombé. ²⁾ Przypomnij sobie treść ustępu: Dzwon Hozjusza (St. Rossowskię) z II tomu Czytań.

Spostrzegł to papież i, chcąc im dopomóc do zrozumienia słów swoich poprzednich, dodał:

— Przyniescie garść jej choćby z Sandomierza, z pod kościoła Panny Marji, a przekonacie się, co za przednią relikwią ta wasza ojczyzna kryje gleba.

I wtedy dopiero przypomnieli sobie, jakto za panowania Bolesława Wstydliwego Tatarzy wpadli do Polski, taki naokół siejąc postrach, że sam król, widząc, iż niema sił dostatecznych, aby zbójeckiej tej nawale zwycięskie stawić czoło, na węgierską uszedł stronę. Wtedy dopiero uprzytomnili sobie, jak hordy pohańców, dotarłszy pod mury Sandomierza, z bohaterskim spotkały się oporem; jak ostatecznie, podstępem gród ten wzięwszy, w pień wycięły załogę i psom na pożarcie rzuciły ich zwłoki; jak gromadka ocalałych niedobitków zwłoki te pozbierała i z czią największą na cmentarzysku świętomaryjskiem pogrzebła.

A już serce im rośło z radości, kiedy papież nadmienił, że doniosłość męczeństwa, poniesionego w obronie ojczyzny, rozumiał jeden z jego poprzedników na Stolicy Piotrowej, Aleksander IV. On to pamięć rycerskich sandomierzan obchodzić wiernym rozkazał, dzień 2 czerwca przeznaczając na rozważanie czynu, który w następstwie wieków miał tyle innych, równie wspaniałych, równie chwalebnych wydać owoców.

Jan Kasprowicz.

XVII.

Lipa.

Miałem ja stróżkę ongi, co domostwa pilnowała wiernie. Przed oknami ona stała cicha, a niewzruszona zawsze, niedbała na deszczowe fale, śnieżne zamiecie i gniew wichury. Gdy przywdziała strój odświętny, była ogromna i cień jej starczył za chłodne pokrycie dla małego domku; każdy zaś starą jej urodę chwalił, mówiąc: „Rzadko tak piękną lipę znaleźć“. Kiedy byłem mały, ona dla mnie wielkim była światem — ludnym, szczebiotliwym, kwitnącym i wonnym na lato, posępnym w zimie. W młodzieńczych latach moich lipa ta stara nieraz mi z oczu spłoszyła sen ranny, trącając lekko gałązką o szybę; to było jej wołanie, abym z izby dusznej szedł na świat popatrzeć. I widziałem wtedy, że mi z dumą pokazuje swój szczyt w złocie gorejący, a niby mówi: „Ja się zawsze niebiosom przyglądam — gwiazdom — słońcu, i ty więc nie śpij“. I zazdrościłem lipie owego jej ogromu i złotych odbłasków słońca i tego, że rychlej ode mnie jutrzeńkę ogląda.

Razu jednego o wczesnej godzinie cisnęła ona garścią suchych liści w szybę. Szmer to był lekki, lecz sen nad głową znękaną tylko końcem skrzydła ciążył; posłyszałem więc jej stukanie i ujrzałem, jak za oknem

stała w białym zawoju mgły, niby w czepcu, z pod którego spływały pasma wyblakłego listowia. Mowa jej była smutna: „Oto jesień. Wiatr rabuje liście, niebawem śnieg je pogrzebie, a ciebie straszyć będą moje nagie, czarne piszczele. Nierychło wrócą piękne jutrzeńki“. — „A i lipa już usycha od szczytu“ — myślałem, spoglądając na jej konary. Rozstał się dnia tego na zawsze.

Komuż ona teraz zwiastuje wiosny i jesienie? Nieraz, gdy w noc bezsenną czekam rozświtu z upragnieniem, oczy moje szukają w mroku za oknem ciemnej sylwetki drzewa. Niema jej tam, więc samotność wydaje mi się większą.

Feliks Brodowski.

XVIII.

Już lipa roztula...

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ulą
Na pracę, na ruch!
A dalej tam z ulą
Na pole, na znój!...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I brzęczy i radzi
Żłocisty nasz wiec,
Jak bożej czeladzi
Pracować, jak lec,
Jak bożej czeladzi
W ten bratni iść strój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Ta stara pasieka
Na plon czeka nasz,
My lecim od wieka
Z łąk kwiatnych i z pasz...
My lecim od wieka
I trud niesiem swój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Nas budzi świt mglisty,
A spędza nas noc,
Gdy z lipy ojczystej
Żar bierzem i moc,
Moc życia, żar czynu
Na mir i na bój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I w kropli my miodu
Niesiemy w nasz ul
Prastarą woń rodu,
Co wiedzie się z pól,
I słodycz my pieśni
Sączymy w serc zdroj...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Marja Konopnicka.

A słowiki śpiewały...

Odeszli dworzanie i stary król ukląkł przy łożu przed obrazem Chrystusa do wieczornej modlitwy. Znużony był długą aż z Litwy podróżą, dokąd jeździł pomimo swych ośmdziesięciu dwu lat dla osadzenia brata, Zygmunta Kiejstutowicza, na wielkoksiążęcym tronie. Znużony był długą dziś rozmową i ucztą z posłami wołoskiego wojewody. Znużony był i życiem całym.

Ośmdziesiąt dwa lat! Hej! Piękny wiek, ale i ciężki do dźwigania na słabnących już barkach.

Westchnął król i podniósł ku obrazowi głowę. Płynęły z ust jego łacińskie, nawpół zrozumiałe słowa, płynęły polskie pacierze, a dusza wzbierała pobożnemi westchnieniami, aż wezbrała do pełności, i mówić zaczął do Boga po swojemu, poprostu, z głębi serca błagając:

„Da prymież Ty mienie, Hospodi, u Swaju chwału! Da dajże Ty mienie, Hospodi, dobroju śmierć krystiańsku i cichińki hrub! Da nie razłuczaj Ty mienie u tom świecie at majej karaloweczki, at majej najmilejszej, at majej światoj!¹⁾ Wieczny pokój, wieczne odpocznienie racz jej dać, Panie“ — zaczął codzienną prośbę za duszę Jadwigi i opuścił głowę na skrzyżowane dłonie.

Naraz za oknem głos jakiś słodki, świeży rzucił w wieczorną ciszę nutkę urwaną, ulotny tryl.

Król zerwał się rześko i do okna przybiegł.

„Saławjuszki piejne...“²⁾ — szepnął.

Uśmiech wybiegł na jego pomarszczoną twarz. Rozsunął król kortalę, otworzył okno i wychylił się.

Noc była jasna, miesięczna, srebrna i cicha. Księżyc, jak latarnia, płonął na szafirowem niebie, gwiazdy mrugały, szeroki staw leżał w dole, jak zwierciadło, odbijając blaski. Świat cały tonął w białem, mlecznem, łagodnem świetle.

A na wałach, tu blisko, rozbujały się bzy i czeremchy dzikie. Wystrzeliły bogactwem bujnego kwiecia, wionęły ku niebu odurzającą, słodką wonią, jak kadzielnice wdzięczne. Z ich wnętrza wypłynął znowu słodki, świeży głosik i w ciszę rzucił nutkę urwaną, ulotny tryl...

Rzucił i urwał. Lecz wnet znów się odezwał. I wzbiła się z małego gardziołka pieśń rozradowana, pieśń czuła, słodka, pieśń wesela i młodości.

I ten młody świat wiośniany był sam jakby najcudniejsza pieśń.

Król śpiesznie zapiął samodziałową świtkę szarą na srebrne rzezane

¹⁾ Po białorusku; w przekładzie: Przyjmij Ty mnie, Panie, do swej chwały! Daj mi, Panie, dobrą śmierć chrześcijańską i cichutki grób. Nie rozłączaj mnie na tamtym świecie od mej królowej, od mej najmilejszej, od mej świętej. ²⁾ = słowiczki śpiewne.

guzy, chwycił czapkę sukienną, sękatą laskę i cichutko, rzucając ostrożne spojrzenia dokoła, ukradkiem ku drzwiom wchodowym się skierował.

Straży tu nie było, gdyż tylko przy bramie wchodowej ją postawiono, a w zamczku spało już wszystko. Drzwi nawet, że to była noc pogodna i ciepła, stały otworem, gdyż wroga żadnego nie było w pobliżu, nie było bodaj na całej przestrzeni olbrzymiego państwa. I stary król, wykradając się z zamku ku wałom, porośłym bzami, i ku rzece, lśniącej księżycowym blaskiem, nie wrogów bał się, lecz przyjaciół. Oni to i dworzanie pilnowali go, czuwali nad zdrowiem już zwątlonem, nad upadającymi siłami; oni go otaczali taką opieką i troskliwością, że czuł się nieraz zniecierpliwiony. Od nich też wykradał się teraz.

Młodym czuł się w tej chwili, silnym i pełnym ochoty do życia, gdy stanął na wale i spojrzał na szeroko przed nim rozciągnięty i tonący w mlecznych oparach świat Boży. Starość opadła z króla, jak płaszcz, znużenie gdzieś odleciało, zapachniała mu święta wiosna! Ileżto już wiosen takich miał za sobą! A jednak oto jeszcze stoi rażno na starych nogach, oto patrzy i lubuje się cudną nocą.

A słowiki śpiewają...

Za tym pierwszym, co się tuż pod oknem odezwał, wyrwał się drugi z pośród tych białych pęków bzowych i trzeci odpowiedział z krzaku tarniny. I w olszynie, tam w dole nad stawem, cały chór się rozśpiewał.

„Ech! saławjuszki! Ptaszeczki wy maje!” — szepnął stary król.

Stanął król, na swym sękatym kiju obu dłońmi oparty, i rozmarzył się.

Śpiewają słowiki w nadniemeńskich olszynach i w dolinie kowieńskiej, gdzie Wilja wlewa wody swe czyste do Niemna, i pod wileńskim zamkiem, gdzie płonie Znicz w świętym gaju i gdzie Mildzie składają ofiary. A on, młody książę Olgierdowic, spoczywa pod drzewem po łowach całodziennych i usnąć nie może — i słucha. I marzą mu się dzieła chwalebne i wielkie i czyny bohaterskie i wojenne na Zakon obmierzły wyprawy i Rusi szerokie równiny i bogate grody. I usnąć nie może młody książę Olgierdowic.

A słowiki śpiewają...

Idzie naprzód w życie młody książę, w krwawy życia bój. Byle się nie dać! Byle się utrzymać! Byle chwiejącą się koronę utwierdzić na własnych skroniach! I płyną lata wśród wojen i klęsk coraz gorszych, coraz dotkliwszych, pod ciągłą grozą, pod nieustającym strachem, bez nadziei prawie. Byle się nie dać! Byle się utrzymać! Ach! lata smutne!

I nadchodzi noc ostatecznej rozpacz. Dokoła Wilna łuny goreją, przez zakonne wojska wzniecone. Krzyżacy wpierają się w Litwę coraz głębiej. A z nimi jest Witold, z nimi są i inni książęta. Wszędzie zdrada, podłość, gwałt — znikąd ratunku.

Porzucić chyba tę Litwę nieszczęsną, a samemu uchodzić na Ruś! Porzucić... Szarpie się książęce serce buntem i wściekłością. Załamują się w rozpacz dłonie.

A wokoło wiosna rozłącza swe czary. Na stokach Turzej góry, na urwistych brzegach Wilejki, tam, kędy się ona do Wilji rzeki wlewa, rozkwitają bzy i pachnie czeremcha. Miesiąc wychodzi na niebo, rozsypują się po niem gwiazdy i słowiki śpiewają... śpiewają...

A serce się krwawi. A dusza się rozdziera.

Lecz oto z zachodniego nieba spływa promień jasny, promień nadziei. I idzie baśń cudowna o królu-dziewicy, co na wawelskim grodzie króluje. I baśń w rzeczywistość się zamienia. I staje się dziwo nad wszystkie dziwy. Poganin, władca przeznaczonego już na zagładę państwa, wczorajszy nieprzyjaciół, zasiada na prastarym Piastowskim tronie, kładzie na skroni koronę Bolesławów i Kazimierza. Szczębiec ich bierze do ręki, staje się dziedzicem ich chwały, wykonawcą ich olbrzymich planów, głosicielem najczystszej chrześcijańskiej miłości, posiadaczem najpiękniejszego kwiatu, wyrosłego z ich rodowego drzewa, małżonkiem Jadwigi.

Dziwo nad wszelkie dziwy! Cud!

„Mnie hresznomu... mnie... Za szto? Za szto? Takijez łaski!”

Poruszył się stary król i podniósł ku niebu oczy. Zawsze, gdy patrzył z wysokości ubiegłych lat na życie swoje, nie mógł się nadziwić. I zawsze tak pytał w zdumieniu, za co padło na niego tyle szczęścia, tyle darów wspaniałych, tyle łaski i dobra wszelkiego?

Pierś mu wzbierała wdzięcznością ku Bogu chrześcijańskiemu, w którego wierzył mocno i do którego całą swą istotą wznosił się codziennie wciąż wyżej, ku tej cudnej Jadwidze, co weszła w jego życie, jak zjawia uroczą, podała mu rękę i z ciemności wyprowadziła na szerokie i świetlane drogi, ku tej Polsce całej, którą dziś, jak rodzinę, ukochał.

„Boże mój, Boże mileńki, za szto mnie hresznomu? Za szto?...”

Usiadł król pod drzewem na zwałonym pniu, oparł czoło na dłoniach i wspominał.

Oto wielki dzień jego życia, dzień pierwszego spotkania z Jadwigą. W tronowej sali wawelskiej rojno i strojno, snują się dworzanie, rycerze, zasiedli kołem prałaci, szcękają ostrogi, szeleszczą jedwabie, brzmia przyciszone, lecz radosne rozmowy. Na podwórzu grają trąby wesoło, wesoło. Trzepocą chorągwie.

I dzwony biją na katedralnej wieży.

I szumi lud w dole zebrany.

Serce kołace mocno królowi w nieustraszonej dotąd piersi. Lecz oto wzrok podnosi i widzi ją, Jadwigę, na stopniach tronu, pod złotym baldachimem, białą i jasną, jak zjawisko nadziemskie, jak ikona¹⁾ święta.

¹⁾ = obraz (z grec.).

I w tej chwili, gdy wzrok jego z jej wzrokiem się łączy, czuje król, jak nagle zapada się w nim jego „ja“ dawne bezpowrotnie, a rodzi się nowa dusza. Zamiera w nim poganin, a wytryska z ukrytych głębin królewskiej istoty źródło świetlane miłości i dobra, źródło, co bić będzie już przez życie całe i rozszerzać się we wspaniałą rzekę czynu. Spadają z króla dawne grzechy pod promieniami jej oczu, jak pod wodą chrztu. Staje się w nim cud, odrodzenie.

Jadwiga! Dziś jeszcze na samo wspomnienie jej imienia serce mu taje i drży tklivością, czcią, uszanowaniem najgłębszem i najgłębszą miłością. A wspomina co chwila. A obrączki jej, co Polskę z Litwą w świętem małżeństwie złączyła, nie zdejmuje król z palca nigdy, nigdy, i jest mu ona ze wszystkich skarbów najdroższym.

A słowiki śpiewają...

A stary król wspomina...

Oto licznym orszakiem otoczony objeżdża o wieczornej zorzy krwawe grunwaldzkie pole. Straszne zniwo leży u jego stóp! Tysiące! Tysiące! Cała pycha Zakonu!

Sprawiedliwy jest chrześcijański Bóg chociaż nie rychliwy. Zbrodnię karze, dumnych powala, a wywyższa pokorne.

I pośród ogólnej radości dokoła, wpośród triumfalnych okrzyków i wybuchów szczęścia on jeden zamyśla się poważnie. Łzy mu cieką po twarzy; łzy żalu po tych żywotach młodych, zgaszonych nagle, jak świece, po tych duszach chrześcijańskich. Łzy to rozczulenia, ale i łzy szczęścia, łzy wdzięczności za to, że długa męka się skończyła; że okrutna krzyżacka dłoń z karku zrzucona; że poświęcenie na marne nie poszło; że ścieli się odtąd wolna przed obu ludami droga.

Przez zaciśnięte zęby króla wyrrywają się znów słowa podczas bitwy wykrzyknięte: Murem stać!

A nie chce on triumfu ni chwały dla siebie. Idzie pieszo poprzez tłumy radością upojone, pod dźwiękiem dzwonów kościelnych, pod chorałwanym poszumem. Idzie, jak pątnik skromny, dziękować Bogu za łaskę. Idzie do wawelskiej katedry, do grobu Jadwigi. I tam klękawszy, długie spędza godziny.

Błogosławione to chwile. Z nich miłość dla umarłej małżonki kwitła wspaniałym, wiekopomnym jedynym na świecie kwiatem, Unji przez miłość.

I na horodelskim pergaminie piszą się te słowa, których jeszcze w stosunkach między narodami nigdy nie słyszał świat:

„Nie dozna łaski zbawienia, kto się na miłości nie oprze. Miłość jedna nie działa marnie“.

O dniu święty! Dniu jedyny!

Stary król złożył pobożnie ręce i zaczął się modlić:

„Dziękuję Tobie, Panie i Boże, żeś mnie grzesznego wybrał za narzędzie do dokonania tej Unji świętej. Dziękuję tobie za całe to życie moje, za te wszystkie łaski i dary“.

I roztkliwiło się serce starego króla nad szczęściem własnem. A słowiki śpiewały:

„Radość! Radość! Wieczne życie, wieczne trwanie. Niema śmierci, niema zgonu, jest coroczne zmartwychwstanie. Niema śmierci, gdzie są dzieci. Niema śmierci, gdzie czyn dobry, tam, gdzie prawda, miłość świeci...“

„Dzieci... Dzieci...“ — odpowiadały im z za stawu słowiki z dalszych gniazd.

„Dzieci...“ — szepnął stary król.

I tych nie odmówiły mu losy. Rośli dwaj królewicze-sokoły, dwa orlątka młode na wawelskiej górze. Rośli dla Polski, dla Litwy, dla świata, dla nieśmiertelności.

„Synoczki wy moje, gołubiata, sokoliki...“ — westchnął król i uczuł, jak mu się serce rozgrzewa i w tkliwej miłości taje.

Oparł zmęczoną głowę o pień za sobą, oczy podniósł ku księżycowi, ku błękitnemu niebu i marzył.

O synach swoich i o ich losach szczęśliwych, o ich cnotach i chwale i potędze.

I o ludach swoich, przed którymi leży teraz droga otwarta i szeroka, o ludach, które miłością złączone, oświecone wiedzą, silną dłońią pchnięte ku wielkim celom i zadaniom szlachetnym, pójdą naprzód i naprzód przez wieki.

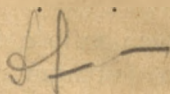
Stary król objął raz jeszcze piękny świat Boży rozmarzonym wzrokiem. Uśmiechnął się do księżycy, do stawu cichego tam w dole, do mgieł wilgotnych i białych, do tych ptasząt uspionych po gniazdach i do tych nocnych śpiewaków, słowików.

Uśmiechnął się.

„Wieczne życie... wieczne trwanie...“ — szepnął jeszcze.

I usnął.

A słowiki śpiewały.



Emma Jeleńska.

XX.

Ukraina i Podole.

Skoro odwrócisz się od Rusi Białej ku południowi, zasinią ci się, zatumanią na wschód i zachód Dniepru ukraińskie ziemie, a świat zatoczy

się stepem po najdalsze, niedojrzane krańce. I wydzwignie się step na twarde podłoże z zapasści grząskich, a ziemię, podane ku południowemu wschodowi, pocznie zmiatać potężny wiatr suszący, nurtując w ogromnych trawach samorodnej pustaci¹⁾, w trawach przebujujących, na nietykanej sochą ani pługiem surowicy samopas rosnących. I rozłoczą się, rozprzestrzeniają szeroko nieobjęte okiem dale i ogarnie cię świat nowy zgoła i nowy wiatr duszę ci obwieje.



Tu poszumy nieokiełznane idą stepem, niby wielkim morzem, a trawa idzie, jak fala, a poświst gra w bodziakach pieśń dziką, a orzeł krąży nad głową, a czerwona miesięczna pełnia wstaje gdzieś nad kurhanami i nagle step krwawo oświeca.

Lecz rankiem i cichą pogodą zawabia cię, zaczarują te niezmierne, sine dale urokiem swobody i tęsknoty razem. Coś prze, coś woła, coś duszę z piersi wyrывa. Szedłbyś przez te burzany, które cichy dech wiatru przewiewa, aż tam, gdzie tuman mglisty łączy się z nieba okrajem; szedłbyś od krzyża do krzyża, od mogiły do mogiły, nasłuchując ciszy, która się tu uczyniła po śmiertelnej wrzawie sławnych zapasów bohaterskich. Jeszcze tu i ówdzie lirnik przysiadzie, zakręci rączkę u liry i zawiedzie starosławną dumę; jeszcze czajka kozacka zachluśnie, zakrąży po Dnieprze; jeszcze koń zarży, zatętni od Stawiszcz; jeszcze Kijów rozbrzmi Złotą Bramą; ale to już nie to, nie to...

Smutek rzeczy skończonych i które nie wrócą, chodzi stepem ukraińskim, szeroką, nieogarnioną wzrokiem pustką, nie mający gdzie spocząć, chyba że w mogile. Ten smutek wspomnień to jest dusza stepu.

Step, Dniepr i pieśń — oto jest dusza Ukrainy, jej wyraz, jej życie.

A tam, gdzie rzeki rozpruły, rozszarpały ziemię aż do ich skalnego podłoża, siedzą w głębokich jarach zatajone futory²⁾. Nakryte szumem jaworów i oświetlone czerwienią kalin, rozzielenione sadami, gdzie dołąd śpiewa dziewczyna o młodeckiej³⁾ sławie Ukrainy.

Ale Dniepr wzmacnia się, natęża, przyspiesza wartę, zanosi się coraz potężniejszym gniewem, aż zagrzmie, zahuczy w skaliste poroży i buchnie po nich burzą nawalną wód rozbitych, rozlanych w piany. Widok ogromny i zachwycający. Jak gdyby pieśń głosem śpiewana się urwie, a orkiestra w bębny uderzy z piorunową siłą — tak Dniepr urywa nagle przeciągłe swe szumy



¹⁾ = miejsce bezleśne, pustkowie. ²⁾ futor = mały folwark. ³⁾ = od młodec (młodziec), młodzieniec, młody kozak.

i ze stugromową salwą pędzi przez łeb potwornego Nienaszyńca z progu na próg, z głazu na głaz, waląc w kotły i trąby, uczynione przez siebie w odwiecznych, od dni potopu zwalonych tu skałach.

Aż się zmęczy, przesili, omdleje w słonych limanach i wielkiem odlewiskiem dotoczy swe wody do Czarnego morza. Aż dojdą tu ziemie nasze przyrodzonej granicy i miary i przyniżą się ku ostatniemu okrajowi swemu. A u okraja tego stanie morze w swych potężnych szumach i strzec będzie granic tych, bijąc w nie srebrną tarczą na znak i na dobre prawo. Tymczasem ograniczne, podolne dziedziny warstwy na warstwy czarnoziemiu kładą, aż się wydzwigną potężnym progiem i ku południowi spad wezmą. Wnet się tam rzeki przechybną tym działem ku czarnomorskiej zapaści, wnet się od Bałtyku odwrócą, wezmą wagę, gdzie je pęd poniesie, prując głębokie łożysko w tłustych, ciężkich ziemiach aż do jej żywej, samorodnej skały, która im się podłożem usłała.

Ta praca wód, te brzegi szarpane, darte, te falujące pagórkami ziemie, te wielkie pasze, te łąny i ługi, te tchy czarnomorskie, które aż tu wiatr ciepły nosi — wszystko to tworzy świat osobny i pełen uroków.

Tu najpiękniejsze ciekły rzek, wijących się kręto po kamiennych żebdach wód skalnych; tu jary zasnućte srebrnym pyłem, tu rozutki potężne, tu ziemie ocieężałe w bogactwie swych płodów.

Cała ta połać ziem między Dnieprem i Dniestrem, od Krzemieńczuga do Chocimia — zamknięta, a przypierająca do besarabskich stepów, cała ta podolna kraina jest żywą panoramą osobliwszej krasy.

Marja Konopnicka.

Porównaj ten opis z ustępem p. t.: Od Bałtyku po morze Czarne.

XXI.

Stepy Akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi;
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi
Omijam koralowe ostrowy¹⁾ hurzanu²⁾.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu.
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdała błyszczący obłok? Tam jutrenka wschodzi?
To błyszczący Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! — Jak cicho! — Słyszę ciągnące żorawie,
Którychby nie dościgły żrenice sokoła;
Słyszę, kędy się motyl kołysa na trawie,

¹⁾ = kępa, wyspa. ²⁾ = gatunek trawy stepowej.

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiej ciszy — tak ucho natężam ciekawie,
Ze słyszałbym głos z Litwy. — Jedźmy, nikt nie woła!

Adam Mickiewicz.

Z czym poeta porównywa step? W jaki sposób przedstawia poeta wielką ciszę, panującą na stepie?

XXII.

Triumf Zawiszy Czarnego.

Ustroiło się Perpignano. Wszystkie domy i domki tonęły w zieleni, w kwiatkach, w kobiercach. Co kto miał najdroższego, pułnary, malowane miski, rzeźbione naczynia, starą broń, dywany arabskie, wystawił, wywiesił w oknach. Balkony i facjatki połączono przez ulice girlandami.

Mrowiło się strojne miasto wesołym, hałaśliwym mrowiskiem rycerstwa, giermków, pachotków i mieszczan.

Zaraz po mszy świętej, celebrowanej w katedrze przez samego biskupa, ruszyły zbrojne hufce za miasto, na plac turniejowy, każdy pod sztandarem swojego pana, w jego barwach, z jego herbem na tarczy i na płaszczu. Ciągną wszystkie uroczyscie, powiewając białymi, czarnymi, niebieskimi, czerwonymi piórami, które chwieją się poważnie na lśniących herbach i łbach końskich; idą z huczną muzyką, witane hucznymi oklaskami. Przed każdym hucem biegnie herold i wywołuje głośno nazwisko rotmistrza, nie szczędząc mu przesadnych pochwał: znakomity, przesławny, niezwyciężony.

Wtem ustały oklaski, nawoływania, okrzyki. Cisza zaległa główną ulicę, jak gdyby nagły przestrich odjął widzom mowę. W tej ciszy posuwał się orszak błyskotliwy.

Przodem jechał rycerz cały w srebrnej zbroi, ze złotym łańcuchem na szyi, ze złotym, drogiemi kamieniami nabijanym lwem na hełmie. Purpurowy płaszcz, obramowany gronostajem, zwieszał się z jego ramion, ognisty rumak andaluzyjski szedł pod nim, wyrzucając głowę, drobiąc nogami lekko i zręcznie. Tłum panów bez kopij i mieczów otaczał srebrnego rycerza.

To Jan Aragoński! Głębokim milczeniem podziwu, czci, powitała ulica słynnego wojownika i szermierza, chlubę Francji i Hiszpanji. Nawet herold nie śmiał wywoływać głośno nazwiska tak sławnego, iż znało je każde dziecko.

A uwielbiany zwycięzca turniejowy klaniał się na prawo i lewo, dziękując miastu za niemy hołd.

Dopiero kiedy znikł w bocznej ulicy, rozwiązały się języki mieszczan.

— Wspaniały pan, prawdziwy pan z panów — gwarzono. — I rycerz niezwyciężony, i hojny i łaskawy dla najuboższych.

— Z takim rycerzem ośmiela się stanąć w szrankach jakiś tam barbarzyńiec, niewiedomo skąd. Bardzo dobrze, że nasz Jan nauczył tego zuchwalca rozumu.

Ale nie było czasu do dalszej gawędy, bo oto olśnił ciekawe oczy mieszczan orszak nowy, świetniejszy od poprzednich. Prowadził go na siwym koniu biskup w czerwonej sutannie, podpiętej na bokach brylantowymi guzami. Otoczony tłumem duchownych i świeckich panów, we fioletowych i czarnych rewerendach, w aksamitnych i jedwabnych sukniach, posuwał się wolno, poważnie, rzucając ~~z~~ pod wysokiego czoła spojrzenie bystre, rozumne na zdumionych gapiów.

Któż to może być? Nikt nie umiał objaśnić. Zapewne jakiś ksiązę Kościoła z dalekich ziem świętego państwa Rzymskiego.

Był to w istocie ksiązę Kościoła, bo arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj Trąba, który, wysłany przez Jagiełłę na sobór konstancjeński, przybył z cesarzem Zygmuntem do Perpignano. Towarzyszyli mu w tej podróży: Zawisza Czarny, Jakób Habdank, Janusz Tuliszkowski, Boruta, Dunin Balicki i liczni dworzanie. Występował on wszędzie bardzo wystawnie, olśniewał bogactwem i hojnością najmożniejszych panów francuskich, czeskich i niemieckich.

Zawiszy Czarnego i Jakóba Habdanka nie było w orszaku ks. Trąby. Służba ubierała ich właśnie do walki, obaj bowiem mieli stawać w szrankach.

Zaroił się plac turniejowy rycerstwem i widzami. Na trybunach, wybitych suknem szkarłatnym, umajonych laurem, zajęli miejsca goście dostojni. W trybunie środkowej świeciły dwie korony i lśniła biała sutanna. Papież Benedykt XIII, cesarz Zygmunt i król Ferdynand zabawiali się tam dworną rozmową, czekając na widowisko.

Tysiące głów uwieńczyło mury miasta, do których plac turniejowy przylegał. Chłopcy wdrapali się na drzewa, kobiety, rycerze, nie biorący udziału w walce, i giermkowie otoczyli szranki pierścieniem ruchliwym.

Wtem rozległy się gromkie nawoływania pachołków miejskich: Nabok, miejsce dla rycerstwa! — Pierwsze dwa zbrojne hufce wjeżdżały na plac walki. Przeciągnąwszy wolno przed trybuną cesarską z kopją pochyloną, zaczęły się szykować na przeciwległych krańcach pola.

Zahuczały bębny, rozbrzmiały trąby, głośnie komenda rotmistrzów, porządkujących swoje hufce, przelatywała nad polem, jak krzyk spłoszonych sokołów, konie rżały, gryząc niecierpliwie wędzidła.

Już zatrzepotały w powietrzu wołania rotmistrzów; podjęły je zbrojne hufce, powtórzyły okrzykiem wojennym i teraz idą ku sobie, ustawione w klin. Idą zrazu stępa, jakby na powitanie. Nagle pochylili się rycerze w siodłach, przywarli kopie do boku, konie ruszyły z miejsca galopem i jak dwa rozjuszony byki wpadły na siebie hufce przeciwne. Łoskot

tarczy, trzask kruszonych kopij, chrzęst zbroi. Kiedy tuman kurzu opadł, ujrzeni widzowie kilkunastu rycerzy na ziemi.

Cztery razy jeszcze ukazywały się nowe hufce na polu i cztery razy powtórzyło się to samo widowisko. Która strona wysadziła więcej przeciwników z siodła, tę ogłaszali heroldowie zwycięzcą.

Ale nie po to, by patrzeć na walki zbrojnych hufców, przybyło do Perpignano najprzedniejsze rycerstwo Francji i Hiszpanji. Takimi gromadnymi atakami popisywał się tłum rycerski na wszystkich turniejach.

Wytrawni szermierze chcieli zachwycać się prawdziwą sztuką, chcieli nauczyć się tajemnicy zwyciężania od wielkiego mistrza — Jana Aragońskiego przyszli oglądać.

Witała go nie milknąca burza oklasków. Jeszcze nie było go widać, a już wiedziano, że nadciąga. Na murach miasta, na drzewach, dokoła szranków, powiewały chustki, wylatywały berety w powietrze. Z łoskotem grzmotu przelewała się fala oklasków z jednego końca rozległej łąki na drugi. Bez napomnienia pachotków rozstąpił się tłum, tworząc długi, żywy szpaler. Tym szpalerem zbliżał się Jan Aragoński ze swoim świadkiem i ze swoimi giermkami.

Stanął przed trybuną cesarską, złożył najpotężniejszemu mocarzowi chrześcijaństwa ukłon poważny i zaczął się rozglądać po placu. Nie czekał długo; drugą bramą wjeżdżał właśnie Zawisza z Garbowa z Jakubem Habdankiem.

Zamilkł gwar, ustały szepty. Tysiące drwiących spojrzeń opadło zuchwalca, który ośmielił się postać rękawicę Janowi z Aragonii. Ale błyski drwiące gasły, jak gasną gwiazdy, gdy słońce wschodzi. Bo oto ujrzały ciekawe oczy tak wspaniałą postać rycerską, jaką widziano rzadko w krajach południowych. Na dużym, karym koniu siedział mąż, przerastający Aragończyka o dwie głowy. Z pod czarnego płaszcza, ozdobionego orłami Sulimczyków, przeświecała zbroja złocista. Złoty orzeł błyszczał na hełmie.

Doświadczone oczy rycerzów poznały z postawy Zawiszy, ze sposobu, jak siedział na siodle, jak brał z rąk giermka kopię, próbując jej wagi, jak trzymał cugle, że naprzeciw Aragończyka stanął wojownik, wychowany w dobrej szkole.

Zgasły uśmiechy. Miejsce ich zajęło milczące zaciekawienie.

Giermkowie Zawiszy badali tymczasem jeszcze raz strzemiona, popręgi i uździenice, on sam zaś nachylił się nad karkiem konia i szeptał mu coś do ucha i głaskał po pysku. A szlachetne zwierzę, które było świadkiem już niejednego zwycięstwa swego pana, które brało czynny udział w tych zwycięstwach, rozumiało widocznie mowę ludzką, bo strzygło uszyna, prychając z cicha i potakując łbem, jakby chciało powie-

dzieć: „Wiem, o co ci idzie, nie obawiaj się; noga mi się nie posunie, kolana nie zadrzą...”

Z głównej trybuny powiewa czerwona chorągiewka. Sam cesarz Zygmunต์ dawał znak do walki.

Kopie zapasników pochyliły się w dwornym ukłonie. Stoją jeszcze kilka chwil i mierzą się złąką spojrzeniem badawczym. Nie mogą sobie nic zarzucić. Obaj siedzą na koniach, jak posągi. Za kratami, w otworach, zostawionych dla oczu, świecą dwie pary źrenic zimnym, stalowym połyskiem przytomności, skupienia. Śledzą one każdy ruch konia i rycerza z całym wysiłkiem woli. Nie wolno im odpocząć ani na chwilę, albowiem przeciwnik skorzysta z nieuwagi, z rozlargnienia.

Nagle zadudniała ziemia pod kopytami bojowego rumaka. To pędził Jan Aragoński wyciągniętym galopem. A Zawisza powstrzymywał swojego konia, czekając z przywartą do boku kopją.

Rozległ się suchy trzask, drzewo Aragończyka prysło o tarczę Zawiszy, jak kruche łuczywo. Zdumiony spojrzał Hiszpan na Polaka, który w siodle ani drgnął.

— Drwi ze mnie, czy nie umie używać kopii?

Z gniewem wrócił Hiszpan na swoje miejsce.

Po raz wtóry zadudniła ziemia. Ale teraz pędził Zawisza z takim rozmachem, iż zdawało się, że wisi z koniem w powietrzu. Z miejsca ruszył galopem, pochyłony w siodle. W sam środek tarczy Aragończyka pomiędzy cztery gwoździe uderzyła kopją, a jednocześnie uderzył koń Zawiszy z taką siłą łbem w łeb przeciwnika, że się rumak andaluzyjski zatoczył, jak pijany.

Zachwiał się Jan Aragoński, pochylił się w tył. Dokoła szrank pobladły śniade twarze południowców, oczy zamigotały błyskiem niespokojnym.

Zrozumiał Jan, że dziś się potyka o honor swoich ziomków. Odsunął kratę hełmu, kazał sobie podać pułar wina, wychylił go duszkiem. Z mściwą nienawiścią, spoglądał spod czoła na Zawiszę i wybierał starannie najlepszą kopję.

A Zawisza pochylił się znów nad karkiem konia i rozmawiał długo ze swoim wiernym towarzyszem.

Koń słuchał, potem zarżał groźnie, bijąc kopytami o ziemię. Giermkowie tymczasem badali po raz wtóry z wielką uwagą popręg, strzemiona, zasuwy i rzemyki zbroi.

Zawisza spojrzał przed siebie. Jan Aragoński był już gotów.

— Ruszaj! — krzyknął Zawisza na rumaka i szedł znów z miejsca, jakby wichry przypięły koniowi skrzydła do nóg stalowych.

Przez kilka chwil było widać tylko dwa tumany kurzu, zbliżające się ku sobie, potem rozległ się brzęk trzaskającej stali, potem błysnęło coś w powietrzu nad łbami koni...

Zawisza trzymał w objęciach Aragończyka, uniósł go w górę i ci-
snął o ziemię...

Zdawało się, że ziemia jęknęła, jak chory człowiek. To nie ziemia
skarżyła się... Zdeptana sława kołyski rycerstwa płakała w tysiącach serc
zawstydzonych widzów. Jan Aragoński leżał w prochu, a jego piersi do-
tykało kolano obcego przybysza.

Zawisza uderzył przeciwnika kopłą pod brodę, w spinę łączącą
hełm z napierśnikiem, z taką potęgą, iż zdruzgotał stalowe wiązanie.
Odurzonego niespodziewanym ciosem Aragończyka porwał w ramiona
i wyrzucił z siodła. A koń Zawiszy runął opancerzonym łbem na piersi
andaluzyjskiego rumaka i rozwalił srebrną blachę, jak deskę zmurszałą.

Zatrzepotały w powietrzu jasne, radosne dźwięki fanfary, zwiastu-
jące czterem stronom świata zwycięstwo Zawiszy. Ale fanfarze nie wtó-
rowała zwykła burza oklasków, nie sypały się wieniec, kwiaty. Dokoła
szrank panowała przykra cisza żałobnego domu, w którym zgast pro-
mien życia kogoś drogiego.

Odsunąwszy kratę hełmu, podszedł Zawisza do głównej trybuny.

— Dziękuję waszej miłości w imieniu rycerstwa św. państwa ~~kró-~~żym-
skiego, — rzekł cesarz Zygmunt — dziękuję za honor, jaki spada z wa-
szej łaski na nasz dwór.

Dźwięki fanfary trzepotały się znów w powietrzu jasne, radosne,
głosząc czterem stronom świata chwałę zwycięzcy, a Zawisza opuszczał
wolnym krokiem pole zaszczytne.

Służyło mu prawo zabrania zbroi i konia pokonanego, ale on nie
pozwolił giermkom swoim dotknąć własności Aragończyka. Tylko bar-
dzo wielkoduszni rycerze bywali tak wspańiałomyślni.

Otoczony gromadką polskich i czeskich panów wracał Zawisza do
miasta. Przeprowadzały go nienawistne, obłudnie uległe spojrzenia Hisz-
panów i Francuzów. Tak żegnają oswojone lwy, pomrukując gniewli-
wie, pogromcę, gdy opuszcza ich klatkę.

Teodor Jeske-Choiński.

XXIII.

Zbroja Zawiszy.

A kiedy się zabierała wyprawa krzyżowa,
Przyszedł Czarny Pan Zawisza, Sulimczyk z Garbowa,
Do płatnerza sławetnego krakowskiego cechu,
Co w fartuchu stał i z młotem, arcymistrz od miechu;
Który witał go pokłonem, znał rycerza z twarzy,
Zaś Zawisza mu na ramię rękę wsparł i gwarzy:

„Słyszałeś-to, bracie, o tem, że cny król Jagiełło
Wbrew rycerzom pod krzyżami krwawe podjął dzieło;
Już poluje het po puszczach i zwierzynę bije,
Aby miało jeść co wojsko, gdy dźwigną kopije.
A gdy zdala u cesarza rzymskiego na dworze,
Gdziem w estymie¹⁾ był okrutnej i srogim honorze,
Posłyszałem, że się Polska do boju porywa,
Wrazem jechał, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Uróbże mi, proszę, bracie, zbroję, jak się patrzy,
Nową zbroję na bój święty, od tego nie gładszy,
Jaki ze mną Aragonu król, Jan, niegdyś zwodził,
A którego wyparł z siodła, ledwom go ugodził.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
Abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy;
Ma być zbroja szmelcowana, bym jak miesiąc lśnił się,
By poznali, gdzie Zawisza i kędy on bił się“.
Gdy powiedział tak, zaraz się mistrz zabrał do pracy,
Kazał sobie dać do miechów dwóch tęgich duchaczy,
By dmuchali wiatr na węgle, a sam miarę bierze,
By Zawiszy postać zmierzyć. „Mierz, bracie, a szczerze ---
Mówi rycerz — bomci to ja nie nawykły ciasno;
Lubię słyszeć brzęk zbroicy, gdy ją stałą głasną,
I jest dla mnie to niemałą, płatnerzu, uciechą,
Gdy mi dźwięknie między zbroją a sercem, jak echo.
Już też długo Krzyżak polskie pogranicze derbił²⁾;
Czas, by mu się na łbie twardym polski miecz wyszczerbił.
Wstanie Polska, jak lew z leży, i mocna i mściwa,
Więc mi kuj zbrój, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy;
Ma być zbroja hartowana, z grubej w plecach blachy’;
Na ramiona kuj mi grubo, bym, gdy się zamierzę,
Taki ciężar miał u miecza, jak z kopańń mincerze³⁾;
Grubo kuj mi zbrój na uda i nagołenniki,
Bym parł konia, jak kra drzewo, kiedy runę w szyki;
Li na piersiach kuj mi cienko, cienko, jak opłatek,
Niechaj będzie stal tak cienka, jak liliji płatek,
Jako lilję kuj od przodku, bym też za ojczyznę,
Jeśli Krzyżak to potrafi, wziął na piersiach bliznę“.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

¹⁾ = poważanie. ²⁾ = niszczyć, pustoszyć. ³⁾ = robotnik w mennicy, tu = górnik

XXIV.

Alpuhara.

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary¹⁾
Almanzor z garstką rycerzy,
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary;
Jutro do szturm uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali —
Już z minaretów błysnęły krzyże:
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie
Pomiędzy gruzy i trupy
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie co rychlej prosi,
Ważne przynosząc nowiny.

Był to Almanzor, król muzulmanów;
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddając w ręce Hiszpanów,
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie — woła — na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć,
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

¹⁾ = pasmo gór pomiędzy Sierra Nevada a morzem.

„Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony“.

Hiszpanie męstwo cenić umieją;
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni kolejną
Jak towarzysza witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wódza najczulej uścisnął,
Objął za szyję, za ręce chwycił,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana,
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił,
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwia mu nabiegły żrenice.

„Patrzcie, o giaury! Jam siny, błądy,
Zgadnijcie, czym ja posłem?
Jam was oszukał: wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem.

„Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać,
Pójdźcie i patrzcie na me katusze,
Wy tak musicie umierać!“

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wiecznem
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona;
Śmieje się — śmiechem serdecznym.

Śmiał się, — już skonał, — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwały,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie trwożni z miasta uciekli,
Dżuma za nimi w ślad biegła,
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Adam Mickiewicz.

XXV.

Psia dola.

Za rogatkami miejskimi, pod płotem jakiegoś ogrodu, położonego w kierunku południowej strony świata, leżała wyżlica Norma, otulając ciałem swoim czworo szczeniąt, ślepych jeszcze prawie. Małe pieski co chwila chwyciły pierś matki, ale z piersi tej nie zdołały wydobyć ani kropli mleka; ruszały się więc niespokojnie, wydając z siebie mruki niecierpliwe i skomlenie. A Norma nieustannie nadstawiała dzieciom swoją pierś próżną, w której one nadaremnie szukały posiłku. Powyłaziły przeto dzieci z pod matki — jedno za drugim, niezdarnie się toczyły na swych nożynach, podeszły do rodzicielki z przodu, garnęły się jej do pyska, do uszu, do oczu, zdawały się zapytywać:

— Matko, co to wszystko znaczy? Dałaś nam oto życie, a nie możesz nas wyżywić?... Z głodu mrzemy!

Pies-matka smutnie popatrzała na potomstwo, mrużyła oczyma i poczęła dziaćwę kolejno a troskliwie lizać językiem. Może ona pragnęła głód swoich dzieci pieścićotą uśmierzyć. Powstała z miejsca, wyprostowała się i stojąc, poddawała szczeniętom pierś swą do ssania. Rzuciły się do niej wszystkie, czepiały jej się, jak pijawki, zawisły, szarpały ją, rozpierały się, ssąc i ciągnąc swą rodzicielkę.

Norma była zwierzęciem wychudłym, zbiedzonem, sierść z niej miejscami zupełnie oblaźła, trzęsła się, na nogach zaledwie ustać mogła, a na uszach jej i na szyi widniały wszędzie niezabliźnione rany, które wokół obsiadały muchy. Dzieci, ssąc matkę w stojącej postawie, i teraz nie znalazły w jej piersiach mleka, poczęły ją więc kaleczyć, do krwi jej się dobierać, ale ona i krwi niewiele miała w sobie.

Szczenięta, znużone licznymi i bezpłodnymi wysiłkami, legły wreszcie na ziemi, ułożyły się jedno na drugim i tak zwinięte, jakby w jeden kłębek, zasnęły. Przez czas jakiś stała nad nimi matka, lizząc je i troskliwie obwąchując, niby kołyszając swoje drobne psięta. A kiedy sen już na dobre ogarnął potomstwo, ona sama puściła się w świat na żebranie. Poszła pomiędzy ludzi...

Dokądże pies iść może?

Wpadła do najbliższego domu w mieście. Tu ją rozkoszna jakaś woń zaleciała, przeto stanęła przed drzwiami kuchni i stała biedna z po-

korą zebraczki. Stała długo, aż jej się sprzykrzyło; lekko skrobnęła nogą w ludzkie podwoje. Drzwi się otwarły, wyjrzała stara jakaś kobieta z zakasanymi rękawami, zapłoniona od kuchennego żaru — widocznie kucharka. Spostrzegła psa i szpetnie zaklęła:

— No, nie bestja to jedna!... Puka do drzwi, jak człowiek... A nie pójdziesz mi ty stąd, psia duszo!

I z temi słowy poczęła kucharka szukać na podpieckach pogrzebacza, aby skarcić zwierzę, które się ośmieliło do drzwi jej przychodzić. Norma stała spokojna, osłabiona, chwiejna, zdawała się spojrzeniem błagać o jałmużnę. Kucharka odszukała pogrzebacza, wypadła z nim na psa i uderzyła go po dwakroć. Pies nie uchodził, nie wydał skowytu, — jak gdyby ciosy owe nie były dla niego najcięższymi w życiu. Kucharka zamierzyła się raz jeszcze, lecz już nie uderzyła, tylko z przekleństwem okropnem zatrzaskała drzwi od kuchni.

Niepewnym krokiem oddaliła się psia matka od niegościnnych progów i poszła dalej. Wstąpiła do innego znowu domostwa. Tutaj na dziedzińcu spotkał ją stróż domu, uzbrojony w miotłę, osadzoną na bardzo długim kijku.

— Jeszcze i ty, psia wiaro, będziesz mi tu zawadzała i bróździla!... — zawołał stróż, wymiatając siłą psa za bramę.

Norma wpadła teraz, pomieszana, do jakiegoś zajazdu, którego brama naoścież była otwarta, ponieważ właśnie zajeżdżała tam bryczka z gościem. Służący hotelowi już jej nie wygnali; mniemano, że pies przyszedł za bryczką, że należy do przybyłego gościa. A gość wysiadł z bryczki i siedł pod numer, który mu wskazano. Norma poszła za nim i w ciemnym korytarzu legła pod drzwiami, w których gość zniknął. Czuła brak sił w sobie, nie mogła już ani wstać ani chodzić. Po niejakiem czasie skrobnęła do drzwi łapą, wydając przytem z siebie jękliwy głos niepokoju. Gość drzwi otworzył — miał twarz jakąś rumianą, wąsatą, sympatyczną. Kiedy spojrzał na psa, pies przyjacielsko, choć słabo, merdnął ogonem.

— Na tu, piesku! — zawołał człowiek i wpuścił psa do izby. Norma zaledwie mogła przez próg się przewlec, a sympatyczny człowiek rzucił jej jakieś resztki chleba i kiełbasy, któremi raczył się właśnie po odbytej podróży. Z chciwością i wielką żarłocznością rzuciła się psia matka na te specjały, ale szczęki i zęby snadź już jej wypowiadały posłuszeństwo, bo jeść nie mogła, a pochwycony pokarm wypadał jej z ust na ziemię. Popatrzyła na żywność, spojrzała w oczy gościowi z jakąś żałością, zachwiała się całym ciałem i upadła na ziemię.

Nadchodziła dla Normy ostatnia chwila życia... Przypomniały jej się teraz oto drobne dzieci, które zostawiła pod płótem bez żadnej opieki,

głodne. I ścisnęło się okrutnie serce matki, wydała jęk cichy najpierw jak gdyby smutne westchnienie, potem podniosła nieco głowę i głosem jakimś rozbitym, urywanym, zawyla tak przeraźliwie smutno, że głos ten przestraszył gościa. Zadzwoił przeto ów człowiek, a kiedy przyzwał numerowego, rzekł:

— Zabierzcież mi stąd to zwierzę! Co za nieporządek w hotelu. Psy wałęsają się i niepokoją gości.

Na te słowa numerowy kopnął potężnie Normę, ale ona się nie podniosła, nie jęknęła. Służący przyniósł szczotkę do zamywania i począł nią bić psa, wypędzając z izby. Uderzył kilkakrotnie, ale pies zdawał się być nieczułym na odbierane ciosy. Pochwycił więc numerowy Normę za ogon i wywłókł ją na korytarz, potem przyzwał stróża i polecił mu psa przybłądę znowu wywlec na śmietnik. Teraz spokojnie, na tyłach stajen, na kupie śmieci leżała bezwładna Norma. Oczy mgła jej powlokła, z ust toczyła się piana... Kończyła życie, mając przed oczyma obraz dzieci, zostawionych bez opieki pod płotem ogrodu.

Ze stajen dolatywały głosy ludzkie, słychać było, jak konie żują owies, chrzęszczą łańcuszkami uzd, z za parkanu rozlegało się oszczekiwanie psów, swawolących po trawnikach. Z wnętrza śmietnika powyłaziły szczury, ostrożnie zbliżały się do konającej Normy, szybko poruszając wąsami i topiąc w niej swe małe, przenikliwe oczka...

Spojrzała ostatni raz w jasne słońce, drgnęła i szczury znikły w kryjówkach. Po chwili ukazała się na śmietniku wielka liczba szczurów; wszystkie szły śmiało do Normy, która już nie żyła.

Adolf Dygasiński.

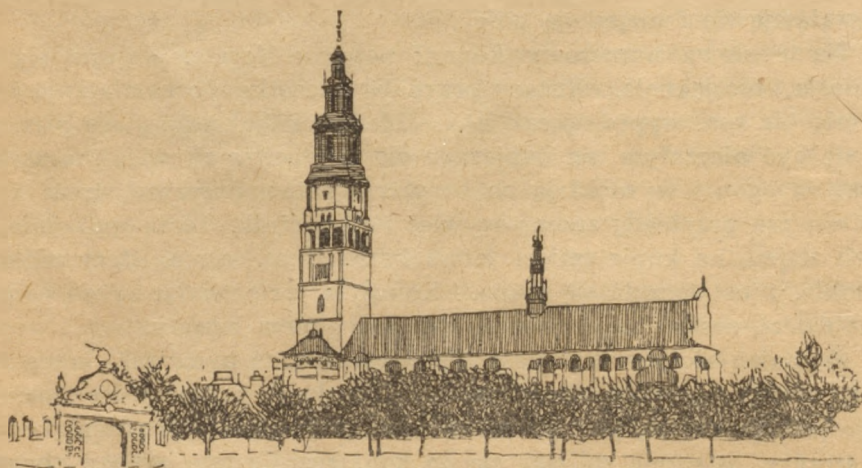
XXVI.

Wyżeł i brytan.

Pan strzelił, trafił kaczkę, pies dostał i dobił;
A gdy spostrzegł brytana, który nic nie robił,
Zgrzytnął zębami:
— My tylko sami,
Wyżyły legawe,
Dajem wam strawę,
A wy śpicie, leniuchy!
— Patrz na moje łańcuchy —
Rzekł brytan, stróż domowy.
— Gdy ty idziesz na łowy,
Ja nic wprawdzie nie robię;
Ale gdy w nocnej dobie
Do wczasu się sposobisz
I nic wtedy nie robisz,

Ja, uwolnion z łańcucha,
Czyniąc urząd posłucha,
Gdy wyręczam kolegę —
Pana, ciebie, dom strzegę!

Ignacy Krasicki.



XXVII.

Na Jasnej Górze.

Ostatni dzień!... Znać to na wszystkich twarzach.

Wychodzimy na jakieś prawdziwe górskie drożynki. Słońce wschodzi, ale tonie natychmiast we mgle i tylko je lekko zapurpurza. Ścieżki są strome i pełne ostrych kamieni. Okolica górzysta, widać nad mgłami łyse szczyty.

Idziemy tak prędko, że wszystkie piersi rżęą, a na każdym szczycie i wyniosłości wszystkie oczy zanurzają się we mgle; niespokojne, gorące spojrzenia w tumanach szukają szarawych konturów wieży Częstochowskiej.

Przystają i z wyciągniętymi głowami stoją chwilę...

Nic nie widać, cały świat zdaje się być zatopiony w tej ruchomej masie.

Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie...

Słońce podniosło się ponad mgły i wdali wprost nas zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł, bo mgły, jakby uderzone siłą światła, zakłębiły się i jak puchy wyległy rozstrzępione, zakrywając wszystko.

Niby jęk zawodu zaszemrał i zwolna jakby się zawiązała cicha i zawzięta walka pomiędzy tłumem a mgłami.

Rozpalone oczy o krwawym blasku zmęczenia, tętna serc przyspieszone, wszystkie czucia spotęgowane, wszystkie głosy o chrapliwym z namiętności brzmieniu łączyły się i płynęły strumieniem ognia, wsączały się w te mgły i jakby je wypijały, że stawała się coraz rzadszą.

Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oslepił i obezprzymiotniał, że darli się wprost naprzód.

Słońce podniosło się i ten majak wieży, odbicie pewnie, jakby się oderwał od podstaw i unosił przez chwilę ponad opary i jakby chwiało się, połyskując szczytami, aż go nowa i ostatnia fala mgieł przysłoniła.

Stanęliśmy wreszcie na ostatniem wzgórzu i stali przez mgnienie wpatrzni, jak te tumany ściągały się jakimiś warstwami, jak szły skłębione i podarte w górę, aż przestrzeń czysta została i wszystkie oczy uderzyły o tę górę z wieżą na szczycie.

— Marjo! — buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęło na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch.

— Matko! — wołały głosy zduszone radością i uniesieniem. I zaczęły żyć płynąć rozradowania, a oczy promienieć miłością; wszyscy trzęśli się w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy ani jednej woli, co nie leżałaby w zachwycie ławym.

I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapiał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrывał ze wszystkich serc smutki, bole, całą gorzkość istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko, co przecierpiał, i płynął do stóp Tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.

Popowstawali i wszystkie twarze rozświeceniły się nagle, spotężniały w wyrazie.

Zaspiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechem na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu triumfalne, szerokie, jak świat, dzwoniły niby spisz serc i biły nad ziemią pełną wiosny i słońca.

Po przemowie jednego z ojców paulinów weszliśmy do Jasnogórskiego kościoła.

W poniedziałek mieliśmy wyjechać. Wstałem wcześniej i poszedłem zobaczyć mszę w kaplicy Matki Boskiej i chwilę odsłonięcia cudownego obrazu.

Ścisł był niewypowiedziany, ludzie tak się zwarli, że rozpocząć się im trudno; co chwila wynoszono pogniecionych i omdlałych.

Zaczęła się msza.

Ciche tony fletów niby lśniąca siatką osnuwały dusze. Potem skrzypce podnosiły przenikające głosy w śpiewie pełnym uczucia i rozpylały się, jak woń róż, a organy brzmiały cicho i daleko, niby szum morza. Morze zwolna bije i przelewa się przez brzegi, a potem burzy się głucho, potężnieje w sile, huczy burzą, miota i wybucha piorunami, które trąby mosiężne rzucają z przerażliwością, i robi się chaos jakiejś rozpaczliwej brzeźnej, — aż flety, niby chór anielski, odzywają się. Śpiew rzewny, słodki wlewa się szeroką gamą i uspokaja odměty i płynie pod stropem kaplicy, jak pocieszenie, przenika dusze rozrzwinięciem i kołysze je słowami łaski — i milknie w nagłej, chwilowej ciszy Podniesienia, przerywanej tylko ostrym, niby stalowymi blaskami, dźwiękiem dzwonek.

Naraz ze wszystkich instrumentów bije pieśń, ze wszystkich serc zrywa się huragan krzyków i westchnień. I wszystko to skłębione, zmięte, unicestwione pada w proch przed odsłoniętym obrazem Matki Bożej, a przez ten mur ciał przeciska się jakaś dziewczyna podtrzymywana przez matkę. Idzie o kuli, oczy ma zwarte, wyciąga ręce do obrazu i głosem wielkim, potężnym, niewysłowionem brzmieniem wiary woła:

— Marjo, uzdrów mnie!... Marjo, uzdrów mnie!...

I pada na ziemię, jak drzewo podcięte, lecz zrywa się i już bez kul, wyprostowana, jaśniejąca woła:

— Marjo! Widzę! — Marjo! Idę!

I szła ku ołtarzowi, a burza ryku prawie nieludzkiego zerwała się ze wszystkich serc i biła do stóp Tej z taką miłością patrzącej.

A dziewczyna szła, podrywając się, jak ptak do odlotu, i z uśmiechem niewypowiedzianej podzięk, z oczyma, jak chabry, błękitnemi, z rękoma wyciągniętymi, dyszała dziękczynieniem, pełnem radości, łez, olśnienia.

— Marjo! Marjo! — I padła w proch, objęła rękoma kamienie i blademi usty przywarła się do nich, pod stopami Tej, co tam ze spokojem i słodyczą siedziała z Jezusem na ręku i, jak matka, pełna była pobożania i miłości.

A lud cały w jękach, w skowycie leżał i łzami serc, mózgami, krwią, miłością — sławił dobroć i zebrał zmiłowania.

Kościół jakby otwierał się z wierzchu, aby przepuścić tłumy dusz, które się rwały w modlitwie w nieskończoność, a wysoko jakby się rozwiewał płaszcz błękitny i ogarniał wszystkich, a jakieś ręce białe i oczy promienne błogostawiły, kołysały, uspokajały, krzepiły serca, dawały zapomnienie i moc wytrwania.

A te rzesze ludzkie coraz więcej zatapiały się w szlochaniu i zdawały się odpływać w zaświaty na fali muzyki, która — jak Archanioł Pocieszenia — szła naprzód i niosła wszystkie dusze tam, skąd wyszły: do źródła Dobra i Szczęśliwości.

Władysław Reymont.

Chwila była przedwieczorna.

Gdym kilka tygodni temu w pewne listopadowe popołudnie stał na terasie małego klasztoru na szczycie góry Deserto, u nóg moich rozciągał się widok najpiękniejszy na świecie. Z jednej strony miałem przestępną zatokę Neapolitańską, otoczoną, jak wieńcem, górami Apeninów, skałami Ischii i Capri, z olbrzymią masą Wezuwjusza gdzieś wdali; z drugiej zatokę Salerno, rozłożystą i wielką, ze szczytami Kalabrii na przeciwnym brzegu; siniejące w mgle góry zdawały się uciekać i kłębić, jak dym parowca na morzu. Dalej, nieco w prawo, rozlewało się już samo morze, ogromne, bezbrzeżne, nieobjęte. Tuż przede mną, u samych prawie stóp, w zapadłej głębi rozłożyły się całe gaje pomarańczowych drzew z powtulaniami w nie willami i małemi domkami sorentyńskich wieśniaków. U końca góry nad małą, zgiętą zatoką większe skupienie szarych murów i czerwonych dachów, tonących w zieleni: to piękne Sorento.

Chwila była przedwieczorna, chwila tego gotowania się do spoczynku, kiedy spracowani wieśniacy wracali z winnic do domów, a ptaki do gniazd. Słońce, chyląc się ku zachodowi, stawało się coraz większe i błyszczało, jak rozpalona kula. Niepokalany spokój objął cały obszar morza; leżało ciche, błękitne, wielkie, zda się — nieskończone: na niemi kapryśnemi linjami, jakby ogromne taśmy i wstęgi, układały się ciemniejsze smugi, tworząc naturalny deseń mory¹⁾. Nad morzem wody rozciągało się drugie, jeszcze większe — morze błękitu na niebie.

Była cisza. Wszystko wdali — i góry i obłoki i tafle wody i rozpięte żagle przy łodziach — przesłaniała złocisto-liljowa mgła, która na całej przestrzeni między niebem a ziemią przesyciła powietrze i malowała wszędzie bukiety bzu za fontannami złota. Coś bardzo świetlistego, coś bardzo pogodnego i pełnego słodkiej pieszczoty zdawało się ogarniać cały ten szczęśliwy kraj, jak błogosławieństwo Boże o cichej, wieczornej godzinie. I było tak, że chciało się dziękować Bogu, że to stworzył i że zobaczyć to — choćby raz jeden tylko w życiu — pozwolił.

Naraz mocą jaskrawego kontrastu zabiegła mi dusza tam daleko, na północ, między piaski żółte i ciemne, sosnowe bory.

Oto już druga połowa listopada. Szaro i posępnie. Od tygodnia nie pokazało się słońce; tuż nad dachami domów, nad konarami nagich drzew zawisł monotonny zwal ołowiu. Powietrze zamieniło się w wilgotną mgłę, do szpiku kości przenikającą chłodem. Z tej mgły raz po raz wywiązują się maleńkie, mikroskopijne kropelki, które spadając, tną, jak szpilki. Czarne gałęzie kasztanów i topoli, nasiąkłe wodą, jak gąbka, ośliżłe, zbiedzone, ociekają niby łzami. Poza nieustannie mżącym dżdżem

¹⁾ materia jedwabna, o rysunku, mieniącym się, jak fale.

roztapiają się wszystkie barwy, wszystkie kształty i stają się widmami melancholji. Tak smutno... tak smutno... Po szarych, opustoszałych polach, z resztkami pajęczyn na pogniecionych rżyskach, po obumarłych lasach, płaczących spadającymi z gałęzi kroplami, po drogach pełnych kałuż i wybojów — błąka się wicher i wyje jakąś rozpaczłą pieśń tęsknoty, nieutulonej aż do śmierci. Coś łka, coś się zanosi... Na rozstajach stoją samotne, zmurszałe krzyże i chylą się od wichru i bezsilnej starości. Tak smutno, o Boże, tak smutno!

Otworzyłem oczy. Jaskrawe słońce, jak wielki rubin, dotykało już brzegiem krawędzi morza. U nóg moich bezmiernym kręgiem leżała znowu ta błogosławiona kraina, tonąc w potokach purpury i złota. Patrzałem na nią z góry, jak ptak z chmur. Piękniejszej nie widział nawet Mojżesz w owym dniu, kiedy ze szczytu Nebo oglądał ziemię obiecaną nagrody dla wybranego narodu.

Ale mnie było już jakoś nieswojo i dziwnie samotno. Po raz pierwszy od czasu wyjazdu z kraju — tęskniłem.

Ignacy Dąbrowski.

XXIX.

Poszłabym ja...

Poszłabym ja na kraj świata,
Jak ten wiatr, co w polu lata,
Jak ten wiatr, co chmury pędzi,
Białe chmury, puch łabędzi,
W ciemną, mroczną dal...

Tylko mi cię żal,

Ty ziemio,
Gdzie kurhany ciche drzemią,
Gdzie się w stepach białą kości,
Gdzie kwiat mdleje od żałości,

Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w świat daleki,
Jako idą bystre rzeki,
Jako idą bystre wody,
Do dunaju¹⁾, do swobody,
Do szumiących fal...

Tylko mi cię żal,

Ty chato,

Pod tą lipą rosochatą,
Pod tym sadem pełnym rosy,
Pod błyskami jasnej kosi —
Tylko mi cię żal!

Poszłabym ja w ukrainę²⁾,
Za to morze, za to sine;
Poszłabym ja na stracenie
W bezmiesięcznej nocy cienie,
W niepowrotną dal...

Tylko mi cię żal,

Sokole,
Co nad nasze latasz pole,
Ponad pole, ponad niwę
Latasz, gubisz piórka siwe —
Tylko mi cię żal!

Marja Konopnicka.

¹⁾ Tu w znaczeniu dalekiej, nieznanej rzeki, a nawet odległego morza. ²⁾ Tu: kraj bardzo odległy, „kraj świata“.

XXX.

Koronacja królowej polskiej.

W Wilnie, skąd Litwą rządził w zastępstwie ojca, pokochał Zygmunt August młodą, piękną Barbarę Radziwiłłównę, wdowę po Gasztołdzie. Potajemnie wziął z nią ślub. Gdy zaś niedługo później zmarł jego ojciec, król Zygmunt I, Zygmunt August, już poprzednio wybrany i koronowany na króla polskiego, postanowił koronę włożyć na głowę swojej małżonki. Sprzeciwiali się temu panowie polscy, sprzeciwiali posłowie sejmowi, niechętni królowej, która nie pochodziła z monarszego rodu. Lecz król nie ustąpił.

Na niedzielę według zwyczaju oznaczono dzień koronacji Barbary. W katedrze na Wawelu, gdzie koronowano królów i królowe, przepięknie ozdobiono prezbiterjum makatami, posadzkę zasłano czerwonym sukniem; na wielkim ołtarzu zapalono liczne świece, ustawiono też na nim czareg z olejem świętym, a przed nim dwa klęczniki dla arcybiskupa i królowej, zaś nieco w głębi na podwyższeniu dwa krzesła tronowe.

Procesja z arcybiskupem gnieźnieńskim i biskupami, przed którymi niesiono ich pastorały, wyszła z katedry do zamku, by królowę do kościoła przyprowadzić.

Do kościoła orszak cały z zamku wszedł boczną bramą zachodnią. Za duchownymi postępował król, w paradny strój przybrany, z koroną na głowie, poprzedzany przez marszałków koronnych i litewskich, trzymających w rękach laski jako oznakę swej władzy. Za królem szła królowa, z rozpuszczonymi włosami, w otoczeniu matron i dziewcząt, również poprzedzana przez marszałka jej dworu, który jednak laskę trzymał w dół pochyloną; a przed królową nieśli na poduszkach dostojnicy państwa koronacyjne klejnoty: koronę pierwszy z senatorów, kasztelan krakowski, berło krakowski wojewoda, a wojewoda poznański jabłko.

Przy wielkim ołtarzu rozpoczęła się msza święta, bo w czasie mszy dokonywał się obrząd koronacyjny. Gdy zbliżała się ta chwila, kiedy mszę przerwać miano dla dopełnienia koronacji, król zszedł z tronu, na którym obok małżonki zasiadał, poprzedzany przez marszałków i niosących klejnoty koronne, przystąpił do arcybiskupa i po łacinie w takie do niego ozwał się słowa: „Najprzewielebniejszy w Chrystusie Ojcze! Prosimy, abyś małżonkę naszą, przez Boga z nami złączoną, pobłogosławić i królewską koroną ozdobić raczył na chwałę i sławę pana naszego Jezusa Chrystusa“.

Na to powstał arcybiskup i polecił dwom biskupom, by przywiedli przed niego królowę.

Przyprowadzona przez biskupów królowa Barbara ukłękła na klęczniku, a wtedy rozległ się śpiew litanji. Po jej odśpiewaniu powstał

arcybiskup, zdjął infułę, a odmówiwszy modlitwy nad królową klęczącą, namaścił ją olejem świętym, znak krzyża czyniąc, na głowie, piersiach i barkach. Następnie ciągle wśród modlitw wręczył berło, mówiąc: „Weź berło cnoty i sprawiedliwości i bądź biednym miłosierną, a serdeczną opieką otaczaj wdowy i sieroty, by zwiększała łaskę Swoją dla ciebie Wszechmocny Bóg, który żyje i króluje na wieki wieków“. Poczem znowu z odpowiednią przemową włożył prymas na palec królowej pierścień, wreszcie na głowę koronę, podtrzymywaną przy wkładaniu przez dwu biskupów.

Biskupi odprowadzili królowę na tron, przed którym stanął jej marszałek z podniesioną już do góry łaską.

Jeszcze w dalszym ciągu mszy dwukrotnie królowa schodziła z tronu do ołtarza: raz, by w złocie ofiarę złożyć na kościół, a potem, by z rąk arcybiskupa przyjąć komunię, przyczem koronę na tę chwilę z głowy złożyła.

Tak ukoronował, dawnych zwyczajów przestrzegając, król Zygmunt August swoją ukochaną małżonkę.

Stanisław Kutrzeba.

Porównaj ustęp XXIV z tomu II „Czytań“ (Koronacja królowej Jadwigi).

XXXI.

Duch królowej Barbary.

Mała miejscina Wągrowiec,
To zapadły świata kątek;
Ale do dziś dnia wędrowiec,
Ciekawy dawnych pamiątek,
Może tam widzieć u fary
Rozbite, stare zwierciadło,
Z którym Twardowski swe czary
Odprawiał. W tej szybie szklannej
Jednemu cudne widziadło,
Drugiemu straszne poczwary
Ukazywał lub szatany;
Do kogoś ze szkła się śmieje
Łeb od ciała odrąbany,
Kto inny w onym kryształe
Widzi swoje przyszłe dzieje,
Lecz i takich było wielu,
Co nic nie dojrzeli wcale.

• • • • •

Zygmunt August na Wawelu
Kirem obite miał ściany,
Żył odludnie — jakby w grobie
Za życia już pochowany.

Raziły go ludzkie twarze;
Tak pogrążył się w żałobie
Po małżonce swej Barbarze.
Bo też świat miłości równej,
Tak serdecznej, tak oddanej
Nie zna — jak była w tej parze
Króla i Radziwiłłówny.
— Gruchnęła między dworzany
Wiść, że jeśli król jegomość
Zechce, to mu ktoś pokaże
Nieboszczki królowej ducha.
Zadrzał na oną wiadomość,
Twarz mu blada ogniem bucha,
W oczach błysnęła nadzieja,
Że ujrzy zmarłe kochanie;
Szepnął: „Tego czarodzieja
Wołać, niech przed Nami stanie!“
W mig po Twardowskiego bieży
Pazik z królewskiemu słowy.
Mistrz ledwie swym uszom wierzy,
Lecz służyć panu gotowy,
Za paziem pośpiesza w tropy.

Szli do komnaty zamkowej,
Zwanej „Salą Kurzej Stopy“;
Gmach ten przedziwnej budowy
Sypialnią zmarłej królowej
Bywał. Na ściany i stropy
Kazał król czarne opony
Porozwieszać. Tu zamknięty
Płakał ukochanej żony
I pamięć jej czcil — jak świętej.
Król Zygmunt siedział przy stole.
Był to mąż pańskiej urody.
Choć smutku bladeść na czole
I zapadłe miał jagody,
Znać było, że jeszcze młody;
Tylko zgryzoty i bole
Pochyliły go przedwcześnie
I do pięknej czarnej brody
Dorzuciły srebrnej przędzy.
Nieruchomy, jakby we śnie,
Oczyrna tonął w obrazie
Zmarłej, — Mistrz ostał pomiędzy
Paziami — u drzwi narazie,
Aż król ocknie się w zadumie...
Ocknął się — a mistrz co prędzej
Ugiął przed panem kolano;
Król skinął — odeszli paze,
On zaś rzekł: „To Waszmość umie,
Jak mi o tem powiadano,
Ukazywać zmarłych duchy?“

— „Umiem, Miłościwy Panie“.
— „To pokaż...“ — Z twarzą pobladłą
Urwał rozpoczęte zdanie
I zamilkł, a w ciszy głuchej
Z oczu kilka łez mu spadło.
Twardowski rozpoczął czary:
Przed królem stawil zwierciadło,
Zapalił ziół pęczek suchy,
Poszły z nich dymy i pary,
Aż wszystko na szkłe osiadło;
Wtem jął dziwne czynić ruchy,
Zwolna, do taktu i miary.
Mgła na szybie się rozplywa,
W zwierciadła głębi przezroczej
Ducha królowej Barbary
Widać: stoi, jakby żywa,
Uśmiecha się, cudne oczy
Utkwiła żałośnie w królu...
Na widok tej lubej mary
Zygmunt z krzykiem się porywa,
Pragnie objąć zwid uroczy,
W głos płacze z tęsknoty, z bólu,
Zwierciadło do ust przyciska...
Zjaw znika... Król się zatoczy,
Upada z jękiem i mdleje...
Wtem i tafla szklanna pryska...

Takie są zwierciadła dzieje...

Lucjan Rydel.

XXXII.

Pani Twardowska.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha, cha, chi, chi, hejża, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła
Podparł się w boki, jak basza:
„Hulaj dusza! Hulaj!“ woła,
Śmiesz, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zającą.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomatu,
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok! i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół heczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno... Co u licha?
Pocoś tu, kumie, zawitał?

Djablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos, jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.

„A! Twardowski... witam, bracie!”
To mówiąc, bieży obcesem:¹⁾
„Cóżto, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofeilesem.

„Wszak ze mnąś na Łysej górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf²⁾ na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy

„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiega,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci.
Ta karczma „Rzym“ się nazywa,
Kładę areszt na waszeci“.

Twardowski ku drzwiom się kwa-
[pił

Na takie *dictum acerbum*,
Djabel za kontusz ułapił:
„A gdzie jest *nobile verbum*?“

Co tu począć? — Kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę;
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową:

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprząć ciebie do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

„Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytem biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłó-
[stać,

I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać

„Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku³⁾,
Z bród żydowskich ma być strze-
[cha,
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek.
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale“.

¹⁾ obces (z łac: obcessus) = natarczywość. ²⁾ = skrypt, własną ręką podpisany (z gr: chejr = ręka, grało = piszę). ³⁾ Tak nazywano dawniej szczyt Żomnicki w Tatrach.

Mefistofel duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy —
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nie skończona:
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona“.

Djabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potem, jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął ra-
[źnie.

„Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą odbyt łaźnię“.

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka Twardowska.

„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie.
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem, zostanie.

„Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic“.

Djabeł do niego pól ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

Adam Mickiewicz.

XXXIII.

Dobra służba.

Kiedy na Maćka czas przyszedł w świat iść i w życie, tak mu matka rzekła:

Byłci to raz u nas jeden stary i opowiadał, że jest kędyś jakaś wielka pani, co u niej najlepsza służba. Gadał, że u niej wiek zbył, nigdy troski ni trwogi nie zaznał. To też wyglądał krzepko i zdrowo, odziany był i obuty, na gębie czerwony — a wesół i rad sobie, że ochota była nań patrzeć, a uciecha z nim pogwarzyć. Pytałam go, jak się owa pani zwie i gdzie panuje — to rzekł: Idźcie prosto, krzyne pod górę, to ją znajdziecie. I tyle — zazdrosny był — nie pouczył lepiej.

Takci, synku, to powtarzam: idź prosto, krzyne pod górę i szukaj, a po drodze się rozpytuj i służby próbuj, to i znajdziesz. Ino unikaj, gdzie się biją i gdzie piją i gdzie wiele obiecują i gdzie wiele złota dają i gdzie wiele gadają. Z takiej służby to choć wśród nocy uciekaj.

Maciek pani matki usłuchał, rady jej wyuczył się napamięć, odział się, chleba wziął w zanadrze, a kij w rękę. I poszedł odrazu na szeroki gościniec między obcych ludzi.

Z początku było mu straszno, potem ciekawie zaczął się ludziom przyglądać i przysłuchiwać, tym szczególnie, co o służbie i o robocie mówili, a wreszcie i rozpatrywać, czy kto o takiej wielkiej pani nie sły-
szał, u której służąc, trosk ni trwogi się nie zazna i wesóło się żyje.

Za tłumem idąc, przystał na służbę do pewnej pani. Dworzec był wyniosły i błyszczący, a dworzanie mieli trąby i rogi i piszczałki i dęli na jej cześć, ile sił. Nadymali się i czerwienili, by jeden drugiego zagłuszyć i być przeź panią wyróżnionym, a choć jednej służyli, wzajem się nie cierpieli i zażrzeli jeden drugiemu i szpetnie się lżyli, gdy tylko ust trąbą nie mieli zatkanych.

Nie wytrwał Maciek tu długo. Został mu z tej służby wstręt i strach przed trąbą i wszelkiem dęciem i zerwany głos. A jak znowu na gościńcu stanął, to się zamyślił i zawahał: Iść jeszcze i szukać, czy wrócić? Ale tłum go porwał wnet dalej, a on nie czuł się już na siłach iść przeciw tłumowi.

A tłum pchał się znowu do jakiegoś dworca, popychał się i tłoczył. Tylu ludzi razem jeszcze nigdy Maciek nie widział ani tylu i takich robót ani tyle złota. Dworzanie wychodzili z dworca, napęczniali od złota sypało się ono, przelewało, dzwoniło wszędy.

— To dopiero dobra służba! — Ucieszył się Maciek i został i całą siłą w pocie czoła pracować jął.

A gdy dostał wreszcie wiele złota, porwała go chęć jeszcze więcej dostać; a gdy kieszenie napęłnił, miech poszył, a gdy miech napęłnił, w ziemię go zakopał i drugi większy sprawił. I już mu się tak ta służba podobała, że żadnej innej nie szukał.

Nareszcie pewnego dnia złoto zabrał i przekonał się, że więcej nie udźwignie. W pracy też tej, chociaż niby lekkiej, wiele czasu zbył i odpocząć a używać była pora.

Zebrał się tedy, złotem objuczył i na gościniec się wy dostał. Ale tam na skraju siadł i zaczął medytować.

Miał zamiar wstecz się wrócić, odwiedzić po drodze owe dworce znajome, pochwalić się zarobkiem i do matki wrócić.

Ale teraz dopiero ujrzał, że ta powrotna droga stromo w górę szła.

— Jakżeto? — pomyślał. — Miałem iść prosto, krzynę w górę — a otom na dole, a gościniec, jak wąż, się wiję. Kędymto zaszedł?

— Jakże z teni ciężkimi sakwami w górę się drapać? I stai nie ujdę! A żebym je nawet zostawił, to z czymże wrócę, czym się pochwalę? Toć moja dobra służba cała w tem złocie. Toć moje wszystko. I poco wracać? Nie głupim w trąbę dąć. A choćbym chciał, już nie potrafię. Odpocząć mi się chce. Pójdę jeszcze krzynę przed siebie, sam sobie dworzec uczynię i panować będę. Ludzie jeszcze kędyś idą, zobaczę, dokąd.

Dźwignął się i poszedł. Nieznośnie ciężły mu złotem wypchane sakwy, powoli się posuwał, odpoczywał często — (bo i do czegoż miał się kwapić?) — służby i zarobku nie szukał, nic nie potrzebował.

Wszyscy, co z nim tą drogą szli, jak on — się nie śpieszyli, jak on — przeważnie objuczeni byli, zmęczeni, zadumani i milczący. A droga nudna była, płaska i szara, bez żadnych już rozstajów — jedna.

Zdziwił i ucieszył się Maciek, gdy nagle za sobą śpiew posłyszał — aż się obejrzał. Lekkim krokiem i bez żadnego tobołka szedł starzec, krzepki i zdrowy, na twarzy czerwony, z jasnością wesołą w oczach. Pojrzeli na siebie i zagadali:

— Od gór idziecie? — spytał Maciek.

— Z samego szczytu.

— Matczyny mój dom tam przy drodze.

— Znam. Przechodziłem tamtędy razy parę. Prosto stamtąd, krzywą pod górę, do mojej pani idzie droga.

— Jakżeto? Ja na gościniec też wyszedłem i tu jestem!

— Boś na zachód słońca poszedł, a ja na wschód.

— Dobrą miałeś służbę?

— Przejrzyjmy się w źródółku. Stary byłem, jakem cię widział w kołyszce, a dziś ty starzec przy mnie.

— A byłeś tam, gdzie trąbią?

— Byłem; pośmiałem się i odszedłem.

— A byłeś tam, gdzie złoty dwór?

— Byłem; zapłakałem i odszedłem.

— A ja wszędy służyłem.

— Toć widzę po tobie. A teraz wiesz dokąd idziesz?

— Dworzec sobie kupię i panować będę.

— Nijakiego tu dworca do kupienia i panowania niema.

— Do kogoż i poco ty idziesz?

— Ja idę do drugiej wielkiej pani, z pismem od mojej. W mojej służbie czuwanie było obowiązkiem, zasnąć mi się chce spokojnie i długo. List oddam, pościel dostanę. Hej, będę dopiero śnić!

— Niewieleś też nazbierał w tej służbie.

— Dzięki Bogu, lekko mi.

— Pomóż mi sakwy nieść. Nagrodzę ci.

— I bez nagrody pomogę. A co w sakwach jest?

— Złoto! Całe mnóstwo.

— Pocóż je z sobą włóczysz? Ciśnij — będzie ci lekko. Co ci po złocie na tej drodze?

— Bez rozumu mówią! — oburzył się Maciek.

— To dźwigaj! Byś brzemię dźwigał, pomógłbym ci, ale skarb swój sam nieś!

Minął go i tak idąc lekko, że ledwie ziemi tykał, wnet z oczu zniknął. Maciek zgarbiony, znużony, włókł się, głowę zwiesiwszy. Gdy czasem oczy podniósł, widział wciąż przed sobą pusty, szary, senny kraj i szarą, nudną drogę. Ogarniała go coraz większa smętność i obojętność, coraz większe zmęczenie. I oto ujrzał przed sobą dom szary przy drodze i ucieszył się, że tam znajdzie posiłek, napój i gościnę. Już wcale wędrować nie miał siły i zmrok ogarniał świat cały. Ledwo doczołgał się do progu.

Na progu siedziała niewiasta — gospodyni i każdy, kto wejść chciał, z nią rozmawiał. Gdy na Maćka kolej przyszła, podał jej garść złota i rzekł z góry:

— Pańską chcę mieć gościnę i nocleg.

Spojrzała nań i zrobiło mu się straszno od ócz jej zimnych, nieubłaganych.

— Sakwy rzuć! — rzekła.

— Za żebraka mnie masz? Toć złoto jest!

— Sakwy rzuć! — powtórzyła.

— Przenigdy. Zbierałem, by mieć.

— To nieś!

— Chcę spocząć! Noc. Przyjmij! — rzekł już pokorniej, czując, że i kroku dalej uczynić nie może.

Nie odpowiedziała. Mrok gęstniał, chłód ogarniał Maćka, groza nocy, ciemności, pustki, trwoga, bezsilność, rozpacz, osamotnienie.

— Gospodyni, zlituj się — puść w dom swój — spocząć muszę! — zajęczał.

— Sakwy rzuć! — nieubłaganie odrzekła.

— Nie mogę! To wszystko moje! Przeklęta bądź!

Odwrociła nań oczy. Maćkowi zjeżyły się włosy, pot okrył skronie, zimno tych oczu poszło aż po duszę.

— Ratujcie! Ona mnie zabije! Nie dam złota. Ach, pocom je dźwigał?

Ogarnął rękami sakwy, przypadł do nich pierściami i z jękiem przeżenienia poczuł, że się gdzieś stacza, pada, że niema pod nim gruntu, wokoło tchu, przed nim żadnej drogi, tylko czarna otchłań bezdenna, bez kresu, bez światła — Śmierć.

Marja Rodziewiczówna.

XXXIV.

Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmeńdszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła,
Tam, gdzie nigdy nie bywa;
Pot im leje się z czoła,
Cierń im stopy rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i zale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają go wcale.

W nienawiści i kłótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Płaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą.

Adam Asnyk.

XXXV.

Dawne drogi.

„Polski most, niemiecki post, cygańskie nabożeństwo — wszystko to błazeństwo“, powiada Rysiński, pisarz z czasów Zygmunta III, w swoim zbiorze „Przypowieści polskich“. Już to jedno wystarcza do określenia stanu mostów, a co za tem idzie, dawnych dróg naszych.

Istotnie Polska słynęła zawsze z nadzwyczaj złego stanu swoich dróg, na co uskarżali się zgodnie wszyscy cudzoziemcy.

Istniały wprawdzie jeszcze za czasów piastowskich gościńce dla kupców z towarami, istniały i przepisy co do ich utrzymywania w stanie należyty. Ale przepisy te rzadko były wykonywane.

Dobre gościńce liczniej zaczęły ukazywać się u nas dopiero w XVIII wieku. Ale jakże niepodobny był ten gościniec do dzisiejszych szos i trak-tów bitych!

Błot i bagien znajdowało się u nas dość wszędzie, nadewszystko zaś słynęły z nich Pińszczyzna i Polesie. Nie brakło ich jednak i w innych okolicach, a niejedna miejscowość została nawet uwieczniona w przysło-wiach za swe błota: „Łęčno złotem, Szczebrzeszyn błotem, Lublin wi-nem, Kock rabinem słyną“, albo: „Zachowaj, Boże, od polskiego mostu, od kałuskiego błota i od halickiej sprawy“.

Bagna, ciągnące się nieraz na przestrzeni wielu mil, bywały wprost nie do przebycia; urządzano też na nich groble na wzór tam rzecznych, kładąc grube kłody i całe pnie drzewne, a między nie sypiąc ziemię i chróst. Grobla taka umożliwiała przedostanie się na drugą stronę bagna, ale podróż przez nią nie należała do rzeczy przyjemnych. O jeździe wy-godniejszym powozem nie można było marzyć, ponieważ powóz taki roz-padłby się przy podskakiwaniu na grobli.

Każde błoto miało swego djabła, a szczególnie szeroko słynął „piń-ski djabeł“, który zresztą musiał być bardzo rozrodzony, skoro na każ-dej grobelce, na każdym bagienku miał kogoś ze swoich krewniaków, a wszystkie te djabluki tak dawały się we znaki Pińczukom, że aż po-wstało przysłowie: „Jedzie, jak djabeł na Pińczuku“.

Mosty polskie nie miały swoich osobnych djabłów, ale nie o wiele były lepsze od grobli, a przejazd przez nie stawał się częstokroć niepewnym i niebezpiecznym nawet dla trzeźwych. Cudzoziemcy lubili opowiadać, że do przejechania przez most polski trzeba mieć tyle odwagi, co i do przebycia wody najgłębszej bez mostu, gdyż niebezpieczeństwo jest jednakowe.

Pierwotnie jedynym sposobem przebycia rzeki było przeprowienie się łodzią lub tratwą, albo też wbród, to jest w miejscu płytkim, gdzie koń mógł przejść przez wodę bez pływania. Przeprowadzano w taki sposób całe oddziały wojska; ażeby zaś zabezpieczyć się przed jakim wypadkiem, badano bród zawczasu przez wysłańców i oznaczano go tykami.

Dla dawnych rycerzy zakutych w stal, przeprawa wbród była w każdym razie rzeczą dość ciężką, dla wozów zaś towarzyszących wojsku lub handlowych była jeszcze bardziej uciążliwa. Zachodziła więc konieczna potrzeba budowania mostów.

Początkowo robiono wyłącznie mosty ruchome na promach lub tratwach, połączonych z sobą, i dlatego to nie mówiono dawniej: „zbudować“ most, ale: „posłać, położyć, rzucić“. A słano je wyłącznie w miarę potrzeby: w razie jakiej podróży królewskiej, wyprawy wojennej lub tym podobnych wypadków, kiedy znaczna ilość ludzi, koni i wozów ciężarowych musiała przeprowiać się przez rzekę.

Jednak takie czasowe mosty zgoła nie wystarczały dla ruchu handlowego, dla wozów z towarami, które zawsze musiały szukać brodu albo przeprowiać się wprost na tratwach lub promach.

Dla takiego ruchu potrzebne były koniecznie stałe mosty. Zaczęto je stawiać u nas już w XII i XIII wieku, ale przez długi czas było ich bardzo mało i były one przeważnie mniej lub więcej lichy.

Warszawa czekała na most do w. XVI. Nie przetrwał on długo; w r. 1603 został zniesiony przez lody, a że go nie naprawiono zaraz, znikł więc zupełnie. Odtąd Warszawa przeszło 200 lat nie posiadała mostów stałych.

Jeżeli Warszawa musiała tak długo czekać na stały most, cóż dopiero mówić o innych mniejszych miastach, cóż dziwić się, że wszędzie mosty były gorsze jeden od drugiego i że zarówno na nich, jak i na grząskich, wyboistych drogach ówczesnych trudno było odbyć podróż bez wypadku.

Ogromnem utrudnieniem w podróży był brak porządných noclegów. Wprawdzie już w dobie piastowskiej zaczęto u nas zakładać karczmy po wsiach i miastach, w których podróżny mógł znaleźć pomieszczenie dla koni, nocleg i nieco strawy dla siebie. Ale przy znacznych odległościach między ówczesnemi wsiami i miastami niezawsze można było zdążyć na noc do karczmy, a — co gorsza — noclegi w ówczesnych karczmach wcale nie były zachęcające nawet dla dawniejszych ludzi, mniej od nas wydelekacyonnych i mniej wybrednych.

Bohdan Dąkowsk.

XXXVI.

D o m e j k o i D o w e j k o .

(Opowiadanie Wojskiego Hreczechy).

Pamiętam, za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
Oba ludzie uczciwi, szlachta z prapradziadów;
Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
Jeden zwał się Domejko, a drugi Dowejko.
Do niedźwiedzicy obaj razem wystrzelili:
Kto zabił, trudno dociec; strasznie się kłócili,
I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę. —
To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę!
Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
Ja byłem sekundantem¹⁾; jak się wszystko działo,
Opowiem od początku historję całą...

Domejki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica: daj kreskę Dowejce,
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupejko:
Wiwat Dowejko! — drudzy krzyknęli: Domejko!
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

Gorzej było. Raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany
Bił się w szablę z Domejką i dostał dwie rany;
Potem ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu.
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada kto on? odpowie: Dowejko.
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki²⁾:
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąż Dowejki.

Wreszcie, jak na dolótkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blisko siebie obaj imiennicy,
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.

¹⁾ = świadek pojedynku. ²⁾ = dawniejsze odzienie w kształcie surduta, futrem podszytego.

Prawda, że po ich strzale upadła bez ducha,
Ale już pierwiej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób!
Kto zabił niedźwiedzicę? Dojdźże! Jaki sposób?

Tu już krzyknęli: „Dosyć! Trzeba raz rzecz skończyć;
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba się rozłączyć;
Dwóch nas, jak dwóch słońc, pono zanadto na świecie.“ —
A więc do szerpentynek i stają na mecie¹⁾.
Obaj szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
Zmienili broń, od szabel szło na pistolety;
Stają; krzeczmy, że nadto przybliżyli mety;
Oni na złość przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się; śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Obaj tego strzelali. — „Sekunduj²⁾, Hreczecha!“
„Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha³⁾;
Bo taki spór nie może skończyć się na niczem;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym.
Dosyć już mety zbliżać; widzę, żeście zuchy;
Chcecie strzelać się, rury oparłszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę. Zgoda, że na pistolety,
Lecz strzelać się nie z dalszej ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią. Ja rękami memi,
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi,
I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.“ —
„Zgoda!“ wrzaśli. „Czas?“ — „Jutro“. „Miejsze?“ —
[„Karczma Usza“.

Rozjechali się. Ja zaś do Wergiljusza...⁴⁾.
Bo mnie nauczył niegdyś mój przyjaciel Maro,
Że skóra zwierza nie jest ładającą miarą.
Wszak wiecie waćpanowie, jak królowa Dydo⁵⁾
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał;

¹⁾ stają na mecie, tu tyle, co stają do pojedynku. ²⁾ = być świadkiem pojedynku.
³⁾ = posługacz kościelny. ⁴⁾ P. Vergilius Maro, poeta rzymski, autor Eneidy. ⁵⁾ Dydo,
córka króla Tyru, zmuszona uciekać z ojczyzny, przybyła na wybrzeże Afryki i wyprosiła
sobie u króla tyle ziemi na założenie osady, ile przykryje skóra wołu. Król zgodził się
na to, a Dydo kazała pokrajać skórę w cienkie paski i opasała niemi znaczną przestrzeń,
na której zbudowano wielkie miasto Kartaginę. Wojski pomylił się, mówiąc, że wyczytał
to w dziełach Wergiljusza, bo opisu tego, chociaż Wergiljusz wiele mówi o Dydonie, niema
w jego Eneidzie.

Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porznętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
„Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,
Lecz póty was nie puszcę, aż się pogodzicie.“
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanielji, z Statutów ¹⁾ dowodzić
Niema rady: śmiali się i musieli zgodzić.

Spór ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił;
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę;
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali: Niedźwiadek.

Adam Mickiewicz.

XXXVII.

„El mole rachmim ²⁾...“

To było na podwórku żydowskiego domu
W letni wieczór. Dostałem się tam pokryjomu.
Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.
I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni,
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galerji pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie dwie akacje marły na suchoty.
Niebo od gwiazd błyszczało, jak szabaśnik ³⁾ złoty;
Obłoków nie plamiła nawet chmurek wełna,
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.
Icek stał pod szkarłatnym, starym baldachimem,
W odświeżonych sukniach, światłem obłany i dymem.

¹⁾ statut = zbiór ustaw. ²⁾ hebr.: Boże, pełen miłosierdzia. ³⁾ = świecznik wiszący, w którym zapalają świece w szabas.

Tłum składały powszednie postaci z ulicy,
Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy:
Tandeciarze, faktorzy, przekupnie, tragarze;
Gorączka rozpalala brodate ich twarze,
A złościło je światło woskowych hawduli
(Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
Jak w plecionym z błyskawic mieczu archanioła).
Chwilami nakształt kłosów chyliły się czoła.

Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
Nie kapłan, lecz człek zwykły — bardziej tylko błądy
I smutniejszy od innych — wzrokiem wodząc wkoło,
Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesołą,
Dwu chłopców kędzierzawych wtórzyło jej krzykiem,
A tłum cały szemraniem pół-rzewnem, pół-dzikiem.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną
I poważny na śmieciach, jakby przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego:
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak — wiary i mienia.
Próżno od blasków nowiu i od świec płomienia
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno;
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Nagle śpiew ucichł. Rzekłbyś, że rozwiął się wdali.

Otwarto z traskiem okna od weselnej sali,
Kędy oblubienica pośród niewiast grona
Siedziała, płacząc. Chazan.¹⁾ wzniosł nad nią ramiona —
(Chazan o skrzących oczach, z patriarchy brodą) —
I wspomniał o jej ojcu, który umarł młodo
I którego dziś brakło przy rodzinnem święcie...
Płacz na to powstał wielki, a on przy lamencie,
Przy niewieścich szlochaniach i łamaniu dłoni
Zawiódł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni:
„El mole rachmim...”

Naprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozważi wstrzymywany siłą;
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą.

¹⁾ hebr.: obrzędowy śpiewak żydowski.

Potem, przesiąkłszy smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskiecie wiarę i nadzieję,
Rosła w moc i porwana zamętem boleści
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miljona
Stała się głośną płaczką i z bólu szalona
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarłały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa!...
Już jej nic nie więziło; rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną;
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, wtył zsunawszy czapkę,
Ciekło potem. — Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skałą;
Szkło jej źrenic, napoły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem,
A kiedy chazan wspomniął świętą Jeruzalem,
Matkę, która, choć zdala białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci,
Gdy wspomniął bezlitosne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo,
I szczęście utracone na zawsze, na zawsze —
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szął rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem,
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem...

Słuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem;
I ci ludzie, skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrosli w mych oczach i — wyszlachetnieli.

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka ani Icka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy,
I stałem się, jak człowiek, co... na jawie marzy.

Podwórko... nie, to była już kwietna dolina,
Kędyś, u stóp Libanu, co się w niebo wspina

I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał.
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem.
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu ¹⁾ i szafranu,
Strumień, jak wąż, rozwijał srebrnołuskie sploty —

A gwiazdy tak błyszcząły, jak szabaśnik złoty...

Wiktor Gomulicki.

XXXVIII.

N a d N i e m n e m.

Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, kiedy nad Niemen przyszła para ludzi. Niewiadomego byli oni nazwiska, niewiadomej kondycji ²⁾ i to tylko można było poznać i z mówienia ich i z ubioru, że przyszli z Polski. Dla jakiej przyczyny porzucili swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali — zarówno niewiadomo było. Kiedy spotykający ich ludzie pytali ich o nazwiska, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona „Jan“ i „Cecylja“. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują, mówili: „Szukamy puszczy“. Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod Bożem okiem. Całej pewności co do tego niema, ale takie o nich chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak, jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospółstwie bywa, a ona, czyto szła, czy stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem, wszystko jedno; dość, że nietrudno znaleźli to, czego szukali.

Cały kraj zalegała podówczas nieprzebyta puszcza, w której Pan Bóg nasiał coniemniara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad. W jednych miejscach nad jeziorami i nad rzeczułkami siedzieli rybaki i bobrowniki; w inszych, tam, gdzie stały lipowe lasy, pszczelniki miód i воск pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król nakazał, aby dla niego hodowali sokoły, i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami; a inszych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posyłki jemu sprawiali, i dla tej przyczyny mieli oni nazwanie bojarów czyli ludzi wolnych.

¹⁾ nard = roślina, z której uzyskiwano w Judei kadzidło. ²⁾ = stanowisko, stan.

Jan i Cecylja, wzdłuż puszcę przeszedłszy, poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów, ale nigdzie tak się im nie podobało, jak tutaj nad brzegiem tego Niemna. Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym Bożem okiem pozostawać. ✕

Nie było wówczas na tem miejscu żadnego kawałka zoranej ziemi ani żadnego ludzkiego plemienia. Jan i Cecylja upatrzyli sobie miejsce, gdzie podtenczas stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła ukryć byłoby można, i pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę czyli numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Odrazu innej zbudować nie mogli.

Lepiej mówiąc, on zrąbywał drzewa, oprawiał kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała ryby, doila bawolicę, którą on rychło sobie obłaskawił, naprawiała odzież. A gdy wieczór przyszedł i on położył się pod dębem z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie, śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała i ręce z początku miała takie białe, jak lilje.

Ale krótko tego było, bo pracując ciężko w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach i tak wyrosła, zmęźniała w sobie, że podobną stała się do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmiłsze.

Č Często nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że innym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak, jak teraz, ale okropnie dziko... Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedzi, dzików i wilków, w gałęziach czały się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokimi skrzydłami łopotały krzywodziobe orły. Nocami wyły puszczyki, a po drzewach wieszały się rysie w ciemności oczami, jak latarniami, świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napełniały zacisznosci leśne grzmotem kopyt i przeraźliwym rżeniem. Nad rzeką i na wszelkich mokrych miejscach legło się mnóstwo obrzydłych żab, węzów i jaszczurek.

Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo. Dość, że znieśli i przemogli. Prawda i to, że wiele rzeczy i stworzeń podtenczas człowiekowi do pomocy stało. Narzędzia do wszelkich robót i myśliwstwa przynieśli z sobą albo różnym sposobem zrobili sobie dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby, do rzeki po napój przybiegały jelenie, danielle i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek, a u dołu skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun, w wodach mieszkwały wydry i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale tu niema.

Bywało tam ciężko i mile, straszno i bezpiecznie. To tylko jest pewne, że nacierpieli się nadmiar; głodu, chłodu i strachu najedli się do sytości; wiele razy od upału i mozołu skóra z rąk i nóg im złaziła, a od wiatrów i mrozu pękające bąble obsiadały ciała.

Może dwadzieścia lat minęło im w tej męce, aż po puszczy puścili się pogłosy o tej parze ludzi, że przemyślnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasiali i inszych różnych roślin nasadzili; że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodzi; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, jakich na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się, jak też tam czyniły się takie cuda... A jak raz przyszli, to już na długo przy nich ostawali, przypatrując się różnym, do tego czasu niewiadomym dziełom i przemysłom. Niektórzy prosili się, aby ze wszystkim już ostać przy nich dla wspólności i pomocy, ale Jan i Cecylja wprędce doczekali się rodzonych pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wychodowało nad brzegiem tej wody, w cienistościach tej puszczy, pod okiem jednego Boga.

Jeden z tych synów pojął sobie żonę u rybaków, drugi ją wybrał pomiędzy sokolnikami, trzeciemu przeznaczenie dało bojarkę, czwartemu bobrowniczkę, piątemu pszczelarkę, a szósty, handlując rybami, do których łapania wielką miał ochotę, przywiózł sobie towarzyszkę aż z miasta Grodna. Skąd synowie pojbowali żony, stamtąd przybywali i mężowie dla córek i poślubiwszy je, nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budovali chaty, a tnąc las coraz dalej, uprawiali pola.

Ośmdziesiąt lat, a może i więcej, przeminęło od tego dnia, kiedy Jan i Cecylja pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili.

Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwy dzieją się gdzieś, w kraju litewskim, w najgłębszej puszczy, tuż nad samym brzegiem Niemna. Panował podtenczas król dwoma imionami: „Zygmunt i August“ nazwany. Zapalczywy był myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobiono, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Zmiarkował zaraz, że od Knyszyna do tego miejsca, o którym jemu ludzie rozpowiadali, droga była niebardzo daleka. Łowczym na apel zatrąbić, a panom jechać za sobą rozkazał i puścił się w drogę.

Jechał i jechał, jechał i jechał, a panowie za największym z panów jechali, aż tu raptem zobaczyli jakby koniec puszczy. Drzewa rzedniały i rozstępowały się, jakby jadącym z drogi ustępując. Król spojrzał przez te otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

— Hej! hej! Waszmość panowie, widzi mi się, że ktoś tu dla mnie nowe królestwo gotuje!

Aż tu wszyscy, wyjechawszy z lasu, stanęli, oczom własnym wiary

nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głu-cha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, teraz leżała wielka równina, żółtością ścierniska, po zżętem zbożu pozostałego, okryta. Na ściernisku stały sterty wszelkiego zboża, sto par wołów orało pod przyszły zasiewek, a wśród pola na gładkich łąkach hasały stada obłąskawionych koni, pały się trzody krów ryżych i białych owiec.

Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotały wielkimi skrzy-
dłami, lipowe gaje rozlegały się od brzęczenia niezliczonych rojów pszczel-
nych, a w olszynach i brzeźniakach na wszystkich gałęziach wisiały, jak
czapki, gniazda gawronie.

Sto domów przedzielonych ogrodami sznurem wyciągało się wpo-
dłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotych dy-
mów podnosiło się wprost do nieba. Na jabłoniach i śliwach liścia widać
nie było za czerwonością i liljowością owocu, po zielonych trawach suszył
się len i bielili się sztuki płócien, w chatach krosna stukały, przed cha-
tami na gałęziach i płotach wysychały ufarbowane przedziwa wełny, a na
dachach dojrzewały żółte, ogromne dynie. Ptactwo domowe, ziemne i wo-
dne, grzebało się w piasku lub z hałasem leciało nad rzekę, od której
powracający rybacy wychodzili z za góry, niosąc po kilku sieci i niewody
z rzucającemi się w nich rybami. Co do rzeki, tej, jako w dole płynącej, król
zdala zobaczyć nie mógł, ale rozpoznał, gdzie ona płynęła, po wysokiej
piaszczystej ścianie, nad którą stał bór przez nikogo jeszcze nieruszany.

Król jechał naprzód, oglądając się wokół i wesoło dziwić się wszyst-
kiemu, co tylko obaczył. Młody był podonczas i tylko co na tron swój
wstąpił. Koń był pod nim arabski, ognisty, z rzędem kapiącym od złota
i drogich kamieni. Nad czołem królewskim świeciło na kołpaku brylan-
towe pióro, a drogie purpury i gronostaje spadały z królewskich ramion
aż prawie po końskie pętlíce. Wokół niego i za nim jechali hetmani,
senatorowie i inni panowie, a każdy z koni, które pod sobą mieli, pię-
kniejszy był od drugiego, a od kolorów ich szat i drogocенności siodła aż
ćmiło się w oczach. Za nimi jechali sokolniki, na dłoniach trzymając
zakapturzone sokoły, pieściwe pазie z różami na licach, hardonosa służba
i bystrookie strzelce.

A łowczowie złotne trąby wciąż do ust przykładali i rozgłosnem gra-
niem rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niem-
nowi i aż zaniemeńskim głębokościom boru...

To też ze stu domów i ze stu ogrodów, z pola, z łąk, z rzeki po-
zbiegali się wszyscy ludzie, patrząc na niewidziane rzeczy i nie lękając
się prawie, tylko podziwiając i oczekując, co z tego będzie. A król ich
zapytuje:

— Czy jeszcze żywie rodziciel was wszystkich ?

— Żywie i w zdrowiu przebywa — odpowiedział najstarszy syn Jana

i Cecylji, który przed króla wystąpił, sam już zmarszczkami cały poorany i siwy, jak gołąbek.

— A rodzicielka czy żywie? — pyta znów król.

— Żywie i w zdrowiu przebywa.

Król podonczas rzekł:

— Radbym na nich spojrzeć.

Wedle królewskiego żądania wnet stać się musiało.

Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuczki i prawnuczki wyprowadzili parę rodziców. Więcej niż stuletnie te starce szły same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych lnianych sukniach, by dwa gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze, w długim kiju oprawionym; ona, zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy, głaskała biegnącą przy niej sarenkę.

Kiedy już wobec króla stanęli, wszyscy zdumieni się, bo król, kołpak swój zdjawszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

— Ktoś ty, starcze? — zapytał Jana. — Skąd przyszedłeś? Jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, śmiało odpowiedział:

— Przyszedłem tu od stron onych, któremi przepływa Wisła; nazwisko moje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niska była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem, ale oto ta małżonka moja z wysokiego domu zestąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać.

Odpowiedź tę posłyszawszy, król myślał długo, aż odwróciwszy się do panów, co wokół zgromadzeni byli, rzekł:

— Dufam, że waszmościowie uprzejmie pochwalicie, a przyszły sejm sprawiedliwie zatwierdzi dekret, który zaraz chcę tu ogłosić.

Panowie, myśl królewską odgadując i potakując głowami, razem krzyknęli:

— Inaczej nie może być, miłościwy panie! Sami tego żądamy i o to waszą królewską mość upraszamy.

Wtedy król odwrócił się do Jana:

— Ty, starcze, według własnego żądania bezimiennym останiesz i jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzętom odebrał, zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, żeś piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając, przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom aż do najdal-

szych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego nadaję nazwisko, od bohaterstwa twego wywiedzione.

Tu z prawicą wyciągniętą nad zdumiałym ludem król doniosłym głosem wypowiedział:

— Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw, stanowi rycerskiemu odpowiednich, odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest zębem głową na złotym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał zębra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole...

Taka jest historia fundatorów rodu Bohatyrowiczów, którzy nad Niemnem okolicę czyli wieś szlachecką zamieszkują.

Eliza Orzeszkowa.

XXXIX.

Ś w i t e ź.

Ktokolwiek będziesz w nowogrodzkiej stronie,
Do Płuzyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka, jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżycy.

Niepewny, czyli szklana z pod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina:

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

6
Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;
Lecz, żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą! —
Drzę cały, kiedy bają o tem starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz wśród wody gwar, jakoby w mieście:
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? Różni różnie plotą;
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradiady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemysłał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiem robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czółna i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyną.
Dano więc na mszę w niejednym kościele,
I ksiądz przyjechał z Cyryna.

Staął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił.
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.
Prężą się liny, niewód idzie zcicha,
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek wycierzy...
Powiemże, jakie złowiono straszycło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże. Nie straszycło wcale:
Żywa kobieta w niewodzie!
Twarz miała jasną, usta, jak korale,
Włos biały, skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży, a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wraz-byście poszli w głębinię;¹⁾
Lecz, że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie —

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz, żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świtez, i w sławne orężem ramiona
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona,
Kwitnęła przez długie lata.

¹⁾ od: głębinią = głębina.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury;
Przez żyzne wskroś okolice
Widać stąd było nowogrodzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężnem wojskiem car z Rusi;
Na całą Litwę wielka spadła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:

„Tuhanie! W tobie obrona stolicy,
Śpiesz — zwołaj twe towarzysze!“

„Skoro przeczytał Tuhan list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhan stanie i ręce załamię
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: „Jaz własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsieczy?
Wszak wiesz, że Świtez niema innych szańców
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córzy i żony?“

— „Ojcze, — odpowiem — lękasz się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła;
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam Jego anioła.

„Okrzyzył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry
I rzekł mi: — Póki męże za granicą,
Ja bronie żony i córzy.“ —

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni.
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdała, szczęk i tętent koni
I zewsząd straszny wrzask: „Ura!”

„Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! — wołają — zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali!
Ach! Zginmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali!”

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,
Przynoszą żagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!”
Broniłam, lecz próżny opór...
Kłęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia... Czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy?
„Panie! — zawołam — nad pany,

„Jeśli nie mogę ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagam u Ciebie!
Niechaj nas lepiej Twój piorun wystrzela
Lub żywych ziemia pogrzebie!”

„Wtem jakaś białłość nagle mnie otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną;
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi niema pode mną.

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła?
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą,
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnej obraży,
Jej barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Doświadczył tego car i jego zgraja.
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecicie —

„Kto tylko ściągnął do głębinę ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary;
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa cary.”

To mówiąc, pani zwolna się oddala,
Topią się statki i sieci,
Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni;
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słychać o niej.

Adam Mickiewicz.

XL.

Ołtarz Wita Stwosza w kościele N. P. Marji w Krakowie.

Wit Stwosz urodził się około r. 1435; gdzie, dokładnie niewiadomo.
Umarł w r. 1533.

Najwcześniejszem znanem jego dziełem jest ołtarz w kościele N. P. Marji w Krakowie. Jest to jego praca największa, a zarazem jedno z największych dzieł średniowiecznej sztuki.





Ołtarz marjacki przedstawia się jako olbrzymi tryptyk i zajmuje całą szerokość prezbiterjum kościoła. Zbudowany i rzeźbiony jest z drzewa, a następnie malowany i złocony. Całość składa się z predelli¹⁾, ze środkowej kompozycji głównej, umieszczonej w szafie tryptyku, w której mieści się grupa figur nadnaturalnej wielkości; ze skrzydeł ruchomych, pokrytych płaskorzeźbami, a wreszcie z zakończenia ponad szafą, które tworzą trzy baldachiny z grupami. Oprócz skrzydeł ruchomych mieszczą się ukryte poza nimi drugie nieruchome, widoczne tylko wtenczas, gdy szafa jest zamknięta; i te również pokryte są płaskorzeźbami. Wszystkich płaskorzeźb na skrzydłach zamkniętego tryptyku jest dwanaście. Treścią odnoszą się do życia N. P. Marji i do męża Zbawiciela.

Ażeby lepiej poznać na obrazie twórczość artysty, przyjrzyjmy się najważniejszej, środkowej scenie. Na sam przód wysunął artysta N. P. Marję, a tak ją przedstawił, że widać Jej brak sił i zanik życia; ręce nie mogą się utrzymać i ułożyć do modlitwy, i mamy to uczucie, że postać runęłaby bezwładnie na ziemię, gdyby nie wysoki i silny Apostoł, który ją bez natężenia podtrzymuje. Grupę tych dwu osób, pełną wdzięku, skomponował rzeźbiarz z wielkim artyzmem: Matka Boska klęczy w profilu, a podtrzymujący Ją Apostoł z brodą stoi naprost. Jest to zatem zespolenie dwu różnych układów, nad którymi wznosi się postać trzecia w profilu, stojąca z pochyloną głową i rękoma założonemi nad czołem w żalu i rozpacz. Ręka lewa wysuwa się śmiało naprzód i z taką pewnością artystycznego efektu²⁾, jakiego przed Stwoszem nie widzieliśmy. Grupy tej, z trzech figur złożonej, dopełniają dwie głowy. Przypatrują się one z za ramion Apostoła, podtrzymującego Matkę Boską, Jej spokojnej śmierci.

Na prawo widzimy cztery figury. Postać najbliższa Matce Boskiej, zapewne św. Jan, nieco pochylona wtył, podnosi szatę, aby nią obetrzeć łzy. Trzej inni obok niego Apostołowie patrzą w górę, jakby mieli wizję³⁾ Wniebowzięcia. Grupa ta łączy akcję dolnej części z górną. Jeden z Apostołów na przodzie, na prawo, trzyma kadzielnicę; na lewo, najbliższy Matki Boskiej, zapewne św. Piotr, ma książkę w ręku i czyta modlitwę za konających; w lewej ręce miał widocznie kiedyś gromnicę, której dziś brak. Dalej na lewo stojący Apostoł prawą ręką podtrzymuje wspartą na kolanie kropielnicę z wodą święconą. W głębi widać w profilu pół figury Apostoła, który zdmuchuje dogasającą świecę; policzki jego wydeły się silnie. Na samym lewym brzegu kompozycji uwydatnia się tylko głowa zamyślona i pełna smutku. Cała ta scena przedstawia moment, w którym dusza Matki Boskiej dobywa się z ciała, aby połączyć się z Chrystusem. Wszystkie figury mają układ jak najróżnorodniejszy; część z nich

¹⁾ = część między ołtarzem a szafą. ²⁾ = działania, skutku. ³⁾ = widzenie.

na drugim i trzecim planie mieści się na wyższem podjum, aby je można było uwydatnić; przytem wiążą się one z figurami pierwszego planu w jedną naturalną, a przecież z artyzmem obmyślaną kompozycję.

Wniebowzięcie — to grupa złożona z dwu osób pięknych, idealnych i — w przeciwstawieniu do figur dolnych przykrótkich — o wydłużonych kształtach, zapewne dla uzmysłowienia wzlotu. Zresztą obie figury przedstawił Stwosz jako nadziemską wizję. Madonna złożyła ręce do modlitwy przed Bogiem, a wreszcie lekko przysuwa się do Niego, jako do syna. Chrystus podtrzymuje jej szaty, jakby zabierał Ją do nieba. U stóp Jej i po bokach aniołowie, dalej anioł grający na organku, a na prawo również anioł, zwracając się ku grupie Apostołów, wskazuje im zjawisko. Wszyscy anieli w locie, pełni siły i chęci służenia Wniebowziętej.

Cała przestrzeń jest ściśle wypełniona, a promienie złociste padają od wznoszącej się grupy i urozmaicają w ten sposób miejsce wolne, niezakryte aniołami.

Nad całą tą kompozycją wznosi się baldachim, a zamyka ją śmiało zatoczony łuk renesansowy. U baldachimu iglice ozdobione są przypartemi i stojącemi w różnych pozach figurkami męskimi. Iglice na przedzie są wygięte i zlewają się w półksiężyc. Wnek okrągłego łuku wypełniają figurki, wznoszące się na filarach i pod baldachimami, które to baldachimy są zarazem podstawą następnych figur. Figurki są bardzo pięknie skomponowane i w pełnych różnaitości pozach. Wszystkie zwracają się twarzami ku ścianie głównej. Również wnęki narożników szafy wypełniają także same postacie. W samych narożnikach mieszczą się grupy złożone z dwu figur, przedstawiających Ojców Kościoła.

Predella przedstawia drzewo genealogiczne Jessego, na którem mieszczą się figury w różnych pozycjach i w różnie ułożonych draperjach.

Wartość artystyczna ołtarza jest wielka; jest to jedna z najpotężniejszych kreacyj wieków średnich.

Ołtarz ukończono w roku 1489.

Feliks Kopera.

XLI.

C h o r o b a.

Tego dnia niepogoda była ohydna. Padał deszcz pomieszany z śniegiem i rano było tak ciemno, że Kazik pił pierwsze śniadanie przy świetle. Parzył sobie usta herbatą, gdyż ze wstawaniem ociągał się do ostatniej chwili, potem strasznie długo ubierał się i gdy wreszcie przyszedł do stołowego pokoju, było już pół do ósmej. Do wyjścia z domu pozostawało zaledwie pięć minut czasu. Z ponurą miną zasiadł przy stole i, pijąc śniadanie, równocześnie gorączkowo przerzucał kartki w gramatyce łacińskiej, którą oparł o cukierniczkę, aby mu dogodniej było czy-

tać. Wiedział, że na pewno dziś będzie odpowiadał z łaciny i z tego powodu postanowił był nawet o godzinę wstać wcześniej, niż zwykle, bo rozumował, że „rano, na świeżo“ będzie mu łatwiej nauczyć się lekcji, niż wieczorem. Tak się jednak fatalnie złożyło, że jak na złość zasnął i wstał znacznie później. Nadomiar złego łacina była pierwsza i na to, żeby podczas pauzy choć coś przeczytać, nie można było wcale liczyć. Był jeszcze niewyspany, litery tańczyły mu w oczach, wkońcu to tylko zrozumiał, że już ani starej lekcji nie powtórzy ani nowej się nie nauczy. Melancholijną jego zadumę przerwał głos matki:

— Kazik, bo spóźnisz się. Już dziesięć po pół do ósmej!

— Niech mi mamusia da dziesiątaka na zeszyt — odezwał się grubym, chrapliwym głosem.

— Jak ty mówisz?

— Bo ja mam chrypkę — odparł, nadymając gardło, aby pogrubić głos jeszcze bardziej.

— Nie masz wcale chrypki — odezwała się ostro matka — i proszę cię, nie udawaj. A na zeszyt dostałeś wczoraj.

Wnioskując z tej odpowiedzi, że jego sprawa jest już na całej linii przegrana, Kazio manifestacyjnie zimno pocałował matkę w rękę i ruszył do przedpokoju po płaszcz. Gorycz napełniała mu duszę. Bo to, że był chory, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: przedewszystkiem już wczoraj wieczorem nie mógł się wcale uczyć, oczy go tak bolały, że liter nie widział; następnie postanowił obudzić się o godzinę wcześniej, a tymczasem zasnął, no i wreszcie, kiedy się obudził, było mu strasznie zimno. To wszystko były symptomy jakiejś naprawdę poważnej choroby. Może tyfusu lub ospy. Na ulicy odwinął kołnierz od płaszcza naumyślnie, aby mu śniegu napadało, rozpiął później cały płaszcz i przystanął przed wystawą sklepową. Ze smutnych rozmyślań zbudziło go nagle dość silne uderzenie w bok. Odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą kolegę, Jasia Zielińskiego, którego w gimnazjum nazywano Harbuzem.

— Chodź prędko, bo już bardzo późno — zawołał Harbuz, ciągnąc go za rękaw.

Kazio machinalnie przyspieszył kroku.

— Czegoś ty taki smutny? — dopytywał się go kolega.

— Chory jestem.

— Wielka rzecz! Ja, — roześmiał się Harbuz — ja także chory, a nie sobie z tego nie robię.

I z triumfującym uśmiechem wyciągnął z kieszeni kawałek żółtawej, pomiętej materji. Był to plaster używany do łagodzenia kaszlu.

— Kazali mi to na piersiach nosić, — ciągnął — ale już nie noszę, bo nie cierpię tego.

— Ty nie byłeś naprawdę chory, a ja jestem.

— To wróc do domu i połóż się do łóżka.

— Stąd będę wracał?

Zbliżali się do gmachu gimnazjalnego.

— Wielka rzecz!

— Za daleko.

— Powiedz, że się boisz.

Kazio poczerwieniał. Na taki argument należało właściwie odpowiedzieć silnem uderzeniem pięści. Ale niepodobna bić się na ulicy, prawie że tuż koło gimnazjum. Ratując honor, odparł z rozpaczliwem postanowieniem:

— Wrócę.

— Masz, lecz się — roześmiał się Harbuz, wtykając mu swój plaster do kieszeni płaszcza.

Nieśmiało, pocichutku zadzwonił do drzwi mieszkania i kiedy służąca otworzyła mu, wszedł do pokoju z głośnym płaczem. Matka spojrzała na niego przełęczniona.

— Cóż ci się stało?

— Taki jestem chory, — wykrztusił słumionym od płaczu głosem — tak mnie głowa strasznie boli, że nic nie widzę.

Matka położyła mu rękę na czole.

Kazio miał czoło zaczerwienione, ponieważ — idąc po schodach — tartł je bezustannie, zawczasu przewidując owe domowe oględziny lekarskie, ale niestety na nic się to nie zdało. Czoło pozostało chłodne.

— Przyznaj się odrazu, żeś nie nauczył się lekcji.

— Mama zawsze... — jęknął zbolalym głosem.

— Idź do swego pokoju!

— Ja naprawdę jestem chory.

— Zostaniesz na diecie.

Kazio poszedł do swego pokoju, ale pomimo, że udało mu się plan swój w całości przeprowadzić, humoru nie odzyskał.

Wśród posępnych myśli siedział sam, bo matka nie zjawiała się jakoś. Był nie tylko ciężko chory, lecz także opuszczony. Łzy zakreśliły mu się znowu w oczach. Sięgnął po chustkę do kieszeni płaszcza, aby je obetrzeć, i nagle natrafił ręką na plaster, który mu wetknął Harbuz. Poczerwieniał z oburzenia, gdy wtem błyskawica genialnej myśli rozświeciła mu mózg. Uśmiechnął się triumfująco.

Szybko rozebrał się i układał się do łóżka. Potem starannie rozprostował pomięty plaster i przykleił go na piersiach. Po pewnym czasie, gdy go ciało poczęło swędzić, przeniósł plaster na plecy. Kilkakrotnie z uśmiechem błógiego zadowolenia powtarzał tę operację, aż wreszcie osiągnął zamierzony skutek: miał piersi i plecy pokryte drobną, czerwoną wysypką.

— Teraz przekona się mama, czy nie jestem naprawdę chory — mruknął ze złośliwą radością, zacierając ręce.

W jednej chwili odzyskał dobry humor. Niepotrzebny mu już plaster zwinął starannie w gałkę i rzucił na piec. Następnie podbiegł boso do biurka i wyciągnąwszy wielki notes w ceratowej oprawie, zapisał pod odpowiednią datą: „Nie poszedłem do sztuby“, a po chwili namysłu dodał jeszcze: „Harbuz jest błazen“. Notes ten napół zapisany był jednym z najcenniejszych jego skarbów. Zazdrościli mu go nawet koledzy. Na pierwszej stronie, wykaligrafowanej rondowem pismem, mieścił się spis dziesięciu najsilniejszych ludzi na świecie, dalej był tajny alfabet, szereg nadzwyczajnie ważnych wskazówek na wypadek rozbicia się okrętu, wreszcie stopnie, które Kazio na własną rękę dawał kolegom, ile razy odpowiadali z jakiegokolwiek przedmiotu.

Z sąsiedniego pokoju doleciał go nagle odgłos kroków matki. Jednym skokiem rzucił się napowrót do łóżka, przymknął oczy, ręce bezwładnie wyciągnął po kołdrze i skrzywił się niemiłosiernie, chcąc nadać twarzy wyraz najstraszliwszego cierpienia. Ale matka niebardzo się temi zewnętrznymi oznakami choroby przejęła.

— Cóżto, do łóżka się układłeś? — odezwała się ostro.

Nic nie odpowiedział, udając, że śpi.

— Kazik! — podniosła głos zniecierpliwiona.

Wówczas począł się skarżyć piskliwym głosem:

— Mama mi nie wierzy, a ja wszystkim lekcji wczoraj doskonale się wyuczyłem, tylko naprawdę jestem chory. Takie jakieś czerwone krostki porobiły mi się na piersiach i na plecach.

— Pokaż — przerwała mu matka zaniepokojonym tonem, szybko zbliżając się do łóżka.

Dumnym ruchem odsłonił piersi.

Zauważył, że pobladła w jednej chwili, i to sprawiło mu złośliwe zadowolenie. „Teraz mama wierzy, że jestem chory...“ O mało nawet głośno nie wypowiedział tej myśli.

— Obróć się.

Kazio odwrócił się posłusznie. Matka długo, bacznie przyglądała się wysypce. Kazała mu potem usiąść na łóżku i sama zapięła koszulę pod szyję. Ręce drżały jej przytem zlekka.

— Pokaż język.

Kazio niechętnie otworzył usta.

— Język masz czysty i ręce chłodne. Poczekaj chwilę.

Wyszła z pokoju.

Kazio wiedział, że poszła po termometr i miał już gotowy plan działania. Gdy matka założy termometr pod pachę, pocznie pisać, że mu się pić chce, matka wyjdzie na chwilę z pokoju, wówczas on przytknie

prędko termometr do drzwiczek pieca i wszystko będzie w porządku. Radość z odniesionego triumfu psuł chłopcu tylko głód, który mu zaczynał dotkliwie dokuczać. To było najgorsze, że choroba pociągała za sobą przykre następstwa diety i na to już nie było rady. Kazio zasepił się i uczuł w duszy rodzaj żalu do Pana Boga, zato, że — stworzywszy tyle chorób — nie dał ludziom ani jednej takiej, podczas której możnaby jeść wszystko.

Po chwili weszła matka napowrót do pokoju. Pochyliła się nad łóżkiem i Kazio, który znów przymknął oczy, udając gorączkową senność, uczuł nagle na ustach gorący, długi jej pocałunek. Jakieś niewypowiedziane, bolesne uczucie ścisnęło mu serce. Bał się oczy otworzyć.

— Kazik, Kazik — wyszeptwała nad nim matka cicho.

Spojrzał — i stało się w nim coś tak strasznego, że już sam nie wiedział, co. Matka miała oczy pełne łez. Chwycił ją za szyję i tuląc ją gwałtownie do piersi, wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Kazik, uspokój się, dziecko moje — wołała przerażona.

A on tak się rozplakał, że ani uspokoić się ani słowa wymówić nie mógł. Po dłuższej chwili dopiero, ochłoniwszy nieco i nie zważając już na nic, wykrztusił przez łyzy:

— To ja sam zrobiłem.

Włodzimierz Perzyński.

XLII.

Z a r o d z i c ó w.

Bym anielskimi umiał mówić słowa,
By się z słów moich rajskie wiły kwiatki,
Kiedy najdroższe polecam Ci głowy:

Ojca i matki!

Jak drobny kłosek pod słońca promieniem
Wyrasta ziarno do plonu, do życia,
Tak ja z ich miłem na ustach imieniem
Rostem z powicia.

Co wiem, czem jestem, co myślę, czem żyję,
Wszystko mi przez nich objawia Twą chwałę,
Źródło miłości z ich serca mi bije

Na życie całe!

Gdy ojciec dla mnie o kęs walczy chleba,
Gdy matki błysnie uśmiechem twarz błada,
Wtedy Twój, Panie, z błękitów gdzieś, z nieba,
Cień na mnie pada...

Wtedyto chciałbym skrzydłami lotnemi
Za Twoim wielkim podążać przykładem,
Wtedyto czuję, że oni na ziemi

Twoim obrazem!

O, chroń mnie, Panie, bym kiedy złym czynem
Miał ich zasmucić, zasępić ich czoła!

O, spraw, niech czują, że dałeś im synem

Swego anioła!

Marja Konopnicka.

XLIII.

Z życia Ormian polskich.

Do bogatego Ormianina Krzysztofa Bernatowicza Awedyka przysłał razu pewnego król Władysław IV z zapytaniem, czy wygodziłby na cele wojenne królowi 100.000 dukatów. Bernatowicz zapytał krótko, jakiemu pieniądzu chce Pan Miłościwy, ażeby mu wypłacił tę sumę: złotemi, srebrnemi czyli też miedzianemi? Odrzekł na to król, że przyjmie ją we wszystkich trzech gatunkach pieniądza. W krótki czas potem wyliczył Bernatowicz królowi sto tysięcy dukatów w złocie, potem po raz drugi sto tysięcy dukatów w srebrze, a wreszcie po raz trzeci tę samą sumę w pieniądzach miedzianych.

Wogóle Ormianie, którzy od wieków, uchodząc ze swojej przez Turków ujarzmionej ojczyzny, przybyli do Polski, przezornością i pracowitością doszedłszy do bogactw, stawali się wiernymi synami przybranej ojczyzny. Służyli jej swą obrotnością i dokładną znajomością krain wschodnich, na jej potrzeby składali grosz swój zapracowany i na polach walki krew swoją za nią przelewali.

Daleka, pod obcem jarzmem jęcząca Armenja stała się dla nich matką światłości, odległą, w tęsknych snach jeno się objawiającą. I dlatego każdy wysłannik patriarchy ormiańskiego z Eczmiadzynu¹⁾ witany był po wszystkich miastach, gdzie tylko osiedli Ormianie, z uniesieniem i zapalem.

Przychodził tedy czasami Newiragh, wysłannik patriarchy, w długim, napoły zakonnym płaszczu i wywoływał po ulicach nędzę ormiańskiej ojczyzny, pod obcem jarzmem jęczącej, głosił spustoszenie kościołów i prześladowania. Dokoła otaczali go Ormianie, zadumani, z tęsknotą przypominając sobie kraj macierzysty i wówczas hojnie sypały się ofiary na poratowanie braci, na wspomnienie świątyń, na chwałę apostoła Ormian, świętego Grzegorza Oświeciciela.

¹⁾ stolica Armenji, siedziba patriarchy.

Wśród tłumów ormiańskich o śniadej cerze, krzywych nosach i czarnych włosach krążyli też ustawicznie Anadraci, wiejscy teologowie, którzy za swoje duchowne posługi nigdy i żadnych nie wymagali pieniędzy. I ci głosili chwałę ojczyzny, utwierdzali lud w starożytnych obrządkach, dawali mu amulety, chroniące od złego ducha i sił nieczystych.

Ale największą uroczystością tak w Kamieńcu Podolskim, jak we Lwowie, Śniatynie, Kutach, Jazłowie i gdzie tylko mieszkali „synowie matki światłości“, był przyjazd Wartabieda, uczonego doktora z laską wysoką, trójramienną, który miał prawo orzekać klątwę nawet na biskupów, jeżeli na to zasłużyli. U bram miasta witała go cała nacja ormiańska okrzykami, śpiewaniem psalmów i w uroczystym pochodzie prowadziła do kościoła. A że żywą i ruchliwą była ta narodowość, pochód więc przeobrażał się niekiedy w skoczny taniec, pełen radości.

Sam Wartabied w długim, czarnym płaszczu z ostro wyciętym kapturem, z obnażoną szyją, powoli kroczył do świątyni, a stanąwszy przed ołtarzem, intonował psalmy gregorjańskie, które z nim razem śpiewali wszyscy obecni, pobrzękując przytem metalowemi oprawami ksiąg do nabożeństwa, co czyniło gwar osobliwy.

Po nabożeństwie zabierali się Ormianie ze zdwojoną gorliwością do pracy, a głównie do handlu, który im przynosił bogaćstwa i znaczenie w kraju.

Franciszek Jaworski.

XLIV.

K u l i g.

Z Opatowskiego w kierunku Koprzywnicy i złotopszenicznej niziny Powiśla, wskrósł jedynego na świecie sandomierskiego płaskowzgórza gnał kulig. Łańcuch kilkudziesięciu sań budził całą okolicę radosnym głosem dzwonek, brzękającym łoskotem janczarów¹⁾, trzaskaniem batów na cztery konie, wrzawą okrzyków, hębnów, fujarek, melodją śpiewów i muzyki. Kilkunastu pajuków rwało na folwarcznych szkapach, trzymając w garściach pochodnie, w ślad za saneczkami arlekina²⁾ w czarnej masce, zakopanego w wielkie niedźwiedzie, który na czele orszaku pomykał. Błask złotych ogni w dymie płatami rozdzierających noc, o kilka wiorst na płaszczyźnie widoczny, kładł przed oczy zasy, rowy, urwiska i wskazywał wśród nich przetartą drogę.

Noc była widna, księżycowa, mroźna. Wielkie śniegi, przemarzłe w tęgich urozach, leżały pierzastemi zaspami. Tu i ówdzie wypełniły po brzegi wawóz, których tyle w tamtej okolicy; gdzie indziej zadęły opłotki, a nawet wioszczyny, przytułone do urwisk. Mglistemi kępami,

¹⁾ = brząkadelka. ²⁾ = błazen, trefniś.

drgającemi żywo światełkami, znaczyły się dwory na przyczółkach parowów. Konie po brzuchy zapadały w wywary, roznosiły w puch największe zadmy, które ledwie przeorał arlekin. Kulig nie znał przeszkód.

Tworząc ogromny korowód, leciały sanie najrozmaitsze. Jedne były snyderskiej roboty, pozłacane lub posrebrzane, z czasów jeszcze saskich i stanisławowskich, w kształcie łabędzi z długimi szyjami, w kształcie gryfów i orłów, pozaprzęgane czwórkami w piórach i czubach; inne — zgoła prostackie, ledwie przez domowego cieślę pomalowane lubryką¹⁾ lub na zielono, a ciągnione przez fornalki rozmaitej maści i wzrostu. Zarówno pyszne cugi, jak chabety, z jednaką brawurą i życiem rzucały się w zaspy, niby czółna w fale jeziora.

Radość kipiała w sercach. Kapela, złożona z klimontowskich żydków, rznęła od ucha mazury, oberki, krakowiaki, drabanty. Chwilami porywająca melodia przygasła, jak od zachwytu, co dech zapiera, i tylko z jakiejś głębi, jakby z pod śniegu, dolatywała do uszu i serc. Wtedy odzywały się pieśni.

Rafał, jak większość najmłodszych kawalerów, jechał konno. Klacz szła w pługach, stroiła ogniste skoki. Bawiła się, jak człowiek: to, nastawiwszy uszka i rozdymając nozdrza z chrapaniem, słuchała muzyki, to za nią w żartkich lansadach²⁾ szła, niosąc jeźdźca rozkosznie, jak w kolebce.

On sam był przebrany w strój niby wiejski, krakowski, w żupan granatowy z karmazynowym kołnierzem, lamowany srebrnymi galonami z szychu, w zuchwałą czapkę karmazynową, rogałą, z pawiem piórem. Pas z kółkami pobrzękiwał na nim, a stalowe podkówki trzaskały o strzemię.

Rafał spostrzegł, że cały łańcuch sanek zjeżdża w dolinę rzeki Koprzywianki. Z urwistych brzegów, omijając zadęte wąwozy, sanie pędem zlatywały na dół wśród krzyku kobiet i nawoływań męskich.

W nizinie nad brzegiem rzeki utworzył się istny zator pojazdów i koni. Mostu w tych miejscach nigdzie nie było. Jeżdżono od początku świata wbród. Pierwsze sanie, przebywając rzekę po lodzie, oberwały wielką jego tafłę i ledwo, ledwo wydobyły się z wody. Brzegi rzeczki były spadziste, obmarzłe, nie do przebycia. Jedyne łagodniejsze miejsce zostało zniszczone. Czekano na chłopów z najbliższej wioski. Tymczasem zjeżdżało san coraz więcej. Dwie kapele złączyły się teraz i od ucha cięty zawołanego mazura. Okazało się, że pierwsze sanie wiozą napotkanego w drodze „torunia“ czyli „kłapacza“, t. j. chłopca przebranego za straszdytło z wysoką szyją, jak u żyrafy, i ruchomą paszczką, czerwonym sukniem wybitą. Na wybrzeżu Koprzywianki powstał gwar, zgietk, hałas. Dzwonki, janczary, krzyki, śpiewy, muzyka zlewały się w ogromny wy-

¹⁾ = barwa czerwona. ²⁾ = skoki posuwiste.

buch wesela. „Toruń“ posuwał się zwolna między saniami, kłapiąc dolną zuchwą i nachylając się to tu, to tam.

Gromada chłopów, zwołana przez umyślnych na miejsce, jęła się pracy. Usiłowano przeprowadzić konie i sanki w innym, dostępnem miejscu, ale łód nie wytrzymał. Radzono tedy, co czynić. Jedni utrzymywali, że wypadnie objechać aż na Koprzywnicę, inni byli zdania, żeby się cofnąć w górę rzeki, gdzie jakoby przed laty był jakiś lekki mostek.

— Chłopczy! — zawołał nagle ktoś z tłumu szlachty. — A nam co po moście? Który podejmie się przenieść sanki razem z paniami na drugi brzeg rzeki, dostanie natychmiast czerwony złoty jeden, pojedynczy.

— Zimna woda, jasnie panie! — rzekł pierwszy chłopowina z kraja.

— A ja idę! — krzyknął drugi, ściągając z ramion zwierzchni kozuch.

Po chwili już kilkunastu rozzutych i napół odzianych brało na bary pierwsze sanie. Furmani siedli oklep na wyprężone konie i w drugim brodzie przejeżdżali wodę. Powstał krzyk dam siedzących w saniach, śmiechy i oklaski zgromadzonych na brzegu. Przenoszenie długo trwało. Wkrótce jednak na przeciwniejszej stronie zgrupował się zastęp niemały.

— Zimno! — wołali dźwigający.

— Dalej go! Czerwony złoty na głowę... — zachęcał projektodawca.

— Kapełę nam tu dawajcie! Kapełę! — dopominała się młodzież. — Co tu mamy próżnujący czekać?...

— Pochodni! — nastawały panie.

— Ej, chłopcy pracowite! — ozwał się głos młody — a weźcieno jeden z drugim łopaty, ubijcie nam tu śnieg, a równo, gładko, twardo!

— Mazura!

— Kulig! — wykrzyknął arlekin, podniesiony przez młodzież nad głowy wszystkich.

Żydki urznięty od ucha.

Wkrótce śnieg ubity był twardo i zrównany, niby najdoskonalsza posadzka. Oczekując na przybycie wszystkich, puszczone się w płasy, zatoczono mazura, jakiego świat nie widział.

Matrony i starcy, otaczając koło, przyklaskiwali, a młódź hulała co tchu. Wnet futra, opończe, bekiesze poczęły zawadzać, rzucano więc je w sanie. Hajduki wysoko wznosiły pochodnie i gruby, bujny, migotliwy blask oświecił miejsce. Zabłyśły kółka pasów, barwne kierezje, wyszywane gorsety, białe rękawy koszul.

Stary cześnik przemówił:

— Kto, moścbrodzieju, na mój grunt, dnia dzisiejszego, kto, mówię, na mój grunt nogą stąpi, tego, moścbrodzieju, już nie wypuszczam za granice włości: takie u mnie zdawien dawna *jus terrestre* ¹⁾, dnia dzisiejszego...

¹⁾ = prawo ziemskie.

— A toż tańczymy, sąsiedzie dobrodzieju, na waszym gruncie, aż w całej parafji dudni... — ktoś z boku zawołał.

— Nie wasza to rzecz, mośćbrodzieju, *sub divo*¹⁾ hulać.

— Dlaczego, panie bracie?...

— Dlatego, że to despekt dla szlachcica, mośćbrodzieju. Choć u mnie pod strzechą izdebki, aleć, miłościwe panie i łaskawi sąsiedzi, Bóg widzi, jako się rzekło... Raczcież, — ciągnął — miłościwe mośćbrodziejki, raczcież, sąsiedzi panowie i bracia... zaszczycić...

Był to starzec zgarbiony latami, łysy, z krótkim, mlecznym wąsem i grubą brwią nad wspaniałemi jeszcze oczyma.

Wkoło tańczących wtoczyły się saneczki arlekina i czarna jego maska wynurzyła się na światło.

— Do Tarnin! Kto żyw! — wołał głośno, trzepiąc swą różgą wo-koło, szczególnie mężczyzn blisko stojących. Wszyscy ruszyli się do swoich sanek. Powstał ścisk, gwar, wyszukiwanie i wdziewanie rzuconych futer i burek.

Królował śmiech. Buchnęła w rozmowach bezmierna wesołość. Zakipiały żarty.

Gdy Rafał dopadł wierzchówki i miał skoczyć na siodło, usłyszał głos ojca, który gramolił się do małych saneczek:

— Rwij mi, dnia dzisiejszego, z kopyta do dom i przyjmij na ganku!

Kawaler podciął klacz, pochylił się na siodle i, wymijając pochód, ruszył cwałem. W mig był na ganku. Już tam pierwsze sanie stawały i matka w kontusiku drojetowym²⁾, z siostrami w odświętnych sukniach witała gości, błagała o zaszczytowanie niskich progów. Rafał stanął przy matce, kłaniał się, zdejmował futra, szuby, wprowadzał panie, znosił krzesła. Wkrótce zjawił się i ojciec. Nikt nie mógł poznać starego Olbromskiego, który nigdzie nie bywał i nikogo prawie nie przyjmował u siebie. Dziś stary zmienił skórę. Przybrany w piękny kontusz, Bóg wie, jakie czasy pamiętający, „na opaszki“ wrzucony, w drogi żupan — giął się w ukłonach, muskał wąsa, jak za dawnych czasów, uśmiechał się i sumitował³⁾, prawił komplementy. Gdy wstąpiła na ganek jedna z najważniejszych matron okolicznych, stary cześnik podał jej ramię i z krygami, muskaniem wąsa, oraz odrzucaniem wylotów wiódł ją uroczystie przez tłum, zgromadzony już nie tylko w bawialni, w alkierzach, w ciasnym i niskim izdebkach dworu, ale nawet w sieni, na ganku, w bawkach starych ciotek, sióstr, panien odwiecznych i rezydentek. Cześnik przeproszał swych gości i zaklinał, żeby się bawili, jak mogą.

— Łuczywa nam tylko sąsiad dobrodziej nie poskąpisz! — wołał ktoś z tłumu. — Wyjdziemy na dziedziniec i jak nad wodą, hulaj dusza!

¹⁾ = pod gołem niebem. ²⁾ drojet = materja pół-jedwabna. ³⁾ = usilnie prosić, zaklinać się.

Stary zwrócił się w stronę tego głosu i mówił z pięknym ukłonem, śmiejąc się chytrze:

— Dom ciasny, na miły Bóg, ciasny, mościbrodzieju! Sam to widzę i boleję, ale nieraz tu już krzesano hołubca pod tą strzechą niską za dobrych, starych czasów. Hańbażby to dla mnie, dnia dzisiejszego, była, gdyby na dziedzińcu tak znakomici goście...

Muzyka, ustawiona za oknami, grała krakowiaka i kilka par puściło się w tany. Dla stojących nie było już tam miejsca. Tłoczono się tedy z izby do izby. Służba folwarczna, *ad hoc* poprzebierana w liberyjne ku-braki, roznosiła wino na tacach i domowe ciasta. Gwar rozmów napełnił dom cały aż do ostatniej sionki, gdzieś na ogrody wychodzącej. Było wesoło, ale czuli wszyscy, że o tańcach w tym domu nie może być mowy. To też szeptano pocichu, żeby chwilę jeszcze z grzeczności pobawić i ruszyć dalej dla odszukania dworu większego.

W bokówce, gdzie wisiał obraz Matki Boskiej ze szczerbami ze starości ramami, w bokówce, która zamknęła w sobie niejedno już zapewne długie życie, całkowite od kolebki do grobu, starosta i staroscina kuligu prawili długą orację do gospodyni domu, częstując ją deską, zro-bioną na wzór pszenicznego, sandomierskiego placka.

Wskrós tonów muzyki przebijały się do dalszych izb ledwie strzępy tej mowy:

— Cóż tedy czynić, — wołał starosta — kiedy kogo *astra* necesytowały urodzeniem, iż odjąć się nie może naturze i do wesołej przywyknąć konwersacji. Sili się *ars*, różne *media* i *remedia* podając... Ale *fluctuantur* podczas i same nawet nadzieje, kiedy *tenax propositi* człowiek uchwyci się kresu i portu swego, słusznie naprawdę *gratulari* sobie może...¹⁾

Gwar zagłuszył ciąg dalszy. Ale za chwilę znowu dała się słyszeć rzecz miódopłynna:

— Jakoż prędzej niebotyczne cedry zajadłym czas zębem skosi, prędzej kwitnące zwiędnieją laury, aniżeli rozkwitła w serdecznych wirydarzach²⁾ przyjaźń jakiegokolwiek podpadnie alteracji...

W sąsiednich izdebkach młodzież tańczyła, jak mogła, kręcąc się na miejscu. Zbliżała się już chwila stanowcza i oglądano się na arlekina, żeby wydał hasło do odjazdu. Rzeczywiście przedarł się przez tłum w swej masce, krzycząc i trzepiąc różgą naokół po sprzętach, ścianach i plecach. Stał na środku obszerniejszego pokoju, zatrzymał tańczących i jeszcze raz wykrzyknął, kręcąc się na pięcie:

— Hej! Kulig! Kulig

¹⁾ *astra* = gwiazdy; *necesytowały* = przymusowo obdarzyły; *ars* = sztuka; *media* = sposoby i środki; *fluctuantur* = chwieją się; *tenax propositi* = wytrwale dążący do zamierzonego celu; *gratulari* = winszować. ²⁾ wirydarz = ogródek.

Wtedy stary Olbromski znowu z gracją podał ramię swojej matronie. Muzyka urwała i zgała, niespodzianie, ucięła wspaniałego poloneza. Wszyscy z podziwieniem oczekiwali, co dalej będzie. Cześnik występował z niewymowną precyzją i nadzwyczajnymi ceregielami. Minął jedną izbę, drugą, jakieś alkierze, bokóweczki, sienie, aż wreszcie zatrzymał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami. Tu zarzucił wyloty, musnął wąsa i zagała klasnął w ręce. W mgnieniu oka drzwi się naosćież rozwarły. Oczom idących ukazała się duża, pusta, wysoka i doskonale oświetlona sala. Arlekin wyrwał się naprzód i w podskokach ją przebiegł, wołając:

— Kulig! Kulig!

Pary wkroczyły do wielkiej izby. Muzyka umieszczona w przeciwnych drzwiach zagrała krakowiaka i cały tłum z okrzykiem wesela puścił się w tany. Nierychło spostrzeżono, że jest to prosta, stara kuchnia z piekarnią dla czeladzi, przybudowana w tyle dworu. Cześnik w przewidywaniu kuligowego najazdu kazał ją z sadzy oczyścić, wprawić nową i wywoskować do tańca posadzkę. Ściany zawieszono festonami z jedliny, olbrzymi komin i piec chlebowy zastawiono świerkowemi drzewkami, tworząc z nich pewien rodzaj leśnej altany. Woskowe świece w drewnianych lichtarzach, które przybito do ścian, rzucały rześiste światło.

— Ot, to mi figiel gracki! — wołano ze wszech stron. — To po naszymu! To lubimy! W górę gospodarza! Ot, to prawdziwa niespodzianka! W to nam graj!

Teraz dopiero wyzwoliła się zabawa, co się nazywa. Wszystko, co młodsze, znalazło się w sali i hulać zaczęło. Były tam i modne fraczki i starodawnym krojem szyte kontusiki, głowy w lokach i podstrzyżone. Wszystko mieszało się w tłum barwisty, tkany mnóstwem kierezyj chłopskich, gorsetów i białych, bufiastych rękawów.

Wrzawa uciechy huczała, jak spieniona woda. Zdrowie, młodość i kipiące życie przemieniły taniec w wylew radości. Bawiono się z pełnego serca, hulano z potrzeby dusznej, tańczono w całym znaczeniu tego wyrazu do upadłego.

Stefan Żeromski.

XLV.

„Mors Nigra“.

Jedną z wielkich klęsk, które za czasów panowania Jana Kazimierza Polskę dotknęły, była wielka morowa zaraza (*mors nigra*) w r. 1652.

Pojawiła się ona naprzód w kilku miejscach na Ukrainie, wkrótce po bitwie pod Beresteczkiem. Mówili jedni, że z powodu niepochowanych trupów, które tam wzdłuż drogi do Konstantynowa w liczbie 30.000 leżały; inni twierdzili, że powstała pomiędzy ludem pospolitym z głodu

i nędzy, które od buntów chłopskich w czasie wyprawy heresteckiej coraz bardziej się wzmacniały.

Pomór posuwał się zwolna ze wschodu na zachód. We Lwowie zjawił się w październiku, w Krakowie stanął dopiero w grudniu, a stamtąd rozszerzył się dorzeczem Wisły na północ. Jesień była pogodna, ciepła służyły do Gód¹⁾, a zima, która zwykle mór zmraża, była wilgotna i nie zdołała go powstrzymać. Szerzyła się więc zaraza przez całą zimę bez przerwy, ale słabo i niewiele ludzi zabierała.

Po dworach szlacheckich i w domach zamożniejszych mieszczan trzymano się starych przepisów: czyszczono powietrze kamforą, octem, palono siarkę, używano też driakwi²⁾ weneckiej, służbie dawano cynamon i goździki w wódce, ubogim czosnek i maślankę.

Zdawało się już, że niebezpieczeństwo minęło, kiedy nagle w maju powietrze³⁾ po wielu miejscach odrazu z całą gwałtownością wybuchło i zaraz w początkach tak zaczęło się srożyć, że w Krakowie po 50 żydów dziennie, w samem mieście po 100 chrześcijan, a w okolicy do 250 ludzi tygodniowo umierało.

Na ciele zapowietrzonych występowały czerwone, małe plamki, zwane morówkami, połączone z gorączką wewnętrzną. Ciało było czasem czerwone, czasem sine i krostami narzucane, ale nie zawsze; owszem niebezpieczeństwo bywało największe, jeśli morówki nie ukazały się nazewnątrż. Zresztą poznawano zarazę po ciężkim bólu głowy, po gorączce, skłonności do wymiotów, po ciężkiem oddychaniu, ponurem spojrzeniu, po braku snu, ociężałości i zbytniem spaniu, po guzach pod pachą, wrzodach czarnych i ognistych; to wszystko razem, albo jedno z drugim albo pojedynczo, było znakiem choroby. Lekarze dawali na to szałwię i rutę w occie winnym.

Ale to zwykle nie pomagało. Powietrze srożyło się coraz bardziej. Już handel i pocztę zupełnie ustały; wozy z rozstawnymi końmi, pełne podróźnych z zakrytą twarzą, przebiegały przez zapowietrzone miasta, gospody zamknięto, gromady ludu z opuszczonemi rękami błąkały się po ulicach, nie myśląc o niczem, jak o śmierci.

Wilgotny i gorący zaduch sierpniowy rozniecił zjadliwość powietrza. Każde dotknięcie, każde zbliżenie się do zapowietrzonego było śmiertelne; jabłkiem — jak pisze Albrecht Radziwiłł — można się było zarazić. Umierał lekarz, ksiądz, grabarz, dzwonnik, nie było komu pielęgnować chorych i umarłych chować.

Ludzie padali, jak muchy, stojąc lub idąc na drodze; sam wiatr zdawał się przewracać i zabijać. Nieczysta i brzydka mgła leżała bezustanku na ziemi, a od 15 sierpnia stała się w Krakowie tak gęsta, że

¹⁾ Gody = Święta Bożego Narodzenia. ²⁾ = lekarstwo. ³⁾ = zaraza.

jeden drugiego nie widział. Zdawało się, że dłoń śmiertelnej zarazy przykryła to miasto na znak swojej własności. Trudno było w tej mgle i w tem powietrzu oddychać.

Lud całą masą zaczął uciekać w lasy. Chował się po norach zwierząt, tulił się po puszczech, bojąc się spotkać jeden drugiego. Po miastach, miasteczkach i wsiach stały puste domy otworem, trupy waliły się, jak snopy, a gdy ludzie szukali mieszkań zwierząt, one do miast i wsi na żer ciała ludzkiego się rzucały.

Zbrojne bandy hultajów włóczyły się po kraju po kilku, po kilkunastu, pieszo i na koniach, napadały i rabowały dwory szlacheckie. Żołnierze z poza Dniepru opuścili samowolnie obóz i pod imieniem rozbitków z pod Batoha łączyli się z hultajami, wybierali stacje¹⁾ od chłopów i szlachty, nie dbając na uniwersały królewskie, które na nich 12 lipca 1652 roku wydano. Czyścili powietrze, — jak mówili — paląc dwory, wsi i miasteczka.

Ciągłe deszcze, powodzie i odłogiem leżące, nieuprawione pola dopełniły klęski, której szkód nikt obliczyć nie jest w stanie.

Około 28 października ustąpiło powietrze z Krakowa, a w grudniu w całej niemal Polsce ustało. Ze Śląska, z Węgier, z pod Karpat i ze zdrowych miejsc, gdzie powietrze nie grasowało, zaczęli się zjeżdżać do domu szlachta, księża i mieszczenie rachować stracony dobytek i pomarłych ludzi.

„Dnia 5 lutego 1653 r. — pisze współczesny świadek — była rewizja w Krakowie i na Kazimierzu z rozkazu króla i królowej JMci przez p. Zacherle, aby wiedzieć, ile ludzi umarło powietrzem roku zeszłego. W Krakowie umarło 24.000 (inni twierdzili, że 26.000), na Kazimierzu 2.748 (od adwentu do 9 maja 1652 r. umarło 170, a od 9 maja do 21 września 2.578), na Stradomiu osobno 270, na Pobrzeżu, co ich grabarze chowali, 120, okrom tych, co się sami chowali; także na Błoniu ich nie pisano. Żydów umarło w mieście żydowskiem 3.500, na Kleparzu 3.000 ludzi umarło.“

Ilu ludzi w całej Polsce pomarło, niepodobna obliczyć. Że straty były nadzwyczajne, widać ze słów kanclerza Radziwiłła (*Memoriale* Alb. Radziwiłł. Listopad, 1652.): „Powietrze wszędzie w Polsce grasowało tak, że w niektórych miasteczkach ledwo sto ludzi żywych zostało“. Mianowicie Pokucie, ziemia halicka i chełmska, Wołyń, województwo bełskie, lubelskie, sandomierskie i krakowskie ogromne straty w ludziach poniosły.

Ludwik Kubala.

¹⁾ = powinność żywienia przechodzących żołnierzy.

XLVI.

Dżuma w próbówce.

W zakładzie klinicznym dla bakterjologii ¹⁾ doświadczalnej stało się nieszczęście: jedna z próbówek z kulturami bakcyła dżumy, wzięta na wirówkę ²⁾, pękła i cała jej zawartość bryznęła w twarz laboranta Mateusza.

Przełożony zakładu prof. Kryski struchlał. Przedsięwzięto wprawdzie zaraz wszystkie środki ostrożności; Mateusza i całą izbę poddano ścisłej dezynfekcji, nadto profesor zastrzyknął Mateuszowi i sobie serum ochronne ³⁾. Wszystko to jednak nie dawało jeszcze rękojmi, że wypadek pozostanie bez następstw.

W rozbitej onej próbówce czatował tylko na sposobność zerwania więzów jeden z najstraszliwszych wrogów ludzkości. Z dalekich egzotycznych krain nadesłany dla doświadczeń naukowych, na pożywcę buljonowej ⁴⁾ trzymany, z jakąż rozkoszą zmieniłby ten wikt kazienny i ten nudny pobyt w szklannem więzieniu na lepszą strawę i odpowiedniejsze pole działania! Ach, krew żyjących stworzeń! Zanim wyłowiono go ze zwłok Hindusa zmarłego na dżumę, zanim skazano na piekło doświadczeń naukowych, żyło się całkiem inaczej! Co prawda, i ów płyn cudowny, krwią zwany, ma swoje ujemne strony. Na zarazki czyhają tam wrogі zaciekle: ciała białe ⁵⁾. Jak u ośmiornic, wysuwają się zewsząd ich ramiona, by najeżdżąc porwać, zmiażdżyć i — wessać.

Ale on, bakcyl dżumy, drwi z tych okrutnych istot. Bajeczna iście siła rozrodcza zapewnia mu nad przeciwnikiem zwycięstwo. Zanim jedna bakterja dżumy ulegnie zagładzie w paszczy fagocyta ⁶⁾, już z mikroba wylęgły się setki, z setek wnet powstaną tysiące, z tysięcy miliony. Niebawem nie pozostanie w ciele ani jedna tkanka, której nie opanowałyby one, nie zmusiły swemi toksynami ⁷⁾ do złożenia broni.

Miało więc przerażenie prof. Kryskiego słuszne podstawy. Co do Mateusza, ten na szczęście niezbyt jasno pojmował grozę położenia.

Był nawet trochę zdziwiony, gdy go izolowano, t. j. gdy otrzymał nakaz niewydalania się przez dni kilkanaście ze swej, jak ją zwał, „stancji“ i niespotykania się przez ten czas z nikim. Laborant mieszkał w tyle

¹⁾ = nauka o drobnoustrojach. ²⁾ = centryfuga. Przyrząd używany w doświadczeniach bakterjologicznych dla oddzielenia bakteryj od płynu, w którym są zawieszone. ³⁾ = surowica krwi zwierzęcia zakażonego chorobą. Surowica taka zastrzyknięta człowiekowi, który uległ tejże chorobie, działa kojąco, zastrzyknięta zaś zdrowemu, chroni go przed zakażeniem. Ze wszystkich surowic leczniczych i zapobiegawczych najskuteczniejszą dotąd okazała się surowica przeciwbłonicza (antydifteryczna). ⁴⁾ Bakterje hoduje się sztucznie dla doświadczeń zazwyczaj w buljonie. ⁵⁾ = ciała białe krwi, zwane także komórkami żarłocznymi, istotnie zajmują się tropieniem i pożeraniem bakteryj, które dostały się do obiegu krwi. ⁶⁾ Tyle, co białe ciała krwi. ⁷⁾ Są to jadowite wydzieliny drobnoustrojów. Dostawszy się do obiegu krwi, wywołują one różne, zazwyczaj ciężkie zaburzenia w organizmie.

gmachu, zajmował izbę zupełnie oddzielną, z wejściem od ogrodu tak, że odosobnienie dało się przeprowadzić z całą ścisłością. Opiekę nad Mateuszem objął osobiście profesor i postanowił ją wykonywać póty, aż minie okres inkubacji¹⁾.

Zanim wszakże nadszedł ów termin wyzwolenia, pod wieczór piętego dnia Mateusz skarżyć się począł na ciągnięcie w krzyżach — jak sam to określał —, na rwanie w ramionach, na ogólną niemoc, a głowa to tak go bolała, jakby tam stu kowali waliło młotami. Kulił się przytem, bo go nawiedzały ciągłe dreszczyki, zapowiedź gorączki.

Profesora tknęło złe przeczucie. Mateuszowi kazał ukłaść się do łóżka, zadał mu *antipyreticum*²⁾, sam zaś śpiesznie, zważając przytem, by nie zelknąć się z nikim po drodze, podążył do pracowni, w której sprawował teraz zastępczo rządy asystent, dr. Mieszko. Kryski opowiedział mu, co zaszło, wyraził swoje obawy i rozsunął przed nim plan — jak się wyraził — kampanji.

Plan był bardzo prosty: profesor zabierze teraz wszystko, co potrzebnem okazać się może, i zamknie się z chorym. Gdyby Mateusz istotnie zapadł na dżumę, zawiadomienia o zmiennych kolejach choroby i życzenia swoje podawać będzie profesor pisemnie na kartkach wystawianych w oknie.

Asystent usiłował odwieść przełożonego od onych postanowień. Profesor narażał się przecież sam na zakażenie, a tego czynić nie powinien, choćby dla dobra nauki. Raczej on — dr. Mieszko — obejmie służbę samarytańską przy chorym.

Kryski zachnął się.

— Dziękuję! — odparł. — Jakżebym pogodził to z sumieniem? Kołego, rób swoje, a ja spełnię, co należy do mnie.

— Panie profesorze! — nie przestawał prosić asystent. — Jak łaskę przyjmę, jeśli mi będzie wolno zastąpić pana profesora przy Mateuszu.

Kryski jednym gestem położył koniec naleganiu. A kiedy żegnał się z młodym kolegą, w oczach widniało mu obok stanowczości tyle spokojnej pogody, że udzieliła się ona do pewnego stopnia także Mieszce. Pocóż zaraz tragiczne jakieś snuć przypuszczenia? Niepodobna sobie nawet wyobrazić, by profesorowi miało stać się co złego. Któż lepiej od niego zna wszystkie tajniki zwalczania zarazków i ochrony przed nimi? Trzeba zresztą liczyć nieco i na to, że Opatrzność roztoczy nad ofiarnem tem poświęceniem opiekuńcze swe skrzydła.

Biuletyny, wystawiane w oknie przez profesora, brzmiały odrazu beznadziejnie. Widocznie zarazek posiadał nadzwyczajną jadowitość, to

¹⁾ Zanim choroba zakaźna wybuchnie w organizmie, muszą swoiste jej bakterje rozmnożyć się dostatecznie. Ten właśnie okres, t. j. czas od chwili nabycia zarazka do choroby, zowie się okresem wylęgania czyli inkubacji. ²⁾ środek przeciwgorączkowy.

też przebieg choroby był wprost błyskawiczny. Po niecałych trzech dobach męczarni Mateusz umarł. Zwłoki z zachowaniem wszelkich ostrożności usunięto i pogrzebano.

Profesor sam pozostał w odosobnionej izbie. Czekala go teraz jeszcze kwarantana. Kartki z biuletynami ustały. Natomiast od czasu do czasu ukazywał się w oknie, aby wszyscy przekonać się mogli, że żyw i zdrow.

Pewnego dnia wszakże napróżno oczekiwano jego zjawienia się, a gdy i nazajutrz Kryski nie dał znaku życia, niepokój opanował Mieszkę. Zapukał do drzwi. Zrazu było tam głucho i cicho. Dopiero po dłuższem dobijaniu się zabrzmiał głos jakiś wysilony i cichy, złamany głos profesora :

— Księdza... z zewnątrz... przez okno...

Wszelkie próby otrzymania jakichś bliższych wyjaśnień pozostały bez skutku.

Młody lekarz stał skamieniały. Straszna myśl, że potwór, z próbowki wyzwoliwszy się, dopadł widocznie nowej ofiary i że tą ofiarą jest wielki uczony, ukochany mistrz i przodownik, spadła na Mieszkę, jak piorun. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zawiadomił spotkanego po drodze kolegę, sam zaś, aby spełnić życzenie profesora, pośpieszył do księdza.

Ten nie bez wzruszenia słuchał, gdy mu Mieszko opowiedział, co zaszło.

— Jeśli kto padnie w bitwie, — mówił, zbierając się — powiadają: bohater! A tam wszak człowiek idzie przeciw człowiekowi i wie, że — tak czy owak się zdarzy — chwala go czeka. Tu zaś bój z niewidzialną siłą, niemal beznadziejny i bez innej nagrody, jak tylko ta, którą daje przeświadczenie spełnionego obowiązku... I kto z tych dwu większy bohater?

Była to chwila do głębi przejmująca, gdy naprzeciw okna zadżumionej izby zjawił się kapłan, aby błogosławieństwo przestać pasującemu się z cierpieniem tam — za ścianą. I kiedy w ręku kościelnego zajęczał żałośnie dzwonek, obecni — a nie brakło wśród nich nikogo z lekarzy i służby kliniki — padli na kolana i jedna gorąca modlitwa o ocalenie chorego rozbrzmiewała w sercach, z serc zaś wzbijała się ku niebu, co jasnym stropem błękitniało w górze i pławiło się w powodzi ozłoconych blasków.

Po tem pożegnaniu Kościoła z wiernym synem, gotującym się do opuszczenia doczesności, koledzy Kryskiego i młodzi lekarze uniwersyteckich zakładów medycznych zebrali się w pracowni bakterjologicznej, żywo omawiając wypadek. Co teraz począć? Ktoś znowu musi poświęcić siebie; niepodobna przecie pozostawić Kryskiego bez ratunku. Ale kto pójdzie na stracenie? Ktoś poddał:

— Losować!

Mieszko zaprotestował żywo.

— Poco? Tam moje miejsce... To takie naturalne. To przecie mój profesor, mój...

Głos drżał mu ze wzruszenia, a jednak było w nim równocześnie tyle prawdziwie męskiej decyzji, że nikt nawet nie próbował podnosić protestu.

Straszna chwila rozdmuchała w piersiach Mieszki ogień święte.

Napróżno instynkt samozachowawczy czepiał się deski ratunku, bając o młodości, o niespłaconym długu wobec społeczeństwa; napróżno ukazywał mu barwne, kwieciste grzędy życia. Myśl o tem, co miał stracić, przejmowała tem większą słodyczą jego serce. Pragnął poświęcenia, podniecony przykładem profesora; pragnął, jak nagrody niezasłużonej, poświęcenia zupełnego i bez zastrzeżeń, aby dorównać temu, który w samotności, na siebie tylko samego zdany, dogorywał może w tej chwili...

W istocie — dogorywał. Kiedy zamknęły się drzwi za dr. Mieszką, drzwi strasznej izby, tego grobowca już dwu ludzi, lekarzowi dech zamarł w piersiach, tak go przejął widok chorego profesora. Bez śladu przytomności spoczywało na łożu ciało ludzkie, wyniszczone do ostatecznych granic, resztkami już tylko sił stawiające opór zagładzie.

Wszelkie próby podtrzymania sił żywotnych nie odnosiły już skutku.

Około południa profesor Kryski wydał ostatnie tchnienie.

W godzinę później dr. Mieszko pozostał sam jeden wśród czterech ścian, gdzie z każdego kąta zdawała się dzuma wyciągać drapieżne, kościste ręce.

A teraz, gdy właściwy cel rzucenia się w odmet niebezpieczeństwa znikł mu z przed oczu, drgnął w nim nagle lęk zagrożonego życia i burzyć się począł. Gdyby zginąć odrazu, jak to kapelan mówił, od kuli — przy granu surm i huku dział — o ileżby to było łatwiej! Ale wycze-kiwać dniami całemi, kiedy ugodzi w organizm niewidzialny pocisk, kiedy jeden z tych drobnoustrojów, bujających niezawodnie dokoła, przenikających całą atmosferę izby, znajdzie w ciele punkt odpowiedni dla swego rozwoju — czekać i nie mieć żadnego środka obrony, żadnej nadziei ratunku, czyż można wyobrazić sobie strasliwsze położenie?

Tyle pracy ciężkiej, jaką miał za sobą, tyle nieziszczonych planów, tyle marzeń — i wszystko napróżno.

Dr. Mieszko czuł, — że go ktoś dusi, jakby niewidzialna ręka uci-skąła gardło...

Tymczasem ścielić się począł mrok po izbie. Majaczyły obrazy, od których Mieszce krew stygła w żyłach. Z cieniów nocy wysuwały się widma o kształtach nigdy przedtem niewidzianych i wypełniały całą przestrzeń... Mąciła mu się świadomość. Ponad majakami zaś wzbiła się myśl nad wszystko okropniejsza:

— A jeśli to dżuma!

Tak pasował się ciężko... Lecz gdy już bliski był niemal rozpacz, uczuł nagle, że jakaś moc tajemna z odsieczą nadciąga...

— Obowiązek! — przypomniał mu głos stanowczy, zarazem wszakże dziwnie słodki, otuchą przejmujący. I jak mgły poranne ustępują przed promieniami słońca, poczęły trwogi kurczyć się, kryć się po kątach, przypadać do ziemi, niknąć.

Obowiązek, ten sam, w imię którego dał życie profesor — czyż to nie najprostsze, a zarazem nie najwznioślejsze przykazanie życia? Mieszko spełnił je dopiero częściowo. Teraz pozostawała do spełnienia część druga. Trzeba samemu zginąć, ale już w zupełnej samotności, żadnej nie przyjmując pomocy, aby dalszemu szerzeniu się zarazy położyć skuteczną zaporę.

I znowu powróciła do duszy dr. Mieszki radosna ochota poświęcenia, odbłysek wiary głębokiej, że na ziemi nie kres istnienia...

Z całym spokojem gotował się na śmierć...

Gotował się dzień jeden, drugi, trzeci... Potem czekał. I znowu dni kilka czekał, aż dziw brał go. Dżuma nie przybywała. Widocznie miał organizm odporny... A może to nowa złośliwość podstępnego bakcyła? Może on tylko przeczaił się, by w ostatniej chwili dać znak życia?

Upłynęły dwa tygodnie od zgonu profesora.

Do kaźni dr. Mieszki wniesiono wielki kocioł dezynfekcyjny, naczynia z formaliną, amonjakiem. Wprzód jednak zajęto się osobą więźnia; raz przecie sam na sobie spróbować musiał dr. Mieszko tej zawiłej procedury odkażania, którą tylokrotnie stosował do innych.

Wkońcu otwały się przed nim drzwi kaźni.

W ogrodzie czekał Mieszkę cały personal kliniki: profesorowie, koledzy, służba, serdecznie witając ocalonego. Z krzewów zaś, z grzęd w odświętne przystrojonych szaty, jak matka ku dziecku, za stracone już uważanemu, radośnie wyciągnęło doń ramiona — życie.

Stanisław Rossowski.

Porównaj ustęp p. t. *Aristolochus* (z tomu II Czytań).
Czy dra Mieszkę można nazwać bohaterem?

XLVII.

Z życia rybaków w Normandji.

— Oho, będzie źle, bo kręcą się jaskółki! — mówiła pod wieczór nasza gospodyni, patrząc na niespokojne loty jaskółek nadbrzeżnych.

A one istotnie się kręciły, zbierając się i rozpraszając zgiekliwie, tłumnie, pośpiesznie.

Czarne ich pióra nurzały się to w wodzie, to w poszarpanej, mrocznej czerwieni zachodu, pod którą bałwaniło się i przelewało z głuchym szumem śniade, rdzawo poplamione morze.

Jakoż jeszcze nie ugasła ta burzliwa zorza, kiedy od wschodu zaczęły na nią iść ciężkie, prawie czarne chmury i zatłumiwszy ostatek jasności dziennej, zwisły nad światem niską, tłoczącą posową¹⁾.

Zaraz też zapadła noc wczesna i tak parna, że w małych izbach rybackich trudno było oddychać nawet przy otwartych oknach.

Zdawało się, że lada chwila błyskawice luną i rozpocznie się kanonada burzy. Jakoż w chmurach słychać było raz po raz wark groźny i głuche, to zbliżające się, to oddalające grzechotanie.

Burza nie przyszła jednak.

Natomiast o samem świtaniu porwał się mocny wiatr wschodni, uderzył w chmury, rozbił je, uczynił między niemi wąską, pełną bladego światła rozpadlinę, pod którą na dalekiej roztoczy ciemnego, prawie że granatowego morza rozlało się jakby jezioro, drgające żywym srebrem.

Było to widowisko jednej chwili tylko, gdyż zaraz na rozjaśnienie owo popędziły ciężkie, coraz gęstniejące chmury; i tej jednej chwili było dość, żeby na smudze drgającego światła zobaczyć spory statek, który ją z trudem przecinał, kierując się do brzegu, poczem razem z nią zagasł nagle i pogrążył się w zamęcie burzliwego mroku.

Ale przeciwko wschodniemu wichrowi zaczął koło godziny siódmej dąć i burzyć się silny wiatr zachodni. Zrazu smagał morze krótkiem i gniewnem fukaniem, podbijając bałwaniącą się toń w ostre, kańciaste, białe zapienione rzuty, które wyskakiwały na znaczną wysokość.

Poczem, wzmógłszy się do niesłychanej gwałtowności, pędził fale na fale, piętrzył je, zdebiał, ciskał niemi tak, że zaczęły się miotać po morzu całe góry wody, pod któremi wrzała otchłań grubych, prawie namacalnych mroków.

Jednakże nowe uderzenie przeciwnego wiatru rozerwało chmury, a statek znów się wyrznął z dzikiego zamieszania owych strasznych zmierzchów.

Teraz było można rozpoznać, że jest to statek rybacki ze zwiniętymi żaglami i opuszczonym do połowy masztem, w który rozhukane morze waliło z niesłychanym gwałtem.

A już na brzegu zaczęli zatrzymywać się i stawać kupkami ludzie, a z dymników osady wysuwały się tu i ówdzie lunety.

U nas wszakże było spokojnie.

Wtem uchyliła drzwi najbliższa sąsiadka i obejrzawszy się po izbie, spytała, czy *mère*²⁾ Toutaint³⁾ jest w domu.

¹⁾ = strop, powała. ²⁾ = matka (wymów: mer). ³⁾ = wymów tutaj.

Wymienionej nie było w tej chwili. Wkrótce jednak nadeszła, dzwигając wiadra pełne wody, i, zobaczywszy sąsiadkę na progu, zaczęła pytać zdaleka:

— A kogo tam wicherzysko tak tłucze?

Pytała niefrasobliwie, bezpiecznie.

W istocie nie mógł to być nikt bliski, nikt z osady nawet. Flota rybacza, która w niedzielę na noc wypłynęła z portu, spodziewana była zpowrotem o sobotnim, wieczornym przypływie, a to był ranek czwartkowy.

Zresztą rybacy trzymali się zawsze po kilku razem, a chciał który do domu, to czółnem leciał, statek zaś zostawiał na linii połowu.

Najmniejszego tedy niepokoju nie było w jej głosie.

Ale sąsiadka podniosła na nią poważne spojrzenie, a pomilczawszy chwilę, rzekła:

— *Une barque en perdition* ¹⁾.

A wtedy matka Toutaint stanęła nagle, poczerwieniała, otworzyła usta, oczy zaokrągliły się jej, jak oczy płaka, i, stojąc tak z wiadrami, patrzyła na przybyłą przerażona, skamieniała niemal.

Naraz usta jej trząść się zaczęły; puściła wiadra i skoczyła na strych.

A już i dalej mieszkające rybaczkі zaglądały we drzwi z pochowanemi pod fartuch rękoma, przez okna zaś widać było coraz więcej ludzi śpieszących na morze.

Szli z suchym, prędkim stukiem drewnianych sabotów ²⁾, z rosnącym i opadającym szmerem pomieszanych głosów.

— ...*Une barque... une barque en perdition*!

Ale my biegłyśmy na strych, gdzie matka Toutaint usiłowała ustawić opartą o wylot dymnika lunetę.

Nie szło. Ręce jej się trzęsły, palce nie chciały słuchać, skółkowały, sztywne.

Nikt wszakże nie śpieszył z pomocą. Sąsiadki stały kupką u wejścia, onieśmielone, milczące. Nastawiła wreszcie i zaczęła patrzeć... Zrazu zdawało się, że nic nie widzi, albo, że widzi coś, czemu nie wierzy. Wstrząsała głową, przecierała oczy, jak człowiek, który z nich mgłę chce odegnąć. Nagle zęby jej zaszczękały głośno.

— *Jesus Dieu, notre goelette*! ³⁾ — zawołała, jakby nie swoim głosem.

Chciałyśmy ją oderwać od lunety, ale trzymała się jej z konwulsyjną siłą, powtarzając bezprzytomnie to ciszej, to prawie z krzykiem: *Jesus Dieu!... Jesus Dieu!* — i trzęsąc się, jak w febrze. Twarz jej poczerwieniała, jakby ją dym obwiał, usta zbiełały zupełnie.

A statek dostał się teraz na główny prąd dwu przeciwnych wi-

¹⁾ = barka w niebezpieczeństwie (wymów: ün bark an perdisją). ²⁾ = buty drewniane. ³⁾ = Jezus, nasz statek (wymów: Żezi Dije, notr goelet).

chrów, które, wzięwszy go między siebie w szalone obroty, miotają nim z tak nadzwyczajnym impetem, iż zdawało się zupełnem niepodobieństwem, żeby go rozbić nie miały. Co jeden bałwan nim ciśnie, to drugi go odrzuca, a morze idzie po nim, pieniąc się i hucząc, a tabuny chmur czarnych, grzywiastych pędzą nad nim, odłaniając i zakrywając ołowiane niebo, pod którem wrą śmiertelne otchłanie. Że jednak wiatr zachodni przemagał, nieszczęsny statek posuwał się stale ku brzegowi, to wirując i kręcąc się wkółko, to nagle pchnięciem ciśnięty, poniesiony wierzchem huczących wałów, aby pogrążyć się znów i znowu wypłynąć.

Teraz i bez lunety widać było dokładnie, że pokład jest zamknięty, pusty, że z trzech masztów został tylko jeden — główny. Ale wszyscy wiedzieli, że pod tym zamkniętym pokładem, w tej strasznej, ciskanej morzem trumnie są zamknięci ludzie, dla których bije ostatnia godzina.

U brzegu tymczasem zebrał się tłum znaczny. Nie byli to wszakże rybacy, jeno luza wszelkiego rzemiosła, mniej obyta z morzem.

Jakoż wszystkie oczy były w nie white z bezradnem osłupieniem trwogi. Zresztą kobiety i dzieci przeważały w tłumie. Nagle wielki wybuch pomieszanych głosów.

Maszt runął. Statek był zgubiony. W tej samej chwili matka Tountaint krzyknęła przeraźliwie:

— *Mon gosse! Mon gosse!*¹⁾ — i puściwszy lunetę, biegła, roztrącając nas, przez schody, przez sienie, prosto do przystani. W tym ostatecznym i prawie że śmiertelnym momencie nie o męża jej szło, ale o syna, o średniego Charles'a²⁾, który już od dwu lat ojcu na morzu pomagał i teraz był z nim razem. W przystani spuszczano właśnie łódź ratunkową, na którą siadło czterech ochotników z bosakami, ze sznurami, z pasami.

Zaledwie przecież łódź od brzegu pchnięto, kiedy gwałtowny pęd wichury okręcił ją, porwał, poniosł i znów o brzeg cisnął. Wrzawa powstała w tłumie. Głowy zaczęły się chwiać, ręce i ramiona targać, twarze były zgorączkowane i wzburzone. Jednakże dwu nowych ochotników wioślarzy skoczyło teraz na łódź, która z tak powiększoną załogą puściła się raz jeszcze.

Jakoż zdawało się przez chwilę, że przemoże siłę wiatru, który jakby zwolniał nieco i opadł. Nie minęli jednakże ostatnich wiązań starej tamy, kiedy fale poczęły miotać łodzią tak wściekle, iż nie było podobieństwa posunąć się naprzód. Kręcili się tedy ratownicy czas jakiś, daremnie usiłując wybić się na prąd równiejszy; zaczęli, nie mogąc użyć ni rudla ni wiosła, z najwyższym wysiłkiem i niebezpieczeństwem chwycili rzuconą z tamy linę i wydobyli się po niej na pomost wpół martwi, zostawiwszy łódź jej losowi.

¹⁾ = mój synek! (wymów: mą gos). ²⁾ = Karol (wymów: Szarl).

Od tej chwili widocznem się stało, że puścić się na morze byłoby to niechybnie zginąć.

Ale matka Toutaint, widząc, iż ludzie wracają, rzuciła się do nich z nieprzytomnym krzykiem:

— *Mon gosse!... mon gosse!... mon gosse!...*

Musiano ją siłą trzymać, bo rwała się prosto na morze. Tymczasem mrok, i przedtem już duży, tak zgęstniał, że psy zaczęły wyć, jakby na zaćmienie. Wtedy latarnik, wysoki, barczysty brodac, wyszedł na galerję faru¹⁾ i, zapaliwszy zielonawe światło, pod którem oblicza ludzi stały się widmowe, zaczął nawijać na skrzypiącej korbie linę ratunkową. Oddalenie wszakże statku było tak znaczne, iż zmierzwszy je wzrokiem, puścić korbę, machnął ręką i, targnąwszy sznurem, uderzył w dzwon na trwogę. Natychmiast uciszyło się w tłumie. Wszyscy poklekali, mężczyźni odkryli głowy i pod hukiem morza zaczęto odmawiać litanję za ginących z tą śmiertelną prostotą i powagą, która cechuje rzeczy ostateczne. Tylko krzyk matki bił z pośrodku tych spokojnych głosów, ostry, rozdzierający, pełny bezsilnej rozpacz. A kiedy tak mówiono tę straszną litanję, zdawało się, że tam pod zamkniętym pokładem miotanego wicherem statku ludzie też klęczą i do Boga krzyczą. Ale statek trzymał się jeszcze pomimo utraty masztu.

Teraz jednak był to już tylko martwy, niekształtny kałłub, który lada chwila miał ulec ostatecznemu rozbiciu. Właściwie nie on się trzymał, ale go trzymała równa niemal siła dmących przeciw sobie wichrów. Gdy jeden z nich słabnął, statek walił się, jak trup, póki go drugi nie podbił, nie chwycił i nie cisnął dalej.

Było około godziny jedenastej i litanja dobiegała do końca, kiedy wschodnie wicherzysko ryknęło wściekle i, rzuciwszy się na morze, zakręciło niem w jakiś lej okropny, w którym nieszczęsny statek pograżył się i zniknął nam z oczu. Zaraz też zaczęły po nim ciemności iść, a huk i mrok wypełnił otchłań całą. Tedy głosy odmawiających litanję stały się jakby żarliwsze jeszcze i surowsze, a dzwon, szarpnięty nagle, zakolała głucho i umilkł. Ale wtem wicher zachodni porwał się tak niesłychanym i gwałtownym pędem, że powietrze zaczęło trząść się i warczeć, jak struna miedziana. Zaczem się zaniósł, zawył, zahuczał, o morze sobą trzasnął i, odrzuciwszy wstecz bałwany, walące się za przeciwnym wicherem, wychwycił barkę z śmiertelnego wiru i pchnął ją tak potężnie, że statek, jak ptak, poleciał wierzchem prawie morza, aż ciśnięty o ławicę piasku utknął w niej, jak działowa kula, i zarył się hokiem. Natychmiast na brzegu powstał ruch, krzyk, zrobiło się zamieszanie, prze-

¹⁾ *phare* (wymów: far) = latarnia morska.

rwano modlitwę, a matka Toutaint, myśląc, że już po wszystkim, upadła zemdlona. Nie ratował jej nikt, bo wszyscy hurmem na ławicę wybiegli.

Jeszcze wprawdzie nie dobiegli do pierwszego rozwidlenia piasków, kiedy z pod pokładu rozkołatanej, rozplaszczonej barki wynurzył się połową ciała ojciec Toutaint; rozejrzał się bacznie, gdzie jest, zniknął i znów się ukazał, dźwigając na plecach długi, owinięty żaglem przedmiot, w którym na pierwszy rzut oka można było poznać martwe ciało ludzkie. Na ten widok ci, którzy pierwsi biegli, krzycząc, umilkli i stanęli. Za nimi stanęli inni. Wyciągnęły się szyje, wytrzeszczyły oczy, na twarzach wy-malowała się groza. Chwilę stał tak ten tłum niepewny, cichy, jakby skamieniały, poczem głosy zaczęły się chwiać, a z ust do ust szedł głę-boki, stłumiony poszept: *Le gosse! le gosse!*

Wszystkie oczy pobiegły teraz ku nieszczęsnej matce, kilka kobiet wracało się śpiesznie, aby ją trzeźwić i ratować.

A tymczasem po szerokich, rozległych piaskach, pod siną jasnością burzliwego nieba szedł stary rybak z odkrytą głową, szarpany wichrem, zgarbiony pod swoim strasznym ciężarem.

Nagle krzyk bezpamiętny, szalony... Matka Toutaint leciała z roz-postartemi rękoma wprost na ten mur ludzki, który jej sobą rozbitków zasłaniał. Leciła nieprzytomna, ślepa, zupełnie zapamiętała. Padła na tłum, roztrąciła go, cała w wicherze, w uniesieniu, w szale.

— *Mon gosse! mon gosse aimé!*¹⁾ *mon gosse!*...

A on, jej *gosse*, rzeczywiście biegł cały i żywy od strony rozbitej barki i wyprzedziwszy ojca, leciał wprost w ramiona matki. Wpadli na siebie jak burza, śmiejąc się i płacząc razem. Matka Toutaint ogarniała chłopaka rękoma, fartuchem, całą sobą. Zdawało się, że gdyby Pan Bóg chciał w tym momencie odkupić go od niej, nie tylko ziemi całej, ale wszystkich gwiazd niebieskich byłoby na to kupno za mało. Tymczasem ojciec Toutaint położył na piasku zwłoki jakiegoś człowieka.

Nazajutrz pogrzebano za grosz składkowy nieznanego nikomu to-pielca.

Marja Konopnicka.

XLVIII.

Stary rybak.

— Na morze! — Ja syna wam daję — słyszycie?

Pod wodzą mojego junaka

Spokojny z was każdy być może o życie,

Bezpieczną łódź każda rybaka! —

¹⁾ = ukochany (wymów: *emé*).

Tak mówił Jan stary. Wschód w barwach stał róży —
Rybacy ruszyli na połów...
Wtem wichur uderzył i morze się wzburzy,
Łódź ciężką się stała, jak olów.
To skała podwodna dno łodzi rozdarła,
Od spodu bryznięła fal piana:
Struchleli rybacy, pierś w tchu się zaparła,
Nie strwożył się tylko syn Jana.
Lecz próżny wysiłek i dłoni i wiosła;
Potworny fal wzmaga się taniec —
Grom błysnął... uderzył. Zniszczenia to posył,
Burz morskich ognisty wysłaniec.
Popłynął szum głuchy, huragan się zrywa,
Przepaści w głębinach wód wierci,
Do łodzi za falą wciąż fala napływa
I bliższe wciąż widmo jest śmierci.
Nadeszła noc ciemna i niebo szerniało,
Wichur tylko o morze grzmi kołem,
Ramionom rybackim już mocy nie stało
Do walki z okrutnym żywiołem.
Wtem nagle wódz młody wiatr krzykiem rozporze:
— Błask widzę — mnie oko nie zwodzi!
Brzeg blisko, łódź tylko już płynąć nie może,
Więc ulżę ciężaru tej łodzi.
Do wiosła z sił wszystkich! — I skoczył w głębinę,
Rybacy z przestrachu pobladną.
— Z sił wszystkich! — w głos krzyknął. — Ja płynę! Ja płynę! —
I fala porwała go na dno.
Przybyli do brzegu... Strach patrzył im z czoła...
Co mówić im w onej godzinie?
— Gdzie syn mój? Gdzie syn mój? — Jan stary zawoła.
Strwożeni odrzekli mu: — Płynie! —
Lecz pieśnią zagłady gra morska głęбина,
Daremna tu wszelka rąk praca.
— O morze! — zawoła. — Wróć syna, wróć syna! —
Lecz morze swych ofiar nie wraca.
Grzmi tylko i huczy, w gwar wichrów szeleszcze,
Bezdenną przeraża głębiną.
— Ha! — szepnął po chwili — mam synów dwu jeszcze,
I oni na morze popłyną!

XLIX.

Wschód słońca na morzu.

Pamiętam jeden świt na morzu. Mieszkalem w Neapolu, gdzie mi do okna świecił Wezuwjusz, a skąd miałem widok na całą zatokę, na Saint Angelo, na Capri, jeden zapewne z najpiękniejszych widoków na świecie! Otóż stamtąd widziałem wschód słońca na morzu.

Wychodziło z za gór, które w porannych oparach wyglądały, jak niebieskie mgły, zmieszane z białymi; z za kraju ziemi ukazywały się blaski żółte, pomarańczowe i złoto-czerwone. Niebo od wschodniej strony dziwnie dalekie, subtelnego, przejrzystego, zielonawo-złotawego tonu, błękitniało powyżej, świecąc w głębi kopuły jedną srebrną gwiazdą, jak świekiem z Chrystusowego krzyża. Trwało tak chwilę, a potem blaski podniosły się nieco i, nie zmieniając barwy, poczęły tylko do niej ogień przybierać; promieniały coraz bardziej, aż wreszcie blask ognia przepełnił je i nawskróś przelśnił.

Tymczasem na morze, które było dotychczas zupełnie białe, jakby śniegiem mlecznym pokryte, spadł jakoby srebrzysty szron i poczęło świecić. Białe opary zeszyły górcom do stóp, a te jeły brać w siebie róż i purpurę, stając się u wierzchołków modre i promienne. Raz tylko jeden widziałem taką grę oświetleń porannych na górach. Wtem padł na morze smug złotego światła i zaiskrzył się, jakby przeleciały tędy rumaki Posejdona i, iskry z fal kopytami skrzesawszy, złoty gościniec zostawiły za sobą. W chwilę potem rozdarła się nagle śniegowa płaszczyzna i trysnął z błękitnej wody blask, jakby pod wodą mieszkwały potworne delfiny, promienne strumienie z nozdrzy rzucające.

Na morze poczęły spadać teraz złote, czerwone, niebiesko-ponsowe strzały, oszczepty, wielkie tarcze i niezmierne łuki, które w mgnieniu oka zmieniały się w labirynt różnobarwnych, olbrzymich wstęg, w taką zamieć światła, że zdawało się, iż tysiąc tęcz urwanych pod ciężarem swych kolorów padło na morze i splątało się, jak igrające węże.

Z za gór, jakby od płonącej floty, uczyniła się na niebie łuna i poczęły wybiegać na nie płomienne obłoki nakszałt oderwanych, palących się żagwi, które wiatr niesie.

Wreszcie wyszło słońce, wielkie, promieniste słońce...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

L.

Poranek na wsi.

Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny Kwietnej. Pogoda była prześliczna, czas ranny, Niebo czyste, wokoło ziemi obciągnięte, Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;

Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka biała, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękie zanurza,
Podobne do niknących piór Anioła Stróża,
Który nocną modlitwą ludzi przytrzymany
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany.

Już ostatnie perły gwiazd zamierzchły i na dnie
Niebios zgasły, i niebo środkiem czoła bladnie;
Prawą skronią złożone na wezglówiu cieni
Jeszcze smagławe, lewą coraz się rumieni;
A dalej okrąg, jakby powieka szeroka,
Rozsuwa się — i w środku widać białek oka,
Widać tęczę, żrenicę: już promień wytrysnął,
Po okrągłych niebiosach wygięty przebłysnął
I w białej chmurce, jako złoty grot, zawisnął.
Na ten strzał, na dnia hasło, pęk ogniów wylata,
Tysiąc rac krzyżuje się po okręgu świata,
Aż oko słońca weszło. — Jeszcze nieco senne,
Przymruża się, drżąc, wstrząsa swe rzęsy promienne,
Siedmią barw błyszczy razem: szafirowe razem,
Razem krwawi się w rubin i żółknie topazem;
Aż rozłśniło się jako kryształ przezroczyste,
Potem jak brylant światłe, nakoniec ogniste,
Jak księżyc wielkie, jako gwiazda migające:
Tak po niezmiernem niebie szło samotne słońce.

Wyszła msza. — Nie obejmie świątynia małeńka
Całego zgromadzenia: lud na trawie klęka;
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy.
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się, jako łan dojrzałego żyta;
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewczica wykwita,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy
I wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich, jak w zbożu bławał i kąkole.
Kłęczący, różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy, jak kłosy na łanie.

Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny, świeże snopki ziela;

Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki:
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie
I rozlewa, jak z mszalnej kadzielnicy, wonie.

Adam Mickiewicz.

LI.

Umiłowanie koni w dawnej Polsce.

Przez nieustanne życie razem, przez dzielenie złej i dobrej doli związany był się między panem a koniem tak ścisły stosunek, że byli oni już nie jako dwaj towarzysze, ale jak dwaj najserdeczniejsi przyjaciele, którzy nie mogli żyć bez siebie. Koń rżał radośnie na widok pana i tęsknił do niego w czasie jego nieobecności, pan dzielił się z nim smutkiem i radością, a nieraz szukał przy nim pociechy w nieszczęściu.

„Koń dobry — zdrowie ludzkie, a przynajmniej połowica zdrowia“ powiadano, chcąc wyrazić wartość konia dla człowieka.

Koń, zwłaszcza „z rzędem“, uchodził zawsze za najszacowniejszy podarunek („dać komu konia z rzędem“). Obdarowywała się zatem wzajemnie szlachta, wielcy panowie, obdarowywali królowie poddanych, jak również monarchów państw sąsiednich, i sami także brali dary w koniach.

Szymon Olelkowicz, zarządca ziem kijowskich, czując się bliskim śmierci, posłał Kazimierzowi Jagiellończykowi białego konia, na którym niejednokrotnie stawał do boju w jego obronie.

Stanisław Górka, gdy gościł w swym zamku Henryka Walezjusza, ofiarował na wyjeździe konie królowi, oraz przedniejszemu Francuzom z jego orszaku. Zygmunt Waza na zjeździe z arcyksięciem Maksymiljanem w Krasnymstawie ofiarował mu karetę kosztowną z „woźnikami“¹⁾ i ze wszelkim sprzętem, a w niej „ośm koni białych, farbowanych na żółto prawie cudnie, cztery konie tureckie i dwa jednochodniki“²⁾. Arcyksiążę odwdzieczył się również podarowaniem wybornych rumaków.

Na wołowej skórze nie spisałyby cennych koni, któremi obdarzali się monarchowie i panowie polscy. Polacy lubili się obdarzać, a daru, zwłaszcza od przyjaciela, nie godziło się odrzucić: „Kto dary odrzuca, odrzuca i dawcę z niemi.“ Wogóle jednak dar nie powinien był przechodzić za możliwości obdarowanego, nie powinien był być tak wysoki, żeby ten nie mógł się „oddarować“, chyba, że obdarowującym był król, hetman lub inny zwierzchnik.

¹⁾ = koń pociągowy. ²⁾ jednochodnik = koń podnoszący w biegu jednocześnie obie nogi z tej samej strony.

Ale chociaż szlachcic polski lubiał obdarowywać suto i chętnie ofiarowywał innym konie, na jedno nie byłby się nigdy zdobył: na oddanie komukolwiek swego bojowego rumaka, towarzysza wiernego wypraw wojennych i przyjaciela od serca. Takiego kopia można było ofiarować jedynie w godzinę śmierci.

Wielka liczba miejscowości bierze swe nazwy od konia, że wspomnimy tu tylko ważniejsze i bardziej znane nazwiska, jak Końskie, Koniucho, Koniuszki, Końska Wola, Końskie Wody, Odrzykoń, Kobylnik, Kobyliny, Kobyle Góry, Kobyłki i wiele, wiele innych.

Ze wszystkiego zatem widać, jak koń był u nas pospolitem, ważnym, koniecznym stworzeniem, jak cały przebieg życia wiązał się z nim ściśle, jak za niemożliwe uchodziło dopiero to, czego na koniu i z koniem nie można było dokazać: „Nie wyorzesz jutra pługiem, nie dogonisz wczora cugiem.“

Bohdan Dyakowski.

LII.

Śmierć Stefana Czarnieckiego.

W Sokołówce przed chatą u proga
 Pachółkowie i ludu czerń mnoga;
 Stoi stępak u żłobu powolny,
 A w świetlicy leży hetman polny.
 Hetman głowę pochylił na łożu,
 Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
 Złożył ręce, jakby do modlitwy,
 Ale wojak — ciągle marzy bitwy:
 To o Szwedach odmawia pacierze,
 To Stawiszczan rozhukanych bierze.
 A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
 Świętem krzyżem maże ziemskie grzechy,
 Prosi Boga w pokorze i skrusze,
 By do raju przyjął starca duszę;
 A lud słowa powtarza kapłana:
 „Sługę Twego zbaw, Panie, Stefana.“

Zarzął stępak u żłobu powolny,
 Wzniósł na łożu głowę hetman polny,
 Bielmem zaszłe otworzył żrenice
 I popatrzył na smutną gromnicę...
 Witął księdza, jak ze snu powstały,
 I znów słuchał, jak rzy jego Biały.
 „Wprowadźcie go!“ — skinął na husarzy;
 I wnet Biały po izbie się waży,

Na pierś starca kładzie łeb swój suchy
(A obadwaj biali, jak dwa duchy);
Śmiał się hetman, jak dziecko, szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegiem grzywy.
„O, mój Biały!“ A Biały spokojnie
Zda się z panem rozprawiać o wojnie;
Raz po razie miękką grzywą ruszy,
A starcowi coraz tęskniej w duszy.

Wzniósł buławę, spojrzał wkoło groźnie
I rzekł: „Królu, dałeś ją za późno!“
Potem opadł na łożo bez siły.
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.
Pan¹⁾ kijowski nie daje rozkazów,
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów,
Ani rzeniem nie zbudzi go Siwy,
Bo wódz wielki już leży nieżywy.

A twarz jego, szlachetna, uczciwa,
Jeszcze jakimś przestraczem przeszywa,
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
I szeroką odzywa się szramą:
„Jam nie z soli ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli.“

Antoni Czajkowski.

Czy Czarniecki miał prawo powiedzieć o sobie: „Ja nie z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli“?

LIII.

Bitwa pod Chocimiem.

W rok przeszło po upadku Kamieńca, gdy uciszyły się jako tako niezgody stronnictw, wystąpiła nareszcie Rzeczpospolita w obronie swych granic wschodnich.

I wystąpiła zaczepnie. Wielki hetman Sobieski poszedł w trzydzieści jeden tysięcy jazdy i piechoty w sułtańskie ziemie pod Chocim, by uderzyć na potężniejsze nierównie zastępy Husseina baszy, stojącego pod tymże zamkiem.

Imię pana Sobieskiego było już straszne nieprzyjacielowi. Przez rok ów, po upadku Kamieńca, mając zaledwie kilka tysięcy wojska, tyle dokazał, tak poszarpał niezliczoną armję padyszacha, tyle wygniółł czam-

¹⁾ = kasztelan.

bułów, tak wielkie odbił tłumy jasyru, że stary Hussein, lubo liczbą wojsk potężniejszy, lubo na czele wyborowego komunika stojący, lubo przez Kapłana baszę wspomagany, nie śmiał hetmanowi stawić czoła w otwartym polu i w warownym postanowił bronić się obozie.

Hetman otoczył wojskami ów obóz i wiadomo było powszechnie, iż chce wstępnym bojem go zdobyć. Mniemali wprawdzie niektórzy, iż niesłychane jest to w dziejach wojen przedsięwzięcie, by z mniejszą siłą porwać się na większą, której w dodatku wały i rowy broniły. Hussein miał stodwadzieścia dział, w całym zaś polskim obozie było ich tylko pięćdziesiąt. Piechoty tureckie trzykroć przewyższały potęgą hetmańskie; samych janczarów, tak strasznych w ręcznym boju, stało w tureckich wałach przeszło ośmnaście tysięcy. Lecz hetman wierzył w swoją gwiazdę, urok swego imienia — i nakoniec w wojska, które prowadził.

Szły bowiem pod nim pułki doświadczone i hartowne w ogniu, ludzie, którzy od dzieciennych lat we wrzawie wojennej wzrosli, odbyli niezliczoną ilość pochodów, wypraw, oblężeń, bitew. Wielu pamiętało jeszcze straszne Chmielnickiego czasy, Zbaraż i Beresteczko; wielu przetrwało wszystkie wojny szwedzkie, pruskie, moskiewskie, domowe, duńskie i węgierskie. Były tam poczty pańskie z samych weteranów złożone, byli żołnierze ze stanic, dla których wojna stała się tem, czem dla innych pokój: zwykłym stanem i trybem życia. Pod wojewodą ruskim stało piętnaście chorągwi husarji, jazdy nawet przez cudzoziemców za nieporównaną uważanej; były chorągwie lekkie, te same właśnie, na których czele takie klęski zadał hetman już po upadku Kamieńca rozprószonym czambułom tatarskim; były nakoniec piechoty łanowe, które z kolbami, bez wystrzału, umiały się rzucać na janczarów.

Hodowała tych ludzi wojna, bo hodowała ona w Rzeczypospolitej całe pokolenia; lecz byli dotychczas rozprószeni albo w usługach wrogich stronnictw. Teraz, gdy zgoda wewnętrzna powołała ich do jednego obozu i pod jedną komendę, spodziewał się hetman zgnieść nimi potężniejszego Husseina i równie potężnego Kapłana. Prowadzili tych ludzi doświadczeni przywódcy, których imiona zapisane były również niejednokrotnie w dziejach ostatnich wojen, w zmiennej kolei klęsk i zwycięstw.

Z takimto rycerstwem stanął pan Sobieski pod Chocimiem. Za krzywdy Rzeczypospolitej w pierwszym rzędzie, lecz i za swoje prywatne pragnęli się mścić ci żołnierze, albowiem w ciągłych z pogaństwem walkach, na tej krwιά przesiąkłej ziemi niemal każdy jakieś kochane głowy utracił, jakichś strasznych nieszczęść nosił w sobie wspomnienia. Kwapił się więc do bitwy hetman wielki, widząc, iż zaciekłość w sercach jego żołnierzy do zaciekłości lwicy może być porównaną, której niebaczni myśliwi małe wybrali z komyszy¹⁾.

¹⁾ komysz = gęstwina.

Dnia 9 listopada 1673 r. od harców poczęła się wyprawa. Gromady Turków od rana wychyliły się z za wałów, gromady polskiego rycerstwa pośpieszyły ku nim chciwie. Padali ludzie z obu stron, z większą jednak turecką szkodą. Znacznych wszelako kilku tylko i Turków i Polaków poległo. Potykali się oni kupami lub pojedynczo, w innych zaś, patrzących na walkę, serce rosło i ochota coraz większa wzbierała. Tymczasem oddziały wojska rozstawiały się naokół obozu tureckiego, gdzie któremu hetman naznaczył. Sam on, stojąc za piechotą Koryckiego, na starej drodze jaskiej, obejmował oczyma cały ogromny obóz Husseina i na twarzy miał ten pogodny spokój, jaki ma mistrz pewny swej sztuki, zanim do dzieła przystąpi. Od czasu do czasu ordynansów z rozkazami wysyłał, to zamyślonym wzrokiem spoglądał na walkę harcowników. Pod wieczór przyjechał do niego wojewoda ruski.

— Wały tak obszerne, — rzekł — iż niepodobna naraz ze wszystkich stron nastąpić.

— Jutro będziem w wałach, a pojutrze we trzy kwatery¹⁾ wytniem tych ludzi — odrzekł spokojnie pan Sobieski.

Tymczasem zaszła noc. Harcownicy ściągnęli z pola. Hetman rozkazał przybliżyć się w ciemnościach wszystkim oddziałom do wałów, czemu Hussein przeszkadzał, ile mógł, z dział, ale bez skutku. Nad ranem znów poruszyły się nieco naprzód polskie oddziały. Piechoty poczęły sypać przed sobą szańczyki. Niektóre regimenty „przytarły na dobre strzelenie z muszkietu“. Jakoż janczarowie jeli gęsto dawać ognia ze strzelb. Z rozkazu hetmana nie odpowiadano jednak na ów ogień prawie wcale, natomiast piechota przygotowywała się do ataku wręcz. Żołnierze czekali tylko rozkazu, by rzucić się zapalczywie naprzód. Nad wydłużoną ich linią przelatywały również ze świstem i szumem kartacze, jakoby stada ptactwa. Artylerja pana Kąskiego, rozpoczynwszy walkę o świcie, nie zmilkła dotąd ani na jedną chwilę. Po bitwie dopiero okazało się, jak wielkie spustoszenia uczyniły jej pociski, padając na miejsca najgęściej obstawione namiotami spahji i janczarów.

Tak zeszło do południa, ale że dzień, jako w listopadzie, był krótki, więc należało się śpieszyć. Naraz huknęły wszystkie bębny, kotły, krzywuły. Kilkanaście tysięcy gardzieli zawrzało jednym głosem i piechoty, wspomagane przez następującą tuż lekką jazdę, ruszyły gęstym tłumem do ataku.

„Naraz z pięciu stron zaatakował Turków Jegomość.“ Jan Denemark i Krzysztofor de Bohan, wojownicy doświadczeni, wiedli cudzoziemskie pułki. Pierwszy, zapalczywszy z natury będąc, gnał tak zaciekle, iż przed innymi dotarł do wałów i o mało regimentu nie zgubił, gdyż

¹⁾ = kwadranse.

salwę kilkunastu tysięcy samopałów wytrzymać musiał. Sam legł, żołnierze chwiać się poczęli, lecz właśnie w tej chwili przyszedł im w pomoc de Bohan i popłoch powstrzymał. Ów spokojnym, jakby na mustrze i do taktu kapeli zastosowanym krokiem przebył całą przestrzeń aż do tureckich wałów, na salwę salwą odpowiedział, a gdy zarzucono faszynami fosę, pierwszy ją pod gradem kul przebył, skłonił się janczarom kapeluszem i pierwszy chorążego nawylot przeszył. Skoczyli uniesieni przykładem takiego pułkownika żołnierze i rozpoczęły się straszliwe zapasy, w których sforność i ćwiczenie szły z dzikiem męstwem janczarów o lepsze.

A spieszonych dragonów prowadzili od strony wioski Tarabanów, Tetwin i Doenhoff, drugi zaś regiment Aswer Greben i Hajdepol, wszyscy żołnierze wyborni, którzy, prócz Hajdepoła, jeszcze pod panem Czarnieckim w Danji sławą niepomierłą się okryli. Lud pod nimi szedł rośli i cięty, wybrany z poddanych po królewsczyznach, wielce do pieszej i jezdnej walki sprawny. Bramy przeciw nim bronił dżamak, to jest nieregularni janczarowie; dlatego też, choć tłumy ich były ogromne, wnet poczęli się mieszać i ustępować; gdy zaś do ręcznej pracy przyszło, bronili się o tyle tylko, o ile nie mogli do odwrotu znaleźć miejsca. Brama ta najpierw też została zdobyta i najpierw mogła przez nią jazda do środka obozu przeniknąć.

A na czele piechoty łanowej polskiej uderzyli na okopy w trzech innych miejscach panowie Kobyłecki, Michał Żebrowski, Piotrkowczyk i Gałęcki. Najstraszliwsza walka zawrzała przy głównej bramie, na drogę jaską wychodzącej, gdzie Mazurowie zwarli się z gwardją Husseina baszy. Głównie jemu o tę bramę szło, albowiem przez nią mogła się wlać do obozu jazda polska; dlatego postanowił bronić jej najuporczywiej i ustawicznie pchał ku niej oddziały janczarów. Łanowe piechoty, opanowawszy zrazu bramę, wyteęzały następnie wszystkie siły, by się przy niej utrzymać. Spędzały ich działa i grad kul ze strzelby ręcznej, a do tego z kłębów dymu wychylały się corazto nowe watahy wojowników, biegnące do ataku. Wówczas pan Kobyłecki nie czekając, aż dojdą, rzucał się ku nim naksztalił rozjuszzonego niedźwiedzia i dwie ściany ludzkie parły się i przechylały w ścisku, zamęcie, zwichrzeniu, w potokach krwi i na stosach trupów ludzkich. Bito się tam na wszelką broń: na szable, noże, kolby do muszkietów, na łopaty, drągi, ośniki, godzono w siebie kamieniami; wreszcie tłok czynił się chwilami tak straszliwy, że ludzie chwytały się wpół i walczyli na pięści i zęby. Hussein próbował dwakroć złamać zapomocą impetu jazdy piechotę, lecz piechurowie za każdym razem wpadli na nią z tak „ekstraordinaryjną rezolucją“, iż musiała się cofać w nieładzie. Użalił się wreszcie ich pracy pan Sobieski i posłał im wszystką czeladź obozową na pomoc.

Na czele stanął pan Motowidło. Hałastra ta, zwykle nieużywana do boju i zbrojna w broń ladajaką, skoczyła jednak z taką ochotą, iż obudziła podziw w samym hetmanie. Być może, iż zagrzewała ich chciwość łupów, być może, iż ogarnął ich zapał, jaki ożywiał dnia tego całe wojsko, dość, że uderzyli jak w dym na janczarów i poczęli się z nimi zmagać tak zaciekle, iż w pierwszym impecie zepchnęli ich na odległość, strzału muszkietowego od bramy. Hussein rzucił w zamęt nowe pułki i walka, odnowiwszy się w mgnieniu oka, trwała całe godziny. Lecz przez ten czas Korycki na czele wybranych pułków obsadził silnie bramę; zdala poruszyła się husarja nakszałt olbrzymiego ptaka, zrywającego się leniwie do lotu, i poczęła sunąć ku bramie.

Jednocześnie też przybiegł ordynans do hetmana od wschodniej strony obozu.

— Pan wojewoda bełzki w wałach! — krzyknął zdyszana piersią. Po nim drugi:

— Panowie hetmani litewscy w wałach!

Po nich nadbiegli inni, ciągle z tą samą wieścią. Mrok już czynił się na świecie, ale od twarzy hetmana biło światło. Zwrócił się do pana Bidzińskiego, który w tej chwili był przy nim, i rzekł:

— Teraz na jazdę kolej, ale to się dopiero jutro stanie.

Nikt jednak i w polskim wojsku i tureckim nie wiedział i nie przypuszczał, że hetman ogólny atak wszystkich sił zamierza do następnego dnia odłożyć. Owszem, oficerowie ordynansowi skoczyli do rotmistrzów z poleceniem, by każdej chwili byli gotowi. Piechota stała w zwartych szeregach, jeździe paliły ręce szable i kopje. Wszyscy oczekiwali rozkazu z niecierpliwością, bo ludzie byli wygodni i zżębli.

Lecz rozkaz nie przychodził, a tymczasem upływały godziny. Noc stała się czarna, jak kir. Już w czasie dnia rozpoczęła się słońca, o północy zaś zerwał się wichur z lodowatym deszczem i śniegiem. Uderzenia jego mroziły szpik w kościach; konie ledwie mogły ustać na miejscu, ludzie drętwieli. Największy mróz, byle suchy, nie mógłby być tak dokuczliwym, ile ten wichur, śnieg i deszcz, zacinający jak biczem. W oczekiwaniu ustawicznem hasła ani było można myśleć o jedzeniu, picu lub rozpaleniu ogniska. Z każdą godziną czas stawał się straszniejszy. Była to pamiętna noc, „noc męki i szczekania zębami“. Głosy rotmistrzów: Stać! stać! — odzywały się co chwila i przyuczony do karność żołnierz stał w największej gotowości, bez ruchu, ale cierpliwie.

Naprzeciw zaś w dżdżu, wichrze i pomroce stały w tej samej gotowości skostniałe pułki tureckie.

I między niemi nikt nie palił ognia, nikt nie jadł, nie pił. Atak wszystkich sił polskich lada chwila był spodziewany, więc spahja nie mogła popuścić szabel z ręki, janczarowie zaś stali murem z samopa-

łami, gotowemi do strzału. Wytrzymały żołnierz polski, przywykły do srogości zimy, mógł taką noc przetrzymać, ale ci ludzie, wyhodowani w słodkim klimacie Rumelji lub wśród palm Azji Mniejszej, cierpieli więcej, niż siły ich znieść mogły. Husseinowi stało się nakoniec jasnym, dlaczego Sobieski nie poczyną ataku: oto ten złodowaciały deszcz był najlepszym lackim sprzymierzeńcem. Rzecz była widoczna, iż jeśli spahja i janczarowie postoją tak dwanaście godzin, to nazajutrz będą się kładli, jak snopy, nie próbując się nawet bronić, póty przynajmniej, póki ich żar samej bitwy nie rozgrzeje.

Zrozumieli to i Polacy i Turcy. Koło godziny czwartej w nocy przybyli do Husseina dwaj baszowie: Janisz basza i Kiaja, dowódca janczarów, wojownik stary, doświadczony i znakomity. Twarze obydwu pełne były smutku i troski.

— Panie! — rzekł pierwszy Kiaja — jeśli „barankowie“ moi do świtu tak postoją, nie trzeba będzie na nich ni kuli ni mieczów.

— Panie! — rzekł Janisz basza — spahja mi wymarznie i jutro bić się nie będzie!

Hussein targał się za brodę, przewidując klęskę i własną zgubę. Co jednak miał robić? Gdyby choć na minutę pozwolił rozluźnić szyk bojowy i ludziom rozpaść ogień, ogrzać się ciepłą strawą, atak nastąpiłby w tej samej chwili. I tak od czasu do czasu od strony wałów odzywały się trąbki, jakby jazda już ruszać miała.

Kiaja i Janisz baszowie widzieli tylko jedną radę: oto nie czekać na atak i samym natychmiast uderzyć z całą siłą na nieprzyjaciela. Nie to, że stoi w gotowości, bo jednak sam, chcąc atakować, nie spodziewa się ataku. Może się go uda wyprzeć z wałów; w ostatnim razie w nocnej bitwie klęska jest prawdopodobna, w jutrzejszej pewna.

Lecz Hussein nie śmiał iść za radą starych wojowników.

— Jakto? — mówił. — Porznięliście majdan rowami, w nich widząc jedyny przed tą piekielną jazdą ratunek, teraz zaś mamy sami przechodzić rowy, by się na zgubę oczywistą narażać? Wasza to była rada i wasze przestrogi, teraz zaś co innego mówicie!

I rozkazu nie wydał. Kazał tylko z dział ku wałom bić, na co pan Kątski odpowiedział w tej chwili z wielkim skutkiem. Deszcz czynił się coraz bardziej lodowaty i zacinął coraz okrutniej, wiatr szumiał, wył, przejmował ubranie, skórę i mroził krew w żyłach. Tak przeszła ta długa listopadowa noc, w czasie której zwątpiały siły wojowników Islamu i rozpacz wraz z przeczuciem klęski owładnęła ich serca.

Na samem świtaniu Janisz basza raz jeszcze udał się do Husseina z radą, by cofnąć się w bojowym porządku aż do mostu na Dniestrze i tam ostrożnie poczynąć grę wojenną. „Bo jeśli — mówił — wojska nie oprą się zapędowi jazdy, wtedy przez most na drugą stronę się

schronią i rzeka da im zasłonę". Kiaja, dowódca janczarów, był jednak innego zdania. Sądził on, że już na Janiszową radę za późno, a przytem obawiał się, iż gdy rozkaz cofania się zostanie ogłoszony, wnet popłoch ogarnie całe wojsko. „Spahja przy pomocy dżamaku powinna wytrzymać na sobie pierwszy impet jazdy niewiernych, choćby też wszystka wyginąć miała. Przez ten czas janczarowie przybędą jej w pomoc, a gdy pierwszy impet niewiernych zostanie powstrzymany, być może, iż Bóg ześle zwycięstwo“.

Tak radził Kiaja i Hussein poszedł za jego radą. Konne tłumy komunika tureckiego wysunęły się naprzód, janczarowie zaś i dżamak stanęli w sprawie za niemi koło namiotów Husseina. Głębokie ich zastępy wspaniały i groźny przedstawiały widok. Białobrody Kiaja, „lew boży“, który aż dotąd do zwycięstw tylko prowadził żołnierzy, przelatywał zwarte ich szeregi, krzepiąc, ducha podnosząc, dawne boje i dawne przewagi wspominając. Im zaś także miłsza była bitwa, niż owo beczynne stanie w słocie, dżdżu, w oczekiwaniu i na wichrze, przejmującym ciało do kości; choć więc zgrabiały ich ręce zaledwie mogły utrzymać janczarki i dzidy, cieszyli się jednak, iż w walce się rozgrzeją. Z daleko mniejszem sercem czekała na atak spahja, raz dlatego, że na nią miał przyjść pierwszy zapęd, a powtórę, że służyło w niej wielu mieszkańców Azji Mniejszej, oraz Egipcjan, którzy, nadzwyczaj na chłody czuli, zostali pół żywi po owej nocy. Konie ucierpiały także niemało i, lubo w świetne przyodziane rzędy, stały z powieszanemi ku ziemi nozdrzami, z których buchały kłęby pary. Ludzie z twarzami sinemi, o zgąśnieniu, ani myśleli o zwycięstwie. Myśleli tylko, że śmierć lepsza od takiej męki, w jakiej zesłała noc ostatnia, a najlepsza ucieczka do dawnych pieleszy, pod gorące promienie słońca.

W polskich wojskach kilkunastu ludzi, nie mających dostatecznej odzieży, zmarzło nadedniem na wałach, w ogólności jednak piechoty i jazda przetrzymały zimno daleko lepiej od Turków, bo ich krzepiała nadzieja zwycięstwa i wiara ślepa niemal, że skoro hetman postanowił, by kostnieli na słocie, to niechybnie ta męka im na dobro, Turkom na zło i zgubę wyjść musi. Powitali wszelako i oni pierwsze blaski poranku z radością.

O tej samej porze pan Sobieski pojawił się w wałach. Zorzy nie było tego dnia na niebie, ale zorza była w jego twarzy, bo gdy zmarkował, że nieprzyjaciół chce mu wydać bitwę w obozie, już był pewien, że dzień ten straszną klęskę Mahometowi przyniesie. Więc jeździł od pułku do pułku, powtarzając: „Za kościoły pohańbione! Za bluźnierstwa Najświętszej Pannie w Kamieńcu! Za krzywdy chrześcijaństwa i Rzeczypospolitej! Za Kamieniec!“ Żołnierze zaś spoglądali groźnie, jakby chcąc mówić: „Ledwie już stoim! Puść, wielki hetmanie, a oba-

czysz! Blask i szarawe światło poranku stawało się z każdą chwilą jaśniejsze; z tumanu wychylały się coraz wyraźniej szeregi łbów końskich, postaci ludzkie, kopje, proporce, wreszcie regimenty piechoty. Naprzód też one poczęły poruszać się i płynęły we mgle ku nieprzyjacielowi, jakby dwiema rzekami, po bokach jazdy; potem ruszyła lekka jazda, zostawiając tylko środkiem szeroki szlak, którym w chwili stosownej miała skoczyć husarja.

Każdy dowódca regimentu w piechocie, każdy rotmistrz miał już instrukcję i wiedział, co mu czynić należy. Artylerja pana Kątskiego poczęła odzywać się coraz potężniej, wywołując ze strony tureckiej również potężne odpowiedzi. Wtem zagrzmiała muszkietowa palba, okrzyk ogromny rozległ się po całym obozie — atak był rozpoczęty.

Przesłaniało widok mgliste powietrze, ale odgłosy walki dochodziły do miejsca, w którym stała husarja. Słychać było szczęk broni, krzyki ludzkie. Pan hetman, który aż dotąd przy husarji pozostał i z panem wojewodą ruskim rozmawiał, umilkł nagle i począł nasłuchiwać, poczem rzekł do wojewody:

— Piechoty z dżamakiem się biją, który w szanńczykach na przodzie rozrzucen.

Po chwili odgłos strzałów zaczął stopniowo słabnąć, gdy wtem niespodzianie huknęła jedna ogromna salwa, za nią bardzo prędko druga. Widocznem stało się, że lekkie chorągwie przepały spahję i znalazły się wobec janczarów.

Hetman wielki, wspiąwszy konia, ruszył, jak błyskawica, na czele kilkudziesięciu przybocznych ludzi ku bitwie; pan wojewoda ruski został sam z piętnastoma chorągwiami husarzy, które, stojąc w sprawie, czekały tylko na znak, by skoczyć i losy walki rozstrzygnąć.

Czekali jeszcze dość długo, a tymczasem w głębi obozu wrzało i हुआ coraz straszliwiej. Bitwa chwilami zdawała się przewalać to w prawo, to w lewo, to ku stronie wojsk litewskich, to ku stronie pana wojewody bełzkiego, tak właśnie, jak w czasie burzy przewalają się grzmoty po niebie. Armatni ogień turecki stawał się nieregularny, natomiast artylerja pana Kątskiego biła ze zdwojoną siłą. Po upływie godziny zdało się panu wojewodzie ruskiemu, iż ciężar bitwy przeniósł się znów do środka, właśnie naprost jego husarji.

W tej samej chwili przybiegł na czele swoich ludzi pan hetman wielki. Z oczu strzelał mu płomień. Osadził konia przy wojewodzie ruskim i krzyknął:

— W nich teraz z pomocą Bożą!

— W nich! — zawrzasnął wojewoda ruski.

A z nim powtórzyli komendę rotmistrze. Ze strasliwym szumem pochylił się od jednego zamachu las włóczni ku łbom końskim i pię-

tnaście chorągwi tej jazdy, która nawykła łamać wszystko po drodze, ruszyło nakształt olbrzymiej chmury naprzód.

Od czasu, gdy w trzydniowej bitwie pod Warszawą husarja litewska pod wodzą Połubińskiego rozszczępiła, jakby klinem, całą armję szwedzką i przeszła nawylot, nie pamiętano ataku, prowadzonego z taką potęgą. Kłusem z miejsca ruszyły owe chorągwie, lecz na przestrzeni dwustu kroków rotmistrze zakomenderowali: „Wskok!” — ludzie zaś, odezawszy się okrzykiem: „Bij, zabij!” — pochylili się w kulbakach i konie wzięły impet największy. Wówczas ta ława gnających wichrem rumaków, żelaznych mężów, pochylonych kopij, miała w sobie coś z siły rozhukanego żywiołu. I szła, jak burza lub jak rozhukana fala, z łoskotem, z szumem. — Ziemia jęczała pod jej ciężarem i było widoczne, że choćby nikt z nich kopją się nie złożył, choćby nikt szabli nie wydobył, samym swym rozpędem i wagą położą, zgniotą i stratują wszystko przed sobą tak, jak trąba powietrzna łamie i kładzie bór. Tak dobiegli aż do krwawego, usłanego trupami pola, na którem wrzała bitwa. Lekkie chorągwie łamały się jeszcze na skrzydłach z jazdą turecką, którą już zdołały znacznie wtył odepchnąć, lecz w środku stały jeszcze nakształt niepożytego muru głębokie szeregi janczarów. Kilkakroć już rozbiły się o nie pojedyncze lekkie chorągwie, jak fala, przechodząca z roztoczy, rozbija się o brzeg skalisty. Ich złamać, ich pożyć było teraz zadaniem husarji.

Kilkanaście tysięcy janczarek gruchnęło naraz, „jakoby jeden człowiek strzelił”. Chwila jeszcze: janczary ustawiają cię coraz silniej na nogach; niektórzy mrużą oczy na widok straszliwej nawały, niektórym drżą ręce, trzymające dzidy, serca wszystkie wałą, jak młotem, zaciśkają się zęby, piersi dyszą gwałtownie. Tamci już, już dobiegają, już słysząc grzmiący oddech koni — zniszczenie leci, zguba leci, śmierć leci!

„Allah!”... „Jezus, Marja!” — dwa te okrzyki, tak okropne, jakby nie z ludzkich piersi wyszły, mieszają się z sobą. Żywy mur kolebie się, ugina, pęka; suchy trzask łamanych kopij głuszy na chwilę wszystkie inne odgłosy, po nim rozlega się zgrzyt żelaza, dźwięk jakby tysiąca młotów, z całą siłą w kowadła bijących, uderzenia jakby tysiąca cepów w klepisko, pojedyncze i gromadne krzyki, jęki, oderwane strzały rusznicy i pistoletów, wycie przerażenia.

Straszne były skutki uderzenia husarji. Ośm tysięcy janczarów, pociętych mieczami, leżało przy rowie, otaczającym namioty Husseina baszy, nie licząc tych, którzy zginęli w ucieczce. Jazda polska była w namiotach, pan Sobieski triumfował. Trąby i krzywuły głosiły już chrapliwemi dźwiękami zwycięstwo, gdy wtem najniespodziewaniej bitwa zawrzała na nowo.

Oto wielki hetman turecki, Hussein basza, na czele swych konnych

gwardyj i reszty wszystkiej jazdy pierzchnął po złamaniu janczarów przez bramę do Jas wiodącą, lecz gdy tam pochwyciły go chorągwie Dymitra Wiśniowieckiego, hetmana polnego, i poczęły sieć bez litości, wrócił nazad do obozu, by szukać innego wyjścia, zupełnie jak zwierz, otoczony w kniei, szuka, którymby się mógł wymknąć przesmykiem. Wrócił zaś z takim impetem, że rozbił w mgnieniu oka lekką chorągiew semeńską, zamieszał piechotę, poczęści już rabunkiem obozu zajętą — i dotarł „na pół strzelenia z pistoletu“ do samego pana hetmana.

„Już w samym obozie byliśmy bliscy przegranej — pisał później pan Sobieski — co, że się nie stało, przypisać to należy ekstraordynaryjnej rezolucji husarzy“. Rzeczywiście natarcie Turków było straszne, bo dokonane pod wpływem najwyższej rozpacz, i tem straszniejsze, że zupełnie niespodziewane. Lecz husarja, nie ostygłszy jeszcze z bojowego żaru, ruszyła ku nim z miejsca w największym pędzie. Pierwsza ruszyła chorągiew Prusinowskiego i ta osadziła atakujących; za nią runął ze swoimi Skrzetuski, poczem w całym wojsku jazda, piechota, ciury obozowe, jak kto stał, gdzie kto był, wszyscy rzucili się z największą zaciekłością na nieprzyjaciela i wywiązała się bitwa nieco bezładna, lecz furją nie ustępująca atakowi husarzy na janczarów.

Wódz całej armji tureckiej, Hussein basza, ocalił się na szybkim natolskim koniu ucieczką, lecz poto tylko, by w Stambule sznurek jedwabny z rąk sułtana otrzymać. Ze świetnej armji tureckiej małe tylko watahy zdołały wynieść zdrowe głowy z pogromu. Ostatnie zastępy Husseinowej jazdy wojska Rzeczypospolitej podawały sobie w ręce w ten sposób, że hetman polny nagoniał je wielkiemu, ten hetmanom litewskim, tamci znów polnemu i tak szło kolejną, póki nie wyginęli prawie wszyscy. Z janczarów nie ocalił się niemal nikt. Cały ogromny obóz spłynął krwią, pomieszaną z deszczem i śniegiem, trupa zaś tyle leżało, że tylko mrozy, krucy i wilcy zapobiegli zarazie, jaka z ciał gnijących wstawać zwykła. Polskie wojska wpadły w tak wielki zapał bojowy, że, jeszcze nie odśapnąwszy dobrze po bitwie, Chocim zdobyły. W samym obozie łupy wzięto niezmierne. Sto dwadzieścia dział, a z niemi trzysta chorągwi i znaków przesłał hetman wielki z owego pola, na którym po raz już drugi w ciągu wieku szabla polska święciła triumf znamienity.

Sam pan Sobieski stanął w kapiącym od złota i bisiorów namiocie Husseina baszy i z niego wieści o szczęśliwym zwycięstwie na wszystkie strony przez lotnych gońców rozsyłał. Zaczem zebrały się jazda i piechota, wszystkie chorągwie polskie, litewskie i kozackie, całe wojsko stanęło w bojowej sprawie. Odprawiono dziękczynne nabożeństwo i na tym samym majdanie, na którym jeszcze dnia wczorajszego muezinowie wykrzykiwali „*Lacha il Allah!*“ — brzmiała pieśń: „*Te Deum laudamus*“.

Hetman słuchał mszy i pieśni, krzyżem leżąc, a gdy powstał, izeradości ciekły mu po dostojnem obliczu. Na ów widok zastępy rycerstwa, nieotarte jeszcze z krwi, drżące jeszcze z wysilenia po bitwie, wydały po trzykroć gromki okrzyk:

— *Vivat Joannes Victor!!*

A w dziesięć lat później, gdy majestat króla Jana III obalił w proch potęgę turecką pod Wiedniem, okrzyk ów powtarzano od mórza do mórza, od gór do gór, wszędy po świecie, gdzie tylko dzwony wołały wiernych na modlitwę.

Henryk Sienkiewicz.

LIV.

Chocim.

Stoimy na besarabskim brzegu Dniestru.

Przed nami nagle, spadziem urwiskiem stacza się do rzeki płaszczyna, gruzów pełna i zwalisk, w dole sina wstęga Dniestru, przerwana szeregiem wodnych młynów, a od drugiego brzegu rzeki ciągnie się bezmierna dal stepów podolskich, wyłożona łanami kukurydzy i pszenicznymi zagony.

Tuż za rzeką, po lewej stronie, przypadło do ziemi liche miasteczko Żwaniec, prosto przed oczyma wieś Braha z zielonym już dzisiaj okopem szanów wojennych, a u stóp naszych cmentarne zwalisko: twierdza i zamek chocimski.

Twierdza turecka, zamek o potężnem w dziejach Polski imieniu. Warownia aż do roku 1812 broniła najdalej na północ wysuniętego skrawka państwa otomańskiego; na zamku powiewała bardzo często chorągiew polska, a on sam widział bezlik bohaterskich czynów polskiego oręża. Dziś oboje — i twierdza i zamek — w gruzach i w ludzkiej niepamięci.

Ale na tym kawałku ziemi gruzy nawet jakimś odmiennym przemawiają językiem. To nie ruina, mchem pokryta, malownicza, dawno zamarta, nie ozdoba krajobrazu ani symbol zapomnienia, ciszy i smutnej zadumy. Ruiny twierdzy i zamku chocimskiego takie są dotąd całe i groźne, zda się, zdolne jeszcze pełnić swoją wojenną służbę, że trudno oprzeć się wrażeniu niezmiernej katastrofy, która jakoby z mieczem pomsty niedawno tędy przeszła, zostawiając domy bez dachów, minaret bez półksiężyca, baszty bez sinych smug dymu armatniego, mury bez zbrojnego ludu.

Tutaj zetknęły się dwa światy, dwie kultury, dwie religje: chrześcijańska i mahometańska, i stanęły w dziejowym pochodzie, zostawiając kamienne ślady swoich śmiertelnych zapasów. Podobno Genuieńczycy, a raczej Kazimierz Wielki w przymierzu z potężną republiką genueńską rzucili na wielkiej drodze handlowej do morza Czarnego ów potężny

zwał murów na kilka piątr wysokich, wzniesionych z czerwonej i białej cegły tak, że obydwie te kolory tworzą powtarzający się znak krzyża.

Cztery potężne do dziś baszty broniły zamku, a miał on kształt nieforemnego wieloboku. Ściana południowa półkolisto wygięta, wchód od strony wschodniej broniony był głębokim jarem i bramą z mostem zwodzonym. Zbudowany wtenczas, kiedy nie znano jeszcze prochu, bronił się zamek jedynie wysokością swoich murów, z których prażono wroga pociskami ręcznymi i z machin wojennych, a także wrzątkiem lub gorącą smołą.

Turcy, którzy usadowili się tutaj na stałe z początkiem ośmnastego wieku, zbudowali dokoła zamku potężną fortecę, odpowiednią do nowych wymagań sztuki wojennej. Twierdza ma kształt potwornej gwiazdy, która jakoby wychodziła z Dniestru i rozkładała swoje nierówne promienie na pochyłej płaszczyźnie. Sześć bastjonów widać jeszcze dzisiaj i potrójny pas wałów z murowanymi szkarpami, a wewnątrz rumowiska napół rozwalonych domów, wśród których wysmukły minaret z galerją dla muezina, wzywającego do modlitwy, dom baszy chocimskiego, łaźnia, magazyny, długie koszary dla wojsk: wszystko opustoszałe, mchem i trawą porośłe.

Oto ziemia, której każda piędź przepojona krwią i potem ludzkim, końskimi kopytami strątowana; olbrzymie boisko ludów, widownia dziejowych zdarzeń, które się tutaj nigdy w pokojowym współżyciu ani w twórczej pracy nie dokonywały, ale zawsze wśród szczyku oręża i huku armat, w dyszącym namiętnością tłumie żołnierskim.

Bywało, że słońca nie było widać ponad zamkiem chocimskim, tak go dymy i opary przesłaniały, bywało, że fale Dniestru płynęły olbrzymią strugą krwi, a ziemia okoliczna zasępiona była jękiem dogorywających, zasłana mnogim trupem, nad którym tylko stada kruków krążyły.

Biedna ziemia! Przez długie wieki nikt na niej ogniska nie rozpalał rodzinnego, nie ozdobił jej wieńcem rozkwitłych sadów ani chlebobajnym nie użyłnił lemieszem. Mary jeno po niej chodziły i stokroć straszniejsi od upiorów ludzie.

Dźwięk tręb wojennych i długą drogą znużone wojenne drużyny budziły ją ze snu. A gdy wreszcie nastała cisza po wojennej rozprawie, wychodziły z szumiących chaszczyw bandy opryszków — nie wiedzieć: ludzie czy szakale?

I dlatego zamek chocimski był ciągle jak jęcząca rana, zawsze krwią ociekła, nigdy niezagojona. Tu był bowiem klucz polityki całego Wschodu Europy, okno, przez które patrzyły na siebie dwie potęgi, Polska i Turcja.

Gdzie szukać miejsca na świecie, które miałyoby tyle wspomnień wojennych za sobą, co Chocim, w którym ważyłoby się tyle wypadków,

obchodzących całą Europę i kawał Azji, którędy tyle przeszłoby ludów, tyle wojsk, wodzów? Prawdziwa to igraszka państw, odwieczna kość niezgody, przedmiot ustawicznego pożądania. Chocim — to olbrzymie obozowisko, zajmowane kolejno, bronione lub zdobywane, a wreszcie opuszczane przez tłumy wojenne.

Przeszłość długa krwawem przesuwając się pasmem po tej ziemi, a zawierając w sobie tyle tragedji, ile jej tylko czerwony śmiech wojny mógł przynieść. Na tle omszałych murów zamkowych układały się wszystkie wypadki koniecznie w jakiś dramat, o którym echo gwarzyło na słonecznych, jasnych równinach po urwistym brzegu Dniestru.

A niekiedy z pól dokoła zamku chocimskiego zrywał się potężny głos chwały i biegł po wszystkich krańcach Europy, trąbiąc huczną fanfarę polskiemu rycerstwu. I wówczas cała Europa pełna była podziwu dla zastępów skrzydlatych, które rzucały się na stokroć liczniejszego wroga i w puch roznosiły jego dumę, jego zamiary opanowania całej chrześcijańskiej Europy. Tak było w r. 1621, kiedy hetman Chodkiewicz trzymał na swych barkach całą potęgę turecką, tak w r. 1673, gdy Jan Sobieski gromił bitne zastępy Husseina baszy.

Kto ciekaw, dopatrzyłby się jeszcze dzisiaj wśród rozwalisk śladów, kędy stał warowny obóz Chodkiewicza, skąd wypadali Kozacy pod wodzą Sahajdacznego i którędy szedł atak husarji polskiej, skrzydlaty, straszny, wszystko łamiący. Odległe, choć nigdy w piersiach polskich nie milknące echo, rozповіда o bohaterstwie ludu zbrojnego trojga narodów, Polski, Rusi i Litwy, jak szedł razem, razem walczył i razem zwyciężał, prawi o twardym starcu¹⁾, w którego duszy nic nie było innego, jak sama tylko miłość ojczyzny, jak rycerska i bohaterska cnota do najwyższego podniesiona napięcia, o tym starcu, który w przeddzień śmierci dopiero pod dach się schronił zamku chocimskiego, a i to tylko dlatego, żeby zgonem swoim nie odbierać ducha rycerstwu. I opowiada wieść dalej o jasnym królewiczu²⁾, co dzielił trud obozowy całego wojska, a potem chwałę jego nieśmiertelną, o tem, jak pułkownicy kozaccy siadali wraz z towarzystwem pancernem do wspólnej rady, jak w obliczu wspólnego wroga gasły wszystkie niechęci, swary i kłótnie. A nareszcie ten zwycięski powrót do kraju z czarną, wyniosłą trumną hetmańską na czele, na którą z czcią największą i wdzięcznością oczy całej Polski były zwrócone.

Wielkie dzieje, szumna chwała i wielki naród, co walczył za spokój, za dobrobyt, za życie innych narodów.

Ale wspomnienie w inne czasy niesie. Oto w pięćdziesiąt spełnia lat po pierwszej wyprawie chocimskiej widać dawny obóz i okopy Chod-

¹⁾ Hetman Chodkiewicz. ²⁾ Władysław IV.

kiewiczza zajęte przez mnogie, ze wszystkich krajów cesarstwa ottomańskiego spędzone zastępy Husseina baszy i widać ciągnące wśród dżdzu i słoty późnej jesieni r. 1673 rycerstwo Jana Sobieskiego. Zmieniły się miejsca walki: tam, gdzie Polacy za Chodkiewiczza, bronili się Turcy, atakował zaś ich Sobieski z dawnych okopów tureckich. Jeden tylko zamek chocimski patrzył milczący, jak dawniej, na walkę dwu światów i to samo było męstwo polskich rycerzy. Znowu tedy widać w jasnym wspomnieniu spadający jak grom atak husarji, pogardę śmierci u wszystkich, poczynawszy od wodza aż do ostatniego pacholika obozowego, i znowu wielkie, świetne zwycięstwo polskiego oręża, o którym stugębna fama dziwy opowiadała po całym świecie.

Pola chocimskie cicho tylko szemrzą o tem, co tu było, a obraz w farze żółkiewskiej przekazuje bohaterskie wspomnienie wiekom potomnym poto, — jak głosi napis na nim — żeby w dniach smutku i rozpaczcy nie powiedziały kiedyś narody: Kędyż jest Bóg ich — *ne quando dicant gentes: Ubi est Deus eorum.*

Wielkie, sławne pole chocimskie, rzucające pęk światła na wiek męki i klęski!

Wspomnienia późniejsze nieprzerwanie barwnym ciągną się korytami. Widać snujące się koło zamku postaci panów polskich, sadzających na krwawym tronie gospodarów mołdawskich; widać, jak ten zamek przechodzi z rąk do rąk, jak co rok prawie kto inny tu siedzi, walczy i ginie, bo — jak powiadano dawniej — cała ziemia mołdawska, a szczególnie zamek chocimski — to grób Polaków, *tumulus Polonorum.*

Aż wreszcie potęga Rosji zaciężyła zarówno nad Polską, jak i nad Turcją, i zbliżyła do siebie dwu odwiecznych wrogów. I tak samo, jak zaciętym Turcja była nieprzyjacielem, tak ku końcowi serdecznym stała się druhem Polaków. Pod zamkiem chocimskim i osłoną tamtejszego baszy wiązała się i krzepiła konfederacja barska na ratunek Rzeczypospolitej; tutaj działał i walczył Kazimierz Pułaski, tutaj tworzył się legjon polski po ostatnim rozbiórce.

I stało się, że Rosja zagarnęła i Polskę i raję chocimską wraz z całą Besarabją; zamek legł w ruinie, a cicho jeno szemrze wielkie, niezapomniane pole chocimskie...

Franciszek Jaworski.

LV.

K a t a r y n k a.

Żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy usłyszał na ulicy katarynkę, przyspieszał kroku i na kilka godzin tracił humor. On, człowiek spokojny, zapalał się; jak był cichy,

krzyczał, a jak był łagodny, wpadał w gniew na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Pan Tomasz był mecenasem. Dom, w którym mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń pan Tomasz wzywał każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchajno, kochanku... A jak ci na imię?

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiadał wzruszony stróż. ●

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie wpuszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie. (2)

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długo czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokój krawiec; lecz, że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką. Ale od św. Jana staruszkę już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną pomimo jej kłótniowego usposobienia wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła „pani“.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł w swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co dzieje się u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłęбки bawełny na pończochy.

Zrana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich nie odstępowała prawie od swojej turkocącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzą, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami

dziewczynka zapomocą dwu drutów wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko, siedząc przy oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. Wkońcu związała napowrót bukietik, włożyła go w szklankę wody i usiadłszy w swoim oknie, rzekła:

— Prawda, mamó, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na rękę, położyła się prawie nawznak w swoim oknie — i — szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal.

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klucia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i — jak zwykle — oddał mu papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk umiał wskazać najważniejszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych wyjaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tem bardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy starto kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami, około drugiej zjadł obiad i znowu siedział.

Matka ociemniała i jej współniczka, robiąc pończochy na maszynie, podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego starca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

A gdy tak nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza, odezwała się — katarynka!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnemi tonami fletowemi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzietam! Jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała ordynarne walce i polki fałszywie, a tak głośno, że szyby drżały. Nadomiar złego trąba, niekiedy w niej odzywająca się, ryczała, jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X., po którym miał ów przyjaciel dziedziczyć, jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacjom.

Ale nie, to nie były halucynacje. Była to rzeczywista katarynka z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą! ✓

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem.

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, mecenas więc skoczył jak tygrys do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszemi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: „Ty próżniaku jakis!” ..., gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy, jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasu mało nie przyprowadziła o apopleksję.

Na dobitkę kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem o bruk i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! Jak on ślicznie gwizdał!...

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt!... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj, — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę błądy:

— Słuchajno kochanku... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił pośpiesznie lokaj.

— Nie, — rzekł pan Tomasz — za to, ażebyś przez jakiś czas co dzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

— Co pan mówi?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepce do ucha i pokazuje palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i — jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa — wyrzucił katarynce dziesiątaka. Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę zaczął przytupywać jeszcze głośniejsze, co już okropnie drażniło mecenasa, więc, zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mrucząc:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna.

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

LVI.

Miłość ludzi.

...Nie daj, by słońce jedną łzę wypilo,

Nim ją otrzesz z oczu brata.

Bo tylko miłość jest siłą,
Co zgładzić może ból świata...
Lecz łza, co w ziemię wsiąknie lub w słońca promienie,
Odradza się — nieskończenie.

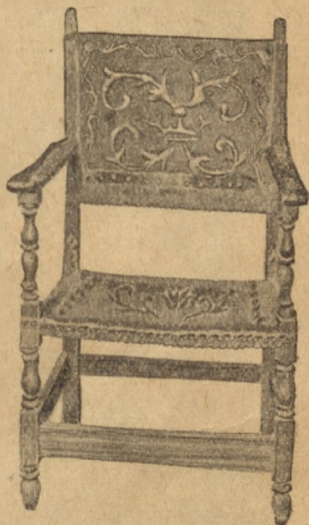
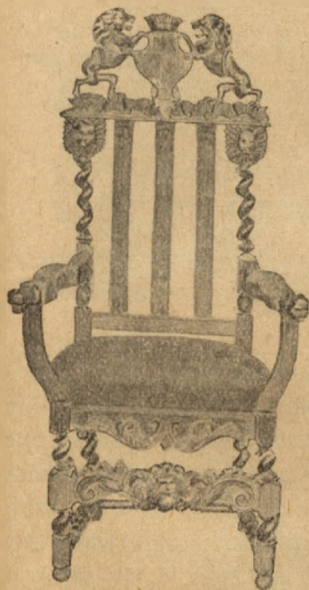
Marja Konopnicka.

LVII.

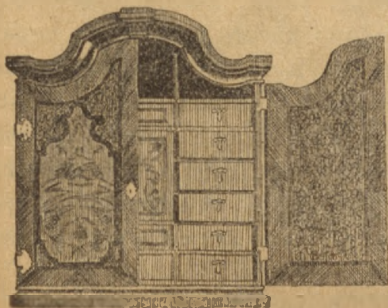
Stan
**Urządzenie wewnętrzne dworu
polskiego w XVII wieku.**

Urządzenie wewnętrzne domu, to, co dziś nazywamy umeblowaniem, bywało w bardzo zamożnych nawet dworach przez długi czas, aż pod koniec ośmnastego wieku, wcale skromne i po-

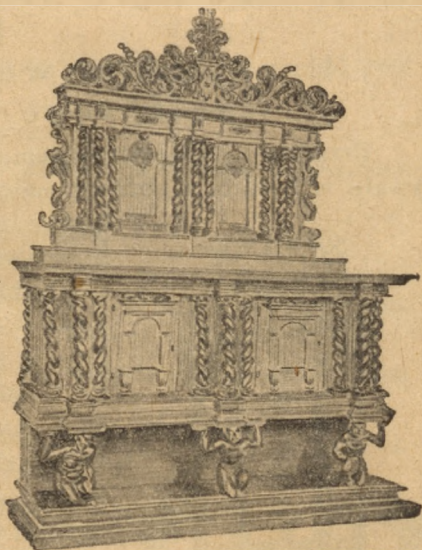
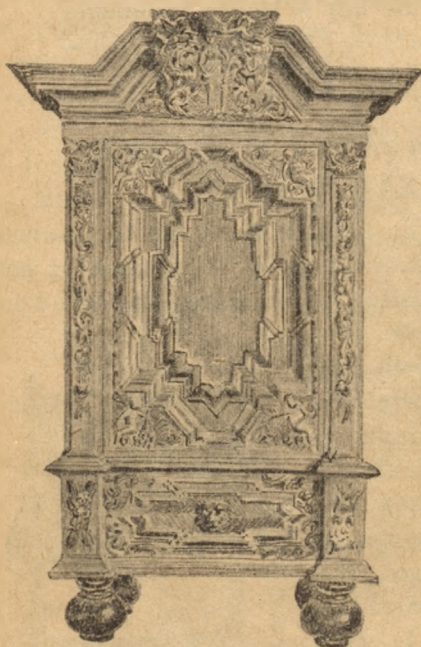
przestawało na naj-
niezbędniejszych u-
żytkowych sprzętach.
Prawie nie znano t.
zw. mebli fantazyj-
nych, sprzączków wy-
twornych, na upodo-
banie samego oka
obliczonych. Sień i iz-
bę stołową, te dwie
główne części każde-



go wiejskiego domostwa, obiegały dokoła ścian ławy; w innych komna-
tach były zydlę. Ławki i stoły z gołego, najczęściej lipowego drzewa, co
najwięcej malowane, a to najczęściej na zielono. Za sprzęt zbytkowny
uchodziły już krzesła gdańskie, karła kordybanowe i wogóle meble wy-



ścielane i droższą materją lub skórą obite. Tylko niektóre sprzęty odznaczały się wyższą sztuką stolarską, a niekiedy bywały nawet bardzo kosztownej roboty, mianowicie: służba, po dzisiejszemu kredens, almarja



czyli szafa, sepet czyli skrzynia, późniejszy już nieco kantor czyli sekretarz *sanctuarium* pana, i apteczka, *sanctuarium* pani domu. Na te sprzęty

nie żałowano kosztu; bywały one ozdabiane intarsjami¹⁾ w różnokolorowem drzewie, rzeżane czyli rzeźbione, niekiedy malowaną ornamentyką pokryte, a zawsze misternie i silnie okute i mocno zamczyste. W takich niekiedy potężnych rozmiarów sepetach chowano najcenniejsze ruchomości: garderobę, futra, srebra i klejnoty, a co było większej objętości a mniejszej ceny, na to miał schowanie osobne w bezpośredniem pobliżu domu zbudowany, dobrze ubezpieczony, a nocą przez psy i wartowników strzeżony świerzeń, t. j., mówiąc słowami inwentarza z r. 1630,



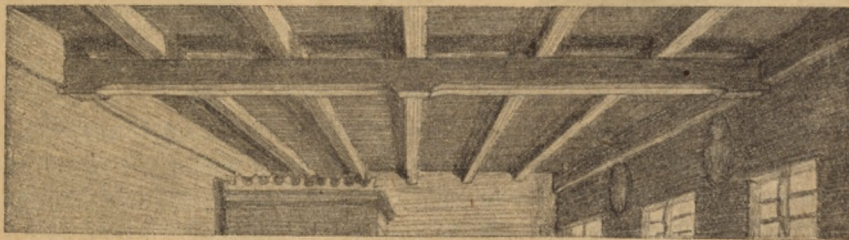
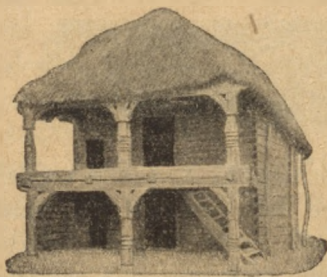
¹⁾ wpuszczane części drzewa (mozaika drzewna).

„komora na podwórzu — mocna, w obłę drzewo zbudowana, obwarowana nakształt skarbnicy“. Świerzeń, który niekiedy był także jedynym muryowanym budynkiem przy dworze, nazywano także klecią i lamusem.

Z pułapu świetlic zwieszała się mosiężna korona czyli pajak, a czasem też Meluzyna z rogami jelenia, może zdobycz myśliwska samego gospodarza; niekiedy zaś bardzo skromny świecznik drewniany, o dwu skrzyżowanych listwach, na których końcu tkwiły wosko-

we czyli t. zw. jarzące świece. Sam pułap nie bywał gładko wyprawiony, ale miewał belkowanie oparte na ozdobniejszym od belek siestrzanie ciesielskiej roboty, na którym wyciosał majster czasem datę budowy, czasem jakąś moralną dewizę, czasem domorodny, naiwny ornament z herbem dziedzica. Okna były liczne; było ich niekiedy po ośm i dziesięć w izbie stołowej i w świetlicy; w uboższych dworach zamiast szkła miały tylko błony, t. j. płótno woskowane przejrzyste lub nawet tylko papier napojony tłuszczem; błony te służyły długo, bo aż do połowy XVII w., nim zastąpiły je drobne szybki z krajowego szkła o zielonawej barwie, wpuszczane albo w drzewo albo

z ołów. U możniejszych szybki okienne były z białego, czystego i gładkiego szkła i miały nazwę weneckich, a kosztowały drogo i sprowadzać

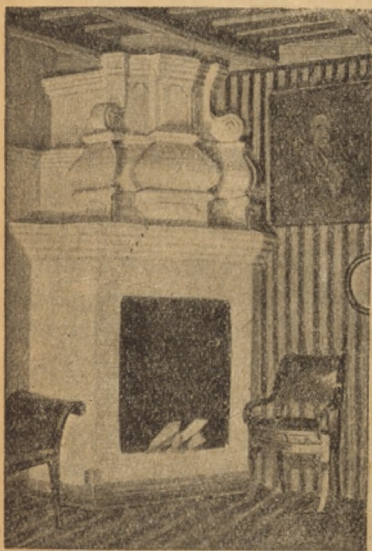


je trzeba było zdaleka. Podłoga czyli tło albo pawiment, bo i tych nazw używano, bywała drewniana, z prostych tarcic sosnowych, w wykwinniejszych dworach z dębowych. Dopiero w czasach saskiej dynastji spotykamy w lustracjach domów szlacheckich posadzki w „arkusze“ lub w „tabulatury“, a więc rodzaj parkietów. Drzwi bywały w przeważnej części mieszkania jednoskrzydłowe i najprostszej roboty. Drzwi dwuskrzyd-



łowe czyli podwoje, jeśli nadto były wytworniejszej, t. j. nie ciesielskiej, ale stolarskiej roboty, a w dodatku jeszcze fladrowane, t. j. z szlachetniejszego drzewa i o widocznych słojach, jeśli miały klamki żelazne pobielane, zamki wewnętrzne, to znaczy w drzewo wpuszczane, i zawiasy żelazne — czego inwentarze nigdy nie omieszkają dla pewnej rzadkości

zaznaczać wyrażnie i osobno — należały już poniekąd do rzeczy wyższego komfortu i elegancji. Bardzo często bowiem były od siekiery i obracały się na drewnianych wieszach, a zamykały się na wrzeczki również drewniane lub na zasuwę wiejskiej, kowalskiej roboty. Olbrzymie kominy w sieniach i izbie stołowej, piece



w komnatach miały także swoje stopnie wytworności. Zazwyczaj były tylko murowane albo nawet z gliny lepiene; zdarzały się jednak często kominy z alabastru i kamienia, piece z kasli polewanych i malowanych, najczęściej gdańskich, a wtedy były prawdziwą ozdobą i osobliwością mieszkania. Ale najdostojniejsze miejsce miał komin, szanowne ognisko, symbol rodzinnego życia, „przyjaciół duszy szlacheckiej“, jak go Rej ¹⁾ na-

¹⁾ poeta polski, żyjący za czasów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta.

zywa. Piec dawał tylko ciepło i był głuchy i niemy, komin dawał ciepło i światło i gadał do człowieka, a gdy się skojarzył z „czaszą, tą rodzoną ciotką naszą“, i z pogadanką w poufnym kole, jakimże był źródłem ziemskiej szczęśliwości! *OK*

Myliłby się przecież, kto by sobie wyobrażał, że przy tak nielicznych stosunkowo i skromnych sprzętach wewnątrz szlacheckiego dworu wyglądało nago i ubogo. Przeciwnie, komnaty sprawiały wrażenie bogactwa, a do pewnego stopnia nawet zbytku, i uderzać musiały gościa bardzo malowniczą dekoracją, a to dzięki tej nieprzebranej niekiedy obfitości opon, szpalerów, makat, kobierców i kołtryn, w których się miłowano, a których nie brakło w żadnym dostojniejszym nieco dworze szlacheckim. Ściany w pryncypalnych pokojach nie były nigdy gołe; są wskazówki, że niekiedy były malowane w festony, kwiaty, drzewa. Kto lubił malowane ściany, ten uciekał się do tak zwanych kołtryn (z włoskiego *coltre*, *coltrina*), które były tem, czem są dzisiaj tapety papierowe. Były to płótna malowane klejowo lub olejnie w ornamenta, kwiaty, widoki, a nawet osoby. Kupowano je już gotowe, a sprowadzano pierwotnie z Włoch, jak sama nazwa świadczy, później atoli przeważnie z Gdańska, Wrocławia i Norymbergi.



Ale kołtryny były stałą dekoracją, musiały być dostosowane do wysokości, rozmiarów i formy komnaty, co utrudniało ich użycie w razie zmiany miejsca zamieszkania, mniej też odpowiadały smakowi i obyczajom szlacheckiego ogółu, którego siedziby w wewnętrzznem urządzeniu miały zawsze coś z improwizacji i obozowej do-



rywczności; przenoszono więc nad kołtryny makaty, kobierce i kilimy, które łatwo zdjąć się dawały. Makat i kobierców miewał najskromniejszy nawet dom szlachecki w obfitości, w zamożniejszych liczba i rozmaitość ich bywały wprost zdumiewające. Makaty pochodziły ze Wschodu, a tak były ulubione i zwyczajne w Polsce, że mimo wybitnych cech swego pochodzenia dotąd u nas i zagranicą mają nazwę staropolskich tak samo, jak i pewne rodzaje wielce dziś rzadkich i niezmiernie kosztownych, je-

dwabnych ze złocistym tłem kobierców, które, że w Polsce było ich najwięcej i że stąd dostawały się do innych krajów Europy, zachowały dotąd w inwentarzach zagranicznych nazwę kobierców staropolskich, chociaż niewątpliwie pochodziły z warsztatów perskich, a zakupywane były przez Ormian polskich głównie w Chorassanie i Stambule.



Temi to makatami i kobiercami, wśród których niewątpliwie znalazła się „niejedna sztuka, pochodząca ze swojskiego kobierniczego warsztatu — bo wiemy, że wyrabiano już w siedmnastym wieku makaty i kobierce w Brodach Koniecpolskiego i w Nieświeżu Radziwiłłów, a także i we Lwowie — ozdobione były ściany i pookrywane stoły i ławy szlacheckiego dworu.

Mieszkanie tym sposobem nabierało ciepła, barwy, miękkości i wygody. Dodajmy do tego, że chociaż — mówiąc słowami poety XVII wieku — „nie wisiał lanszaft nowy na tych ścianach Rubensowy, konterfektów też nie wiele i nie dzieła Dolabelli“, to konterfekty przodków, jakiegokolwiek były, przecież były, a rozwieszone nad drzwiami izby stołowej nadawały jej tę czcigodność, jaka należała się starożytnym tradycjom domu i rodziny. Daleko wszakże świetniejszą, aniżeli te portrety antenatów z buławami, których najczęściej nigdy nie miewali w ręku,



dzieła domorośłego, naiwnego pendzla, daleko bogatszą dekoracją ścian była broń, niekiedy bardzo kosztowna, której cały arsenał bywał zawsze po dworach szlacheckich. Były złociste szable, buzdygany, półzbroiki, kolczugi, szyszaki i tarcze, rycerski splendor szlachcica, często o tyle dostoj-

niejszy i cenniejszy, że był na serjo wojenną trofeą gospodarza i jego synów. Bywały domy szlacheckie, których ściany były niejako wojenną historją całego stulecia: widzieć na nich można było pamiątki zdobyczne z szeregu wypraw, począwszy od tureckiego buńczuka i srebrnego tatarskiego jarczaka ¹⁾, od bogatego bojarskiego bechtera ²⁾ i złocistej moskiewskiej ikony aż do szpady szwedzkiej i niemieckich bandoletów. A jeśli gospodarz był np. kiedyś Lisowczykiem, miewał i w skrzyniach rzeczy bogate z dalekiego nawet Zachodu, z nad Renu i z Belgji; bardzo też często spotykamy w inwentarzach i testamentach ustępy o „zbiorach przez długie lata po cudzych ziemiach szablą nabytych“, o bardzo kosztownych rzeczach w złocie i srebrze.

Władysław Łoziński.

LVIII.

Dwór szlachecki.

Nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszecz smugów
Świecą gęsto, jak gwiazdy, widać z liczby pługów,
Orzących wcześniej łany ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawściąg otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
I, obiegłszy dziedziniec, zawrócił przed ganek.
Wysiadł z powozu; konie, porzucone same,
Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
We dworze pusto, bo drzwi od ganku zamknięto
Zaszczepkami i kołkiem zaszczepki przetknięto.

¹⁾ = lekkie siodło, kulbaka. ²⁾ = kirys, pancerz.

Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać;
Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.
Dawno domu nie widział, bo w dalekiem mieście
Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
Też same widzi sprzęty, też same obicia,
Z którymi się zabawiać lubił od powicia;
Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej zdały.
I też same portrety na ścianach wisiały:
Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma
Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;
Takim był, gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że tym mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów
Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie
Siedzi Rejtan, żałośny po wolności stracie,
W rękę trzyma nóż, ostrzem zwrócony do łona,
A przed nim leży Fedon ¹⁾ i żywot Katona ²⁾.
Dalej Jasiński, młodzian piękny i pośepny,
Obok Korsak, towarzysz jego nicodstępny,
Stoją na szanćach Pragi, na stosach Moskali,
Siekąc wrogów, a Praga już się wkoło pali ³⁾.
Nawet stary, stojący zegar kurantowy ⁴⁾
W drewnianej szafie poznał, u wnijsia alkowy ⁵⁾,
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Adam Mickiewicz.

LIX.

Legja królowej.

W jednym z wielkich salonów pałacu wersalskiego, nad stołem błyszczącym zastawą obiadową ze srebra i kryształu, zapalono świece w trzech olbrzymich żyrandolach. Płonęło też światło i w mniejszym, ubocznym salonie. Drzwi zaś wiodące do pokojów królestwa były zamknięte.

W wielkim salonie, pustym jeszcze, krzątał się na palcach sam tylko

¹⁾ Fedon, dzieło greckiego filozofa Platona o nieśmiertelności duszy. ²⁾ Kato Utyceński, Rzymianin dzielnego charakteru i nieskażonej cnoty, nie chcąc przeżyć upadku rzymskiej Rzeczypospolitej, odebrał sobie życie w Utyce 46 r. przed Chr. ³⁾ Jasiński Jakób, naczelnik powstania w Wilnie i na Litwie, generał polski w wojnie narodowej 1794 r.; Korsak Tadeusz, naczelnik pospolitego ruszenia województwa wileńskiego. Obaj zginęli w krwawej walce pod Pragą (przedmieściem Warszawy) 1794 r., broniąc jej przed Moskalami, którymi dowodził Suworow. ⁴⁾ = zegar grający. ⁵⁾ = nisza, pokój bez drzwi i okien, przeznaczony zwykle na sypialnię.

marszałek dworu, badając, czy wszystko w porządku. Dość szczupła liczba nakryć wskazywała, że to nie będzie wielki, wystawny obiad, na który przybywają zaproszeni goście, ambasadorowie państw obcych i przejezdni znakomici cudzoziemcy. Obiadować miano w zamkniętem kółku rodziny, oraz dworzan i dworek obojga królestwa.

W salonie małym szambelanowie i damy dworskie, stojąc, siedząc, przechadzając się i wejścia najjaśniejszych państwa czekając, rozmawiali półgłosem, w szepty niekiedy przechodzącym. Rozmawiali o tych, co są stałym przedmiotem zajęcia, uwag, spostrzeżeń, krytyki i dowcipów dworactwa: o królu i królowej.

Nie było w tym gronie książąt de Bourbon i de Rohan, którzy, skojarzywszy małżeństwo Ludwika XV z córką króla-wygnańca i króla-filozofa Stanisława Leszczyńskiego, stali na straży dobrej sławy koronowanych małżonków. Pierwszego zastąpił już na dworze kardynał Fleury; drugi, doprowadziwszy sprawę małżeństwa do skutku, własną zaprzętnięty był teraz karierą.

Dworacy mogli folgować językom...

— Czy to prawda, — szeptał margrabia, nachylając się do ucha wicehrabiny — że przy śniadaniu królowa zawiązuje królowi serwetę pod brodą i klęczeć mu każe, gdy czekoladą popłami żaboty?

Wicehrabina odszeptywała z uśmiechem, pokrywającym drobnemi fałdami jej stare, zwiędłe policzki:

— Przesada, margrabio, przesada!... Król za karę stać musi tylko w kącie.

Nieco dalej inna dama mówiła do drugiej:

— Wiesz, droga, że plotek nie lubię... Ale są rzeczy, których zamilczeć niepodobna. Czy dasz wiarę, że królowa co rano i co wieczór napędza króla do pacierza?...

Wszystkie te damy miały twarze wybielone, a policzki grubo różem pokryte. Przy lokach przyprawionych, oraz farbowanych brwiach i rzęsach wyglądały, jak maski.

Do rozmawiających przysunęła się stara dama, jaskrawiej jeszcze umalowana i z większą, a niesmaczną przesadą wystrojona.

— Ach, drogie panie! — zasyczała — jakże cieszę się, że mogę was uraczyć najświeższą gabinetową nowinką...

Wszystkie nastrzępione, upudrowane głowy skupiły się przy niej; wszystkie uszy naciągnęły się w jej stronę.

— Wiecie, jak mało uwagi zwraca królowa na swą zewnętrzną. Ubiera się bez smaku, czesze, jak wieśniaczka... Wdać się musiał wreszcie w tę sprawę sam kardynał i upomniał ją, by więcej uwagi i troskliwości poświęcała swej osobie. „Cóż więc mam czynić?“ — pyta niespokojnie

królowa. — „Na początek mogłaby najjaśniejsza pani czynić to, co czynią dziś wszystkie młode, wykwintne damy: policzki różem nacierać...”

— Z pewnością nie posłuchała! — pisnęła margrabina.

A druga syknęła:

— Posłuchała, lecz dla spokoju sumienia przywdziała włosienicę...

— Otóż nie zgadłyście, drogie panie. Królowa nazajutrz przy śniadaniu zjawiła się z policzkami uróżowanymi. Ale źle mówię: z policzkami — powinnam powiedzieć: z policzkiem... Jedną stronę twarzy miała pokrytą różem na cal grubo; drugą prawie bez różu. Król, gdy ją ujrzał, rzekł: „Wyglądasz dziś, moja droga, jak Janus...”

Zakryli wszyscy usta dłońmi, aby głośny wybuch śmiechu powstrzymać. Możeby i to jednak nie pomogło, gdyby marszałek dworu nie oznajmił był w tej chwili przybycia obojga królestwa.

Pośpieszyli wszyscy do stołu, gnąc plecy w niskich pokłonach, przybierając twarze służalcze, pokorne i przesadnie słodkie uśmiechy.

Obiad rozpoczął się w poważnem milczeniu.

Królowa przed pierwszą łyżką zupy pocziwym staropolskim obyczajem przeżegnała się. Król poszedł za jej przykładem. Dworacy, radzi nieradzi, musieli uczynić to samo, choć z widoczną niechęcią i tak niezgrabnie, że ruchy ich zakrawały na opędzanie się niedźwiedzi przed muchami.

Córka króla Leszczyńskiego, głęboko religijna, z pod oka śledząc swe otoczenie, z holem serca spostrzegła tę niecną komedję. Co prawda, opisana scena nie była dla niej niespodzianką. Królowa dobrze wiedziała, że ją otaczają ludzie pozbawieni wiary, że jej osoba i postępowanie są dla tej czeredy przedmiotem nedorzecznych, a złośliwych dowcipów — co najgorsze, że w tych strojnych, wymizdrzonych margrabiach i margrabinach ma wrogów nieprzejednanych. Ale była to niewiasta z sercem równie mężnem, jak dobrem: nieprzyjaciół nie uległa się, ustępstw żądnych dla nich nie uczyniła — owszem odważnie stawiała do walki.

Gdy przy pieczystem rozwiązały się języki, królowa z zupełną swobodą i z uśmiechem na ustach rzekła:

— Opowiedzieć muszę paniom i panom, co mnie też dziś przy śniadaniu spotkało od króla jegomości. Pewnie uśmiejecie się.

Obecni nadstawili uszu — a ona z zupełną szczerością, niczego nie opuszczając, opowiedziała przygodę swego niefortunnego różowania się:

— Była to próba pierwsza i zarazem ostatnia. Już jej nie powtórzę, bo nie chcę należeć do tych matek i ciotek, które oszpecają się w ten sposób poto tylko, żeby wyglądać równie brzydko, jak ich córki i siostrzenice, i w ten sposób zacierać różnicę wieku.

Pięćdziesięcioletnie dworki przygryzły malowane usta, w milczeniu gorzką pigułkę połykając. Królowa, przyrodzonym tylko rumieńcem zdo-

bona, wyglądała wśród nich, jak piękna wczesna róża wśród jaskrawych, prostackich piwonij.

W tej chwili król zaczął mówić o powiększeniu straży przybocznej swego teścia, która odtąd nazywać się miała pułkiem polskim, *regiment polonais*.

— Królowie — oświadczył młody monarcha — nigdy nie powinni ukazywać się bez orszaku, godności swojej odpowiedniego.

— Sądzę, najjaśniejszy panie, że stosuje się to w równej mierze i do królowych — zauważyła z udaną nieśmiałością margrabina.

Król przytaknął skinieniem głowy, a dworki zaczęły zaraz jedna przez drugą rozpowiadać, jakto było na dworze francuskim w wiekach dawnych; jakto królowa, prowadząc dwór oddzielny, otaczała się nim nieustannie; jaki splendor spływał stąd na nią, na króla i na cały władzy królewskiej majestat...

Zabrały kolejno głos i inne damy dworu. Mówiły wiele, z niezwykłym zapałem, a każde ich słowo było cienkim, ostrym, zatrutym grotem, skierowanym w pierś królowej pośrednio.

Marja Leszczyńska zdawała się nie słyszeć coraz bardziej ożywionych rozmów. Całą jej uwagę pochłaniało z pozoru zajęcie się dziećmi — parą pierworodnych bliźniąt, które ku końcowi obiadu przyniesiono do jadalni. Nagle odwróciła się w stronę margrabiny i dobitnie wyrzekła:

— Ja, droga pani, posłałam w tym kierunku dalej jeszcze, niż wszystkie moje poprzedniczki...

Zapanowało głębokie, pełne podziwu i niedowierzania milczenie. Król z całego grona najwięcej objawiał zaciekawienia i niepokoju.

— Ja — kończyła królowa — nie przestałam na szambelanach, damach dworskich i paziach. — Ja — uformowałam swą własną legję, która, gdy tylko progi pałacu przestąpię, natychmiast do mego pośpiesza boku i stale mi towarzyszy.

Król uśmiechnął się w przekonaniu, że żona pobić chce swe damy niewinnym żarciem. Margrabina i jej towarzyszki nie wiedziały zgoła, co o tem sądzić. Ze spuszczonego oczyma i minami zakłopotanemi trącały się, dając sobie znaki porozumienia.

Obiad skończył się, spożyto wety i zamysłano zwykłej użyć przechadzki. Wieczór był bardzo piękny — królowa zaproponowała, by przejść się pieszo po ulicach Wersalu.

Gdy dostojni małżonkowie zstępowali z ostatniego stopnia schodów pałacowych, król pochylił się do ucha żony.

— Teraz — szepnął żartobliwie — wystąpić powinna legja jej królewskiej mości.

— Bądź, najjaśniejszy panie, spokojny. Zaraz się ona ukaże.

Wyszli przed pałac. I w tejże chwili otoczył ich jakby z pod ziemi

wyrośli tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy odkryli głowy — wszyscy w kornej postawie cisnęli się do królowej, aby całować ręce. Słychać było dokoła przerywane łkaniami głosy :

— Matko nasza!... Dobrodziejko!... Pani anielska! Korony niebiańskiej godna królowo!

Tłum imponował zarówno liczbą, jak dziwnie podniosłym, religijnym nastrojem. Zresztą skromny był i ubożuchny, składał się bowiem z samych nędzarzów...

Król stał zdumiony; na twarzach dam dworskich malowało się zakłopotanie.

— Czemuż dziwicie się? — rzekła swobodnie Marja Leszczyńska. — To są biedacy, stale przeze mnie wspierani. Jedni przyszli dziękować, inni o nowy prosić zasiłek. Odtąd, gdzie się tylko ukazę, oni przy mnie będą. Gdy będę wesoła, powinszują mi; gdy będę smutna, pocieszą mnie; gdy będę w niebezpieczeństwie — obronią.

Powiodła oczyma po tłumie; potem do swoich się obróciła:

— Czyż to nie legja?

Król ucałował serdecznie ręce żony.

Dworzanie i dworki zgięli się w pełnym uszanowania pokłonie...

Wiktor Gomulicki.

LX.

B a z i e.

W kotlinie podkarpackiej rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodziana, kąpie się w tych promieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrznym, falisto płynącym od białych, zimnych szczytów.

Gdzieś gdzieś w głębokich potokach widnieją szare płyty niestającego śniegu, lecz gęściej czerwienią się na wzgórzach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami...

W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przylaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej roztoki rozścieliła się cała wioska: osiedla mniejsze i większe, otoczone sadami, a rozrzucone rzadko, jak gniazdka skowroncze na łąkach.

Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznaney okolicy. Wszystko patrzy... Każda trawka wychyla się ku tobie ciekawem spojrzeniem. Gdzie zajdziesz — wszędzie jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury... Gdzie spojrzysz — oczy, same oczy...

Chwilami zda się, że zleniwiła natura przeciera je po długiem spaniu zimowem i napowrót chce się do snu ułożyć... Podmucha zachodni huśta, kołysze, usypia...

Powoli dyszy ziemia omdlała piersią i leniwie poziewa. A każdy oddech mgłą, a każdy poziew ciepłemi oparami unosi się ku niebu. Światło idzie od słońca i gorąco pali bezustanku. Blaskiem oslepia naturę, promieniami szczypie i ostre strzały śle w najskrytsze zakątki. Ogień piecze, budzi i ożywia to trawy, to kwiaty, to drzewa...

Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów... Toż wesele wielkie ogarnia zapadła w kotlinie wioszczynę i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze sposepniałe długą zimą i zasuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinemi wężykami ku górze, wskazuje, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabiałem krzepi się przy uroczystem święcie na cały boży dzień.

Na polach ptactwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi po wydmach skalistych, zresztą nikt...

Spokojnie i cicho. Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza¹⁾, kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie... Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „łoktusą“²⁾, utyka po kamienistej drodze, wiodącej zygzakowato koło wody na dół. Sunie schylona, biała, koścista, jak „śmierć“... Za nią po dwoje, po troje i więcej szarych postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina³⁾; z każdej wykwitają gęsto miękkućne, srebrzyste bazie.

W świątecznem usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie biedy...

— Baziu, baziu, mee!... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

¹⁾ Turbacz = najwyższy szczyt Gorców. ²⁾ łoktuszka = biała płachta. ³⁾ habina = pręt wierzbowy.

Naraz ustały śmiechy. Zdała dolatuje cienkie, monotonne brzmienie sygnaturki... Ludzie przyspieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, gorączkowe zdania. Wszystkim dzwoni w uszach i jęczy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zeszli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony niskim murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obiegł kościół dokoła i stoi rozmodlony w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza, tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych präci...

Władysław Orkan.

LXI.

Modlitwa wiosenna.

Modrą się wstęgą toczą jasne źródle,
Szumi gaj młody i trawy na łanie.
Za życie ziemi i kwiatów i moje
Dzięk Ci, Panie !

Słońca my Twego czekali z tęsknotą
Przez długą zimę, przez śnieżne zawieje,
Aż nam jaskółki przyniosły wieść złotą,
Że wiosna dnieje.

I serce moje tak śpiewa, jak ptaszę,
I wzrok w błękity ku Tobie ulata...
Czuję, jak wieje nad pola, nad nasze,
Chrystusa szata.

On to znów stopką najświętszą Swą chodzi
Przez nasze miasta i łąny i wioski,
A Jego śladem kwiat cudny się rodzi
I spokój boski !

W powiewach ranka, w piosence słowika,
W rozkwitłych lasów szumiącej zieleni
Słyszę głos Jego, co ziemię przenika :
— Błogosławieni !

Błogosławieni, co w każdą tu wiosnę
Świat obsiewają czynami pięknymi.
Błogosławione i dziatki, co rosną,
Jak kwiaty ziemi!

Marja Konopnicka.

LXII.

Dawne wozy i powozy.

1.

Za dawnych czasów podróżowano u nas wyłącznie konno, a zwyczaj ten przetrwał bardzo długo. Konno podróżowała nie tylko szlachta i wojskowi, ale nawet duchowni; na wozy kładziono jedynie rannych i chorych, bo i kobiety w dawnych czasach tak samo, jak mężczyźni, przeważnie dosiadały koni.

Pierwsi zaczęli używać jazdy na wozach duchowni, zwłaszcza posłowie papiescy, a czynili to dla większej ostentacji i okazałości. O pojazdach pojawiać się poczynają wzmianki dopiero w wieku XIV; korzystać z nich zaczęły najpierw kobiety.

I nawet, gdy zaprowadzono już używanie pojazdów, ogół szlachty długi czas patrzył na nie krzywo, siadanie do pojazdów uważał za rodzaj ubliżenia dla siebie, a używanie ich za wyraz zepsucia i zniewieściałości.

Cnota i męstwo według ówczesnych pojęć nierozłączne były od wierzchowca i kulbaki.

Pasek¹⁾, który żył w drugiej połowie wieku XVII, trzymał się pod tym względem dawnych zwyczajów i zawsze podróżował konno. Ślubował on w czasie kampanji duńskiej, że jeśli wróci cało z tej wyprawy, odbędzie pielgrzymkę do Częstochowy. Dopełnił tego ślubu później w towarzystwie matki. Ale gdy matka jechała pojazdem, Pasek szedł piechotą, a za nim prowadzono wierzchowca, na którym miał wracać z Częstochowy, bo nawet i po dłuższej pieszej podróży uważał za niewłaściwe dla szlachcica i rycerza siadanie do pojazdu. Uchodziło to jedynie chorem lub rannym, którzy nie mogli utrzymać się na koniu.

Wozy w dawnych czasach były przeznaczone do przewożenia rzeczy i nie posiadały żadnych prawie udogodnień dla podróżnych: nakładało się w nie co najwyżej słomy lub siana na jakieś takie siedzenie.

Początkowo wyrobem takich wozów zajmowali się wyłącznie kołodzieje, używając do tego celu jedynie drzewa, wcale nie uciekając się

¹⁾ Jan Chryzostom Pasek, żył za czasów Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III. Jest autorem sławnych Pamiętników.

do żelaza i do pomocy kowala. Miejsce gwoździ zastępowały kołki drewniane, a na koła wybierano możliwie trwałą materjał, który pozwalał obchodzić się bez obręczy żelaznych.

Zresztą Polacy prędko zapoznali się z wozami kutemi i łącząc kłodziejstwo z kowalstwem, a drzewo z żelazem, zaczęli wyrabiać wozy takie u siebie i używać ich powszechnie.

Ale jeszcze w wieku XIII w bardzo wielu okolicach w powszechnem użyciu były pierwotne staroświeckie wozy bez żelaza.

W niektórych miejscowościach przechowały się one nawet znacznie dłużej: na Żmudzi wyrabiano takie wozy jeszcze w wieku XVI. Chłop żmudzki, pojechawszy do lasu konno i z siekierą tylko, wracał stamtąd po jakimś czasie z wozem, szlęją i uzdą, a zarówno wóz, jak i cały zagrząg zrobione były wyłącznie z drzewa; w wozie nie było ani kawałka żelaza, a w uprząży rzemienia lub sznura: kołki drewniane zastępowały gwoździe, giętkie pręty i łyko — rzemienie i sznury.

Takie proste, czysto drewniane wozy zwano u nas pierwotnie kolasami, która to nazwa pochodzi od koła. Później zaczęto wyrabiać mniejsze i zgrabniejsze wózki i przezwano je kolaskami.

Z pierwotnych wozów czyli kolas rozwinęły się stopniowo bryki i skarbniki.

Bryka początkowo mało różniła się od wozu. Główną różnicę stanowiło to, iż bryka miała zawsze pokrycie z płótna lub skóry, rozciągnięte na kabłąkach, podczas gdy wozy proste, kolasy, nie zawsze je miawały.



Skarbnik czyli wóz skarbnny był to porządny, mocny, zazwyczaj czterokonny wóz z przykryciem, przeznaczony do wożenia za królami lub książętami żywności, obroków i innych przyborów podróżnych. Następnie nazwę tę przeniesiono na wozy, które towarzyszyły wojskom. Ich dostarczanie było obowiązkiem miast. Każdy taki wóz musiał być zaprzężony w parę lub czwórkę dobrych koni, mieć porządnego woźnicę i jednego lub dwu uzbrojonych pachołków do obrony jego zawartości.

Oprócz skarbnnych wozów wojennych były jeszcze skarbniki do wożenia pieniędzy przy ściąganiu podatków. Takie wozy miały również pokrycie, a oprócz tego wewnątrz zamczyste skrzynki na pieniądze.

Skarbnikami nazywano także czterokonne wozy dworskie, w których za pańskim pojazdem wieziono w podróży przybory kuchenne, zapasy, obroki dla koni i pościel; na skarbnikach tych jechała także służba.

A jak z bryki powstała mniejsza i lżejsza bryczka, tak ze skarbnika utworzył się zgrabniejszy skarbniczek.

2.

Pierwsze wzmianki o wykwintniejszych pojazdach nie sięgają poza wiek XIV, a pierwsze udoskonalenie, jakie wprowadzono, polegało na możliwie szczelnem osłonięciu podróżnych od deszczu, wiatru i zimna, oraz na miękkim wysłaniu wewnątrz, ale jeszcze bez wprowadzenia pasów, usuwających trzęsienie. Takie właśnie urządzenie miały starodawne pałuby, o których wzmiankę znajdujemy w spisie powozów królowej Jadwigi i Jagiełły.

Pałuby były to niewielkie domki, plecione z łubu i osadzone na kołach. Domki te z jednej tylko strony posiadały otwór okienny tak, że w razie przewrócenia się pojazdu na tę właśnie stronę podróżni byli zamknięci, jakby w ciemnicy. Wewnątrz pałuba wybita była płótnem i suknem różnobarwnem, obwieszona bogatemi kobiercami i wysłana poduszkami. Żeby podróżnym było w nich przestronnie, pałuby robiono ogromne tak, że do wybicia całkowicie jednej potrzeby było po stokilkadziesiąt łokci materji, a zaprzęgać do nich musiano po kilkanaście par koni. Żeby zaś pojazd nie uległ wywróceniu się na nierównych i wyboistych drogach, towarzyszyli mu z boku pieszo silni pachołkowie, którzy go podtrzymywali w razie potrzeby.



Pomimo bogatego i miękkiego wysłania pałuba nie była zbyt wygodnym pojazdem, chyba w porównaniu z prostemi kolasami. Nic też dziwnego, że znikła wprędce z widowni, ustępując miejsca wygodniejszemu kolebkom, o których pierwszą wzmiankę znajdujemy również w spisie pojazdów królowej Jadwigi.

Kolebka był to pojazd, w którym pudło — prawdopodobnie początkowo taki sam, ale mniejszy domek łubiany, jak w pałubie — osadzone było na łańcuchach lub pasach skórzanych. Wskutek tego nie trzęsło się ono na nierównych drogach, lecz kołysało, kolebało tak, jak kolebka dziecinna, a stąd i nazwę do niej zastosowano tę samą.

Kolebki królewskie i wielkich panów były wybijane aksamitem i drogiemi materjami, a z zewnątrz zdobione złotem, srebrem oraz klejnotami. Taką wspaniałą kolebkę, błyszczącą od złotych ozdób, posiadała królowa Jadwiga.

W zdobieniu kolebek sadzono się na takie zbytki, że Skarga ¹⁾ skarcił je aż z ambony i przepowiedział słusznie, niestety, iż „pychę tę

¹⁾ Piotr Skarga Powęski, najślawniejszy kaznodzieja polski, żyjący za czasów Zygmunta III.

Bóg poniży pogańską niewolą, w której was miasto¹⁾ złotych kolebek na kolasach powloką“. Znakomity nasz kaznodzieja użył tu wyrazu „kolasa“ w dawnem znaczeniu prostego wozu.

Długi czas kolebki służyły wyłącznie do użytku kobiet, naturalnie tylko królowych lub wielkich pań. Górnicki, pisarz z wieku XVI, powiada w swoich „Dziejach“: „Król na koń, a królowa do kolebki wsiadła“.

W związku ze zwyczajem, że tylko kobiety używały do podróży pojazdów, pozostawał także sposób czci dla kobiet, którą tem wyrażano, iż mężczyzna, nawet starszy, ale zdrowy, nie ośmielił się usiąść obok kobiety w powozie.

Ten sam Górnicki powiada, że „kiedy kogo z płci pięknej uczcić chciano, mężczyzna, acz znakomity, nie považał się usiąść z taką osobą w kolebce, lecz na stopniu tylko stawał“. I opisuje dalej, jak Andrzej Barzy, starosta lwowski, towarzyszył w ten sposób córce Beaty, księżnej Ostrogskiej, „stojąc na stopniu u jej kolebki i uczciwość²⁾ wielką onej wyrządzając“.



Takie podróżowanie na stopniu kolebki nie musiało być zbyt wygodne. Ale zato zwyczaj ów dosadnie maluje szacunek dla kobiety i chęć oddania jej całkowicie do rozporządzenia wygodniejszego miejsca.

Czasy zmieniają się i stare zwyczaje idą w zapomnienie, bo nie odpowiadają nowym warunkom. Dziś byłoby rzeczą śmieszną chcieć okazywać kobiecie szacunek przez stanie na stopniu jej po-

wozu. Ale gorszący jest to widok, gdy młody chłopak siedzi rozparty w tramwaju i nie ustąpi miejsca kobiecie.

Jeszcze później, niż kolebek, zaczęto używać karet czyli karoc. Pojazd ten nie różnił się zasadniczo od kolebki, ale, jako późniejszy, był bardziej udoskonalony: pudło karety, opatrzone zawsze szklanymi oknami, nie wisiało na pasach, lecz opierało się na resorach. Kareta początkowo służyła tylko kobietom tak samo, jak kolebka.

Później kareta zaczęła jeździć i mężczyźni, a mianowicie dygnitarze i magnaci. Pasek opowiada, że na elekcję króla Michała senatorowie jeździli w karetach.

Szlachta jednak, nawet zamożniejsza, nieprędko zaczęła używać tego pojazdu.

Bohdan Dyakowski.

¹⁾ = zamiast. ²⁾ = grzeczność.

LXIII.

K o l a s k a.

Nie z potrzeby, ale z mody,
Leciał pędem panicz młody;
Konie w biegu się pieniły,
On je ćwiczył, co miał siły.

— „Umykajcie — wołał — z drogi!“
Gromił kijmi i batogi,
I ten w oczach jego zgrzeszył,
Kto na stronę nie pośpieszył.

Już to wielką świadczył łaskę,
Kiedy skierował kolaskę;
O włos dziada nie przejechał
I z przekąsem się uśmiechał.

Pędzi dalej; jam rzekł cicho:
— „Będzie jemu kiedyś лихо;
A wszak nie wyjdzie miesiąca,
On nas wszystkich poroztrąca“.

Ale gdy tak zawsze leci
Z strachem starców, bab i dzieci,
Kędyś tam na Nowym Świecie
Zawadził o kamień przecie.

Pękły osie u karocy,
A on wyleciał, jak z procy,
I od tej modnej swawoli
Jeszcze go bok dotąd holi.

Kajetan Węgierski.

LXIV.

O s t a t n i a n o b i l i t a c j a.

Było to w kwietniu 1794 r., w śliczny dzień wiosenny. Rozświergotały się skowronki, a trawa zazieleniała pod promieniami słońca w szmaragdową barwę; białe chmurki pędziły stadami po niebie na przywitanie białych rycerzy Kościuszki.

Chociaż to był precudny czas do roboty, w Rzędowicach żaden pług nie wyjechał w pole, bo ten dzień był uroczystą, narodową niedzielą dla Rzędowiczán. Jakoż ruch niezwykle panował we wsi. Kobiety serdecznie pomagały starościnie gotować obiad dla bohaterów. Starsi chłopcy krzatali się koło przyrządzania ławek i stołów, ba, nawet pacholeta i dziewczątka wiejskie stawiały z gorączkowym pośpiechem triumfalną bramę z świeżo rozpękłych wiklin i wiecznie zielonej choiny. Opierała się ona z jednej strony o chałupę Bartłomieja Głowackiego, z drugiej o domostwo starego Mateusza, skrzypka, który pomimo podsztych lat poszedł, jak powiadał, na wojnę.

Ten łuk triumfalny niezawodnie miłszy był bohaterowi Raclawic od murowanego łuku, jaki stawiano imperatorom rzymskim, bo na świeżych konarach wonnej jedliny ważył się na nim najpiękniejszy z aniołów niebios — anioł wolności.

Przez tę to triumfalną bramę przeciągnęła tegim kłusem straż przednia wojska polskiego, salutując przyjaźnie zgromadzony lud i oznaj-

mając szybkie Kościuszki przybycie. Przeciągnął regiment Wodzickiego, który sam z kilkoma oficerami sztabu pierwszy zawitał do dworu.

Starosta, skoro doniesiono, że Kościuszko nadjeżdża, przywdział śpiesznie kontusz i żupan swojego województwa (zwykle nosił się po francusku), przypiął karabelę i podając rękę staroście, ubranej w grodeturową¹⁾ suknię po babce, rzekł uroczyście:

— Chodźmy, chodźmy, serce moje, przywitać go chlebem i solą.

Wszystko, co żyło, pośpieszyło ku bramie.

Z kościoła parafjalnego ozwały się dzwony, ruszone zamaszystą ręką organisty.

Starosta, ujrawszy gromadę rzędowicką, zawołał:

— Chodźcie! chodźcie! Chodźmy wszyscy razem powitać naszych zwycięzców.

Na czele kosynierów, odzianych w białe sukmany, jechał na siwej klaczy pan Tadeusz Kościuszko w stroju tychże kosynierów, w czerwonej rogatywce na głowie. Anielski miał spokój na twarzy, dziwną, rzewną łagodność w oku. Koło ust igrał mu uśmiech radości wielkiej, radości niesamolubnej.

Potrójne: „Niech żyje!“ ozwało się po obu stronach bramy, deszcz kwiatów lunął pod kopyta siwoszki, a pan Kościuszko zsiadł z konia i zdjawszy czapkę, zbliżył się do starostwa, podających mu na srebrnym półmisku chleb i sól. Był to moment nieopisanego uroku. Starosta ujął Kościuszkę w długi, serdeczny uścisk i płakał, jak bóbr.

Równocześnie ozwała się muzyka wiejskich skrzypków i basów — niespodzianka, zgotowana przez organistę miejscowego, znakomitego wiejskiego muzyka. Oddzwoniwszy na powitanie, pośpieszył zadyrygować mazurkiem „Trzeciego Maja“. Rozpoczęła się wnet podwójna biesiada, we dworze i na dziedzińcu. Jak bohaterem pierwszego koła był Kościuszko, tak w drugim rej wodził Głowacki. Był on już oficerem i nosił przy boku pałasz, ofiarowany mu przez samego wodza. Ale mimo zaprosin starosty nie mógł się jakoś zdobyć na to, aby zasiąść pośród nowych kolegów.

Kościuszko nad swój zwyczaj był rozmowny, a nawet wymowny, spokojna twarz jego błyszczała rumieńcem zapału, a natchnienie świeciło w oczach.

Wreszcie wstano od stołu, a Kościuszko, podając rękę staroście, szepnęła adjutantowi rozkaz zebrania wojska, stojącego w Rzędowicach.

Zwróciwszy się potem do patrijotycznej niewiasty, wyrzekł, całując ją w rękę:

¹⁾ grodetur = ciężka tkanina jedwabna.

— Moje najserdeczniejsze podziękowanie! Odebrałem przez Głowackiego cztery tysiące pięćdziesiąt dukatów.

— Cztery tysiące pięćdziesiąt? Ja posłałam tylko cztery tysiące. Rozumiem, to dar świętszy i szlachetniejszy stokroć, to dar z dymnej chaty włościańskiej, to dar Bartłomieja Głowackiego, praca kilku lat może, może kilkunastu.

W tej chwili ozwały się bębny pułku Wodzickiego. Wojsko ustawiło się w jedno wielkie półkole, którego boki obległa gromada rzędowicka.

W środku powiewał sztandar z Orłem Białym i godłem: „Za wolność, całość i niepodległość“.

Wokoło godła iskrzyły się obok bagnetów pułku Wodzickiego kosy Krakusów i czerwieniły rogaty ich czapki.

Oficerowie sztabowi, starostwo oboje i Naczelnik wyszli przed front wojska. Adjutant naczelnego wodza donośnym głosem wezwał Bartłomieja Głowackiego. Oficer kosynierski wystąpił pewnym krokiem przed front.

Starosta zbliżył się do Bartosza, a złożywszy rękę na jego ramieniu, rzekł głośno i uroczystie:

— Mój kochany Bartłomeju, dumny jestem, żeś się w mojej wsi urodził. Daję ci świadectwo, jakoś był zawsze dobrym poddanym i pracowitym a poczciwym rolnikiem, a pan Naczelnik powiedział mi, jak dzielnym czynem przyczyniłeś się do zwycięstwa. Ten czyn rycerski podniósł cię nad stan, w którym się urodziłeś, ten czyn każe mi odstąpić cię ojczyźnie: a więc ogłaszam, że odtąd jesteś wolnym człowiekiem, wolnym od wszelkich obowiązków poddańczych. Kmiecia rola twoją jest odtąd, a to prawo własności i wolności przechodzi na twoje dzieci. Niech ci Bóg błogosławi!

Potem Naczelnik ozwał się w te słowa:

— Żołnierze! Widzieliście wszyscy waleczny czyn obecnego tutaj włościanina, Bartłomieja Głowackiego. Starodawny zwyczaj naszej ojczyzny nakazuje, aby ktokolwiek z poza szlachty odszczególni się w boju i dobrze zasłuży Polsce, ozdobiony był zaszczytem szlachectwa na znak, że szlachetnie służył krajowi, aby pieczętował się herbem, przypominającym obowiązek podobnej służby potomkom. Stosując się do tego starożytnego zwyczaju, ja, Naczelnik siły zbrojnej narodowej, najwyższą władzę dziś w Polsce piastujący, czynię cię, Bartłomeju, wraz z potomkami twymi szlachcicem i nadaję ci herb mój własny, herb Korczak. Niech żyje dzielny mój porucznik: Bartłomiej Głowacki, herbu Korczak!

Głośne: „Niech żyje!“ rozległo się w powietrzu.

— A wy, — mówił dalej Kościuszko — sąsiedzi i towarzysze jego, wiedzcie, że, powołani do oswobodzenia ojczyzny, macie otwartą drogę do serca tej matki, która każdemu wedle jego zasług wynagrodzi. Górą wolność, całość i niepodległość Polski!

Wieczorem Bartłomiej Głowacki siedział z żoną wśród gości dystyngowanych.

Trudnoć go było nakłonić do tego, ale nareszcie ustąpił naleganiom starosty. Kościuszko, siedząc obok niego, szepnął mu z uśmiechem:

— Mości poruczniku, skądżeto do czterech tysięcy dorosło pięćdziesiąt?

Bartłomiej zaczerwienił się, jak dziewczyna.

— Stąd, mój Bartłomiej, — mówił Kościuszko dalej — że byłeś szlachcicem pierwiej, zanim zostałeś nim ogłoszony.

Józef Szujski.

LXV.

P o b i t w i e .

(List z 1794 r.¹⁾)

— Obywatelu i mój Generale!

Doszedł mnie list twój przez pana Koryznę

Na obozowym pisany gdzieś wale,

Że syn mój miły poległ za ojczyznę;

List twój z pod Chełma, dziesiątego daty,

Pieczętowany przy huku armaty.

W dwojakim względzie wiadomość tę biorę,

Którym sierotą został i tułaczem:

Oczy się moje zamierzchłe i chore

Zrosiły zrazu rzęsistych łez płaczem,

A potem — z dumą wzniosłem czoło stare,

Żem dał ojczyźnie tak drogą ofiarę!

Więc chociaż — rodzic — przebitą mam duszę,

Chociaż dni moje powlokły się cieniem,

— Polak i żołnierz — unosić się muszę

Męską zazdrością, męskiem uwielbieniem,

Jakie dziś całą porusza krainą

Dla bohaterów, za wolność co giną!

O wy, rycerze, którzy dziś walczyćcie,

By Polskę miłą wyrwać z mocy wroga,

Za wasze rany i za wasze życie

Piękną wam sławę da ta ziemia droga!

Imię się wasze na wieki uświęci

W narodowego kościoła pamięci.

¹⁾ St. Kostka Chomętowski, z majątności swojej po napadzie Moskali wpółosłepły do Galicji uszedłszy, dowiaduje się o śmierci jedynego syna, poległego w bitwie pod Chełmem d. 10 czerwca 1794 r. i odpowiada jen. Zajączkowi tym listem.

Potomne czasy zazdrościć nam będą,
Że jednej z wami żyliśmy godziny...
W zimowy wieczór rodacy zasięda,
By opowiadać i wasze czcić czyny,
Męczeńskiej chwały obrazy wy żywe!
Obywatele tej ziemi prawdziwe!

I ja żołnierzem byłem w młode lata,
I jam niósł w boje za wolność me życie,
Wiem, jak redutę dym z harmat oblata,
Jak świszczą kule, jak grzmi działobicie...
I krew mi dotąd w uwiedłych gra żyłach,
Gdy wspomnę szaniec w błyskaniach i w pyłach.

Dziś, gdy mi dola uciekła z pod strzechy,
Gdym niezgojoną w pierś starą wziął bliznę,
Nie sarkam; bowiem dożyłem pociechy,
Że syn jedyny mój legł za ojczyznę,
Żem krwią krwi mojej i kością mej kości
Obywatelskie spłacił powinności.

Hej! Gdzie te lata!... Wyzuty dziś z domu,
Starzec na progu wiecznego spokoju,
Nie zazdrościłem niczego nikomu,
Prócz jednej śmierci w narodowym boju!
A oto Bóg mi wyrównał te szale,
Obywatelu i mój Generale!

Piszesz, że syn mój w pierś z kuli wziął ranę
I poległ, sztandar wznoszący ku niebu...
O moje dziecko najmilsze, kochane,
Takżeś pięknego doczekał pogrzebu!
Także ci *requiem* granaty tam grały!
Tak cię całunem owinął dym biały!...

O, gdybym raz choć umarłą twą głowę
Mógł ucałować ustami drżącemi,
Dałbym dni moich ostatka połowę
I łzami zmyłbym, gdzieś padł, krew twą z ziemi...
Nie z żalu! — Czegoż żałować ojczyźnie? —
Lecz z chluby, którąś mojej dał siwiźnie!

Tak więc spokojnie, bez łez i bez sromu,
Wyglądać będę rychłego mi końca,

Gdy z rodu mego, z imienia i z domu
Wyszedł wolności żołnierz i obrońca,
A gdy mi szablę uczynił czas rdzawą,
Na syna zdałem za kraj polec — prawo!

Często ja u tej najdroższej mogiły
Stawać tam będę myślami smutnemi.
I rzekę prochom: O synu mój miły!
Pierwej, niż moim, tejs synem był ziemi,
A oto wzięłeś w młodzińcze twe rano
Dolę, przez wszystkich pocziwych żadaną!

A teraz, gdy mi już dogasa słońce
I pień już jestem napoły spróchniały,
Przyjmcie, rycerze, me chęci gorące
Dla waszych bojów i zwycięstw i chwały!
I chciej darować starcowi te żale,
Obywatelu i mój Generale!

Z zamierzchłym wzrokiem u spodu tej karty
Kładę mój podpis palcami drżącemi:
Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt czwarty
Rok — śmierci syna — i wskreszenia ziemi
Polskiej... A jakiś świt mi złoci zgłoski,
Bowiem jest wielki rok — rok Kościuszkowski.

Marja Konopnicka.

LXVI.

Puszcza brazylijska.

Krajobraz południowo-brazylijskiej puszczy jest bardzo jednostajny, zwłaszcza gdy gęste zarośla nadbrzeżne zasłaniają dalsze widnokregi. Brzegi rzeki urwiste, wysokie na kilkanaście metrów, aż do samej powierzchni wody pokryte ciemnozielonym gąszczem, splecionym z sobą w nieprzebytą siatkę krzewów i lian przeróżnych. Na wyższych i suchych miejscach wyglądają ciemne sylwetki araukarji, robiące dziwaczne wrażenie olbrzymiego kwiatu marchwi czy pietruszki: wysoki, równy pień bez gałęzi, zakończony u szczytu koroną świecznikowato ku górze wygiętych, nierozgałęzionych konarów z pękami długich, ciemnych igieł na samym czubku. Szyszki wielkości głowy dziecka zawierają duże ziarna, używane na pokarm przez uboższą ludność i Indjan. Ugotowane lub pieczone, przypominają smakiem kasztany. Dziwna to roślina: zamłodu przypomina mniej więcej świerk swym kształtem ogólnym, w średnim wieku

włoską pinję, a na starość świecznik wieloramienny. Później i ten ostatni wieniec konarów tak samo qdpada i drzewo umiera, stercząc wśród lasu, jak palmy, nakształt olbrzymiego, gładkiego słupa. Gdy i ten wreszcie spróchniały na ziemię runie, w masie próchna pozostają latami całemi nietknięte stożkowatego kształtu sęki, twarde jak żelazo, a tak smoliste, że zamiast węgla do opalania kotłów w parowcach są używane.

Araukarjowe lasy wskazują, jak u nas sosna, na grunta lekkie i nieprzepuszczalne, należące do gorszych w tym kraju. Na lekkich a saposwatyach ¹⁾ gruntach miejsce araukarji zastępują bambusy; kępy tej olbrzymiej trzciny, użyte jako ozdoba ogrodu, są niezwykle piękne, robiąc wrażenie pięknego bukietu, osłoniętego cienistym baldachimem bladzielonych, wąskich i drobnych listków. Komu jednak bambus wśród puszczy wszedł w drogę, zapomni prędko o jego malowniczości, tak uciążliwym jest gąszcz ten do przebycia. Kępy bambusu rosną tak gęsto przy sobie, że przedzierać się przez nie wprost niepodobna, nie wyrąbawszy sobie poprzednio kordelasem, bez którego nikt, nawet małe dzieci, tu nie chodzi, wąskiej ścieżki, przyczem ścięte kilkumetrowe łodygi spadają nam na głowy, tamując przejście, a zawarta w łodygach cuchnąca woda deszczowa zalewa oczy. Dodajmy jeszcze, że ścięte przy ziemi łodygi latami całemi zachowują twardość swej zewnętrznej powłoki tak wielką, iż skrawków bambusu dzicy używają do golenia sobie głowy, a rozumiemy, że bose stopy przechodniów muszą odbywać niekiedy prawdziwy „taniec wśród mieczów“ na takiej drodze.

Po monotonji bambusów i araukaryj oko odpoczywa z przyjemnością na ciemnozielonych płatach gąszczów liściastych, w których botanik miałby co zbierać przez całe lata, tyle tu różnaitości, tyle barwnego kwiecicia i bujnej zieleni. Potężne „imbuyas“ (*bignonia paranaensis*), z kształtu podobne do rozłożystych, starych dębów, pnie, na których szczerbi się topór osadnika, wznoszą dumne swe głowy z pośród splecionych gąszczów akacyj i mirtów, paproci drzewiastych, dracen, palm, kwitnących fiołkowo rododendronów, splecionych siecią lian, niby pękami grubych, pokręconych postronków i cienką sznurową siatką, przez którą nawet przy pomocy noża przedrzeć się jest sztuką, wymagającą długoletniej wprawy i przyzwyczajenia. Olbrzymie zwały nawpół spróchniałych, pasorzytami obrosłych wywrotów, powiązane z lasem lianami, dochodzącemi nieraz grubości ręki ludzkiej, tamują drogę na każdym kroku.

A co tu kwiecicia! Fiołkowe i ponsowe tillandsje, zielone pióropusze najdziwaczniejszych paproci i aronów, wśród lian potworne sploty wielko-listnego filodendronu.

Niektóre pnie starych drzew literalnie okryte są żółtą lub bielejącą

¹⁾ = wilgotny.

od niezliczonej ilości kwiatów powłoką storczyków. Ponad morzem gęstej zieleni wznosi swe długie pióropusze wysmukła „palmita“ (*astra caria*), niebotyczne cedry (*cedrela brasiliensis*) o korze głęboko, jak u akacji, pooranej brózdami i liściach kształtu orzecha włoskiego, poszukiwane w handlu, jako pośledniejszy gatunek mahoniu i wyborny budulec. Tu znów zjawia się olbrzymia „canela“ lub „jocaranda“ (palisander), upięta festonami pasorzytów i spowita od szczytu do podstawy w zielony płaszcz żółto kwitnących storczyków.

Nad nami z wrzaskiem piekielnym przelatuje stado wspaniałych ponsowych papug (*ara*); z głębi lasu dochodzi płaczliwy głos tukanów, na szczycie drzew nadbrzeżnych sejmują hałaśliwie czarno-żółte „kacyki“ (*icterus*) lub poważnie kroczą, wyciągając ciekawie główki, szare indyki leśne (*penelope*). Na wodzie znów świat odmienny: duże, czarno-zielone kormorany, nadzwyczaj czujne, zrywają się przed nami na każdym zakręcie rzeki, ciężko, jak kaczkę podloty, kłapiąc skrzydłami, aby na następnym zakręcie to samo powtórzyć. Prześliczne, srebrzyste czaple szubują w górze, duże, siwe zimorodki z powagą patrzą w wodę, spuściwszy pionowo swoje długie dzioby i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Czasami dostrzegamy zdaleka głowę jakiegoś zwierza: sarny, lisa, wydry lub tapira, który przepływa rzekę, aby lekkim susem, strzepnąwszy się tylko po kąpieli, zniknąć w zaroślach. Najcharakterystyczniej wyglądają ociężałe kapibary (*hydrochoerus*) czyli świnki wodne, rodzaj wielkiego gryzonia, które gromadami całemi siedzą nad wodą w zacisznych i cienistych miejscach. Spłoszone, dają natychmiast nurka do wody. W bardziej zaludnionych okolicach tępią je jako szkodników, tu jeszcze nie boją się one ludzi i patrzą na przepływającą łódź apatycznie swemi szklannemi, bezmyślnemi oczyma.

Niekiedy wśród gąszczu leśnego wyrzy ciekawie gromadka małp, znikając z błyskawiczną szybkością za dostrzeżeniem nieprzyjaciela.

Na mokrych od deszczu liściach krzewów nadbrzeżnych siedzą senne helikonje o barwnych, przejrzystych skrzydełkach; niekiedy z krzaków wyfrunie olbrzymi *morpho*, ociężałym i nierównym swym lotem przybierając pozór unoszonego wiatrem, mieniącego się pięknie błękitnego papierka; życie wre gdzieś ukryte w niedostępnych gąszczach, zwierzęta, ptaki, motyle wiodą tu byt spokojny, niewidzialny dla ludzkiego oka.

Człowieka natomiast nieliczne są tylko ślady. Zrzadka szataś brazylijskiego osadnika lub łódź z jednego kłoca wyciosana, napełniona towarami, ożywiają krajobraz.

Dr. Józef Siemiradzki.

LXVII.

P u s z c z e l i t e w s k i e .

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwo po wierzchu, ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych i kopcami mrowisk,
Gniazdami ós, szerszeniów, kłębami węzowisk.
Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe napoły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dosłędzą
(Wielkie jest podobieństwo, że djabły tam siedzą).
Woda tych studni skłni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody, jak czarownic kupa,
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa,

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą na koniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory:

Dawny tur¹⁾, żubr i niedźwiedź, puszcza imperatory.
Okolo nich na drzewach gnieździ się ryś bystry,
I żarłoczny rosomak²⁾, jak czujne ministry;
Dalej zaś, jak podwładni, szlachetni wasale³⁾,
Mieszkają dziki, wilki i łosie rogałe;
Nad głowami sokoły i orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zausznicy,
Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy, bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na cmentarz; nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.
Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
Nawet, gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyj przechodził spokojny;
Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim, szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogroju gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.

¹⁾ = wół dziki, oddawna zaginiony. ²⁾ = duże zwierzę, z rodziny łasicowatych, podobne do młodego niedźwiedzia, jednak o długim ogonie. ³⁾ = lennik, hołdownik.

Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wewnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają, skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią: „Mateczniki“!

Adam Mickiewicz.

LXVIII.

Na wakacjach.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codziennie. Był to przystojny blondyn z łagodnymi oczami. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął:

— Wiesz, — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdumiałem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby „głupi wypadek“ mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — zrana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień... — przerwałem mu tonem trochę drwiącym.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może padł mu na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopa, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział książki, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków opadowała mnie ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robotcie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad nieszczęściem, organiscinę, która obrazem świętego Florjana żałowała pożar, i chłopa, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— Oto nasz system budowania!... — pomyślałem. — Dom spłonie, jakby go prochem nabito...

Istotnie w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o ubranie musiałem się cofnąć o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osękami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni lali wodę z konewek w taki sposób, że, nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wyrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, widząc, że ogień nie grozi dalszym budynkom; chałupa była zaś już nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął:

— Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!

— Gdzie? — spytano.

— W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego...

Nikt się jednak nie ruszał. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykle sposób.

— Jeżeli nikt nie idzie, — pomyślałem — zatem ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale jakież piekielne gorąco!...

— No ruszże się który! — wołały baby. — O wy psie dusze, nie warcista nazywać się chłopami.

— To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. Tam pewna śmierć, a dziecko słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje...

— Ładnie, — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham. Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie lichy ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem poczęły się wyginać.

— Ale trzeba wkońcu wdrzeć się tam, — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak.

— Lecz jeżeli już nie żyje? — odpowiedziało zastanowienie. — W takim razie szkoda nawet surduta...

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiecy:

— Ratujcie dziecko!

— Trzymajcie ją! — zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie...

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk:

— Puszczajcie!... To moje dziecko!...

— Ciągnij ją wpół! — odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar,

dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tłą włosy i — cofnąłem się rozgniewany :

— Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem. — Dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!...

Wtem potrąciła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybijanych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

— Co ty robisz, warjatko? — krzyknąłem. — Tam już jest trup, nie dziecko...

— Jagna! Chodzi tu! — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

— Ja-gna!... — powtórzył głos lamentujący.

— Zara!... zara!... — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał wniebogłosy.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

— Gdzież tam! — odparł. — Zupełnie obca, nawet służy u innego gospodarza, ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic jej się nie stało?

— Opałiła sobie chustkę i trochę włosów.

Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nu-ciła fałszywym głosem... Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu...

— My już tacy!... — dodał i począł szpicrutą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, a chłodny wiatr przyniósł od stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych.

Zwykle o tej porze układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Zato zdawało mi się, że dokoła nas szepczą krzaki:

— Wy już tacy!...

LXIX.

Do młodzieży.

Raz w życiu winien każdy z was
Alpejskiej palmy zdobyć kwiecie,
Abyście potem jako głąz
Byli na wszelki trud na świecie!

Raz dokonany męstwa cud
W żelazny pierś zakuje lód
I kto raz w życiu był ze stali,
Do końca ten się nie powali.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

LXX.

Somo-Sierra.

(Opowiadanie szwoleżera).

Szwadron nasz przy cesarzu w służbie był od świtu...
Nieprzyjaciół zastąpił drogę do Madrytu
I wstrzymał armję całą, osiadłszy na skałach...
Kaniery hiszpańskie przy dymiących działach
Nie spoczęły na chwilę, z osobna lub razem
Ziejąc na awangardę płomiennem żelazem,
A krzyżowym nas ogniem z wyżyn Somo-Sierry
Prażły rozsypane celne tyraljery.

Dzień był zimny. Mgła gruba, jak to zwykle w górach,
Spowiła okolicę w swych wilgotnych chmurach,
Słońce jeszcze nie wzeszło. Jak krwawe iskierki,
Mknął wśród mgły błysk wystrzałów. Ten i ów z manierki
Pociągnął kłosa gorzałki, albo szedł dokoła
Bukłak z winem hiszpańskiem, czarnem, gdyby smoła,
I cierpkim; tego trunku pies nie pozazdrości!
Nas i konie chłód ranny przenikał do kości...

Wszystkie drogi na góry zalała piechota;
Gościńcem szły armaty, lśniące, jak ze złota,
A za niemi w dwu światach zwycięstwami dumne
Kawalerje gwardyjskie, ściśnięte w kolumnę.
Z konnicą był sam cesarz. Z orderową wstęgą
Pod swą szarą kapotą na białym „Marengo“
Stał i patrzył spokojnie: znać pozycję badał,
Bo co moment lunetę do oczu przykładął.

Hiszpan trzymał się krzepko. Z obronnych załomów
Grzmiały gardziele armat kanonadą gromów:
Jak ćma ptaków piekielnych na powietrzu mglistem,
Kule gradem śmiertelnym leciały ze świstem.

Raz wraz w pułki cesarskie, gdyby w żywe morze,
Wpada bomba sycząca, głębie jego porze,
Szkarałatną falą tryska, wali trupów rzędy —
I począł żołnierz mruczeć: Nie przejdziemy tędy!

Nagle cesarz nadjechał do szosy wylotu...
Widziałem: Stał, jak posąg, wśród kartaczów grzmotu...
Pękające granaty ryły granit twardy. —
On, jak orzeł, wzrok puścił płomienny i hardy
W wąwóz, skąd dział szesnaście śmiercią nań bluzgało.
Potem zwrócił do sztabu twarz, jak całun białą,
Skinął, chwilę na siodle nieruchomy siedział
I któremuś ze świty kilka słów powiedział.

Nasz szwadron przebiegł płomień, kurzawą okryty
Nadbiegł major Segur od cesarskiej świty.
(Major Segur, chwał Francuz! Dusza, jak skra dziarska.)
„Kapitanie! zakrzyknął — komenda cesarska.
Wskok szarżować na wąwóz i wziąć działobitnie!
Oto szansa: zwyciężyć lub umrzeć zaszczytnie
W jego oczach! Ja z wami! Hej, na łeb, na szyję!
Niech żyje cesarz!“ Myśmy ryknęli: Niech żyje!

Miałem szkapę, jak siarka, ojcowego chowu,
Ściągłą, jak wiatr, krwi wschodniej, bez wad, bez narowu,
Gniadą, w pończoszках białych na przednich pęcinach;
Więc, gdy kapitan po nas spojrzał jak po synach,
I sformował kolumnę czwórkami z prawego,
Cugłem puścił swobodnie na grzywę gniadego,
A on, ledwo posłyszał: „Marsz! marsz!“, jak mi skoczy! —
I zaraz mgła mi krwawa przysłoniła oczy!

Jezus, Marja! Gdy wspomnę, wprost nie mogę wierzyć,
Jak on to mógł rozkazać, a my tak uderzyć!
Warjatem lub półbogiem trza być! Kawalerja
Brać wąwóz, gdzie baterja stoi za baterją!
Ale wtedy z nas żaden nie pomyślał o tem.
Rwaliśmy z krzykiem: „Cesarz!“ z brzękiem i łoskotem,
Gotowi do ostatniej wylać krew kropelki...
Jak on nas znał do szpiku! Jak on nas znał, ten „wielki!“

Jęk! Wrzask! Dym! Krew! Płomienie! Ciemna kurzu chmura!
Ludziom pióra i koniom wystrzeliły pióra!

Wpadliśmy w wąż... gnamy... Rąbiem, jak szatany...
Z przed kopyt ogłupiałe zmykają Hiszpany.
Grzmia dział, karabiny! We krwi pół szwadronu
Leci z siodeł! Trzask kości! Straszny charkot zgonu!
Tu przepaść! Tam harmaty! „Wskok! wskok! wskok! do czarta!!!“
Baterja jedna!... druga!... i trzecia!... i czwarta!...
Zdobyte!...

Kozietulski w najpierwszym momencie
Stracił konia i runął na wążu skręcie...
Nie zginął! — wstał i pieszo pobiegł do ataku.
Dziewanowski z Rokickim zostali na szlaku;
Rudowski na armacie legł, przez siebie wziętej;
Krzyżanowski zabity... Krasinski pocięty...
A przy czwartej baterji, posoką zbryzganej,
Mdlął dzielny Niegolewski z jedenastu rany...

Jam się ocknął, w krwi cały, na ostatnim dziale...
Złote słońce na niebie gorzało wspaniale,
Nadjeżdżał właśnie cesarz. Patrzę, a on z głowy
Zdjął kapelusz trzyrożny; z twarzy marmurowej
Biły blaski promienne... Spojrzał na harmaty,
Na trupy szwoleżerów, jak wiosniane kwiaty
Ścięte kosą... I nagle ściągnął brwi sokole
I wołał: „Cześć walecznym“! I wstyd miał na czole!...

Artur Oppman (Or-Ot).

LXXI.

Z młodych lat ks. Józefa Poniatowskiego.

Księżę Józef Poniatowski, bratanek ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta, minister wojny i naczelny wódz wojsk Księstwa Warszawskiego, podniesiony za swoje czyny wojenne przez cesarza Napoleona I do najwyższej i wyjątkowo tylko nadawanej, tem zaszczytniejszej więc godności wojskowej marszałka francuskiego, zajmuje wśród postaci naszych dziejów poroźbiorowych jedno z miejsc pierwszych.

Szlachetność i sładycz jego charakteru, jako też nieustraszone męstwo jednały ks. Poniatowskiemu za życia uwielbienie u podwładnych, miłość u przyjaciół i towarzyszyw broni, a uczucie czei i szacunku nawet u przeciwników. Bohaterska zaś śmierć księcia w nurtach Elstery w ostatnim (19 października 1813) dniu wielkiej bitwy „narodów“ pod Lipskiem uwieńczyła skroń jego nieśmiertelnym wawrzynem.

Nic więc dziwnego, że w dziejach naszych wogóle niewiele naliczyć

możnaby postaci równie sławionych i popularnych, jak bratanek Stanisława Augusta. Mimo to mało znaną jest rzeczą, że ten nieustraszony wódz hufców polskich całą swą niemal młodość przepędził w Austrii, że tam pobierał pierwsze nauki w rzemiośle wojennem, w którym tak później zasłynął, że początkową służbę wojskową odbywał w armji austriackiej, że wreszcie, walcząc pod sztandarami austriackimi, pierwszą odniósł ranę. A jednak to takie naturalne wobec stosunków panujących w owych czasach.

Było mianowicie wówczas ogólnie utartym jeszcze zwyczajem, że młodzi potomkowie znakomitych rodów wyjeżdżali na studia za granicę, a gdy szczupłe środki ojcowskiej fortuny nie pozwalały na odpowiednie życie w ojczyźnie, szukali zajęcia u obcych. Zwłaszcza kto pragnął poświęcić się zawodowi wojskowemu, ten natrafiał podówczas w Polsce na rozliczne trudności, gdyż armja polska za obu królów z dynastji saskiej, Augusta II, a zwłaszcza Augusta III, smutny tylko w porównaniu z armjami państw sąsiednich przedstawiała widok tak co do swej szczupłej liczby, jak nawet — przynajmniej poczęści — co do swej jakości i sprawności bojowej. Nic też dziwnego, że i ojciec ks. Józefa, Andrzej, potomek rodziny licznej a niezbyt bogatej, wysłany za granicę, wstąpił był w szeregi austriackie i osiadłszy na stałe w Austrii, wkrótce doszedł do wysokich godności wojskowych.

W Wiedniu też urodził mu się dnia 7 maja roku 1763 syn, książę Józef. Niedane było jednakże ks. Andrzejowi tego syna wychować. Umarł w młodym wieku, zostawiając pacholę zaledwie dziesięć lat liczące. Dalszem wychowaniem księcia zajął się król Stanisław August. Ten nie tylko — wobec szczupłego majątku, pozostawionego przez ojca —łożył na jego wykształcenie, lecz nadto dozorował pilnie całego biegu nauki swego uchanego bratanka.

Ponieważ Stanisław August przebywał w Warszawie, a młodziutki książę w Wiedniu, więc też król listownie śledził postępy swego krewniaka, nakazawszy przysyłać sobie dokładne sprawozdania nauczycieli o jego zachowaniu się i naukach, a później polecając jemu samemu zdawać sobie sprawę w obszernych wyciągach z dzieł przeczytanych.

Już od najmłodszych lat przeważała w usposobieniu księcia skłonność do życia ruchliwego, która z latami przeradzała się w szczególne zamiłowanie do zawodu wojskowego. Na tę też stronę umysłowości księcia Józefa kładli i król i jego wychowawcy główny nacisk i to było powodem wstąpienia jego do wojska.

W Austrii panował wówczas jeden z najbardziej popularnych cesarzy, Józef II. Jemu to w czasie wielkich ćwiczeń wojskowych pod Pragą przedstawiono czternastoletniego księcia, a cesarz, widząc dorodną postać młodzianka, już wówczas namawiał go do wstąpienia do armji austriac-

kiej. Lecz chłopiec był jeszcze za młody. Poszedł za radą cesarza dopiero w trzy lata później, mając lat siedemnaście. W lutym 1780 roku zamianowany został podporucznikiem w drugim pułku karabinierskim, którego stałe leże znajdowały się w Czechach.

Król Stanisław August, choćby może był wolał mieć krewniaka przy swym boku w armji polskiej umieszczonego, przecież mu swego zezwolenia nie odmówił, zastrzegł tylko, że na każde wezwanie, gdy zajdzie tego potrzeba, ksiązę stawi się pod ojczystym sztandarem.

Zawód wojskowy bardzo podobał się księciu. Pilnie też przykładał się do nabrania w nim biegłości, jako też do wyuczenia powierzzonego jego komendzie oddziału wszelkich obrotów i mustry wojskowej. W krótkim czasie dokazał tyle, że oddział jego należał do najlepszych w całym pułku. Często więc odbierał za to pochwały od swych przełożonych.

W lecie roku 1781 odbywał cesarz Józef II przegląd wojsk załogą leżących w Czechach. Między innemi wystąpił przed cesarzem także pułk karabinierów, w którym służył ksiązę Józef. Ten pierwszy popis przed wymagającym bardzo cesarzem wypadł dla młodego porucznika bardzo korzystnie, cesarz więc w nagrodę jego pilności i sumienności służbowej posunął go zaraz na stopień wyższy, a następnie, ceniąc w księciu wybitny talent wojskowy i liczne jego zasługi, niemal co roku obdarzał go wyższym stopniem tak, że już w roku 1786 był ksiązę podpułkownikiem w jednym z najbardziej doborowych pułków austriackiej konnicy.

Bo też ksiązę Józef ogromnie konie lubił i był zapalonym jeźdźcem, coto nie cofa się przed żadną przeszkodą. Razu pewnego, podczas letnich ćwiczeń wojskowych nad rzeką Łabą, założył się, że konno w całym uzbrojeniu przejdzie szeroko wezbraną rzekę. Czynu tego w rzeczy samej ku zdumieniu wszystkich dokonał. Wtedyto, jak tradycja głosi, miała mu przepowiedzieć cyganka, że choć pokonał Łabę, to Elstera go zabije. Swą śmiałą jazdę przypłacił raz nawet i to ciężko, ponieważ wraz z koniem upadł, złamał nogę i przez dłuższy czas musiał się leczyć.

Na szczególne względy, okazywane mu stale przez cesarza, ks. Józef zasłużył w zupełności. Posuwał się bowiem tak szybko ze stopnia na stopień nie dzięki swemu bliskiemu pokrewieństwu z królem polskim, lecz na mocy swej gorliwości w wypełnianiu obowiązków.

Zasłynął też wkrótce jako jeden z najzdolniejszych oficerów, a cały zasób energii rozwinął zwłaszcza wtedy, gdy po pierwszym rozbiórze ziem polskich i przyłączeniu Galicji do Austrii poczęto tworzyć po raz pierwszy w Austrii pułki ułańskie, rekrutowane z Polaków. Na miejscu w Galicji formował i organizował je ks. Józef, całą swą usilność wyteżając, by te oddziały mogły przedstawić się jak najkorzystniej.

W r. 1788 wypowiedziała Austrija wspólnie z Rosją wojnę Turcji. Wyruszył na nią również ks. Józef. Przed udaniem się wszakże na plac

boju został przydzielony do boku cesarza, który postanowił wziąć również czynny w tej wyprawie udział. Jednym z najważniejszych wypadków wojny, o której mowa, było oblężenie twierdzy tureckiej Sabaczu. W tym czasie, gdy armja austriacka była zajęta jej zdobywaniem, ks. Józef odznaczył się nieraz wielką odwagą, biorąc do niewoli wraz ze swym ówczesnym przyjacielem, ks. Schwarzenbergiem, późniejszym generałem austriackim, kilku nieprzyjaciół.

Lecz służba przy samej osobie cesarza mało dawała pola do popisu dla pragnącego się wybić młodego oficera. Jako ochotnik uczestniczył więc w atakach na przedmieścia twierdzy, a gdy te zostały wzięte, prosił, by mu pozwolono poprowadzić atak na sam zamek. Istotnie zgodzono się, książę więc powiodł swój oddział na mury zamku z nieustraszoną odwagą i stanął na nich pierwszy dnia 24 kwietnia 1788 roku. Tam przedarł się już przez okalający dokoła twierdzę rów forteczny, lecz dostawszy się pod sam mur, został ciężko raniony kulą karabinową w udo. Z wielkimi trudnościami wywieziono go stamtąd, a później tylko dzięki bardzo starannej opiece lekarskiej uniknął grożącego kalectwa.

Za ten czyn cesarz mianował go pułkownikiem „w łaskawem uwzględnieniu — jak brzmiało odręczne pisano — wyświadczonych Nam i Domowi Naszemu, a i nadal spodziewanych wiernych, gorliwych i pożytecznych usług, zdobytego doświadczenia wojskowego, okazanej chwalebnej przed nieprzyjacielem odwagi i innych zalet“.

Niedługo już atoli dane było księciu Józefowi pozostawać w szeregach austriackich. Ledwo przyszedł do zdrowia, zgłosił się na nowo do kampanji z Turkami, lecz w niej już nie stanął. Tymczasem bowiem w Polsce sejm uchwalił podwyższenie liczby wojska do 100.000. Postanowiono ściągnąć wszystkich oficerów-Polaków, służących w armjach zagranicznych. Król więc powołał i swego bratanka. Posłuszny woli stryja, książę w myśl przyjętych zobowiązań po załatwieniu wszystkich formalności na zawsze opuścił armję austriacką.

Przed księciem otwierała się odtąd nowa droga, pełna krwawego trudu i mozolnych wysiłków, droga, która go zaprowadziła przez Ziełence, Raszyn, Smoleńsk i Lipsk na wyżyny nieśmiertelnej sławy.

Bronisław Pawłowski.

LXXII.

Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego.

Nastał dzień bitwy krytyczny, dla korpusu polskiego najgorętszy. Znów walka zawrzała od samego świtu. Tym razem atakowały z tej strony głównie kolumny związkowe pruskie. Poniatowski przeciw pięciokrotnej przewadze broniąc klucza swojej pozycji, wsi Probstheidy,

swoim zwyczajem prowadził osobiście w ogień pokolei bataljony dywizji Izydora Krasńskiego.

Cesarz Aleksander z sąsiedniego pagórka przyglądał się tym nadludzkim wysiłkom i widokiem naocznym utwierdził w sobie szacunek dla takiego przeciwnika i sprawy, przez niego wyobrażanej. Ale bo też w rzeczy samej nie Probstheidę saską zdobywał tutaj krwią swoją książę Józef; zdobywał Warszawę przyszłego Królestwa Polskiego w obliczu przyszłego jej monarchy. Utrzymywał się raz jeszcze na wysuniętem niezmiernie stanowisku, ale ze stratą ogromną, niepowetowaną w ludziach i ładunkach. A tu tymczasem tego samego dnia na polu bitwy przeszli do nieprzyjaciela Sasi; a tu nadciągnęły świeże nieprzyjacielskie rezerwy Blüchera i Bernadotte'a. Szale przechyliły się ostatecznie na stronę koalicji. Dalsza walka stawała się beznadziejną. Wieczorem wydał Napoleon rozkaz do odwrotu. Rozpoczął się tejże nocy ten odwrót fatalny, utrudniany nadzwyczajnie przez sam charakter okolicy. Prowadził przez groblę długą, półmilową, wąską, poprzez ośm mostów, rzuconych na błotniste koryto Pleissy, Elstery i ich odnóg, których płytkie zwykle wody, teraz podniesione jesienną powodzią, wystąpiły z brzegów, tocząc się brudnym, spienionym i rwistym nurtem.

Cisnęła się tą groblą, niby przez drugą Berezynę, zwarta masa cofającej się armji, artylerja, piechota, bagaże, ambulanse, jazda; po drugiej stronie, jak zwykle, straż tylną pod czuwającym noc całą Poniatowskim pełnili Polacy.

Wstał zimny, wietrzny, pochmurny ranek 19 października. Siwa, ciężka mgła podnosiła się z bagnistego nadrzecza, rozkładała po ogromnej równinie, przesycala oparami świeżej krwi, łączyła się z mżącym gdzieś niedaleko, przejmującym do szpiku kości jesiennym deszczem, z dymem palących się przedmieść lipskich i nieustających salw armatnich i karabinowych, tak gęsta, że o kilkadziesiąt kroków trudno było widzieć. Już cała prawie armja na drugą stronę przeszła, kiedy wtem po 11 zrana przedwcześnie wysadzony został w powietrze przez saperów francuskich most na Pleissie. Książę Józef, mając przy sobie kilkuset ludzi, nagle został odcięty. Wycofywał się on właśnie z zachodniego przedmieścia lipskiego, Borny, na czele szczupłej eskorty kirasjerów i krakusów, szarżujących raz po raz na nacierających rojami tyraljerów nieprzyjacielskich. Wtedy po raz trzeci otrzymał postrzał w rękę, lecz owinąwszy ją chustką, na koniu pozostał. Otaczający go sztab, generałowie Małachowski, Grabowski i inni wobec odwrotu i niemożności dłuższej obrony błagali go, aby się poddał, osobę swoją dla kraju zachował. On nie słuchał. Oczy miał krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałała mu rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, rozgorączkowany; napół przytomny, odpowiadał na wszystko:

„Trzeba umrzeć mężnie“. Rzucił się wpław do Pleissy, ale, już koniem kierować niezdolny, porwany był siłą prądu. Wpadł za nim do rzeki młody kapitan francuski, Bléchamp, w chwili, gdy księżę uwalniał się od tonącego konia, i wydobył na brzeg przeciwny. Poniatowski ruszył dalej pieszo do Elstery przez błotniste ogrody, już wszędy napełnione tyraljerką nieprzyjacielską; tutaj po raz czwarty zraniony kulą, w bok mianowicie, słaniając się, padł w objęcia paru dotrzymujących mu jeszcze kroku oficerów; po chwili odzyskał przytomność, z trudnością dosiadł podanego świeżego konia, ale chwiał się na siodle. Ociekał krwią, był zapewne ranny śmiertelnie, śmierć miał w spojrzeniu i wyrazie; na ponawiane błagania towarzyszków nie odpowiadał już wcale, tylko coś z gniewnem uniesieniem mówił bez związku o Polsce i o honorze. Wtem na widok nadbiegającej nieprzyjacielskiej piechoty porwał się nagle sił ostatkiem i skończył z koniem do Elstery. Tu ostatnią kulę odbiera w lewą pierś, przeżyty nawylot osuwa się z konia i po krótkim pasowaniu się — znika pod wodą.

Tak umarł księżę Józef Poniatowski.

Szymon Askenazy.

LXXIII.

W l e s i e.

Rozmaici mieszkańcy i mieszkanki lasu, korzeniami tkwiący w ziemi, to naród; pod wierzchołkami zaś, wysoko, mieszkają poci narodu leśnego wszelkich wzrostów i wszelkiej miary głosów, jak bywa z poetami narodów wszelkich.

Najgwarliwszy i najciężlejszy jest tu świergot zupełnie elementarny, coś podobnego do nieczłonkowanej mowy Chińczyków, po dwie sylaby w wyrazie każdym: „ci-ci, li-li, pi-pi!“ — nadzwyczaj proste i niemelodyjne, ale tak liczne, że aż ogłuszają. Kukułki zato, macierzyńskie prace zdawszy na malutkie pliszki, kędyś u skraju lasu, blisko wody, w świeżości i pełnem świetle kukają głośno, wyraźnie, miarowo, wcale nie chórem, bo gdy jedna przestaje, wtedy dopiero druga zaczyna, a tej u końca wtóruje trzecia, czasem zaś którakolwiek z większej swobody aż zaniesie się od śmiechu. Są to próżniaczki i lekkomyślnice, niemniej poetki wdzięku pełne. Lecz gołąb-grzywacz jest tak ponury, że można śmiało obdarzyć go tytułem pesymisty lasu. Głos ma donośny, a gdy się odezwie, przysiąc trzeba, że to ofiara mordowana o ratunek woła: „Huu-huu! Huu-huu!“ — i jest w tem wołaniu przypomnienie noża mordercy, nocy ciemnej, konduktu pogrzebowego, rozpaczy samotnie wyjącej na grobach. Szczęściem szczygły śpiewające wielkim chórem zagłuszają prawie lamenty grzywacza; w pobliżu rozlegają się głośne, miarowe stukania dzięciołów, a tuż nad głową coś dużego i świetnego w gałęziach prze-

leciało. To kraska, mieniąca się na piórach konchą perłową i turkusami. Pomyka wysokimi gałęzmi w milczeniu, tylko z szelestem dużych skrzydeł i zapada między drzewa, kędy rozlegają się gwizdania kosów krótkie, melodyjne, z cieniutką nutą u końca, jak z haczykiem.

A najwyżej, najwyżej, u tego z wierzchołków, który zdaje się dotykać obłoczka kędzierzawego, słychać piski ostre, przykre, dzikie, w których każdy poznać może skomlenie piskląt krogulczych, oczekujących w gnieździe na powrót ojca z krwawym łupem. Tam, wysoko nad narodem leśnym i jego poetami założył sobie gniazdo krogulec, tyran leśny. Niewiele przyjemniejszemi od pisków krogulczych są piski wron, odzywających się zrazu rzadko, potem coraz częściej, szybciej, chóralsiej. Brzydko, chrapliwie, monotennie, głupio kraczą głupie, nieznośne wrony!

Czego one tak się rozkrzyczały? Coprawda, wstąpiliśmy do ich państwa, w którym wolno im krzyczeć i wogóle robić, co im się podoba. Bo brzegiem łączki leśnej, za którą pełnym już szlakiem błękitnym prześwieca rzeka, wisi na gałęziach mnóstwo gniazd wronich, wielkich, kosmatych czapek, pełnych piskląt. W państwie leśnym państwo, w rodzie skrzydlatym plemię osobne. Wrzaskliwe plemię. Wrzaskiem swym psuje koncert natury. Gdybyż umilkły na chwilę! Nie, coraz przeraźliwiej wrzeszczą i zaczyna być w tym wrzasku trwoga, gniew, krzyk na pomoc, wołanie na bój. Zlatują się też zewsząd, z nad wody, z głębin lasu, z pól odległych. Wielkie, czarne, przerażone, ciężkim lotem śpieszą pojedynczo, gromadami, krążą w powietrzu lub osiadają na gałęziach, u gniazd, w których pisklęta już spore, skrzydeł próbując, podlatują. Od czegoż padł na nie strach tak wielki? Czego rozwrzeszczały się tak piekielnie? Brzydko, chrapliwie, monotennie, głupio wrzeszczą głupie, nieznośne wrony!

Pod niebem, pod samem niebem, krogulec waży się na skrzydłach szerokich i pod grozą oka swego długo trzyma poetów lasu. Straszne to oko: krwią zasłte, krwi żądne, daleko widzące. Z pod chmur dostrzega ptaszcę w krzewinie; w głąb ziemi chyba zapaść, aby się przed nim skryć. Kiedy na chwilę nieruchomo, jak teraz, pod niebem zawisnie, to tylko dlatego, aby namyślić się i wybrać ofiarę. Potem, jak piorun, spadnie, na kogo zechce, i sądu nie będzie ani litości. On pan, bo silny.

Umilkł las, w gąszcze najgłębsze skryli się jego poeci, i słychać tylko po krzakach, po gniazdach ciche wołania, fruwania, pogwizdy podobne do jęków. I te ustały. Teror nakrył wierzchołek lasu, jak wieko trumnę.

Tylko wrony nie przestają wrzeszczeć, owszem coraz szerzej otwierają dzioby rozdziawione, przerażone, ale zarazem zdjęte gniewem, od którego pierze jeży się im na grzbietach, a skrzydła drgają, podlatują, łopocą, jak sztandary rozwijane. Nie chowają się bynajmniej; na drze-

wach siedzą złe, napuszone, albo krążą koło gniazd, rozstawiając przed niemi skrzydła, jak parawany. Może zamierzają wrzaskiem odstraszyć tyrana lasu... Płonne nadzieje! Nieraz już słowiki oczarować go próbowały. Śmiał się tylko i co dziesiątego zjadł. Na plemię rozkrakane ma krzywy dziób i szpony.

Z pochylonym nisko dzióbem i szponami rozpostartemi nakształt haków krzywych, wielkich, wyostrzonych, z szybkością błyskawicy w linii prostopadłej spadł na jedną czapkę kosmatą i wyrwał z niej pisklę wronie.

Wówczas w powietrzu stało się coś dziwnego. Chmura ciemna okryła duży kawał nieba. Cały naród wroni, jak jedna wrona, podniósł się na obronę swojej krwi. Hałas, chaos, ruch wściekły ciał skrzydlatych, okrążających jedno, lecz potężne. Właściwie potężną była jego zbroja. W dzióbie trzymając skrzydło ofiary, szponami raził piersi bojowników, skrzydłami mocnemi, jak wichur, bił ich po głowach. Krwawi, ogłuszeni, padali na łączkę zieloną, miażdżąc ciałami wiotkie weroniki, rosą czerwoną zwilżając srebrne potentille. Lecz był to ubytek kropli w oceanie. Powietrze drżało walką, której końca z drżącemi piórkami oczekiwały wszystkie rody ptasie, bez oddechu skryte po drzewach i krzakach. Ciekawie spoglądały na nią z-za krzaków żółte twarze arnik, geranje wśród jałowców płonęły rumieńcem zapału, w gęstwinach najdzikszych spirje wstrząsały hardo pióropusze białe, a fragarje rubinowe, pyrolla pachnąca, linnea wdzięku pełna, nawet borówki sztywne od samej ziemi szeptały chórem: „Boże, dopomóż! Boże, dopomóż!”

Dopomógł. Z tłumu czarnego, zawrotnie krążącego na skrzydłach zdjętych gniewem, silnych od gniewu, łopocących, zażartych, tyran lasu wypłynął, jak łódź z żagleń wzdętym, chyżo, chyłkiem, z dzióbem pustym, ze szponami zwiniętymi, zwyciężony, poraniony, zawstydzony, uciekający. Nie śmiał do gniazda powracać bez łupu, odleciawszy więc daleko, daleko, bezsilnie opuścił się na drzewa i smutnie, ciężko, cicho w ciemną ich głębię zapadł. Wówczas wszystko, co było w lesie liściem, trawą, igłą, zaruszało się i uderzyło w poklask ogromny: „Brawo, brawo!”

Wrony bez tchu i głosu posiadały na gałęziach i dzióbami pióra wyglądają lub zamyślane siedzą, spoczywając. Obroniły krew swoją. Odały matce syna, rycerza przyszłego plemieniu swemu. Ocaliły część mocy swojej. Pomściły zgwałconą sprawiedliwość. Teraz to jedna, to druga podniesie głowę i zakracze triumfująco: „Dobrze mu tak!” — „Dobrze!” — odpowiadają inne. — „Nieprędko powróci!”

Wiekro spadło z trumny, las odżył. Kukułka znowu kuka i zanosi się od śmiechu, dzieciół stuka, kosy gwizdzą, szczygły i inne ptactwo drobne swiergoce na wszystkie możliwe tony i tempa. Poeci lasu, rodów i stopni wszelkich, wzniesli pean na cześć bohaterów. A pyrolle wonne,

linnea pełna wdzięku, bursztynowe krople żywicy na sosnach, nawet czerwone, jak jabłuszka, syrojeżki od stóp sosen chórem woni wtórują:
„Boże, błogosław! Boże, błogosław!”

Eliza Orzeszkowa.

Przypomnij sobie treść wszystkich ustępów Elizy Orzeszkowej, zawartych w trzech tomach Czytań.

LXXIV.

Koncert myśliwski.

Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swoj róg bawoli, długi, cętkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banie, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha
I zagrał. Róg, jak wichler, niewstrzymanym dechem
Niesie w puszcę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczerwacz, zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, który: niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nią wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historia krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rześki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomla: to psów granie;
A gdzie niegdzie ton twardszy, jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu. Myśliłbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i triumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z choru do choru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Adam Mickiewicz.

LXXV.

M a z o w s z e.

Na wschód od Gopła, od Warty, tam, gdzie niegdyś czerniały mazowieckie puszcze, tam bije samo serce Polski. Miasta gęste, zasobne, przemysłne, jedne pracą licznych rojowisk ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów, inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem, jeszcze inne napół sielskie prawie, rozciekające się po okrajach w dwory i w dworki, w pólka, ogrody, w pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk równy niegdyś, tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromem wzgórzu sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer; tu bohaterska Wola, tu Praga z przebitą piersią, tu Wisła i tu Warszawa.

Wsie tu rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w sobie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

A lud to kwieci się, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to biełaje siwemi lnami płótnianek, to brunatną sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy; tu sierpy, jak miesiące, nisko przy ziemi chodzą; tu łęgi tętnią po rosie stadem spleśnianych źrebic i podjezdków; tu znojne skrzypienie pługów¹⁾, soch, lemieszów; tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzoźowe gaje w lekkuchnych szmerach chwieją majową zieleń młodych pędów; nad strugami stają rozplakane, srebrne

¹⁾ = rodzaj pług bez kółek i bez próżka.

od łez wierzby, z nie kończącą się nigdy skargą swej żałoby; na miedzach, na rozdrożach, na wygonach rysujących się wielkimi linjami skróś łęgów i łąnów siedzą graniczne kopce, okwitłe tarniną i głogiem, stoją prastare krzyże wśród osik, jarzębin, topoli, rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość jakąś siną, w jakieś ogromne przezrocza corazto bledszych błękitów, w jakąś różaność zórz, niecących się i ugasających nad niemi, w jakąś perłowość tumanów zwiewających się rankiem i wieczorem aż tam, het, precz, gdzie na ostatnim zrębie widnokręgu czernieją bory szumiące mocną, niewypowiedzianą powieścią dawnych, dawnych czasów.

Gdzieś poryk nagły przeniknie powietrze, gdzieś się zaniesie huk młota, łoskot siekiery; gdzieś uderzy nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągle, echowe; biją, biją zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chróstem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słonecznikowych, pożłocistych tarczy; a pod okienkiem pachnie grzędą ruty, szałwji, mięty i bożego drzewku.

Za sadem na bielniku siwe płótna srebrnieją do słońca, a żoraw studzienny tu, to tam zaskrzypi zwysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na klonowym liściu chleba.

Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego źródła, tak bije pieśń samorodna z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewystawioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, weselem, oczynia ¹⁾uroczyste momenty życia prastarą obrzędową nutą, nosi się nad jary, nad łąny, ugory; usypia dziatwę, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje siły i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, aż się rozetka, zawodząca za tym wozem zaprzężonym w woły siwe, na którym chwieje się ostatnia domowina kmiecia, zbита z desek trumna, i idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota.

A w bok od wrót cmentarnych, przy których rzadkie sosny w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarte kmiecie, a pod wiankiem lip, klonów, topoli pełen trzepotu gołębi i wróblich świergotów trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski, mający w swej prostocie i powadze coś ze starych kontyn, gdy w nim zapachną woski i święcone zioła.

Miedzami łąnów zbożnych, przydrożkami pokrytych pyłem gościń-

¹⁾ = czaruje, otacza czarem.

ców ciągnie tu w świąteczne rano lud strojny a rojny, skoro posłyszysz dzwon ze starej wieży. A wtedy skróś ptasich przelotów i gwarów, skróś szumu lip i brzęku pszczelnych rojów biją w niebo strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści w przejęte skruchą piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy, modlitewny poszept.

Aż się zaniosą wichrem głosy i w strop kościelny uderzą, jak burza :
...Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A tam, skróś wysady szumiących topoli, bieleje dwór starowieczny, z modrzewia stawiony dwór, którego belki głośnie są od gniazd jaskółczych i od ich przeszłości.

Na niejednej tam ścianie kwieci się dyftek ¹⁾ zdobyczny, na niejednej złotnieje ryngraf ²⁾ po dziadach, pradziadach, a z nad łoża świec dnem jasnym, ciemnieje żałosnym obliczem Hetmanka Korony i Litwy. Cisza. Stary zegar gdański cyka jakieś minione godziny mocnej, rycerskiej i dziecięcej wiary.

Tu okna niskie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one dzikim winogradem strojne, tu zadumane, srogie twarze dziadów, tu ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość promienna rwie się do życia, do czynu, tu małoślnie chłopięta biorą chryzmat ³⁾ ideałów rodu i narodu.

Czasem na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głogu zamajaczą ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem podañ starej, złotej sławy. Czasem jakaś mogiła polna przemówi głośno, surowo, donośnie wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zahuczy, jak w trąby bojowe, czasem dreszcz przeleci polem, jak szept tajnego hasła.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły. Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha jej gromkiego huku. Gdy ona potężnym, nieokiełzanym pędem się zanieśie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona idzie a przechodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze.

W szumach jej słyhać odwieczne rozhowy starego Beskidu i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody. Szerokie, spiżowe dźwięki zygmuntoowego koronnego dzwonu i szept harfiany czarnoleskiej lipy. Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San śpieszy z pod Czerwiennych grodów; z nią łączą się i jednoczą święte wody Bugu nierozzerwalną i wieczystą unją. Za nią idą gonne sosny naszych łąów i królewskie dęby; idą złote pszenice i siwe lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyste dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona

¹⁾ = dywan wschodni. ²⁾ = poświęcana blacha mosiężna, zwykle połączana, z wyrytym na niej wizerunkiem N. Panny, noszona przez rycerzy polskich na piersiach.
³⁾ = namaszczenie.

modrem przęślem wiąże stare Śląsko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy, bieży pod Toruń, którego poczerniałe wieże pełne są jeszcze widzenia wieczności; uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyn, budząc je z dziejowego uśpienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roztwiera oboje ramion i zanim rzuci się w odmet, potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje tę ziemię, na której nam wyznaczyła wielką, historyczną drogę.

Marja Konopnicka.

LXXVI.

Warszawa.

Dla Polaków — ojciec Kraków,
A Warszawa — matka...



Warszawa była jeszcze w XIV w. nieznaną, choć odwieczną osadą z drewnianym warownym grodem, od r. 1377 stolicą mazowieckich Piastów. Są to jedyni, ostatni z władców dzielnicowych, którzy zachowali jeszcze udzielność. Ich potomkowie wymierają za czasów Zygmunta I (1526) i dopiero wtedy Mazowsze zrasta się z Koroną.

Król Zygmunt August osobliwie umiłował sobie Warszawę, dbał o jej rozwój, rozszerzył zamek i postawił na Wiśle słynny most, wielce podziwiane dzieło włoskich inżynierów, które nawet Kochanowski upamiętnił fraszką ¹⁾: „Na most warszawski“. Czarnolas ²⁾ poeta woła:

„Nieubłagana Wiślo...

Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi,
Nalazł ³⁾ fortel król August, jako cię miał pożyć

Bo krom ⁴⁾ wiosła, krom łodzi już dziś suchą pogą
Twój grzbiet nieujędzony wszyscy deptać mogą...

Co najważniejsze, statut unji lubelskiej wyznaczył Warszawę jako stałe miejsce publicznych zjazdów i obrad sejmowych ze względu na jej środkowe położenie.

¹⁾ = drobny wiersz, treści żartobliwej. ²⁾ Czarnolas w ziemi sandomierskiej, wleś, w której mieszkał Jan Kochanowski. ³⁾ po staropolsku: należeć = znaleźć; fortel = podstęp, tajemna sztuczka; jako = jak, w jaki sposób; pożyć = pokonać. ⁴⁾ = bez.

Jakoż pierwsza elekcja Walezego — jak potem wszystkie następne — odbywa się pod Warszawą na Woli. Nie dziw, że do miasta, które zostało siedliskiem głównem życia państwowego, musiała prędzej czy później przenieść się także i siedziba królewska. Dokonało się to za Zygmunta III, a bezpośrednim powodem był pożar, który w r. 1595 strawił gmachy wawelskie. Kraków pozostał stolicą tytułarną i obrzędową, Wawel miejscem koronacyjnem i pośmiertnym przybytkiem królów polskich, Warszawa ich siedzibą rzeczywistą i głową Rzeczypospolitej. Stało się to nieurzędownie, bez osobnego aktu prawnego: poprostu król zamieszkał w Warszawie, która jednak jawnie miana stolicy nie otrzymała.

Ale wszyscy pociągnęli wśląd za monarchą; każdy z panów budował sobie dworzec¹⁾ w nowej stolicy, a że w mieście samem, ciasnem i zamkniętem obronnemi murami, nie było się gdzie stawiać, przeto magnackie domy jeły się gęsto wznosić obok zamku królewskiego, na przedmieściu, wzdłuż gościńca wiodącego do Krakowa. Tak powstało Krakowskie Przedmieście, późniejsza dzielnica magnackich pałaców.

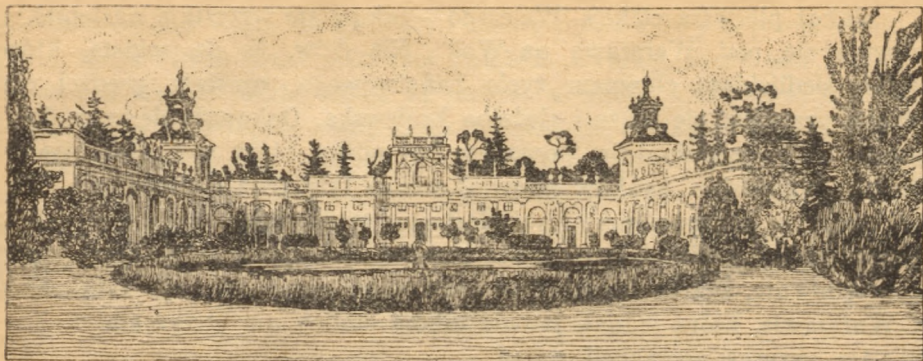
Zygmunt III nie wdawał się w małostkowe przebudówki zamku. Zburzył stary, przeważnie drewniany, i postawił okazały, nowy zamek z wieżami i całym skrzydłem od strony Wisły. Wieżę zegarową czyli „zygmuntowską“ ponad główną fasadą zamkową skończono dopiero w r. 1619. Następni królowie z rodu Wazów uzupełniali i przyozdabiali ojcowskie dzieło; szczególnie Władysław IV, który zburzyć kazał domostwa, zasłaniające widok i tamujące przystęp, a na otwartym w ten sposób rozległym placu zamkowym wznosił ojcu pyszny pomnik, sławną kolumnę zygmuntofską.

Po zalewie szwedzkim, który stolicę zniszczył, zwolna podnosi się Warszawa za Jana III. Dla zamku, będącego w stanie opłakanym, król niewiele zrobił. Zato w Wilanowie założył istic monarszą siedzibę letnią, pałac, jeden z najpiękniejszych w Polsce.

Za czasów saskich odbudował się zamek i uporządkowało miasto.



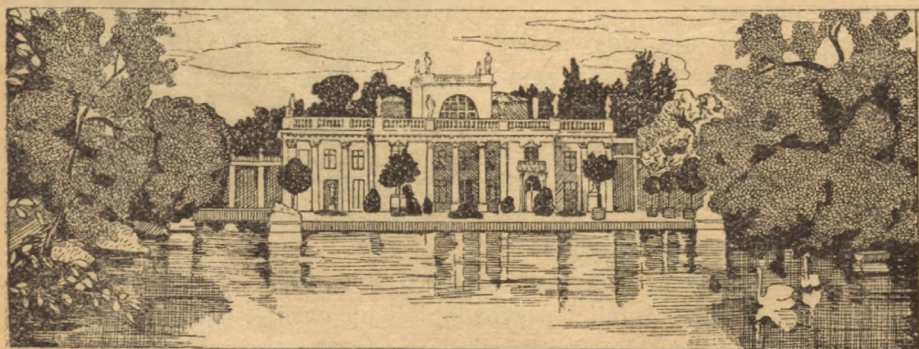
¹⁾ tu: pałac.



Stolica polska stanęła w rzędzie najczystszych i najlepiej urządzonych miast ówczesnej Europy.

Okres największej świetności rozpoczyna się dla Warszawy za Stanisława Augusta. Przedewszystkiem wziął się król do gruntownej odnowy zamku, który ostatecznie wykończony w roku 1786 stał się podziwem swoich i cudzoziemców, a dumą królewskiej stolicy.

Do korony jej piękności przydał Stanisław August drugą perłę artystyczną: Łazienki ¹⁾. Odwieczny zwierzyniec, pamiętający jeszcze książąt Mazowieckich, zamienił na park, a w nim zbudował cudny letni pałacyk, odbijający się białymi kolumnami w zwierciadle wielkiego stawu. Rzadko



która stolica europejska poszczycić się może czemś równie uroczem. Na wyspie, wpośród stawu, wznosił król teatrzyk letni pod gołym niebem. Wszystkie budowle łazienkowskie planował sam z pomocą znakomitych architektów. Budowa trwała od r. 1767 do 1788. Ślicznem jej dopełnieniem jest ogromny konny pomnik Jana III.

Ludność Warszawy dosięga w latach panowania Stanisława Augu-

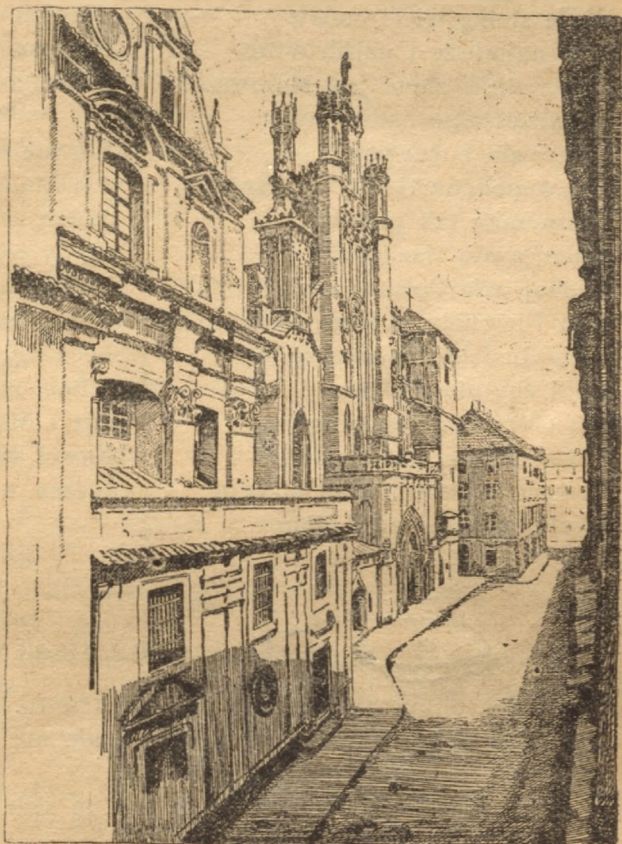
¹⁾ Nazwa pochodzi stąd, że w miejscu tem jeszcze przed założeniem zwierzynca była łaźnia.

sta bezmała 100.000. W mieście wre bogate, stołeczne życie, które do największej pełni dochodzi w czasie sejmu czteroletniego.

W murach Warszawy doszła do skutku niezapomniana konstytucja uchwalona w dniu 3-m maja 1791 r. w sali sejmowej na zamku warszawskim, zaprzysiężona uroczyście w warszawskiej katedrze św. Jana.

Przychodziła jednak za późno i nie zdołała już ocalić Rzeczypospolitej od zagłady. Stolica była teraz świadkiem ogromnych i tragicznych wypadków dziejowych, zakończonych maciejowickim pogromem i oblężeniem Warszawy, zdobyciem jej przez Suworowa i rzezią Pragi.

Wyczerpana Warszawa odetchnęła z utworzeniem Królestwa Kongresowego. Na wszystkich polach rozpoczyna się niezmordowana, owocna praca: rolnictwo, przemysł, literatura dzwiga się, wyęzają, rosną, a prym¹⁾ w tym ruchu ogarniającym kraj cały dzierży stolica. Zmarłych wstają w niej



dawne tradycje umysłowego życia, a to w czasach, gdy inne miasta polskie — z wyjątkiem Wilna i Krzemieńca — pogrążone są w tępej martwocie.

Jak Wilno wydało Mickiewicza, Krzemieniec — Słowackiego, Kraków — Matejkę, Lwów — Grottgera, tak Warszawa była kołyską dwu mocarzy ducha: Krasińskiego i Chopina²⁾.

Oni to nauczali „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu“ kochać Ojczyznę — „jak zdrowie“ i tchnęli w pierś polską męstwo, zdolne „uderzyć w czynów stal...“

Według Lucjana Rydla.

¹⁾ = pierwszeństwo. ²⁾ Chopin, czytaj: Szopen.

LXXVII.

M a z u r.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemąta!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Z wszystkiej ziemi jest Mazowsze!
Bo gdzie takie cudne stroje
I śpiewaki i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze,
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polska powie!
Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbytnio podkasały,
A u Odry lud ziemczały;
A więc nasza, nasza góra,
Niemasz w świecie nad Mazura!
Mówią, że tam, na Podolu,

Rośnie żyto bez kąkolu;
Ale u nas, dobry Boże,
Płyną Wisłą aż po morze.
Przyśpiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.
Gdzieś za światem Dniepr tam
[płyńcie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Jadąc, ostro z bicia trzaśnie?
Kiedy jedzie do Warszagi,
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!
Tęgi Mazur, wej! w pokój,
Lecz się przyda i do boju.
I Bóg, żeby świat dziś stworzył,
Już z Mazurówby go złożył.
Nawet w tancu nasza góra,
Niema w świecie nad Mazura!
Wincenty Pol.

LXXVIII.

O chłopie, co osukoł djabła.

Jeden chłop pojechał do lasa po drzewo. Ścion okropnom chojare, coby była dobro na słup do wielroka, ale nie mógł ji som na wóz włożyć, choć to przecie chłop był mocny.

Kręci sie kiele chojary, — to tak, to siak, ani rus.

Tak w ty złości powiada:

— Cheba do spółki z djabłem te chojare ruse!

Oglónda sie, a tu djabł jus kiele niego stoi. Miał na łbie peruke, fracek z guzickami i jednom końskom noge, a drugom niemieckom.

Chłop sie przypatrzył djabłu i tak se myśli:

— Bogaty to ta on nie jest, bo ma dziure w pończosce na samy pięcie.

— Gospodarzu, chcecie se mnom do spółki iść?

— Ech, gdzieby jo ta seł do spółki z takim golcem!

— Pewno skróś ty pięty mówicie, ale bo widzicie, to tak jest, że jo jesce nie zyniaty. Rajom mi jednom carownicę, ale kie strasnie pyskato, to sie boje, a tymcosem pończosyska sie drom; bo u nos tako moda, że ino

zóna może przyodziwe chłopu leperować!... Ino sie zgódźcie na spółkę, to obocycie. Przy kozdem jenteresie to jo bede wybiroł, co bedzie moje, a co bedzie wase, a jak wos do trzeciego razu osukom, to wasa dusa bedzie moja.

Chłop se myśli: „Przecie cheba ten djabeł nie bedzie mondrzejszy ode mnie, bom ta, chwalić Pana Boga, nie głupiec, niejednegom jus objechał!“ — i powia o:

— Ha! no zgoda na spółkę.

Tak wzieni sie do tej chojary. Djabeł, jak sie spar, tak założył na wóz. Chłop to ta ino wołał: hop! ciup! — ale sie nie przykładoł.

Pojechali z tom chojarom do mynorza, co mioł na górcie wietrok.

Stargowali z tem mynorzem za te chojare 3 dukaty. Ale ten chłop powiedział pocichu mynorzowi, żeby te dukaty włożył do worecka cerwónego.

Chłop położył ten worecek na stole i powiado do djabła:

— No, kie spółka, to spółka — wybieroj!

Djabeł se myśli: — „Czerwone — to piekne; co widze, to jest; cego nie widze, to moze nie być“ — i powiado:

— Z wierchu moje.

Chłop wyjon dukaty z worecka, schował do trzosa, a djabłu oddał worecek.

Wszyscy zaceni sie śmiać z djabła, a chłop pado do niego:

— Juzem cie roz osukoł.

— No, wielgo rzec, udało ci sie, jak ślepy kurze ziarno, a teraz co bedziemy robić? — powiado djabeł.

— Bedziemy sadzić ziemnioki, — powiado chłop — bo cas.

Djabeł ta nie wiedzioł, co to ziemnioki, ale nic nie mówi, ino powiado:

— Dobrze.

— Jak spółka, to spółka. Ty bedzies oroł, a ja bede bronował — powiado chłop.

Zaprzong djabła do pług a i rznie batem.

Djabłu ciężko i boli, ale oglóndo sie i pyto:

— Co to tak potrza?

— A jakżeś ty chcioł? Jak oroć, to oroć!

Djabeł juz nic nie mówił, i tak doorali. Jak skończyli, tak djabeł powiado:

— Teraz to ty bedzies ciongnoł to bronowanie. Jak spółka, to spółka.

— Dobrze — powiado chłop.

Wzion djabła za nogi i ciongnoł go po polu roz wele razu, a djabeł pazurami dar po roli. Pobronowali pieknie, ino ze sie djabłu pazury na nic zdarły.

Potem chłop wzion ziemnioki i zacon krajać do sadzynio, a djabeł patrzy i pyto:

— Poco to psujes?

— Bo tak potrza — powiadio chłop.

I zasadził ziemnioki.

Djabeł beł śpekulant, więc se myśli: „Oho! Tero mnie nie osukos!” ale nic nie mówi, ino powiadio:

— Chces, zeby my naprzód wybierali, co moje, a co twoje?

— Jak spółka, to spółka. Dobrze, wybierojmy! Cy chces z wierchu, cy od spodu?

— Moje z wierchu — powiadio djabeł.

Bo se myślał tak:

— Kiej on te ziemnioki nozem popsuł, to juz pewno nic nie bedzie pod spodem.

Bez ctery niedziele nic nie było widać tych ziemnioków, ale w jeden poniedziałek wszystkie pięknie powschodziły.

Djabeł bez ten cały cas bojoł sie, cy wygro, cy przegro; jak zoboczył zielone krzocki, tak sie ucieszył.

Zacon gmyrać pazurami w ziemi, zeby zobaczyć, co sie z temi ziemniokami stało, co chłop zasadził, i oboczył, co na nic pokurcone, zcyrniałe. Tak se wycion hołupca, powiadio:

— Dobra nasa! Juz go mom!

Na jesieni powiadio chłop do djabła:

— No! bierz swoje z wierchu!

Djabeł powyrywował suche badyle, popakował do worków, a chłop potem ziemnioki wykopał i pojechali oba do miasta sprzedając.

Djabeł stanon se z wozem, naładowanym temi badylami, i wołał:

— Panowie gospodarze i panie gospodynie! Kupujcie mój towar!

Okropnie sie z djabła wszyscy uśmieli, az ich kolki spierały.

A chłop ziemnioki drogo sprzedał, bo nie poobradzały stronami.

Tak potem pokazuje djabłu pionióndze i powiadio:

— Przegrałeś, kumciu!

Djabeł tak zgrzytnął zębami, co jaz ogień mu z pyska sypnoł.

— No, a teraz co bedziemy robić? — pyta djabeł.

— Cas sioć zyto na ziemniocysku.

— Kieś dwa razy osukoł na tem, co na wierchu, to tero bedzie moje to, co pod spodem — pado djabeł.

— Ha! Cóz ja biedny bede robił? — powiadio chłop. — Kiej tak chces, niech tak bedzie.

I zasiali zyto.

Na wiosne zyto sie puściło pięknie, ale ze była zaro wele zyta łąka, tak te łąke skosili i siano wysusyli (bo to beło somsiadowe). Djabeł se

myśli: „No, tero to pewnikiem moja wygrana, bo to zyto to takie same bedzie, jak te moje przestorocznie ziemiaki”.

Chłop zyto zezon, wysuszył, omłócił, a djabeł kopackom rzysko kopoł i do worków kłód.

I znowu pojechali do miasta sprzedając. Co kto obocy, co djabeł przywioz, tak sie śmieje.

A chłop zyto sprzedał, bo beło piekne. Djabła o kęs nie oznieśło ze złości.

Chłop pokazuje mu pienińdże i powiada:

— Przegrałeś, kumciu!

— Ho! Tak sie to nie skńocy! Musiemy sie jesce raz próbować na moc. Za tydzień ja przyde do ciebie. Bedziemy sie drapać; kto kogo lepiej zadrapie, to ten wygro — powiada djabeł i polecioł do piekła.

Chłop se myśli: „Tero to juz źle ze mnom, juz pewno djabłu nie poradze.” — Tak sie zmortwił, ale ze beł Mazur, tak se myśli: „Raz kozie śmierć. Trza przede śmiercią użyć.” Kupił spaśnom świnię.

Przyjechoł z tom spaśnom świniom do domu, a tu jego baba zaro poznała, ze mo jakieś zmortwinie, tak sie pyto:

— Co ci to?

— Ech! — powiada — kiepsko. Trzy razy djabła osukałem, ale tero to nie wiem, jak bedzie, bo sie chce ze mnom drapać: kto kogo lepiej podrapie, ten wygroł.

Baba se krzygę pomyślała i powiada tak:

— Nie hój sie, juz bedzie dobrze.

Tak zacena z tom świniom sie hawić, umyła jom, ucesała, zawionzała ji paciorecki na syi i ciągiem ino do niej godo:

— Córcko moja kochana! dziecko moje lube, — a świnią ino: „Chruń, chruń“...

A djabeł bez ten tydzień chłopą śpiegował, co tyz bedzie robił, i cudował sie, ze majom takom córke i ze ta baba tak jom strasnie lubi.

Wyseł tydzień, djabeł przylatuje z piekła, pazury sobie dobrze wyostrzył na piekielnym kamieniu i wchodzi do izby.

A tu w izbie lament okropny, świnią lezy z ozpłatany m kałdonem, a baba lezy wele ni, nogami wierzgo i kudły ze łba drze i wrzeszy:

— A rozbójnik! Córke mi zamordował! O laboga, rety! Ludzie na świecie! O laboga! Gwałtu!

— Co to sie stało? — pyta djabeł, ale go ciarki przesył.

— O laboga, rety! Zbój! Poganin! Córke mi zabieł. Chcioł ino spróbować maluśkim pazurkiem, cy ostry, i córke mi naskrós przedrapoł!

Djabeł ścierp ze strachu i myśli se: „He! trzeba mu chyba zycie darować, bo to jakiś ordynarny chłop... Co ta z takim zacynać!” — I uciuk, kiej pieprz rośnie.

Tak dopiero chłop sie ucieszył i baba jego tyz i śmioli sie z djabła. Oprawili te świnię, narobili kielbas, kisków i różnych dobrości — sprosieli somsiadów. Jedli, pieli i pokrzykiwali, co nie na jednych krzcinach bez poł tak nie krzycóm.

Takiem sposobem chłop z djabłem wygroł. Nie dziwota: przecie beł Mazur, a Mazur to sie i samemu djabłu nie do.

A. Piotrowski.

Na czem polega różnica między językiem, użytym w tem opowiadaniu, a językiem ludzi wykształconych co do: 1) brzmienia: a) samogłosek, b) spółgłosek (mazurzenie), 2) odmiany imion i czasowników.

LXXIX.

Zachód słońca w Alpach.

Staliśmy na samym szczycie Faulhornu. Słońce opadało powoli na pociemniałe góry, szło na dół ogromne, purpurowe po ognistej, na połowie nieba zażegnietej łunie. Obłoki naokół świeciły, mieniły się barwami, na które w ludzkim języku niema określenia. Było to złoto żywe i kapiące z czarnych lub ciemnoszafirowych smug, był żar rozkrwawiony na świeżych mgłach, róż od snu delikatniejszy, jak pył po srebrnej wełnie rozwiany i amarant na zielono-szarych, popielatych tumanach... A wszystko to świeciło i płonęło i mieniło się ciągle, a wszystko biło w oczy i w piersi niemal tak bajecznym przepychem, takim szaleństwem blasku, kształtu i barwy, że oddech prawie w gardle zamierał...

Odwróciłem się od słońca ku Alpom. Chmury spadły niżej, skłębiły się na reglach zielonych i bujną falą zwałioną turnie kamienne pokryły — a nad niemi, na ciemnym błękitnie olśniewająco biały szczyt Jungfrau tak wysoko na niebie, tak nieprawdopodobnie wysoko, iż oczy przerażone rzeczywistości tego zjawienia uwierzyć nie chciały. Nad szczytem i wokoło niego, na obłokach w toni szafirowej rozwianych, anielski sen przyćmionych, uśmiechniętych barw: róż, z jakichś motyli skrzydeł strząśnięty, konchy perłowe, stare, czarodziejstwem jakimś prześwietlające, w powietrzu rozdęte złoto i seledyn niepojęty, w zetknięciu z czerwienią aż w szaro-błękitną zielen przechodzący. I znowu płynęły kształty i kolory przed oczyma mojemu, jak w fantastycznem marzeniu... Popielaty obłok zasłonił na chwilę płoniącą się już zachodem Jungfrau, a obok wytryskały ponad zwał chmur szczyty inne, ogromne, śnieżne i corazto dalsze, aż hen... po wschodnie krańce berneńskiej wysoczyzny...

Słońce zachodziło tymczasem. Kiedy spojrzałem znów na nie, widać nad samym nieboskłonem w pasie najdalszych, popielato-amarantowych oparów, samo bez blasku już i krwawe, przez załamane pło-

mieni wydłużone, jak lampjon olbrzymi, już nie do kuli, lecz do okrągłego zakończonego walca podobne. Walec ten ciemnopurpurowy topniał od dotu i tajał, rozpływał się i ginął w jakimś silnem zamroczu, pozornie najdalszej linii widnokregu nie dotykając. Już tylko krwią ociekła, odwrócona czara pod chmurami płonie, już skrawek tylko — mniej jeszcze — jeszcze błysk ostatni... Obłoki ciemnieją, bledną, w głąb nieba zapadają. Alpy wyszły już z mgieł całe; srebrzystą szarością zmierzchu od szafirowego nieba się odcinają.

Poniżej, na platformie przed hotelem, płatny parobek szwajcarski zadął w długi róg alpejski. Zadał chrapliwie i niezbyt czysto — i urwał. Ale natychmiast echo zaczęło mu odpowiadać. Odrzucił naprzód prostą metodę Similihorn pobliski, powtórzył ją za nim bliźniaczy Rötihorn już czystsza, jęknął metalicznie daleki Schwarzhorn nad śniegowymi polami zgarbiony, a potem już szedł dźwięk nieprzerwany, orkiestra cała, zmieszana a dostrojona, tony czyste, od śnieżnych czoł i lodów najwyższych szczytów odbite, dzwony jakieś potężne, jasne, srebrnymi sercami we wnętrzach gór bijące, echowe: śpiewała Jungfrau, śpiewał Mnich i Eiger, Schreckhorn, Wetterhorn, Finsteraarhorn — i dalej... i dalej...

I znowu krótki dźwięk dmącego w trąbę pastucha — i odkrzyk gromki bliższych szczytów i znów ta, językiem ludzkim niewypowiedziana, przezczysta, dźwiękiem lodowców brząca orkiestra.

Płaszczem przed dotkliwym chłodem owinięty patrzyłem na te śpiwające szczyty, które tymczasem coraz upiorniej, coraz srebrzyściej biegały na gwiazdami zachodzącem tle nocnego błękitu. Ostatnie dźwięki rogu dawno już przebrzmiały, a ja nie ruszałem się z miejsca. Dobrze mi było — szeroko i cicho.

Nad białymi Alpami tysiące wyiskrzonych gwiazd błyszczało, w niezmierzonej ciszy słychać tylko było głuchy łoskot skaczących gdzieś w dole ze skał potoków.

Jerzy Żuławski.

LXXX

Wieczorny pacierz.

O, jak cicho, o, jak błogo
Sercu, które kocha Ciebie,
Gdy je w pieczy Swojej masz!
Już noc idzie srebrną drogą,
Tysiąc gwiazd błyszczący na niebie,
Ojcie nasz!

Dzwon wieczorny wdali dzwoni,
Milkną w gniazdach swych płaszcęta,

Którym jutro słońce dasz;
Wskrós zroszonych kwiatów woni
Płynie ziemią cisza święta,
Ojcie nasz!

Sen znajduje muszka licha,
Sen otula polne zioła,
Ty nad niemi trzymasz straż.
I nasz domek już ucicha,

Do pacierza matka woła,
Ojcze nasz!
Ty skrzydłami anielskimi
Osłoń lądy, osłoń morza,

Zwróć ojcowską ku nam twarz!
Niech wieczorna, cicha zorza
Tehnie spokojem po tej ziemi,
Ojcze nasz!

Marja Konopnicka.

LXXXI.

Wodospad Niagary.

W Suspension-Bridge zatrzymaliśmy się dla obejrzenia Niagary i jej sławnych wodospadów. Pociąg ruszył dalej; rzeczy nasze powędrowały w kierunku Huronu, my zaś razem z jakimś młodym Anglikiem najęliśmy konie i ruszyli przez most do wodospadów. Most ten oddziela Stany Zjednoczone od Kanady; na jednej więc jego stronie znajduje się komora amerykańska, na drugiej angielska; ponieważ wielki wodospad ze strony amerykańskiej jest nieprzystępny, trzeba więc przejechać w posiadłości angielskie. Jadąc już przez most, można widzieć całą szerokość obydwu wodospadów; jednakże bądźto z powodu mglistego i dżdżystego czasu, bądźto z powodu siły, z jaką woda rozbryzguje się, spadając z takiej wysokości, widziałem tylko jakby olbrzymie chmury mgły, wznoszące się z przepaści ku niebu. Ale straszliwy huk, wydobywający się z poza tej mgły, zwiastował doskonale, co dzieje się poza jej białawą zasłoną.

Przejechawszy most, stanęliśmy wreszcie przed szeregiem domów, stojących na wysokim niezmiernie brzegu, tuż koło wodospadu. Wtedy mogłem przypatrzeć mu się dobrze. Rzeczywiście widok to, na którego wspomnienie mdleje i zwija skrzydła wyobraźnia, a pióro wypada z ręki. Olbrzymia masa wód jeziora Erie, spływając potężną gardzielą ku Ontario, traci nagle grunt pod sobą i spada w dwu miejscach w otchłań. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że ziemia nie wytrzyma tego ciężaru i uderzenia wód rozszalałych i dzikich, które same wydają się być przerażone. Jest w tem wszystkim jakieś przedpotopowe barbarzyństwo, jakaś niepojęta siła, a zarazem i okropność, niespotykana nigdzie, bijąca w oczy jakby straszliwym gwałtem zadawanym naturze. Mimowoli przychodzi ci na myśl, że stało się tu coś okropnego, że to jakiś kataklizm natury, i nie możesz oswoić się z myślą, że ten kataklizm nie kończy i nie skończy się nigdy. Niebo tu pochmurne i poszarpane. Gnane wichrem obłoki zbiegają się i rozbiegają, jak stada dzikich koni. Naokoło czarne, ponure skały, połupane w demoniczne zręby. Huk wody ogłusza cię. Ostry wiatr tnie kroplami wodnemi po twarzy. Czasami mgła wybuchła nagle u stóp wodospadu i zasłania oku wszystko; to znów niknie, a wtedy widzisz kłęby piany i cały wodospad, jak na dłoni.

Chwile te jednak trwają krótko. Zwykle mgła, piana, woda i powietrze, zmieszane z sobą, tworzą jakiś chaos, że gubisz w nim wzrok i słuch, a nareszcie i świadomość, co dzieje się z tobą samym. Zdaje ci się, że się tu wszystko wściekło. Po pięciu minutach podróżnik czuje się zmęczony, a na czoło występują mu krople potu, które mrozi lodowaty oddech otchłani. Pragniesz zawołać: „Dosyć już” — a tam wodospad huczy i huczy, przepaść całą szerokością gardła wypłuwa pianę, słysząc jakby jakieś jęki, jakby głosy wołające o zmiłowanie; to znów niby śmiechy, przechodzące nagle w ryk wściekłości, rzekłbyś: całe piekło rozpętane gzi się w straszliwej orgji wśród chaosu...

Takie wrażenie, a raczej takie przez pół tylko świadome siebie poczucie wywołuje Niagara. Jest w tem poczuciu pewien ucisk, ale jest i rozkosz, jaką sprawia zawsze zapamiętanie się chwilowe, zapomnienie o życiu i oddanie się całkowite naturze. Więc też, przezwyciężywszy pierwszy nieład pogiębionych myśli, trudno potem oczy oderwać od tego widoku. Otchłań poczyną nęcić i wabić. Jakaś nieprzezwyciężona siła ciągnie widza nad sam brzeg przepaści: chciałby ją mieć tuż pod stopami, nieoddzieloną nawet całem stałego gruntu. Chciałby pochylić się i zawisnąć, choćby przez chwilę, między życiem a śmiercią. A tam na dnie potworne skręty spienionej wody zdają się otwierać na przyjęcie topielca, to znów bryzgi wyciągają się nakształt ramion gotowych objąć i porwać. Przepaść mówi: „Pójdź”, — ale po chwili instynkt odpowiada jej: „Dobrze, ale z wszelkiemi ostrożnościami!”

Jakoż „z wszelkiemi ostrożnościami” można zejść na dół pod kaskadę, woda bowiem spada z taką siłą i pędem, że wygina się i tworzy łuk, pomiędzy którego stroną wklęsłą a skałą znajduje się miejsce wolne, zawalone tylko pianą i lodami. Żeby jednak tam się dostać, trzeba na-przód przybrać się odpowiednio; dlatego udaliśmy się do domku przewodnika murzyna, który wynajmuje siebie i swoje kostjумы. Przybrani w obrzydliwy płaszcz i kaptur z pęcherzów rybich, z pod którego widać koniec nosa, ruszyliśmy całą karawaną. Po chwili murzyn wprowadził nas do małego drewnianego budynku, w którego podłodze czerniał otwór, w otworze zaś schody. Zimno, bijące z lodów leżących między skałą a wodospadem, i ciemność ogarnęła nas zaraz na wstępie. Brzydkie murzynisko, podobniejsze do goryla, niż do człowieka, szło naprzód, wołając kiedy niekiedy: „Ho! ho!” dla wskazania nam drogi w ciemnościach.

Nakoniec po kilkudziesięciu schodach blade światło, idące z dołu, uderzyło o nasze oczy. Weszliśmy do małej sionki, z której wyjście wiodło prosto pod wodospad, ale przewodnik zawołał: „Stop! ¹⁾” i począł

¹⁾ = stój

przywiązywać do butów naszych podeszwy podbite ostremi, żelaznemi gwoździami. Potem zeszliśmy pod wodospad. Nie wiem, dlaczego wewnątrz huk wydaje się mniejszy, niż zewnątrz; szarawe światło dzienne wnika przez zasłonę wody, napełniając całą jaskinię ponurym jakimś półmrokiem, półblaskiem. Skała, stanowiąca tylną ścianę, czarna, popękana; grunt złożony z wielkich złomów lodu; wszędzie dziko i pogrzebowo. Wąskie wstążeczki z wody, oderwane od ogólnego wodospadu, spadają z szelestem na lody, powietrze przesiąknięte mgłą i kroplami; wiatr, który nie wiem, jak się tu dostaje, dmie, jakby w kuźni djabelskiej; zimno przenika przez pęcherzowe płaszcze i paletoty. Mimo mniejszego huku niepodobna się usłyszeć i zrozumieć. Po ogromnych i śliskich, jak szkło, bryłach lodu zbliżyłem się tuż do wodospadu, albowiem ostre kolce moich butów usuwały wszelkie niebezpieczeństwo. Przewodnik zaczął coś wołać, ale widziałem tylko jego gesty, poruszenia ust, głos zaś ginął wśród ryków.

Nic piękniejszego, jak wodospad widziany od wewnątrz z dołu. Kiedy spojrzałem w górę, zasłona wód wydała mi się nieruchomą, niby jedną ogromną szybą lodową, i gdyby nie wrzenie u dołu, sądziłbym, że istotnie zamarzła. Ale kłęby piany, które niekiedy dostawały się z zewnątrz, rozpraszały wszelkie złudzenie. Potem spojrzałem na dół. Jakążto niezgłębioną przepaść musiały wybić w ziemi te wody, spadające od wieków z takim impetem! Wszystko tam na dole wre, kipi, rozbija się, burzy, słowem: istne piekło wodne. Cofnąwszy się z lodowatego krańca, odetchnąłem głęboko, jakby po nadmiernej pracy. Wnętrze jaskini wydało mi się spokojne. Małe wstążeczki przeciekającej wody rozbijały się w brylantowe krople o lodowiska. Oczy me tak dalece oswoiły się z półmrokiem, że widziałem dokładnie każdy złom i każdą szparę czarnej skały, również jak i kępki mchu, lśniącego wilgocią w szczelinach.

Czas było wracać, bo zimno i wilgoć stawały się coraz dotkliwsze. Wyszliśmy nareszcie. Przez drogę towarzysz mój począł kłócić się z młodym Anglikiem, który dowodził koniecznie, że wodospad leży w Anglii, ponieważ Kanada jest Anglią; a kiedy wreszcie powiedzieliśmy mu, że Anglija, ustępując niedawno prawa rybołówstwa na jeziorach Amerykanom, zrzekła się niejako przez to prawa do jezior — umilkł, zły widocznie, czy rozgniewany, nie wiem, czy na Jankesów, czy na nas. Wyszedszy nazewnątrz jamy, na powierzchnię ziemi, nie ujrzeliśmy znów wcale wodospadu, wszystko bowiem zasłaniał białawy tuman mgły, którym było przesiąknięte całe powietrze.

Zwiedziliśmy jeszcze domy, leżące nad brzegiem. W jednym z nich jest muzeum, zawierające niezbyt osobliwe zresztą osobliwości Niagary, jako to: muszle, skamieniałości, kości zwierząt porwanych przez pęd wody, fotografie okolicznych widoków i tym podobne. W rzeczywistości

domy te są to pułapki na podróżnych, którym sprzedają tu na wagę złota rozmaite, niby pamiątkowe drobiazgi. Potem prowadzą jeszcze podróżnych na górę muzeum, gdzie jest mała wieżyczka, stanowiąca rodzaj obserwatorium, z którego widać jak na dłoni całą okolicę. Ściany i balustrada wieżyczki pokryte są tysiącami napisów w języku angielskim, francuskim, włoskim i w innych. Widziałem także napisy polskie i rosyjskie, każdy bowiem uważa sobie za obowiązek zostawić tu swoje nazwisko, również jak i datę odwiedzin.

Potem zeszliśmy na dół, gdzie nas porwano, posadzono na pniu i odfotografowano w ciągu pięciu minut razem z naszymi pęcherzowemi kostjumami, za co kazano sobie dobrze zapłacić. Tymczasem ściemniło się. Wodospad obwijał się coraz bardziej nieprzeniknioną zasłoną mgły; począł zacinąć drobny deszczyk. Siedliśmy i pojechaliliśmy napowrót do Suspension-Bridge.

Henryk Sienkiewicz.

LXXXII.

Wspomnienie z Maripozy.

...Po drodze do Big Trees czyli olbrzymich drzew kalifornijskich zajechałem do Maripozy. Miasto to liczyło przed niedawnymi jeszcze laty do 15 tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistym dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu górnicy amerykańscy i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. „Złote“ miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysięcy mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już na nowo gęstwiną wierzb płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewali wieczorami: „*I crossed Missisipi*“, obecnie śpiewają kujoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma „*capitol*“, trzecie hotel pana Bilinga, obejmujący zarazem grocериę, „*saloon*“, to jest szynk, i „*bakery*“ czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest farmerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymiemi lasami, w których rzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dylżans nasz wjeżdżał do miasta, było w niem niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocери, w której wzamian zaopatrują

się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, farmerowie dostawiają zboże. Lubo emigracja napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych, wysokich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Biling, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dzin, whisky i brandy. Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees; ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to Niemiec, niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy, jak iskra. Z wielkiem ugrzeczniem wskazał mi mój pokój. Objął, że już jest po brekfeście, ale, jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w „*dining room*“.

— Gentleman zapewne z San Francisco?

— O nie, z dalszych stron, z Polski.

— Jest tu pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec wstaje i poczyną się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— *O! I don't know!*¹⁾ Nie wiem — mówi. — Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz ledwie wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfastem przyprowadził mi rodaka.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwili we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych — rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu. Poprawdzie byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę się Putrament — ozwał się starzec. — Aza nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. — odparłem. — Pańskie obito mi się o uszy. Zdaje się z Litwy?

¹⁾ Wymów: O, aj dont noo.

Coś istotnie przypominało mi się z Pana Tadeusza, „Putrament z Pikturą” w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— He? — rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? — pomyślałem — ale coś ten staruszek mówi językiem proroków. Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie?

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Dwadzieścia dwa lat tu mieszkam i zaprawdę pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. Co do mnie, byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San Francisco i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: Co za styl! Żeby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć. Brrr! Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się silnie pracować. Kilka razy jakby pragnął mówić i uciął. Widoczne było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stęzał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech — pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. — Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec, — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto — jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowoli wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

— Rodak! Rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzył na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego, on wciąż patrzył na mnie.

— Co słyszać w ziemi naszej? — spytał.

Rozpuściłem język jak kołowrót, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich szanowna jego głowa kiwała się smutno lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pyta-

nia zawsze tymże samym poważnym, dziwnym i niewytłumaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Cała jego dusza zbiegała się do oczu i ust. Żyjąc samotnie, wśród lasu, może on dnie całe myślał tylko o tem, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie. Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem; unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz i chodzisz — jak błędna — między innymi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadałem o jednym z ostatnich.

Opowiadanie to zda się wymysłem, a jednak jest rzeczywistością. Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie w bliskości Maripozy. Z opowiadań jego dowiedziałem się, co następuje: Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt biedny. Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indjanina, który dogląda pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptactwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego „kanion“ jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad, zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebyty. Cisza, spokój... Zapraszał mnie mocno, bym go odwiedził; ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, z żalem więc nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham lub Jakób... Słowa: aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wždy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przywędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu lub żył od owych czasów, jak owe Big Trees pobliskie.

Ale prócz tego starego języka była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi szanowny panie, skąd ci się wziął ten język. Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: biblję Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemy w języku ojców moich.

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka i nic dziwnego, że nie tylko jego słowa, ale i myśli ułożyły się do miary biblji. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umieć; oddawał to,

co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją biblję każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie...

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych: brata, swata, kogokolwiek, komubys mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych — potem począł potrząsać głową:

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

Nazajutrz rano myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w kanjonie swoją biblję...

Henryk Sienkiewicz.

LXXXIII.

Legenda o grzechach.

...Przódzi ¹⁾, za praojców i pradziadów naszych, to hen, po okrutnych, nieprzebytych borach, w gęstwinach leśnych, ciągiem pustelnicy mieszkali, święte ludzie, jeden w drugiego. Nikt ich we wsi po proszalnym chlebie nie uświadczył na przednówku, ni pod jesień ni nawet aby w najtwardszą zimę, a żyli se w setne lata, zdrowo i krzepko. Skoro zaś utrapieniec jaki, co ciężka dola albo winy własne do ziem go przygnietły, do pustelnika zaszedł, zawdy mógł się przekonać, co świętemu człowiekowi niczego nie braknie, a jeszcze nieraz — bywało — jaki plaster miodu chudziakowi na odchodnem, ot tak, w świątobliwej dobroci ochtiaruje.

Juści cudem Boskim żyli, a nie inkszym sposobem. Kajby ta ino samemi korzonkami taki wielgachny, postawny staruch z siwą po pas brodą wydolił się krzepić. Nieme stworzenia ich karmiły — wiadoma rzecz. Czuły świętego, kiej nie przymierzający pies dobrego człeka, toć ni wilk ni niedźwiedź nic im w boru złego nie robiły, ino jeszcze, co który mógł, to pustelnikowi znosił. Niedźwiedź - kudłacz, bywało, przyniesie w pysku plaster miodu, stanie na tylnych łapach, a na przednich, niby ten fagas pański, świętemu on miód podaje. Wiewiórki — hyc z drzewa jedna, hyc druga, trzecia, dziesiąta, znoszą orzechy przed pustelnię z krzyżem świętym na kalenicy ²⁾, składają tote na kupę, że ino do wora zgartywać i do komory chować; łanie przychodzą z rozpartemi wymionami i beczą, coby ich wydoił. I tak bez lato i jesień pustelnik

¹⁾ = dawniej (ludowe). ²⁾ = szczyt domu.

przysporzył se wszyckiego wbród, zrychtował galanto spiżarnię, że bez zimę i na przednówku głód mu nie doskwirzył. Juści nie obżerał się, jak zwyczajny wsioski człek; za łaską Pana Jezusową z małego posiłku chował się zdrowo i Pana Boga chwalił, ludzi zaś, co go nawiedzali, ciągiem uczył i karę za grzechy i na niebo pokazywał, co go nieraz, kiej z całej duszy się zamodlił, rozwarłe widywał.

Jednego razu do takiego pustelnika zaszły dwie siostry. Śwarne jeszcze kobiety: kole trzydziestki starsza, obie żeniate. Po prawdzie, to wybrała się ino starsza; dwie niedziele temu pochowała matusię i sumienie strasnie jęło jej wyrzucać, co nie była la niej od samej małości taką, jak się to matce patrzyło, co zawdy z serca ją nawidziła, ostatnim kęsem się dzieliła, a nie ukrzywdziła nikiej. Młodsza przysła z nią ino bez ciekawość, coby pustelni i siwemu, bogobojnemu starcowi się nacu-dować. Nijaki ciężki grzech jej nie uciska, — mówiła — nic w jej duszy, na wnątrzu nie dolega. Ano tak z lekkim sercem przysła se ze siostrą wraz.

Skoro zapukały, pustelnik wyszedł przed malušką chałupinę; długa, zgrzebna na nim szata, różaniec w ręku, głowa siwiutenka, biała broda w pas, a pod okrutnemi, kudłatemi brwiami mądre, ale dobrotliwe oczy.

Juści w te razy pochwaliły obie Pana Boga, obłapiły staruszka pod kolana i pocałowały w rękę, kiej jegomościa.

— Bóg z wami, dobre kobiety — ozwie się pustelnik. — Czegoż żądacie ode mnie? Z czem przychodzicie? Mówcie śmiało!

Na to starsza, jak nie rymnie na klęczki, jak nie zapłaczę:

— Toli, święty staruszk, łaski się dopraszam zmiłowania, bom wielka grzesznica, a grzech mój poznałam teraz dopiero, kiej mi Pan Jezus matusię moją zabrał. Kwardam la niej zawdy była, nieustępliwa, nieraz jej siwe, słodziuskie oczy na mnie płakały. Pokiel żyła, nie widziało mi się, com taka la niej zła i nieużyta; dzisiaj, skoro święta ziemia skryła ją na wieczność, zda mi się, błąd głowy się chyci z okrutnej żałości, że się już nijak nie odstanie, com przeciw niej nagrzeszyła, że ją więcej nie uwidzę, ręki spracowanej nie ucałuję... Cięgiem jej smutne oczy, czyste, kiej to niebo wieśniane, chodzą za mną, zastępują drogę, ciągiem patrzą i patrzą... Gdybyś, święty staruszk, za dopuszczeniem Boskiem choć na godzinkę, choć na moment mógł ją wskrzesić z mogiły, cobym ją jeszcze użreć mogła, coby mi rękę na głowie położyła, widzi mi się, w te razy lekuško zrobiłoby mi się na sumieniu. Weźryj, ojcie, na moją niedolę, dospomóż utrapionej duszy!

— Pan z tobą! — ozwie się na to pustelnik, dotykając jej czoła. — Wstań i otrzyj łzy... Wskrzesić twej matki nie mam mocy, ale żal twój serdeczny i skrucha mażą twą winę. I wiedz, że tej chwili duch matki tutaj obecny już ci przebaczył... A ty, druga kobiecino, czego żadasz? Zali także pragniesz grzechy twoje jakie wyznać?

— Nie, — odpowie tamta — ja ciężkiego grzechu żadnego nie mam. Przyszłam haw z siostrą bez to, co by się jej nie cknęło drogą.

— Więc nie sumienie ci nie wyrzuca?

— Ano, jakiesi ta grzechy są, ale drobne, maluśkie, sama nawet nie wiem, jakie.

Zadumał się pustelnik, smutnie potrząsł głową.

Gdy kajała się ze swej winy starsza, świętemu starcowi mądre oczy pojaśniały cichuszką radością; zaś gdy młodsza rzecz swą wywodziła, niby chmura po żrenicach mu przeszła.

Zrobił nad pierwszą znak krzyża świętego i mówi:

— Idź, córko, na pole, kędy bór się kończy. A skoro ujrzysz jaki wielgachny kamień, co go ino udźwignąć wydolisz, przyniesz go haw do pustelni.

A do drugiej zasię powiedział:

— A ty, co masz ino małe grzechy na sumieniu, nazbieraj dużo drobnych kamyków i także je przyniesz.

Poszły obie w pole wele przykazu świętego człeka; druga wnetki zaczęła kamyki znachodzić i duchem zbierała, pierwsza dopiero po długim chodzeniu napotkała na swój wielgachny kamień i podjęła, ledwie go unieść mogący.

Skoro wróciły, pustelnik się pyta:

— A czy teraz wydolicie poznosić wasze kamienie akurat na te same miejsca, skądście je przyniosły?

Starsza na to:

— Ja, święty staruszk, dokumentnie pamiętam, kaj mój leżał.

A młodsza wzruszyła ramionami i peđa:

— Adyc jakżebym mogła spamiętać? Rety, taka moc drobiazgu! Nijak temu nie zradzę...

Wtedy pustelnik im rzecze:

— Oto widzicie, moje córki, te kamienie, to są jakby wasze grzechy. Ty, która za swój żałowałaś, której sumienie spokoju nie dawało, ażeś do mnie przyszła koli ulżenia uciśnionej duszy, znasz swoją winę, tak, jak i miejsce, skądś swój kamień podjęła. Jest ci też ona odpuszczona na wieki wieków, bo Pan miłosierny żałującego grzesznika nikiej nie opuści i raduje się, skoro się nawróci. Ty zaś druga wiele grzeszyłaś, lecz sumienie twe twarde nie mówiło ci nic; nie żałowałaś za nieprawości twoje, bo ci się widziało, żeś sprawiedliwa i pokuty duszy twojej nie potrzeba. Ale zaprawdę ci mówię, łaska Pańska odwróciła się od ciebie, grzesznaś więcej od siostry i skoro pokuty nie uczynisz i nie skruszysz zatwardziałego serca, okrutne ognie czyścicowe oczekują cię po śmierci...

Kiej to mówił, struchlałym kobietom zaczął dwoić się w oczach urastać w górę — i zniknął nagle przed niemi, choć nie widziały, co by drzwi chaty rozwierał i wchodził do izby.

Długo modliły się, pobożnie klęcząc na małym obejściu pustelni a skoro wzniesły oczy, użrały, że z krzyża na niskiej kalenicy kiejby światłość bić zaczynała.

Wtedy młodsza, zakwardziała w grzechach, padła plackiem na ziemi, ozkrzyżowała ręce, zapłakała żywemu Bogu z całego serca i nijak utulić się w żałości nie mogła.

Aże posłyszała nad sobą słowa :

— Pan z tobą. Idź w pokoju, dostąpisz przebaczenia!

A kiej pożrała przed się bolejącemi oczami, nie widziała nikogo, ino krzyż jaśniał dalek nad pustelnią...

Edmund Zechenter.

LXXXIV.

Bitwa pod Ostrołęką.

Dnia 23 maja 1831 r. generał Skrzynecki cofnął się przed naporem wojsk rosyjskich do Śniadowa, rozkazawszy generałowi Łubieńskiemu, żeby swemu wojsku dał wypocząć w Madborach. Kiedy jednak dnia 25 po południu zaczęły się pokazywać silne kolumny rosyjskie pod Madborami, Łubieński natychmiast cofać się począł. Główne zaś siły polskie cofnęły się do Ostrołęki. Wieczorem tegoż dnia wydano rozkaz Łubieńskiemu, który od czasu połączenia się z głównymi siłami utrzymywał tylną straż, ażeby zajął pozycje w odległości czterech wiorst od Ostrołęki i tam ich bronił, z przyrzeczeniem, że w razie, gdyby nieprzyjaciel uderzył na niego z przemagającą siłą, otrzyma posiłki.

Ostrołeka położona jest nad Narwią. Miasto samo leży na południowym jej brzegu. Wojsko nasze po moście przebyło tę rzekę, to jest piechota i jazda. Główna kwatera pozostała w mieście. Po naradzie wieczorem odbytej przeważało zdanie, że Rosjanie, widząc, iż przeprawa przez Narew jest w posiadaniu wojska polskiego, nie będą wobec tego usiłowali przejść przez tę rzekę. 26 zrana przeniósł Skrzynecki główną kwaterę do wioski, zwanej Kruki. Tu otrzymał od Łubieńskiego doniesienie, że gwardje połączyły się z Dybiczem, czemu jednak nie dał wiary. W nocy otrzymała artylerja Łubieńskiego rozkaz odesłania do Rożana amunicyjnych wozów, a zostawienia tylko po 80 naboji na jedno działo. Zarazem wszystkie pułki odesłały swoje bagaże w tym kierunku. Rozkulbaczone konie, a mnóstwo żołnierzy z piechoty używało kąpieli w rzece. Tymczasem o dziewiątej zrana usłyszano strzały armatnie. Skrzynecki był przekonany, że siły rosyjskie dopiero nazajutrz będą mogły stanąć pod Ostrołęką. Jednakże wzięwszy służbowych adjutantów, udał się ku Ostrołece. Feldmarszałek Dybicz połączył się przecież w Madborach z gwardjami, które, jak tylko Skrzynecki rozpoczął się cofać, zaczęły za nim postępować. Tutaj, kazawszy piechocie złożyć tornistry, nagłym marszem

posunął się ku Ostrołęce i przebył siedmdziesiąt wiorst w 24 godzinach, tak, że 26 zrana z całą swą siłą znajdował się pod Ostrołęką, by rozpocząć natychmiast atak na Łubińskiego. Planem marszałka było odciąć Łubińskiego od Ostrołęki. Powierzył więc generałowi Bergowi część wojska, druga część zajęła wioskę Dąbrowiki, reszta nakonieć szosę, prowadzącą z Miastkowa do Ostrołęki, gdzie właśnie znajdował się generał Bogusławski z czwartym pułkiem piechoty, dwoma bataljonami weteranów i z czterema działami na pagórku, przypierającym do miasta. Pierwszy rozpoczął atak generał Berg pod Ławami. Dywizja Kamińskiego jednocześnie została zaatakowana od prawej strony przez jazdę, od lewej przez piechotę. Łubiński postanowił się cofać. Jakoż szczęśliwie udało mu się dotrzeć do mostu. Bogusławski trzymał tylną straż, lecz już uchodził przez palącą się Ostrołękę, którą Rosjanie podpalili granatami. Tyraljerzy rosyjscy, goniąc za tylną strażą polską, jednocześnie prawie przybyli na



most. W samej Ostrołęce tymczasem czwarty pułk po ulicach zacięty prowadził bój z napierającymi Rosjanami, a kiedy do mostu nakonieć przybył, Rosjanie, ustawivszy nad Narwią baterję z 70 dział 12-funtowych, zaczęli na ten most sypać ogień. Była właśnie godzina dziesiąta.

Wówczas dopiero spostrzegł się Skrzynecki, że bitwa jest nie do uniknienia. Posłał więc rozkaz Pacowi, ażeby przybywał na linję bojową. Pac posunął się, ażeby nie dozwoić Rosjanom przejścia przez most, lecz ranny, musiał opuścić pole bitwy. Inne pułki nie były do boju w linji uporządkowane, lecz dopiero zbierały się w rozmaitych punktach. Skrzynecki miał pod ręką zaledwie 34.000 ludzi, a nawet z pewnością mniej, licząc, że już utracono cokolwiek ludzi, kiedy Dybicz liczył przeszło 70.000 ludzi. Do tego należy dodać, iż pozycja wojska polskiego była zgoła niekorzystna. W poprzednich bowiem tygodniach Sacken, zajmując Ostrołękę, urządził szaniec przedmostowy, którego Polacy nie mieli czasu znieść. Wybrzeża Narwi od tego szanca są bagniste, a jedna tylko szosa była gruntem stałym i tworzyła rodzaj grobli, prowadzącej wzdłuż Narwi od

Rożana. Szosa ta o kilkaset kroków od mostu tworzyła kąt i prowadziła ciągle wzdłuż rzeki prawie w przestrzeni kilkuwiorstowej. Artylerja rosyjska, ustawiona po drugim brzegu Narwi, ostrzeliwała całą tę przestrzeń od mostu aż do załomku.

Skrzynecki spostrzegł, że jeżeli tylko dozwoli Rosjanom przejść przez most i rozwinąć swoją siłę, cały jego korpus musi ulec zniszczeniu; dlatego postanowił wszelkimi możliwymi środkami i siłami nie dozwolić Rosjanom przejścia i rozwinięcia swych potężnych sił. Lecz nawet w dopełnieniu tego zadania natrafiały się trudności nie do przewyciężenia. Artylerja nie miała dostatecznych zapasów amunicji, piechota zbierała się dopiero, nie mógł więc odrazu poważniejszych sił wystawić dla dopięcia swojego zamiaru. Używał kolejno nadciągających pułków, bataljon szedł po bataljonie, pułki jazdy po pułkach jazdy. Artylerja nasza zbliżyła się ku mostowi i wprawdzie wielkie w szeregach rosyjskich zniszczenie czyniła, lecz traciła wiele ludzi, gdyż piechota rosyjska, w szancach przedmostowych ukryta, strzałami swojemi szkodziła im mocno. Na szosie, jedynej drodze, której wąskość nie pozwalała więcej nad 16 do 24 ludzi frontem prowadzić, pułki rosyjskie w ścieśnionych kolumnach posuwały się, ogień więc naszej artylerji wielką w nich czynił szcerbę. Mimo to koło godziny 11 już jedna dywizja grenadierów przebyła most i ustawiła się między szosą a Narwią. Wówczas zwrócił Skrzynecki usiłowanie, ażeby tę dywizję z jej pozycji wyprzeć, nie opuszczając jednocześnie zamiaru utrudniania przejścia przez most. Dla przykładu sam Skrzynecki prowadził bataljony w ogień. Obok piechoty także same ataki czyniła jazda. Naprzód uderzył drugi pułk ułanów natarczywie, lecz odparty został. Po nim poszedł piąty pułk ułanów. Skrzynecki sam na czele jazdy ponowił ataki, wszystkie wszakże usiłowania były daremne. Tyle krwi rozlewu byłoby pozostało bez żadnego skutku, gdyby nie atak artylerji konnej pod wodzą podpułkownika Bema. Ten w galopie posunął się z działami na odległość strzału kartaczowego i rozpoczął tak dzielny ogień, iż nie tylko wstrzymał dalszy pochód przez most, ale wprowadził w nieporządek grenadierów, którzy byli ustawieni po drugiej stronie Narwi. Wsparł Skrzynecki Bema, prowadząc sam szesnasty pułk piechoty do ataku. Ten ostatni ruch zakończył bitwę. Odtąd tylko tyraljerzy z obu stron się ucierali aż do dziesiątej wieczorem.

Bitwa pod Ostrołęką była jedną z najkrwawszych, jakie stoczono w tych czasach, a chociaż Polacy nie zostali wyparci z zajmowanej pozycji i nawzajem Rosjan wyprzeć nie zdołali, w skutkach okazała się zupełnie przegraną nie tylko z powodu wielkich strat w zabitych i rannych, jak, że w istocie wojsko, korzystając z nocy, bez żadnego porządku do Warszawy dążyło. Niektóre oddziały przybyły do Pragi w 48 godzin.

LXXXV.

Śmierć pułkownika.

W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika;
Tam, w izdebce, pułkownik ich kona.

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze;
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia, w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.

Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki.
Stary żołnierz — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rysztyunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.

Nawet starzy Kościuszki żołnierze —
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskal był w tej okolicy.

Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W rękę krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!

Jaką pierś! — Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica-bohater,
Wódz powstańców — Emilja Plater!¹⁾

Adam Mickiewicz.

LXXXVI.

Przez przełęcz nad Morskiem Okiem.

...Zeszliśmy w dolinę, pooraną wielkimi rozpadlinami, pogarbioną w kopulaste wzniesienia, porośłe mchem i trawami, zawałoną rumowiskiem skalnym. Na prawo widać było, gdzieś niżej z pod nastroszonego głazami brzeżku, skrawek ciemnobłękitnej wody stawku. Wyszliśmy przez wznoszące się na lewo wzgórze nad wody dużego, spokojnego stawu, w którego ciemnym błękitcie przeglądały się turnie Mięgoszowieckie i mgły, zwijające się ciągle nad Cubryną.

Słońce piekło dotkliwie, w powietrzu unosił się zapach rozgrzanych mchów, traw i kwiatów halnych. Ta kotlina, ostawiona pysznemi, malowniczymi i potężnymi wirchami, błyszcząca słońcem, grająca bogatym przeciwstawieniem barw granatowo-seledynowego stawu i złoto-rdzawych mszarników, nie robiła wrażenia dziczy i pustki. Owszem — byłoby tu zacisznie i spokojnie leżeć w mchach pachnących, nad błękitami wód, w których się topił błękit nieba, gdyby — gdyby nie ów niepokój, który nam kołatał do myśli.

Ruszamy. Idziemy z początku doliną, przechodzimy po kamieniach sterczących ponad wodą małą odnogą stawu. Zaraz za wodą rumowisko skalne pnie się gwałtownie w górę, na niem leżą płyty śniegu potrząśnięte kamieniami, okurzone, brudne łachmany zimy, od których nawet żaden chłód nie wiał w ciepłe powietrze popołudniowej pory.

Natychmiast zaczynamy się szykować, przewodnicy i podróżni kolejno jeden za drugim.

Więc mamy iść na tę bestję?

Doznaję uczucia, jak gdybym wchodził do dentysty — nie chcę, a muszę — i idę!

No! w porządku! ruszamy — marsz!

Wznosimy się gwałtownie w górę po ruchomych głazach. Kto chciałby widzieć, jak to wygląda, niech wyobrazi sobie prostopadłą ścianę, wysoką, bardzo nawet wysoką, przy której usypano okruchy skał — żadnych ośłon, żadnych poręczy... Za każdym zakosem człowiek czuje, że się chwieje coraz wyżej ponad ziemią. W pół góry może stajemy na wypoczynek. Każdy na głazie, na którym stała jego noga, jedni nad drugimi,

¹⁾ Była kapitanem-komendantem pierwszej kompanji 25 linjowego pułku w czasie wojny z r. 1831. Zmarła 23 grudnia 1831.

dotykając nogami kapeluszy tych, co są niżej, a kapeluszami łydek tych, co są wyżej.

...Szlismy dalej w górę, przystając na coraz wyższych piętrach granitowego gmachu. Wskutek perspektywicznego skracania się wszystkie szczyby, występy, głązy malały ku dołowi i nabierały powietrznego koloru, i im wyżej, tem dotykalniej czuło się, że się wisi w powietrzu. Ściana jednak skał, do których zbliżaliśmy się, służy za osłonę z jednej przynajmniej strony. Przechodzimy po śliskiem, ociekłem wodą zbocz, zbliska nie tak małem, jak się zdawało z Koprowej przełęczy — wisząc jednak ponad rozdartem gardłem żlebu, który od szczytu płynie aż do dna doliny, do brzegu stawu, leżącego tam na dole w obramowaniu z białych skał i mchów złotych.

Przesuwamy się tuż około ściany granitowej nad przepaścią i wdrapujemy się na strome zbocze, wiszące nad samym żlebem; nogi przywykłe do stąpania po twardym, dźwięcznym granicie z niepokojem stąpają po trawiastym upłazie. Chłodno; jakiś wiatr pociąga wielką wyrwę między dwiema ścianami ciemnych turni; — za nami rośnie przepaść i przestrzeń powietrza, jeszcze kilka kroków i...

Pierwsze wrażenie jest uczuciem tracenia równowagi; zdaje się, że głowa zanadto cięży, że człowiek chwieje się na wietrze, stojąc na ostrym zrębie, dzielącym dwie przepaści: jedną, z której wyszliśmy, i drugą, w którą schodzić mamy. Więc też ludzie, nieotrząskani z temi wrażeniami, czują potrzebę natychmiastową sięść lub położyć się — naturalnie jak najdalej i nogami w przeciwną stronę od przepaści, która zdaje się pociągać, ponieważ ciągnie tam do dna oczy.

„Pod nogami“, bez żadnej przenośni, leżało Morskie Oko, niewielka tafla błękitu, na którą od Mięgoszowieckiego wirchu padał cień koloru ciemnowisniowego. Z jednej i z drugiej strony od brzegów, okolonych białą smugą piargów, wznosiły się góry, okryte cieniem limb, świerków i kosodrzewiny, która coraz drobniała, rzedła ku górze, aż znikła, a z nad błękitnawo-zielonych upłazów wysterczały szare, zębate, nagie turnie. Stoki tych gór poorane od szczytu do brzegów jeziora żlebami, zawalonymi białymi okruchami granitów. Z poza tych szczytów wyglądały z prawej i lewej strony czuby, oblane słońcem lub fioletowym cieniem jakichś dalszych, wysokich wirchów.

Za Morskiem Okiem ciągnęły się lasy granatowe, wznosząc się coraz jaśniejszemi smugami do krańców widnokregu. Jak olbrzymie fale oceanu, rozkołysane w powietrznej dali, wznosiła się ziemia górami i opadała dolinami, aż się rozpułyła, roztopiła w błękicie nieba, którego bezmiary, jasne i czyste, płynęły nad nami.

Siedzieliśmy na przełęczy, w siodle między dwiema turniami, z których zachodnia — wierzch Mięguszwiecki, sterczała na niebie chwiejną piramidą ze ścianami spadającymi od północy w przepaść z przerażającą pionowością. Kiedy niektórzy z naszych towarzyszków przybierali najwdzięczniejsze pozy nad samym skrajem przepaści, tymczasem strzelano na znak z rewolweru, na co odpowiedział moździerz z dołu, zbudziwszy straszliwy warchoł ech, które rozlegały się długo we wnętrzach gór, podobne do potwornego warczenia i ryku gryzących się bestyj strasznych.

Górale usiedli, zwiesiwszy nogi w przepaść, która zdawała się tem okropniejszą, iż nigdzie nie widać było śladu drogi.

I właściwie nie świadomość niebezpieczeństwa, tylko poczucie własnej nicości, marności swoich sił wobec potęgi góry działa tak przynębiająco.

— Kędyż pójdziemy? — pytaliśmy się my, którzyśmy po raz pierwszy patrzyli na świat z tego punktu widzenia.

— Ze tędy! — pokazywał przewodnik na skałę, mało co odchyloną od pionu, chropawą wprawdzie, lecz w cieniu, który ją okrywał, nie znać było żadnej perci¹⁾. — Nie pytałem więcej.

— A bodajże cię!...

Przyrodnik roztaczał przed kimś swoją erudycję taternika:

— Przełęcz — mówił — jest wzniesiona na 7319 stóp wiedeńskich nad poziom morza, Morskie Oko zaś na 4379, czyli jesteśmy nad przepaścią, mającą 2940 stóp głębi — czyli około wiorst — recytował, jakby wykladał komuś lekcję. — Proszę sobie wyobrazić 55 kamienie trzypiętrowych, postawionych jedno na drugie, i to, że stoi się na gzymsie kamienicy najwyższej znajdującej się... Zresztą — mówił dalej przyrodnik — niema obawy, żeby kto doleciał do dna, ponieważ przedtem rozstrzaska się o pierwszy wystający gzymsik tak, że z niego zostanie tylko plaster, raczej tylko plama na skaie!...

To ostatnie zdanie, wypowiedziane tak spokojnym tonem, ta podróż w przepaść — skrócona, załatwiona zapomocą zmienienia się w plamę — wszystko to wywoływało jakieś przyjemne, uspokajające wrażenie. No, ale iść trzeba, więc ruszamy.

Pokolei wchodzą na gzymsik turni z prawej strony: przewodnik, za nim podróżny, i tak naprzemiany. Sabale²⁾, który mało już widzi, przystawiono dwóch przewodników, ale tak, żeby on o tem nie wiedział, boby się zhańbił. — On, dla którego wirchy i przepaści starczyły tyle, co dla orła!

Droga ma szerokości stopę, często mniej, czasem trochę więcej. Na lewo przepaść, pod obcasami Morskie Oko; na prawo skała, o którą się można oprzeć, odchylając od otlani, za którą jednak nie można się uczepić ani przytrzymać. Ktoby się tu pośliznął, tego nikt i nic nie

¹⁾ = ścieżka. ²⁾ = sławny przewodnik po Tatrach.

wstrzyma, bo ten, coby chciał ratować, nie ma żadnego punktu oporu, żadnego przyczepienia. Wpływ przewodników jest czysto moralny. Widok silnych i pewnych białych nóg, które pewnie, zręcznie i zwinnie zstępują przed podróżnym, unosząc się lekko ponad błękitem przepaści z takim spokojem, jakby szły po wielkiej równinie — widok ten uspokaja, wzbudza ufność i obniża urok przepaści.

Pierwszych kilkadziesiąt kroków idziemy w milczeniu; słychać tylko stukanie kijów, ciupag i odgłos kroków. Kiedy niekiedy basetla, niesiona na grzbiecie, zaczepia o skałę strunami i swoim buczeniem rozprasza to skupienie ducha, z jakim zstępujemy do otchłani.

Nagle słychać głośnie cmoknięcie i ktoś mówi wesoło:

— Wiesz co, Władziu, mam dla ciebie uszanowanie!

To ten, który niedawno wyrzucał, że ma złego przewodnika, zdziwiony własną odwagą, całuje siebie w rękę i wyraża swoje uwielbienie z humorem. Skończyło się ze strachem! Gzymsik, po którym idziemy, zdaje się nagle szeroką drogą lub wielkim chodnikiem asfaltowym, a jest tak wąski w tej chwili, że z trudem obie nogi zmieściłyby się na nim.

Gzymsik biegnie na dół, zaginając się po załomach turni. Na przędzie widać zgrabną figurę przewodnika, który idzie znacznie dalej przed wszystkimi, pokazuje się na zakrętach i znów niknie za ścianą skały. Idziemy teraz swobodnie, patrząc bez najmniejszego wrażenia niepokoju na leżące pod stopami Morskie Oko, zalane blaskiem słonecznego światła; widzimy smukłe smereki i kopulaste limby i białą nitkę potoku, wypływającego z jeziora i ginącego wśród ciemnych lasów. Prostopadłe ściany Mięguszwieckiego wirchu stoją ciemne, gładkie, okropne. Przychodzimy na jakiś bardzo stromy żlebek, rodzaj rynny granitowej, zawieszanej przy ścianie. Ciemno tu, chłodno, skała czarna, gładka, a w dole widać jasną, powietrzną przepaść. Zsuwamy się tą rynną wdół po klamrach żelaznych, bez których nie byłoby na czym nogi postawić. U dołu ze żlebu perć przerzuca się na rodzaj ogromnej szkarpy, przypierającej do gmachu turni, wisi na wążutkiej szczerbce skały, w którą wbite są znowu klamry; za nie się trzyma, posuwając się ponad przepaścią, otwartą ku Czarnemu Stawowi. Na tej wąskiej szkarpie, „buli“, jak mówią górale, otoczonej zewsząd przepaściami, odpoczywamy. Dzicz straszna dokoła. Nad nami wiszą skały, po których niewiedomo, jak zesliśmy, za nami zieją paszcze przepaści; wszędzie potraskane, potargane, czarne łomy granitu i płaty wiecznych śniegów w ciemnych i jasnych szparach żlebow; na szkarpie trochę mchu rudego i żdziebełka trawy porastają. Zimno i ciemno, bo strona północna, a czarne skały nie odbijają dalekich światła, zalewających resztę świata leżącego pod nami.

Jesteśmy w pysznym humorze; orkiestra zaczyna grać i przewodnicy na wąskim brzeżku, nad urwiskiem, tańczą swobodnie, objuczeni tor-

bami. Nagle zaczynają krzyczeć przeraźliwie i machać kapeluszymi w stronę Mięguszowieckiego szczytu. Tam wysoko na tle nieba, nad samym zębem spadających prostopadle z nagłością błyskawicy ścian czarnych widać małą sylwetkę tańczącego górala. Czyjs przewodnik wypatrzył nas i opowiada się towarzyszom gdzieś z pod nieba.

Ze szkarpy ścieżka spada gwałtownie w dół, za łożyskami wód, podarta, zasypana gruzem, błędna, rozgałęzia się w mnóstwo wężykowatych wyżłobień; przechodzi koło wielkich płatów wiecznego śniegu, podtając go od dołu, sączącego na leżące pod nim gruzy kropla po kropli kryształowej wody. U dołu buli trafiamy na zwał potężnych głazów czarnych, spękanych, strząśniętych gdzieś ze szczytu dokoła równych krzesanic, silnemi złomami wpierających się w rumowisko. Po tych ogromnych, nieforemnych głazach idzie się, wtaczając się w górę, spadając na dół, przeskakując nad wielkimi między nimi otworami. Opoka granitu chropawa, szorstka, doskonale trzyma stopę na najstromej pochyłości; odgłos, który wydaje się przy uderzeniu obcasem lub kijem, jest dźwięczny; granit wzbudza zaufanie, śmiało się nań stawia nogę i po nim chodzi.

Nie tak, jak gąbczaste, wyświechtane, kruszące się, zdradne wapienie. Jeżeli w naturze może być coś tandetnego — to są skały wapienne w porównaniu z granitem. Przybierają one wprawdzie fantastyczniejsze, dziwniejsze kształty, ale właśnie dlatego, że woda i powietrze łatwiej je niszczą.

Z pod czarnych krzesanic chropawą wyrwą, wyżłobioną między głazami i piargiem, idziemy na dół; okalamy wielkie przypory granitu i wchodzimy na pochyłość zasypaną ruchomemi głazami, wśród których zielenią się kwiaty paproci; znowu zwracamy w górę wprost na turnie i wychodzimy na grzbiet usypiska.

Pod nami w dole leży zwierciadło stawu w kotlinie ze szczerej skały.

Szare, poplamione płatami śniegu, strome, niedostępne turnie dźwigają się prosto z wody, wysoko na niebo — a drugie także skały łbami na dół widać było w stawie, który nie drżał najmniejszą zmarzęczką fali. Górale mówią, że to widać „tamten świat, drugi“; jest to Staw Czarny, pod Rysami. Schodzimy nad jego wody, otoczone z trzech stron amfiteatrem skał, podpartych zsypankami gruzów, na których widnieje pod śniegami trochę porostu, zresztą lite skały z jednej strony wiszą potworną, pochyloną ścianą, przeglądającą się w martwej, nieruchomej wodzie, utrzymywanej w tej kotlinie naturalną groblą granitową, przez którą zlewa się jej nadmiar szumiącym, spienionym potokiem do leżącego pięćset stóp niżej Morskiego Oka.

Leży ono tam w dole pod nami, ciche, ciemne, tajemnicze, osłonięte cieniami gór, połyskując po brzegach srebrnymi smugami, wchłaniając w ciemne swoje wody odbicia otaczających je potężnych, mrocznych wir-

chów. Podmucha wiatru przeciąga nad wodą, która się skrzy przez chwilę srebrnym błyskiem i znowu wygładza się w ciemną, miękką taflę.

Schodzimy na brzeg, gdzie nas czeka tratwa, świecąca, jak złoto, jasnem, nowem drzewem świerkowem na tle ciemnej, granatowej wody.

Przewodnicy nasi idą pieszo dookoła jeziora, wrzeszcząc:

Wszystkie wirchy przesęł, wszystkie przewędrował,
Przyseł do Morskiego, tam se zanocował, hu!

Zabieramy na tratwę Sabałę i płyniemy. Po tych wirchowatych, powietrznych krajach, z których zstąpiliśmy na toń gładką, doznaje się wrażenia jakiegoś bezmiernego zakłęśnięcia się, zagłębienia tej doliny. Poprostu czuję, że jestem na dnie. Potworny gmach Mięgoszowieckich turni, po których schodziliśmy przez cztery godziny, zdaje się tak straszliwie wysokim, tak naprawdę niebotycznym nam, którzyśmy niedawno patrzyli z jego szczytu w dwie strony świata bez granic. Chociaż słońce ukryte tylko za górami, ciemna woda i ciemne skały i lasy wywołują wrażenie wiecznego mroku. Dzień cały spędziliśmy, wysilając się na pokonanie trudności drogi; czuliśmy ciągle osobistą odpowiedzialność za każdy krok, za ruch każdy; przywykliśmy patrzeć z góry w przepaść, której dno mierzyliśmy dokładnie okiem, jak je wyrażnie ze wszystkimi szczegółami widzieliśmy; przywykliśmy też do granitu, do tej pewnej, silnej, stałej podstawy. Teraz stojąc na tratwie, pchanej przez kogoś, kołyszącej się zlekka, niezależnie od naszej woli, wiszącej nad czarną, tajemniczą głębią w czemś tak różnem od niewzruszonych złomów granitowych, w miękkim atłasie wody, lśniącym, iskrzącym, ruchliwym, rozstępującym się pod uderzeniami wiosła — naraz czuje człowiek całą różnicę swego stosunku do wody i skały; widzi, że te wszystkie środki, któremi walczył z górą, są tu nanie, że znowu jest wobec czegoś nieznanego, do czego musi się przystosować lub co potrzebuje opanować.

Przybijamy do brzegu, robiąc wielkie wrażenie wśród publiczności zebranej na galerji schroniska.

Stanisław Witkiewicz.

LXXXVII.

Na Dunajcu.

Wąziutkie nasze łodzie, przepięte łańcuchem,
Lekko mkną po Dunajcu sennym jakimś ruchem
I tak modrawą falę przecinają gładko,
Jakby ptactwa wodnego żeglujące stadko...
Z lewej i z prawej strony dwie ściany skaliste
Wyciągają się ku nam w cienie długie, mgliste,
A Dunajec drga lekko w migotliwe skręty,
Sunąc, jako wąż w trawie piersiami wygięty.

Wiosło uderza miękko, niby pieszczotliwie,
A człowiek ledwo wierzy, że na ziemi żywie.
Bo świat tam, z drugiej strony, do skał gdzieś przyparty,
A widok tylko w niebo błękitne otwarty.

Lecz fala w węższy parów głębiej się już wkrawa ;
Aż na skrytym „niedźwiedziu“ nagle dęba stawa,
Ciska pianę, jak rumak wstrzymany wędzidłem,
I jako górski orzeł, skałę bije skrzydłem
I jak tur, wściekłem czołem dno przepaści bodzie
I z stromych barków gniewnie zrzuca nasze łodzie
I wkółko się okręca i żyma i krztusi...
Ejże! zwróci się w biegu i „niedźwiedzia“ zdusi!

Lecz patrz! Góry cofnęły swe kamienne czoła...
Zaśmiała się nad brzegiem góralka wesola
I kąpiąc w złotym żwirze bosa swoje nóżki,
Wśród podaje pachnące groszki i ostróżki...
Zebrała je porankiem w Leśnicy na Rusi;
Nim zwiędną, szumnym Laszkom rozprzedać je musi.
A tuż nad nią źródółko żywej wody bije,
Więc czerpie śniadą ręką i do gości pije...
Ej, Dunajcu! rozmarszcz się, jeśli twoja łaska,
I nie mąć odbitego w twej fali obrazka,
Niechże ja się napatrzę tej bosej góralce!

„Niedźwiedź“ już tylko zdala mruczy coś po walce...
Plusnęły wąskie wiosła w lewą, w prawą stronę;
Łodzie się przytuliły jak ptaki spłoszone,
A cisza rozmarzona, skrzydlata, pieściwa
Dunajec, nas i góry w swe rąbki okrywa.
Fala niby się modli, jak harfa zaklęta:
To przed dziczą uchodzi nasza Kinga święta
I stopy swe, znużone podróżą niezwykłą,
Myje w jasnym źródółku, co z skały wynikło...
Orzeł zerwał się z turni, jak tatarska strzała...
Z boku tuli się trwożnie jakaś mniszka biała...
Grzmiąca pogoń kopytem po wierchach rozbrzmiewa...
A za siewcą — łan pszenny w oczach się dojrzewa...

Jak cicho! Róg góralski echa gdzieś potrąca.
Do snu kładzie się fala u brzegów mdlejąca.
Dzwon z Grywałdu roznosi uroczyste dźwięki...
Wtem na skręcie padł wystrzał, a słowa piosenki



Letny by jednen

Rozigrane, jak kozy skaczące ze skały,
Z łodzią w zieleń przybraną mimo nas leciały...
„Sława!” — Rusin przewodnik gromko się okrzyknął;
Plusk i szum się podwoił, potem mdlał, aż zniknął...
Tylko gniewny Dunajec srebrną bródzę gładzi
I długie rozhowory z echem gór prowadzi.

Marja Konopnicka.

LXXXVIII.

Opowiadanie górala.

(Obraz Władysława Szymanowskiego).

Niebardzo jasno jest w takiej izbie: okno, może i okna — małe, bierwiona, z których dom zbudowany — szerniałe, klepisko — zamiast podłogi — z gliny. Z szyciem trzeba sięść pod oknem. Tędy wpada strumień światła i wywołuje po drodze barwy i uwypukla kształty, na jakie się natyka. Uwypuklenie to wydatniejsze, niżby było pod wolnem niebem, na polu — właśnie z powodu kontrastu, jaki tworzy światło, wpadając do izby, z mrokiem panującym w izbie. Postaci, siedzące pod oknem, nabierają wskutek tego takiej cielesności, że zda się prawie, jakby nie malarz na płaszczyźnie je porozmieszczał, ale rzeźbiarz pousadzał w przestrzeni.

Spróbujmy, zgiąwszy prawą ręką mały palec lewej, resztę palców ułożyć i pozginać tak, żeby każdy przedstawił jedną z czterech figur. Niebardzo się to uda, ale zwróć to nam uwagę na układ grupy.

Zwłaszcza figura starego górala tak jest plastyczna, że jego ręka z fałeczką wyraźnie sterczy w przestrzeń, a miałoby się ochotę zdjąć mu stary kapeluch z głowy, jakby był prawdziwy. Spostrzegamy dokładnie, jaka przestrzeń dzieli górala od dziewcząt. Przyglądając się staremu bliżej, odkrywamy, że światło, wzdłuż grzbietu spływające, nie może pochodzić z okna, naprzeciw którego góral siedzi. Przy jeszcze bliższem przypatrzeniu się spostrzegamy coś podobnego na prawym policzku dziewczyny, podpierającej brodę ręką; dostrzegamy nareszcie, że noga ławeczki, na której stary siedzi, pierwsza od lewej strony, licząc od widza, rzuca cień w kierunku odmiennym, niż tamte trzy. Światło więc inną jeszcze drogą dostaje się do izby, tylko słabsze. Może po lewej od widza stronie należy domyślać się drzwi otwartych do drugiej izby lub do sieni? Może gdzieś po lewej stronie jest drugie okno? Bądź co bądź, ten drugi, słabszy strumień światła, krzyżujący się z pierwszym, pomaga mu w uwypukleniu ciał. A niezawodnie też w uwydatnieniu kolorytu. Barwy bez niego nie miałyby i tej żywości, jaką mają, skoro postaci widzimy prawie tylko od strony odwróconej od okna, a więc od światła.

Dla próby stańmy z obrazkiem tuż pod oknem i zwróćmy się z nim tak, aby światło padało nań pełne, drugi raz tak, aby był zupełnie od światła odwrócony.

Kontrast między słabem oświetleniem, panującym w izbie, a światłem, wpadającym przez okno, kontrast dalej między barwnością postaci i ich odzieży a szarzystą otoczenia — wyraźnie dzieli obraz na dwie części: od brudno-brunatnego tła odcina się grupa wesoła i pociągająca barwami.

Kolor i światło pociągają oczy, podniecają i ożywiają; ciemność i martwość kolorytu nastrajają poważnie i smutno; od bieguna ku równikowi, od północy do południa, od przesilenia zimowego do letniego rośnie wraz z światłem i barwnością życie i wesele; a uroczystości i święta obchodzimy, roztańczając barwy i blaski, strojąc siebie, mieszkania, ulice w zieleń, kwiaty, chorągwie i wstęgi, zapalając ognie, oświetlając okna.

Barwy te nie narzucają się oczom jaskrawością i zhytnią różnorodnością, ale przykuwają odcieniami. Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę — obok kilku rodzajów czerwieni — biel w różnych odcieniach.

Przy tej sposobności nasuwają się dwie uwagi. Po pierwsze: spostrzegamy, ile oko uważne, ile oko wyćwiczone rozróżnić zdolne jest kolorów, koło których nieuważne i mniej ćwiczone codzień obojętnie się przesuwają. Powtóre: że mowa, chcąc określić słowami, co oko odróżnia, staje często bezradna wobec bogactwa, dostarczonego wzrokowi. W odróżnieniu zarówno, jak i określaniu barw, sprawniejsi będą malarze, farbierze, pracownicy w handlach bławatnych, niż inni; nadto sprawniejsze będą kobiety od mężczyzn; dlaczego?

Oprócz kształtów i barw jeszcze jedno bardzo wyraźnie na naszym obrazku się przedstawia pod wpływem oświetlenia: jakość powierzchni ciał, przedewszystkiem tkanin i innych materiałów, gładkość szkła i skóry pasa, cienkość i grubość płótna, szorstka miękkość guni czy samodziału, z którego uszyta jest odzież górala, jakość muślinu w rękach dziewczyny szyjącej. Łatwo przy tej sposobności poznać, która z dziewcząt ma na sobie koszulę z płótna domowej czy wiejskiej roboty, a która z kupionego w mieście.

Ta koszula z cienkiego materiału, kroju nie chłopskiego i bez wyszycia chłopskiego, zato z kryzeczką, kryteczka z rąbkiem czerwonym, ten gorsecik z wzorzystej materji, ta spodniczka ponsowa — każą się domyślić, że właścicielka nie należy do rodziny, mieszkającej w tej chałupie. Założyłby się można, że to córka zamożniejszych rodziców, może jedy-naczka, „bogaczka“. Bo też ma coś w sobie pieszczonego, prawie miejskiego, i w minie i w zachowaniu się, w sposobie, jak się ku opowiadającemu grzecznie nachyliła, aby słuchać, co mówi, w podniesieniu brwi i oczu. Widać, że zabito jej w główkę małego klina i że szuka odpowiedzi na zartobliwe zagaśnięcie starego lub że chce sobie coś przypomnieć. Że gościem jest chwilowym w chałupie i to mile widzianym, poznać i po zachowaniu starego, zwracającego się wyłącznie do niej, i po dobrotliwym, niemal macierzyńskim uśmiechu, z jakim spogląda na nią dziewczyna w ciemnoszafirowej chusteczce, jakby ciekawa, jak też ona z tego chwilowego kłopotu się wywinie. Jest urok w tym kontraście między pocziwą, inteligentną i dojrzałą głową gospośi a delikatną, głu-

piutką trochę miną złotowłosej dziewczyny. Kontrast innego rodzaju z nią tworzy duża, koścista, o małych oczach i niskiem czole twarz szyjącej. Zajęta robotą, wśród ściegu podniosła oczy na opowiadającego, usta już do uśmiechu się układają, ale po podniesionych brwiach i oczach, niebardzo mądrze patrzących, poznać, że nie połapała się jeszcze w przedmiocie rozmowy. A od wszystkich trzech postaci dziewczęcych najmocniej odbija postać starego, chudego, ale dobrze zbudowanego i zuchowatego staruszka. Czy też i on tylko gościem jest w chałupie? Czemu kapelusza nie zdjął z głowy? Jaki go łączy stosunek z dziewczętami? Znajomy, kum, stryj, ojciec? A treść jego opowiadania?

Ale co to nas właściwie obchodzi? Co to obchodziło malarza? Malarz miał przed oczyma scenę, czy prawdziwą czy zmyśloną, i utrwalił ją w obrazie. Opowiadanie to nie jego rzecz, to zadanie pisarza, literata, poety; on przedstawia. Chwyta chwilę, chwileczkę między jednym ściegiem a drugim, między podniesieniem a spuszczeniem brwi i przenosi ten moment na płótno. Inaczej pisarz; ten obejmuje zdarzenia, trwające godzinę, dzień, choćby lata i dziesięciolecia. Malarz zmusza nas do patrzenia swemi oczyma na to, co on widział, a poeta musi nam zostawić wolność wyobrażenia sobie po swojemu tego, co on opowiada.

Ciekawość więc zwróćmy w tym kierunku jedynie, w którym obraz zaspokoić ją może: patrzmy! A może przytem nasunie się nam i porównanie jakie? Czy podobnego obrazu nie widzieliśmy w tomie II Czytań? „Bajka“ Grottgera! Różnice pewnie, że wielkie, ale nie tak znowu wielkie, aby zasłaniały znaczne podobieństwa. Tu i tam grupka słuchaczy twarzami do widza zwróconych; opowiadający starszy od nich, odwrócony twarzą tak, że o mało profil się nie zgubi; rzecz tu i tam dzieje się na wsi. Różnice wynaleźć łatwo; nie należy tylko zapomnieć o ważnym dla obu przedstawień szczególe. „Bajka“ ujęta jest w tak ciasne ramy, że widzimy tylko słuchających i opowiadającą (i to obciętą), tudzież jeden sprzęt (także obcięty). Wskutek tego zainteresowanie nasze skupione jest wyłącznie na zająsci, to jest opowiadaniu, i na wrażeniu, jakie opowieść wywołuje, tak, że o wszystkim innem zapominamy. Opowiadanie starego górala nie jest znów tak przykuwające, aby nam nie zostawiło nieco swobody do rozglądnięcia się po otoczeniu, a nawet do rzucenia okiem na świat Boży. Nie wiedzieć tylko, czy tam wiosna się zaczyna, czy jesień kończy, i czy ku południowi się ma, czy ku wieczorowi?

Zresztą i o to mniejsza. Gdyby twórca był chciał, byłby nam dał wyraźniejsze wskazówki, tak, jak to uczynił twórca „Bajki“.

Na zakończenie ciekawa z pewnością wiadomość: ten, co te figurki wymodelował i pod oknem pousadzał, jest obecnie rzeźbiarzem i to mistrzem w swej sztuce.

Emil Petzold.

LXXXIX.

Sabałowa bajka.

Siedzieliśmy wokół ogniska, wsluchani w tę ciszę tatrzańską, która aż w uszach dzwoni. Zbliżała się już i godzina spoczynku, gdy nagle Sabała podniósł swą pomarszczoną twarz, chwilę popatrzył szklannemi oczyma w ogień i tak zaczął opowiadać:

Prosem piknie wasych miłości, raz seł chłop ze świdrem i z rąbanicą ¹⁾ do Nowego Targu na sianie ²⁾. Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba. Chłop ze był mądry gazda, poznał Śmierć i zaraz myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wreście wiercić dziurę do wirby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

— Czego patrzys? — pyta Śmierć.

— Chces uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała śmierć do dziury, nie widzi nic, a bez ten cas ociosał se chłop rąbanicą bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powiada Śmierć.

— Wleż całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlaża całkiem, zatkał-ci ją chłop, prosem piknie, bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

A tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajaziło się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Chochołowie, wszędy, ze cłek koło cłka stał, jako smereki stojom w boru. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić juz nie mógł. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć, poseł i odetkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć, prosem piknie, skocy, jak weźnie kosić w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tyła się luda wykopyrło, ze i chować gdzie nie było. Przychodzi wreście Śmierć do jednej gaździny wdowy — siedmioro sierót u niej — i bierę ją.

A tu dzieci kiej nie zacnom prosić, kiej nie zacnom lamentować:

— Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powieda:

— Panie Boze, jako-ze mnie matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Bóg powiada tak:

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idź-ze do Pana Jezusa i niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powiada:

— Panie Jezu, jako-ze mnie gaździnę brać — siedmioro sierót w chałupie — tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Jezus:

¹⁾ = siekiera. ²⁾ sianie = sianie, zboże (na rąbanisku).

— Chybaj do morza, przynieś skałkę!

Skoczyła śmierć do morza, na samiusieńkie dno, przyniosła skałkę twardom, okrągłuchnom, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie, zębiska jom bolom; zgryzła wreszcie calusieńkom skałkę — i patrzy: az tu w środku chrobocek maluśki siedzi.

A Pan Jezus:

— Widzis, powiada, to ja o tym maluśkim chrobocku na dnie morza wiem i pamiętam, a ty myślis, że ja o sierotach nie bede pamiętał? Chybaj, hier matke.

Henryk Sienkiewicz.

Które ustępy (we wszystkich tomach Czytań) przedstawiają życie górali tatrzańskich i dają obraz Tatr? Które ustępy opisują rozmaite ziemie Polski?

XC.

Z ziemi chełmskiej.

Staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słychać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się! — zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

— Kto jedzie?

— Swoi! Swoi! — zerwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu: grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy! — zagadał poważnie pierwszy wóz.

— Tak-że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyczeć: swoi! Słowo „z nadzieją“ było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki i wjechaliśmy w las; ugięty się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź ma-



jaczyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrągłakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze; grząłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywekliśmy się na suchsze miejsce. Poczułem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych — rozkazano.

Przystanąłem i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stąpania. W ciemnościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami, głucho dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją. Zwolna bór napętnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jak bełkotaniem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie poczęły tu i ówdzie szarpać uprząże i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli, szmer wzmagął się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...



Nie wiem, jak długo to trwało, ale w końcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzałą, potężną falą...

Ruszyliśmy gęsiego i noga za nogą przez błota, topiele i trzęsawiska. Zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystymi drzewami, a otoczone nieprzebyte m bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteście już na miejscu! — zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało, jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba — objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nade dniem przyjadą.

Dałem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko. Włączyłem się między gromadami, porozkładanymi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się od nich dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczęli drzemać.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytem szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w Boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie ani stąd nie wyjdzie bez pozwolenstwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, pokładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż wkońcu i ja okręciłem się szczerzej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim szeregiem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe, niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzą, panie! — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnem morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zory i słyhać było dalekie kwakanie dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszyło się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roiło się w błędnych zwolna cieniach i wrzało potężnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długiem, męczącem oczekiwaniu rozległy się wołania: „Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!”

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów. Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy: „Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!”

Usłuchano bez szemrania i gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za niemi zwarła się wielkiem półkolem żelazna nawała chłopów; stanęli nieprzełamanym murem, ramię przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna cichość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu i jawił się z mroku wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad którymi wychylał się zmartwychwstający Chrystus, prawie nagi, skrwawiony, w cierniowej koronie, i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Pałący wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk i jęk serdeczny: „Chryste! Chryste! O Panie miłosierny!”

Przycichło. Ksiądz w białym ornacie, z monstrancją i kielichem w rękach wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żrały łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy, i jednym ruchem i z jednym westchnieniem i uczuciem jednym tysiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzączały dzwonki, niekiedy rozlewał się śpiewny głos księdza i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadzielnicy rozptywały się pachnące dymy i złocista monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie i było tylko słyhać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrząsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i krzyki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgawędził na chwilę i przycichnął pochylony, jakby się wsłuchiwał w rozdrżane szmery modlitw, w rozetkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących niby szronem, że całe to znieruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którym wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadygotały, jak trybularze, bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca i głośniejsz zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwą niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze

wniebowzięte, oczy pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru uczucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Dosyć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroily się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zacząło się podniesienie, a kiedy ksiądz wzniósł wysoko Hostję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed Bożym majestatem.

A gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy, ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnym dymach, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon, głosem zaintonował suplikacje.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwymi ustami świętą melodję i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali, jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem; wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żalosnym płaczem i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z niemi śpiewały wszystkie bory i ziemie i wody i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bez przestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli i tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki. Byli tacy, których chrzczono i dawano im śluby zarazem. Byli tacy dorośli, żonaci, dietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę. Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą

mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzcenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niewyciężeni.

Taki jest lud nasz na „Czerwonym Podlasiu“.

Władysław Reymont.

XCI.

Do granicy¹⁾.

— Zaparli chałupę

I „befel“²⁾ gwoździem do wrótni przybili.

Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,

A to najmłodsze, co płacze i kwili,

Jak ten wróbelek, dzwignęłam na ręce

I tak powiodłam to stadko jagnięce

W świat, gdzie poniosą oczy...X

— Szłyśmy razem,

Kobiety z dziećmi, żalotną gromadą;

Za nami, pobok, strażę konne jadą

I klną i dziatwę drobną biją płazem,

Nagłąc do drogi...X

— Odwróć ja głowę,

Żeby raz jeszcze popatrzyć na oną

Chatę, obórkę, na sady wiśniowe,

Na wdowią rolę, trójpotem zroszoną...

A ta mi strzecha stanęła, jak złota,

W oczach, a na niej dwa gołębie siwe,

Jakby ze srebra... A wszystko, od płota

Aż do żorawia³⁾, co moknie w studziencie,

Wydało mi się, jakby było żywe

I jakby do mnie wyciągało ręce....

Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,

Moja krowina, com ją zaprzedała,

Stoi a ryczy... A choć w trawie stała,

Nie posięgnęła się przecież do jadała,

Tylko za nami patrzy się a wzdycha,

Właśnie, jak człowiek...X

¹⁾ Srogi nakaz rządu pruskiego wypędził w latach 1885—1887 dziesiątki tysięcy ludu z granic Wielkopolski. ²⁾ z niem.: Befehl = rozkaz. ³⁾ = przyrząd, zapomocą którego wyciągają ze studni wiadro z wodą.

— Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła!... Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie
Między tych matek żałosnym narodem...
A one liche sieroty nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, z pod własnego nieba...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko, jakby czegoś zadumane,
I oczy, jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...

Jak kamień, ciężkie, jak węgiel, gorące,
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni sięść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą
Albo jak kawki w polu...

— Dalej! Dalej!...

Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rozstaju był krzyż. Więc się one
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły...
A gwiazdy weszły na niebie czerwone,
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.

...O Utajony na krzyżu, o Chryste!
Najlichszej muszce naznaczasz uchronę
I płaki wracasz na drzewa ojczyste,
A nasze gniazda zburzone?...
O Utajony na krzyżu, o Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu,
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?
O Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze,
Myż tylko sami pomiędzy wszystkimi
Mamy być wieczni tułacze?...

.

Ustał płacz niewiast i tylko się zcicha
Tu, ówdzie łkanie stłumione zaniesie,
A las woddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...
W mchu utuliłam zziębnięte dzieciны,
W nieboszczykową odziewszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał...
A już od rana płątało się przy mnie
Drżące w chustczynie nędznej na tem zimnie
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzekę do niej: — A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecz mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato!...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili,
Precz mi kazali biec za innymi...
I jak to kurczę, głowinę pochyli
Na bok i do snu skuli się na ziemi...
Więc ją fartuchem okryłam i wstałam
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam...
X

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie, niosąc dzieci,
Jedno po drugim przez dwa dni i trzeci...
A było ich już jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej pod krzyżem odprawować warty
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży¹⁾,

¹⁾ rubież = granica, kraniec, skraj.

I tylko po nim rozchodnik ten pnie się
I ta kukułka mu kuka po lesie...

.

Krwawemi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano.
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.
Pokulbaczyły swoje konie strażę
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wróć tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś szernieją od łez i tak zmieniają
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

.

A teraz, choć dzień, jest mi w oczach ciemno.
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem...
A jestem dzisiaj porażona gromem
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi,
I słońcem swoim cieszyła mi duszę...

Ach, to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę...

.

Marja Konopnicka.

Które ustępy (w trzech tomach Czytań) przedstawiają dzieje ojczyste? Ułóż je chronologicznie!

XCII.

Drwal.

W okrutnych borach był drwal. Wiedział, że bory należą do jakiegoś wielkiego pana, ale ani go znał ani widział kiedykolwiek. Słyszał, że rzeka, która drzewo niosła w świat, płynie i niesie jego pracę do ja-

kiegoś wielkiego morza, ale on nie miał czasu do tego morza dojechać ni dojść — zobaczyć jego ogromu i potęgi. Słyszał, że z pni, które ścina, tworzą się wielkie budowle, okręty, piękne sprzęty i rzeźby, ale nie zobaczyły tego nigdy jego oczy.

On tylko pnie ścinał, kłody obrabiał, korzenie karczował, krwawym potem się oblewał, kark nastawiał, dłonie kaleczył, barki wytężał — i życie tak zbył, a puszcza — jak stała, tak stała. Tyle śladu w niej wyrąbał przez żywot, co ślad mrówki na leśnej rubieży.

A miał-ci on syna jedynaka — dziedzica.

Chłopak udał się dowcipny, ciekawy, ducha niespokojnego. Słuchał co flisaki mówią, co kupcy dowodzą, co wędrownie grajki i kramarze bajają, słuchał nawet, co świergoce przelotne ptactwo na wiosnę.

Dumki bujne objęły jego duszę, do roboty ojcowskiej nie brał się, skrzypki sobie sprawił, pieśni się nauczył, w świat się wybierał.

Stary drwał ni mu przeczył ni namawiał; uśmiechał się dziwnie lub głową potrząsał, słuchając chłopaka, co go kusił:

— Chodźmy stąd, tatusiu, do żyznych krajów, do wielkiego morza, do pięknych miast i bogatych ludzi. Posłyszemy śpiewania i muzykę. Kark wam się zgarbił, ramiona pomdlały, po twarzy wam męka i pol bródzy poczyniły, jak pług na polu! Chodźmy!

Stary głową trząśł i rąbał.

— Kto mnie najął, obiecał zapłacić. Trzeba czekać na rachunek!

— Flisaki mówią, że się niczego nie doczekacie. Kto was najął, jużby się zgłosił, gdyby sumienie miał. Ale on was oszukał, jak głupca, i pewnie już o was nie pamięta. Flisacy i kupcy i kramarze drwią z was.

— Oni mego pana nie znają — a ja wiem, że przyjdzie. Poczekaj, jak się obrachuję, zapłatę wezmę — wtedy pójdziemy.

Czekali tedy. Chłopak skrzypki stroił, stary rąbał. Aż oto jednej nocy — gdy spali w swej budzie — usłyszał chłopak stukanie do drzwi. Sen to był — czy jawa? Z pościeli się nie podniósł, ale za trzecim stukaniem ojciec wstał, kaganek zaświecił i skobel odsunął. Do izby weszła kobieta w szatach ciemnych, wdowim kwefie na głowie i z kosturem pielgrzymim w ręku. Oblicze jej było smutne i surowe.

A stary drwał, jakby ją poznał, do nóg jej runął i kraj burej szaty do ust podniósł, całując, jakby relikwie.

W budzie uczyniła się łagodna jasność, jako letniego poranku, a niewiasta dotknęła głowy drwala.

— Witajcie! — rzekła.

Na jej głos poczęło chłopcu serce walić i dusza się rwać, by także pokłon oddać, ale go niemoc trzymała na posłaniu. Więc tedy tylko patrzył i słuchał.

— Otom wasz sługa, pani! — rzekł drwał.

— Myślałeś może, że nie przyjdę! — na to ona.

— Czekałem was z wiarą i czyniłem, jakżeście kazali.

Spojrzała na ręce jego zgrubiałe, na kark zgarbiony, na lice poróżdżone i siwą głowę starca.

— Służyłeś wiernie, oto masz zapłatę.

I tedy z poły swej szaty dobyła obręcz złotą, jakby koronę królewską, i włożyła mu na głowę. Potem sięgnęła po siekierę jego i dała mu w prawicę — a nie siekiera to była, ale berło, jarzące od klejnotów, a potem wzięła ze stołu czarnego chleba skibę i dała mu w lewicę, a nie chleb to był, ale jabłko królewskie.

Kark drwała się wyprostował, zmarszczki znikły, ręce wybielały, a opończa gruba stała się szkarłatem i powstał z ziemi monarchą i panem. I oto — czy ściany się rozstały, czy jakie чудо — zobaczył chłopak, że ojciec króluje na majestacie potężnym, nad żyznym krajem, nad wielkiem morzem, nad potężnymi okrętami, nad ludem wesołym. A kraj ten — to karczowiska z ich puszczy, a morze owo — to rzeki ich ujście, a statki te — z pni, które walił i obrabiał, a na sprzętach i rzeźbach majestatu jeszcze ślady jego potu.

— Tatusiu! — krzyknął — co się z was zrobiło?

A stary rozpromieniony, potężny, rzecze:

— A tom, synku, sobie wyrąbał, tom sobie wysłużył.

— Toście bogaci, tatusiu, nie będziecie już pracować.

— Ja szczęśliwy, synku.

— To i ja z wami będę królował?

— Nie wiem, synku, do kogo się zgodzisz na służbę, kto ci będzie panem.

Obejrzał się chłopak, szukając niewiasty owej.

— Kiedy mi ona szczęście obieca, to się do niej zgodzę — rzekł.

Ale niewiasta już odeszła i majestat ojcowski począł się oddalać, a został chłopak sam w ciemności.

Sen to był — czy jawa?

Rano, gdy się obudził, świt zaglądał do budy, na posłaniu ojciec leżał, w opończę otulony, i nie wstawał do roboty.

Zerwał się chłopak, za ramię go potrząsnął. Ramię osunęło się bezwładne. Drwał był umarły. Ręce miał czarne i grube, członki wychudłe, taki był, jak zwykle. Tylko brzozy w twarzy się wygładziły i oblicze rozpromienione, piękne, jasne, jako się stało, gdy na majestacie zasiadał.

— Tatusiu! — zawołał chłopak rozpacznie — a toście królem zostali i oto was śmierć wzięła. Przeklęta, przeklęta — nie dała wam nacieszyć się nagrodą. — A stary drwał uśmiechał się.

Pogrzebał go syn na leśnej rubieży, kędy ostatniego dnia pracował, i na mogiłę chodził żałosny, nie wiedząc, co z sobą robić.

W budzie ognisko wygasło i chleb spleśniał i siekiera starego drwala rdzewiała w kącie. Syn był, jak sługa bez służby, jak człowiek, który drogi nie zna. Aż oto jednego wieczora, wracając na noc do budy, zobaczył przez okno płomień ogniska.

Wszedł i pokłonił się nisko, a serce mu biło. Niewiasta owa w bu-rej szacie siedziała u ognia i wycierała z rdzy siekierę drwala.

— Cześć ci, pani — szepnął chłopak nieśmiało.

— Bądź pozdrowiony, dziecko! — odparła. — Wstąpiłam tu, by nowego sługę osadzić. Robota nie powinna ustawać, bo wielka i na długie jeszcze lata; miejsce to musi być zajęte, dobro moje muszę poruczyć w nowe ręce. Chcesz-li po cnym ojcu twoim obowiązek przyjąć?

— A jakąż mi, pani, dasz nagrodę i zapłatę?

— Dam ci szczęście i królowanie.

— Jako tatuś dostał — i umarł. Daj mi je rychlej, pani, bym się nacieszył.

— Nacieszysz się! Jaka praca, taka zapłata. Twój ojciec wiele pracował, wiele zdziałał.

— Ja więcej uczynię — ja ci, pani, całą tę puszcę zwalę.

— Daj ci Boże!

— A długoż mi na zapłatę czekać?

— Przysłę ci szczęście, a przyniosę królowanie, jeśli godny będziesz. Niema zdrady w słowach moich.

— Tedy zostanę w służbie waszej.

— Naści-że ojcowską siekierę i rozpalone ognisko. Zali miłujesz mnie?

I powstawszy, położyła swe ręce na jego głowie i przygarnęła go do piersi. A jemu się uczyniło tak rzewnie i miło, jako u matki na łonie.

— Miłuję cię, pani, miłuję! — wyjąkał z głębi duszy.

— Miłuj, bom wdowa i sierota, i tyle szczęścia mi, co z waszego kochania i pracy.

— Będę-że wam jako matce pracował!

— A ja ciebie nie zapomnę i stokrotnie ci zapłacę!

Jeszcze raz go do serca przygarnęła i odeszła.

A on i dnia nie czekał i skoczył do roboty.

Huczał topór w puszczy, waliły się drzewa, moc młoda była w drwalu — robota szła piorunem.

Aż dziwili się flisacy i kupcy, co jeden drwał uczynić może. A on zmęczenia nie czuł, sztuk nie rachował, za siebie się nie oglądał.

— Zwalę całą puszcę — żyzny kraj swej pani uczynię. Co mi tam, moc mam okrutną.

Rok minął — i drugi i trzeci. Puszcza jak stała, tak stała. Chłopak się rozrósł i wybuchał, jak dąb był piękny i silny, śpiewający robotę zbywał.

Ale pani nie przychodziła z zapłatą. Drwał drzewo walił i obrabiał, aż zaboląły go raz pierwszy ramiona, zapiekły szramy i blizny, pogłębiły się oczy.

W drogę ruszył, by tę puszcę przejść, kres jej zobaczyć.

Szedł i szedł, a puszczy końca nie było.

Tedy się przekonał, że jej nie zwali i ledwie ślad maluchny w niej wyrąbie — i gorzko zapłakał.

Tyle zapłać i mocy zużył — i znaku niema.

Po wielu dniach wrócił do swojej budy — i zbuntowany był.

— Precz pójdę! — myślał. — Do lepszych panów, do lżejszej roboty, gdzie mnie ocenią i pochwalą, gdzie nie zginę bez chwały i słychu — jako drwał nieznany.

Ale teraz znowu żał go zdjął lat przecierpianych, potu i bołu i tej pracy rozpoczętej — i siedział wahający.

I tak go zaszedł śpiewak wędrowny — starzec stuletni, co z lirą chodził po siołach.

— Pochwalonyś, drwalu wierny, wspomina cię wdzięcznie pani twoja! — rzekł.

A drwalowi poprzez żal i słabość zabiło serce.

— Bajecie, starcze, nie pomni ona mnie!

A starzec lirę zakreślił i jał mu pieśni śpiewać o tej pani-wdowie — a ze starych oczu łzy mu biegły.

Takci i ten ją miłował.

I znowu potem topór huczał w puszczy i waliły się drzewa. Drwał nie poszedł do lepszych panów.

Tylko już nie marzył, że puszcę całą zwali, i już nie śpiewał przy robocie.

Żywoć ludzki prędko opisać — powoli przeżyć. Dzień po dniu się niże, jak jednakowe paciorki; drwał ich nie rachował, ino się same maluchnemi kreskami pisały na obliczu jego. Z tych kresek lata czyniły głębsze znaki i wtedy on je czuł. Czuł, że sztywnieją nogi, że ciężą ramiona, że bolą członki. A puszcza jak stała, tak stała. Raz i drugi niemoc go na posłanie rzuciła, raz i drugi powracała mu fala rozpacz, i stawał w robocie i patrzył mgławo w czarną głąb puszczy bez kresu, a potem usta zacinał, dusił bunt — i rąbał, rąbał — coraz smutniejszy, coraz cichszy. Jednakże w głębi duszy jeszcze odwiedzin swej pani i nagrody się spodziewał. Czasami wracał z nadzieją do budy, że ją znajdzie u ogniska, że choć dobre słowo mu powie, jeśli płacić nie ma czem. On bo i dobrego słowa nie słyszał ani pochwały ani zachęty. Flisaki drwili z niego co wiosny:

— Głupi drwał nędzarki! — nazywali go.

A szydził najgorzej mądry majster, co sortował kłody i w tratwy

je zbijał. Rozumny to był i wyrachowany człowiek, kupcy go nawet szanowali.

— Wiesz ty, drwalu, dla kogo ty pracujesz? Dla lichwiarzy, co twoją panią osaczyli. Dla nich drzewo walisz, dla nich karczujesz, dla nich się mordujesz. Ona już dawno bankrutka i zapłaty od niej mieć nie będziesz. Jej obietnice — puste słowa, jej dobra — oszukaństwo. Patrzysz na mnie, jak wściekły — no, zaprzecz mi, powiedz, co ci dała?

A drwał milczał, zęby zaciskając. Zaprzeczyć nie mógł, ale nienawidził tego człowieka i duszę przed nim zamykał i myśli swe chował, by ich ten rozumny nie oplwał!

Stał się skryty i ponury. Już nikogo o swą panią nie pytał, imienia jej nie wspominał.

Aż kiedyś zauważył ze zgrozą, że na karczunkach jego poczyna znowu las porastać, gąszcz nieprzebyty znowu wstawać z ziemi, głuścić rolę wydartą. Więc znowu będzie puszcza, gdzie on ją zwałił kosztem całego żywota, więc śladu jego mozołu nie będzie. Darmo robił — nic nie wziął i nic dla swej pani nie uczynił.

A miał przecie całą puszcę zwalić! Wtedy poczuł, że jest stary, słaby, zmęczony i, usiadłszy na ojcowskiej mogile, zamarzył o śmierci. Ledwie się tego wieczora zawlókł do budy, już mu nawet topór ciężył, niemoc ogarniała kości. A nazajutrz nie wstał z posłania — wszystką już moc wyczerpał.

Leżał samotny, ognisko tlało — na dworze wiatr liście opędzał i tłukał się o szyby. Drwał zasnął może — a może to i jawa była.

Cicho drzwi się otwały — i weszła jego pani. Poderwał się z posłania, do kolan jej przypadł:

— O pani moja! Wspomniałaś mnie! — wyjąkał.

— Pamiętałam o tobie przez wszystkie dni twego żywota.

— A jam ci służył, jakem rzekł, ale robota moja, jako mrówki i robaczka — bez śladu.

— Aleś miłujący ją pełnił?

— Miłujący, pani moja, miłujący. Pomimo ludzkie mowy i pomimo zapłaty. Topór się stępił, moc mnie uszła, — jam ciebie czekał miłujący.

— Otom jest — z nagrodą. Wyjdź za mną!

I wyszli. Ale jakoś świat był inny. Zamiast puszczy pola falowały zbożem złotem, wśród nich stały piękne domy, śmiali się ludzie weseli, świeciły kościoły i miasta, słychać było pieśni radosne. Drwał patrzył i szedł radosny za panią swoją, a kto go spotkał, pozdrawiał i pokazywał go innym.

— Patrz! To ten, co karczował. To ten, co pnie walił, sławy nie chciał i chwałę wziął. Patrz!

Dusza drwała rosła i uspokajała się, jak wielkie morze.

— Skąd oni mnie znają, pani? — spytał.

— Ja im o tobie mówiłam! Chodźże teraz na obrachunek.

I byli znowu w budzie na rubieży, kędy dogasało ognisko i błyszczła w kącie spracowana siekiera. Niewiasta dobyła z szaty złotą obręcz, a on, patrząc na nią nieśmiało, spytał:

— O pani! Królowanie mi przynosisz, a gdzież szczęście, coś mi obiecała? Wyglądałem go całe życie naprzóżno.

— Jużes na progu. Zaraz je dostaniesz.

Drwał popatrzył w oblicze jej, zamyślił się.

I zrozumiał już wszystko. I już był za progiem, bo począł się jasno, radośnie uśmiechać, a niewiasta skinęła mu głową i usiadła u ogniska...

Musiła nazajutrz osadzić na swej rubieży nowego drwala.

Ten pracy dokonał.

Marja Rodziewiczówna.

Porównaj co do treści ustęp Wiktora Gomulickiego: „Oracz“ i wiersz Antoniego Langego: „Nie na dzień jeden“ (Tom II). Kogo przedstawia drwał? A kogo niewiasta?

XCIII.

T r z e j.

Przyszła noc posępna, jak widmo rozpaczy!

Kir porozpinała czarny dookoła,

Wywołała z gąszczy stada sów, puhaczy,

Rozpuściła wicher na grody, na sioła...

— Hej, noc, — noc posępna, jak widmo rozpaczy,

Strąconego z niebios posłanka anioła.

Od ciemnego boru, od zapadłych kniej,

Dokąd w noc tę straszną śpieszą jeźdźcy trzej?

Powiada jeden: Dobrze drogę znam,

Po długim trudzie wytehnę wreszcie tam:

Jasny alkierz — ogień tryska,

Dzban i misa u ogniska,

Obok pieca miękkie łoże —

Dajże do nich dotrzeć, Boże!

Jak gwiazdka przy ziemi, światełko się pali.

Pomknął ku światełku rycerz w twardej stali,

Pomknął, lecz bez druhów; tamci śpieszą dalej...

Powiada drugi: Dobrze drogę znam,

Nagroda męstwa czeka na mnie tam;

Pochylone wszystkie głowy,

Surmy, wieniec wawrzynowy,

Poklask ludu, fest ¹⁾ na dworze —
Dajże do nich dotrzeć, Boże!

Jak gwiazda na górze światółko się pali.
Pomknął ku światółku rycerz w twardej stali,
Pomknął, lecz bez druha; tamten śpieszy dalej...

Powiada sobie: Dobrze drogę znam,
Całego życia oto owoc tam:
Mur się wali, pęka krata,
Nowy wschodzi brzask dla świata,
Nowy brzask i nowe zorze —
Dajże do nich dotrzeć, Boże!

Stanisław Rossowski.

XCIV.

L o t n i k.

Statek powietrzny Piotra, rozpędziwszy się z poziomu, jak bocian albo albatros, poszybował w powietrze.

Leciał nad plażami ²⁾ Północnego morza, kierując się na wschód. Robił nie więcej nad ośmdziesiąt kilometrów na godzinę i nie wznosił się wyżej nad kilkaset metrów ponad ziemię. Dosięgnąwszy wybrzeża Bałtyku, opadł w pobliżu rybackiej wioseczki w zupełnem pustkowiu.

Nazajutrz rano, zabrawszy nowy zapas benzyny, nabytej przez umyślnego posłańca w najbliższem mieście, Piotr wyruszył w dalszą podróż.

Pomysłny wiatr popędzał go w obranym kierunku. Zimne powietrze nawskróś przejmowało lotnika. Dała mu się czuć z niczem nieporównana lekkość oraz bezgraniczna rzeźwość w całym ciele. Jakże był przyjemny świst wiatru, wciąż brzmiący w uszach! Niezmierny furkot śmigła i tętnienie maszyny zdawały się przechodzić wewnątrz ciała i w niem także działać narówni z pulsem i biciem serca. Pochylnie płatowca stały się, jako skrzydła wrośnięte w ramiona. Pęd powietrza, natarczywy chwilami, jak struga wody, tryskającej prosto w usta, podniecał wolę. Ilekroć obojętny i pomimo wszystko przełękły wzrok padł w dół czy w dalekość — ogarniał widok bezgraniczny.

U morskiego brzegu nieme, bladożółte wydłużenia zdziarów lądowych. Rude po piaskach szmaty i liszaje. Do nich lgną piany morskie, nito ryby olbrzymie. Wzdęte bałwany zdają się nieruchomo leżeć na brzegu suchym, jakoby bezduszny, śnieżny wał. W przestworzu morza

¹⁾ = uroczystość. ²⁾ = wybrzeże piaszczyste.

wędrownie, ostre skazy czerwonych żagli nad łodziami, co niiby uskrzydłone owady worały się i zaczepiły o równinę — a wnet odleca. Wod-dali wielobarwna ziemia. Olbrzymi las wyściela przestwór barwą jednolitą, utkaną tam i sam ciemnością. Wśród tego lasu weselą się pola. Biała strzała szosy leci wskrósł ładu. Pióra topolowe małe, jakby je ręka dziecięcia w ziemię powtykała. Przez lasy, pola płynie zwolna ciemna smuga cienia chmury. Cień chmury płynie poprzez kępy drzew bez pniów, podobne do nasturcji w kwietniku, poprzez zielone niwy. Śmiesznie małe domeczki, różowe dachówki. W dachówkach małe okienka i dymniki. Czarne otwory w dziwnie niskich kominach jakichś fabryk... Przy domkach ogródki, a w nich ruchawi, mali ludkowic. Wszystko, jak zabawki dziecięce, wszystko nieregularne, śmieszne i przedziwnie brzydkie: ta ziemia pokrajana, postrzyżona w kawałki, w strzępki, poobstawiana murkami. W dalekiem morzu szara pomroka. Najbliżej i napręst — kształty fiołkowe, niebieskie, pożłociste, śniade albo o barwie złoto-białej, zawierającej wszystkie kolory, rzeczy niejasne i lecące. Ukazują się niespodziewanie, niebiańsko inwazją z ziemi zdumione. Nagle na widok zuchwałstwa maleją, zmieniają formę i wnet w oczach giną. Inne co prędeż otaczają statek wieńcem, korowodem, snem. Płyną w pobliżu aniołowie, igrające dzieci, kształty bardziej nadobne, niż najpiękniejsze młodości marzenie... Przenikają ciało nawskrós, obejmują za szyję rękoma obojętnymi; obce i zimne — znikają. Obłoki — duchy.

Nisko nad szarem morzem, które się mieni, przelatuje zjawisko ciemne i na przestwór rzuca swój kształt, odbicie swojej postaci. To cień chmury. Dalej leci po tem morzu forma inna, szybko zmieniająca miejsce swoje, cudacznokształta. To cień powietrznego statku. Wiatr ostry zawiął z boku. Piotr wziął się z całej mocy do koła. Instynktownie wparł się w przyrząd. Popłynął w zimno, w ciemniejszą, wciąż ciemniejszą otchłań górną. Stała mu się wysokość równie bliską, przyciągającą, jak głębokość. Ręce kostniały i w palcach nóg uczuł mrowienie, w krzyżu dreszcz i niepojętą, nieopisaną rozkosz. Serce szybko łomotało. Ciosy jego biły nad próżnią głośno, jak śmigło nad utwierdzeniem ziemskim, — jak gdyby to biło serce wszystkich rzeczy, które zostały nisko. Lecąc w niebiosach, na długo zapamiętał się i zatopił w Bogu. Modlił się.

Gdy się ocknął znowu, z całej siły czepił się dłońmi sterowniczego kółka i rządził nim zapomocą ruchów doskonałych, pewnych, celowo i matematycznie trafnych, które nie płynęły z rozumu, lecz raczej z instynktu. Zatoczył oczyma pytające koło i zbadał się, gdzie jest.

Był w półmroku, w zimnie i niewiadomych, zmiennych prądach wietrznych. W dole płynęły chmury. Na chmurach leżały pobraża blasku słońca, lecz wyższe obłoki wirowały i niosły się w przestwór na skrzydłach wiatru. Prądy powietrzne zmieniały się wciąż i lotnik nie mógł

zmiarkować, który kierunek jest główny, dokąd niesie. Chwilami statek był jakby na rozdrożu, w wiatrowisku. Ulegał szarpaniu we wsze strony albo trafiał w tak niebezpieczną „dziurę“ wichrową, w lej, gdzie borykały się ze sobą wiry, tworząc jakby trąbę powietrzną. W takich studniach międzywichrowych śmigło zarabiało się w pracy bezpłodnej, bo skrzydła nie mogły pochwycić pod się głównego nurtu. Lecz lochy te miały swe dna, po których płynęły wdal łagodne rzeki powietrzne, niosące cicho i bezpiecznie, jak rodzinna woda łódź z dziećmi.

Piotr czuł mróz w rękach, w stan zgrabienia zakuwający palce. Rozumiał, że nie zawładnie kołem steru, jeśli uderzy nowy atak sprzecznych ciągów. Zarazem poczuł, że śmigło tnie wolniej, a silnik warczy ociężalej. Przeleciała myśl, że benzyna jest na wyczerpaniu. Dreszcz przeszył całe jego ciało aż do kończyn palców. Natychmiast pohamował lot i, nastawiwszy chyl, puścił się w dół lotem szybowym, w ukos, jak orzeł, gdy zatacza kręgi ku ziemi. Płynął szybko własnym ciężarem, ciął sobą obłoki, jak ostry miecz, przesywał jasne powietrze, jak strzała, którą chłopcy puszczają. Serce biło wolniej, ciszej, chwilami od wzruszenia stawało w biegu.

Ujrzał oświetlone odmęty. Wiatr go nagły uderzył w bok, porwał w nieznany prąd i niósł w sobie. Piotr wparł się lewem skrzydłem w ten wiatr — i ocalał. Lecz zatoczył statkiem półkole szerokie aż do nieskończoności. Usłyszał pod sobą huk. Morze! Leciał nad niem pod kątem niestęchanie ostrym, zbliżając się, zniżając, szybując nad wodami jak kormoran. Zadrżał na całym ciele, nie widząc nigdzie lądu. Nigdzie, nigdzie! Świsł w uszach zagłuszały potworne głosy bałwanów. Wbił oszalałe oczy wdal, szukając ratunku. Zielone, pienne morze!

Silnik charczał ociężale, coraz wolniej, słabiej, jak gardziel konająca. Śmigło, tajemnicze koło potęgi, świetlisty zygzak władzy nad powietrzem, ukazywać poczęło swe oblicze. Wreszcie stanęło, jako geometryczna średnica, przekreślająca na wieki koło życia. Wyjrzały wokół pienne pyski miliona lewjatanów, wzniosły się z odmętów miliony łbów i ciekawie wejrzały na powietrznego ptaka.

Odsłoniła się nieskończona czelusć. Jeszcze raz drgnęło, zatoczyło się śmigło, jeszcze dźwignął się lotny jego impuls, — i ostatni raz zwiśło, jak wytrącony miecz. Dolne koła plusnęły o fale, wyciągające ku górze swe paszcze. Rozcięte fale syknęły z chichotem. Osie worały się w następny bałwan, siedzisko uderzyło w trzeci. Płatowiec jeszcze leciał, rozbryzgując piany. Płasnął w grzbiet zielony silnikiem i, zdrętwiały od nieznaney sobie przeszkody, osiadł. Z wściekłością rzuciły się bydlęta bałwanów na podniebnego lalawca. Skoczyły nań ze wszech stron, żarły go zębami pian, waliły na jego lekkość, wysmukłość, suchość i sprężystość swój płynny ciężar, większy, niż wszystko, cokolwiek myśl wyobrazić

sobie zdoła. Łaty nań strugami wieczność cieczy. Pociągnęły w siebie ciężar silnika i zbiorowisko benzyny. Rozpostarły się i nie poddawały zgubie królujące skrzydła. Zielone fale wdzierały się na nie zwysoka. Wał splatał się z wałem, dźwigał w dwójnasób i zwiniętym łbem kąsał lotne płaszczyzny. Po stokroć bił w rozpostarcie błon, podwazał szkielet, aż załamane zwisło ramię. Wtedy fale wmięsiły w swoje głębiny lewe skrzydło.

Piotr zrozumiał, że to koniec. Wstał ze swego miejsca i co tchu począł ściągać ze siebie odzież. Gdy był już nagi, jeszcze przez chwilę leżał na swym statku. Wraz z nim nurzał się i wydobywał ponad fale. Już skrzydła były pod wodą, a on jeszcze dotykał ich stopami. Skoczywszy w głębiny, musnął je na pożegnanie wieczne piesszczotliwemi dłońmi.

Począł płynąć.

Dzwony podniebne zahuczały mu w uszach... Popłynęły długie, fioletowe i zielone zwoje. Niosły długo dokąds, do ciszy i snu...

Stefan Żeromski.

XCV.

Przechadzka po Rzymie.

Kocham Rzym. Niema drugiego miasta na świecie, któreby w sobie tak wszystko łączyło: ogromną, dawną sławę nieprzebrzmiałą i współczesne, ruchliwe życie wielkomiejskie, nieprzebrane pamiątki starej kultury i ożywcze źródło nowej, piękność i powagę, zadumę i śmiech, spokój i ruch zarazem. Na tych kilkunastu kilometrach kwadratowych, jakby w olbrzymiej księdze o kamiennych kartach, wypisana jest historia dwudziestu kilku wieków co najmniej. Stare przedhistoryczne nekropole¹⁾ na miejscu późniejszego Forum, resztki murów królewskich, które dawne, „siedmiowzgórkowe“ miasto otaczały, i pomniki republikańskiej chwały, wiek po wieku, z pokolenia w pokolenie nagromadzone, i świątynie i bazyliki i triumfalne łuki imperatorów i to pałacynośkie wzgórce, ruinami jeszcze o dawnym przepychu cesarów świadczące, i łaźni i cyrków olbrzymie zwaliska — i posągi, posągi, posągi, dziesiątki muzeów dziś szczelnie zapełniające, spiż, granit, marmur...

A tam, za bramami miasta, wśród słońcem spalonej Kampanji, przy drodze grobami znaczonej katakomby ciche, jednocześnie ze wspaniałymi pałacami powstałe, a rozrastające się ciągle w nieprzebytą, w niezmierzoną sieć ganków i kaplic... A w zwaliskach pałaców i świątyń



RESZTKI MUROW KRÓLA

¹⁾ = cmentarzysko (greck.).



pogańskich — zwaliska najdawniejszych chrześcijańskich kościołów: ale tuż obok już wspaniałe, już złożone, już lasem własnych filarów pełne, własnymi błyszczące barwami pierwsze bazyliki papieskie, rówieśne tym burgom średniowiecznym, w które rzymscy baronowie zamieniali dawne mauzolea, i łuki triumfalne i resztki cyrków potężnych opustoszałego i upadłego miasta...

A potem nowy rozkwit, nowe zmartwychwstanie. Nad odrodzonym Rzymem rosną kopuły setki kościołów, wznoszą się nowe pałace, nowe gmachy, wille, pomniki, czasem coraz wspanialsze, coraz więcej olbrzymie, potwornem cielskiem kościoła świętego Piotra uwieńczone.

Rzym cesarów, Rzym papieży, a teraz Rzym trzeci, nowy, rośnie wciąż — młody, potężny, piękny, dookoła tych kościołów i pałaców, w których żyje nieśmiertelny duch odrodzenia. Wieczny, wieczny Rzym!...

A ponad Rzymem śmieje się niebo szafirowe, słoneczne, a pośród ruin i w dziedzińcach renesansowych pałaców kwietne, zielone ogrody, kolumny palm obok marmurowych kolumn, około cichych kościołów ulice pełne gwaru i ruchu.

Dzień jest cudowny; w pokoju mimo jesień i ranną porę słońce już zbyt dogrzewać zaczyna. Pójdę na Forum. Pora jest wczesna i nie będzie jeszcze pod każdą kolumną stało dla dekoracji trzech Niemców i dwóch Anglików z Baedekerami ¹⁾ pod pachą.



PALATYN

nie i rozprasza resztki porannej mgły, w której jeszcze wyższemi wydają się kolumny osamotniałe,

jeszcze więcej olbrzymiami sklepienia bazyliki Maksencjusza, później imieniem Konstantyna przezwaney. Oparłem się o ka-

BAZYLICA MAKSENCJUSZA



mienny cokół, dźwigający trzy ostatnie filary świątyni Kastorów, i patrzę na te łuki ogromne, pod którymi kilka kościołów mogłoby znaleźć miejsce.



FILARY ŚWIAT KASTOROW

Spojrzałem poza siebie: z wąskiego przejścia między murami ponad sadzawką świętą Juturny patrzy

¹⁾ = książki, zawierające wskazówki dla podróżujących po świecie.

na mnie na wzrost cyklopów mierzona brama Biblioteki Augusta — czy też przedsionka z Palatynu aż tu spadających pałaców Kaliguli? — a przez nią wyziera tajemnicze, aż groźne w pierwotnej prostocie i surowości freski kościoła Santa Maria Antica, w ruinie ongi wbudowanego i z kolei opuszczonego już także od wieków. Wykopano go z pod ziemi z pod gruzów sypiącego się nań z góry Tyberjuszowego pałacu, z pod rozburzonego kościoła Matki Bożej Zbawicielki, który



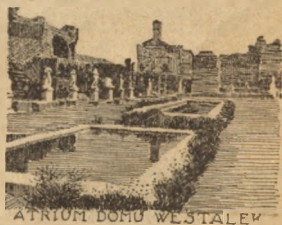
BIBLIOTEKA AUGUSTA

stanął na miejscu dawno zasypanej i zapomnianej świątyni... Idę dalej.



Na Via Sacra zielenią się wawrzyny, operlone rosą, kwiatów trochę kwitnie wśród murawy, modrych i czerwonych, a ze stoków Palatynu zwieszają się palmy, agawy i pomarańcze. Brzóz tylko kilka, które niewiedomo, poco tu zasadzono, drzy na wietrze nagimi, bezlistnymi pętlami: nie wystarczyło im żarkie słońce Italji, przeczuli, że tam — w ojczyźnie ich — na północy zima już jest i śnieżne zamiecie po szerokich łanach hulają.

Siadam na ulubionem miejscu, na ruinach domu, gdzie niedys westalki mieszkaly... Dookoła obszernego Atrium z trzema czworokątnymi, dziś jeszcze źródlanej wody pełnymi sadzawkami stoją resztki ścian, krzewami i bluszczem obrosłe; na marmurowych cokołach poustawiano napowrót posągi przełożonych tego świętego zakonu, strażniczek ognia wiecznego. Przy odgrzebywaniu tych miejsc znaleziono je wszystkie zwalone na jeden stos, z poobijanymi rękoma: przeznaczone już snadź były do pieca, w którym ze stażożytnych marmurów w średnich wiekach wapno wypalano!



ATRIUM DOMU WESTALEV

Przypadek jakiś czy zapomnienie uratowało je od zagłady — i stoją znów na dawnym miejscu, jeno że pomieszano postumenty i nie wiadomo teraz, do której z tych poważnych i smutnych postaci które należy imię i który napis, sławę czystego życia głoszący.

Słońce wyszło już wysoko i rojno się zaczyna robić na Forum. Pełno jest ludzi pod kolumnami świątyń, pod sklepieniami łuków triumfalnych, w bazylikach i na mównicy, na Forum, na Via Sacra. Uciekam przed tym nowym najazdem barbarzyńców. Dozorcy pozwalają mi wyjść od strony łuku Tytusa, przez barjerę zwykle zamkniętą, przy murze kościoła Santa Francesca Romana.



ŁUK TYTUSA.



S. FRANCESCA ROMANA



KOLOSSEUM



ŁUK KONSTANTYNA.

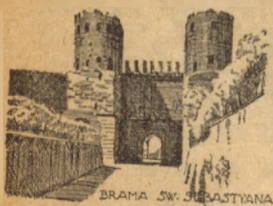


AKWEDUKT



ŁAZNIE KARAKALLI.

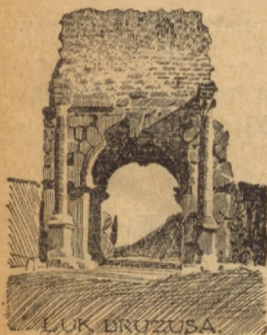
Tam, za kapliczką „Quo vadis?“, za katakumbami św. Kaliksta i odwiecznym kościołem San Sebastiano, za grobowcem rzymskim Cecylji Metelli, który w średnich wiekach służył za warownię, tak, że wrzawa bojowa lub pijany krzyk żołdactwa nieraz wieczny spokój prochom mąciły, — tam, za ostatnimi gospodami przydrożnymi, gdzie poganiacze mułów na krótki odpoczynek stają — cisza już jest i pustka zupełna.



BRAMA ŚW. SEBASTYANA



VIA APPIA



ŁUK DRUZUSA.



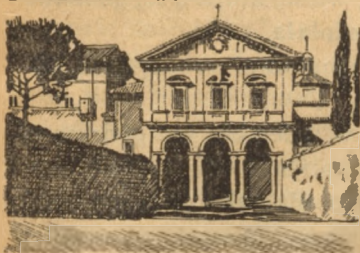
QUO VADIS ?

Mijam więc rozpalone w słońcu mury Kolo-seum i łuk Konstantyna, Wielkim przezwanego, wychodzę na ocienioną drogę. Po prawej ręce mam jeszcze wschodni stok Palatynu, ponad murem ulicznym widzę resztki akweduktu i zwaliska najpóźniejszych cesarskich budowli. Jakieś dziwne, słoneczne, słodkie lenistwo ogarnia mnie całego... Bez myśli prawie skręcam na lewo i wlokę się w stronę ruin łaźni Karakalli, wielkich jak miasto — tam, ku bramie św. Sebastjana... Minę groby Scypjonów i jeden jeszcze triumfalny łuk — Druzusa — i wyjdę na Via Appia, na tę dziwną i wiecznie cichą drogę, grobami wśród pustej Kampanji znaczoną...

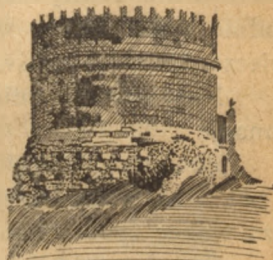
Zielone trawniki rozłożyły się szeroko po obu stronach opuszczonej drogi, na której rzadko tylko zabłąka się chłopski wóz o dwu kołach przez muły leniwie ciągniony, a poza trawnikami dwo-

ma nieprzejrzanemi rzędami wdal biegnące groby, rozwalone już i bezimiennie, zielskiem poroście i okwiecone drobnemi, grudniowemi siołkami rzymskiej Kampanji.

SW. SEBASTYAN



Z lewej strony wśród spalonej słońcem pustaci widać łuki dawnych wodociągów — „samarytanki z próżnemi dzbankami na głowie“, wododali przede mną błękitna ściana gór Al-



„CROBOWIEC METELLI“

bańskich, a na nich wśród winnic i lasów kasztanowych bielą się murowanymi domami „castelli romani“: Marino, Frascati, Grotta Ferrata... A przy drodze rzadka pinja czasem się tylko nadarzy i trochę pod nią cieniu, czasem zwaliska jakiejś zamiejskiej willi cesarów, gdzie niegdyś pijane wśród róż i marmurów brzmiały okrzyki; zresztą nic prócz grobów. Drobne, zwinne jaszczurki wygrzewają się w południowym słońcu i za zbliżeniem się istoty ludzkiej nikną — jak strzała — wśród głązów i zielska zeschłego. Skowronek wzbił się gdzieś w niebo i zadzwonił mi nad głową — jak u nas na wiosnę.

A dalej niema już nic.

Jerzy Żuławski.

XCVI.

Koronacja Piusa X.

Bawiąc w drugiej połowie lipca 1903 r. w kąpielach morskich w Anzio, stałem się przypadkowo świadkiem wydarzeń poważnych i wyjątkowej zmiany Wiecznego Miasta.

Dnia 20 lipca zmarł Leon XIII, a wkrótce potem, dnia 31 tegoż miesiąca, zebrało się konklawe, mające powołać na Stolicę Piotrową jego następcę.

We wtorek, dnia 4 sierpnia, wybrałem się z Anzio na dłuższą wycieczkę do grot Nerona, o których ruiny fale morskie roztrzaskują się dzisiaj z takim samym szumem, z jakim igrały niegdyś po marmurach w epoce cesarów. Powracałem z tej okolicy ustronnej a uroczej cichym wieczorem, kiedy słońce tonało już w morzu, rzucając na jego granat ostatnie swoje promienie, a Kampanja z dziwną słodyczą i spokojem do snu się układała... Nagle przerwały zadumę moją odgłosy dzwonów, bijących narazie wolno i uroczyście, a potem coraz szybciej i potężniej

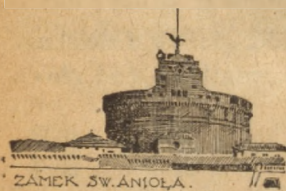
z wieżyc kościelnych w Anzio. Nie umiałem z tego zdać sobie sprawy. Dopiero napotkany w drodze staruszek oznajmił mi głosem radosnym wieść o dokonanej elekcji papieża. W gazecie wyczytałem podaną w południe wiadomość o wyborze kardynała Sarto, wieść, która o tej godzinie wieczornej cały już świat cywilizowany obieć zdołała.

Na niedzielę dnia 9 sierpnia 1903 r. naznaczono uroczystość koronacji.

Ponieważ początek obchodu oznaczono w biletach na godzinę 8 i pół, a otwarcie bazyliki już na szóstą zrana, należało śpieszyć się bardzo wobec spodziewanego natłoku z pozyskaniem odpowiedniego miejsca.

Rzym przybrał już od świtu postać świąteczną. Nawet w odległej od Watykanu dzielnicy dworca kolejowego, na Piazza Termini, Via Cavour i Nazionale, panował o szóstej rano ruch tak ożywiony, jak gdyby tam uroczystości jakieś się gotowały.

Kiedy przed godziną siódmą mijaliśmy most na Tybrze, zdawało się, że wobec naporu tłumów, dążących ku placowi św. Piotra, wobec szeregu pojazdów sunących naprzód z mozołem, nasz *vetturino*¹⁾ nie dotrze do celu. Co chwila zwalnialiśmy biegu, rozglądając się w fali pieszych i jezdnych, zalewającej miasto w okolicy zamku św. Anioła... W miarę zbliżania się do kresu tłum rósł i zwierzał swoje szeregi, grożąc natłokiem. Przekupnie, sprzedający owoce, ser, salami, wino i stołki składane, docierali z trudem do pojazdów, częstując tem natrętniej swoim towarem i głosząc, jak niezbędne jest nabywanie siedzeń, jadła i napoju wobec długiej uroczystości.



Zatrzymaliśmy się wreszcie na skraju placu św. Piotra, naprzeciw bazyliki, skąd pieszo już musieliśmy zmierzać do wrót świątyni.

Po drodze tłum wokół, morze głów ludzkich, ujęte w ramy słynnej kolumnady... U schodów, wiodących do bazyliki, szpalery wojsk włoskich, stojących pod bronią, strzegły najbliższych okolic kościoła od naporu ludu.

Barwny ten szpaler rozwidłał się w kierunku zakrystji, tworząc gardziel błyszczącą od bagnatów, z której pojedynczo posiadacze biletów posuwali się w stronę świątyni.

Podążyliśmy śpiesznie za nimi i przepuszczeni przez warty, które pobieżnie tylko okiem na legitymacje nasze rzuciły, znaleźliśmy się o godzinie siódmej w przedsionku kościoła.

Kolosalna świątynia, której filary marmurowe przybrano w pasy z adamaszku karmazynowego, obramione złotem, zdawała się zmniejszać

¹⁾ = woźnica.

pod tą ozdobą rozmiary swoje i ułatwiać orjentowanie się wokół wśród ludu, wojsk i napisów wzbraniających manifestacji.

Tłum skupił się prawie wyłącznie w nawie głównej, prąc z obu stron na barjery, poza któremi środkiem kościoła bieгло obstawione strażą przejście szerokie dla papieża i jego orszaku.

Po drodze zbrojny szpaler rozgałęział się w dwu kierunkach, tonących poza filarami nawy głównej. Odnogą prawą dotykał kaplicy Najśw. Sakramentu, lewą zwracał się ku ołtarzowi św. Grzegorza, gdzie przestrzeń kilkudziesięciu metrów kwadratowych, pokryta suknem zielonem, otoczona barjerą i ławami, spowitemi w jasne gobeliny jedwabne, a przyodziana purpurą i złotem mniejszego papieskiego tronu, którego strzegli szwajcarowie w barwnych strojach odrodzenia — służyć miała jako miejsce pierwszego hołdu św. Kolegium przed majestatem Piusa X.

Przestrzeń kolistą bazyliki, tuż pod kopułą — tam, gdzie w pośrodku wznosi się konfesja św. Piotra — ołtarz papieski — odgrodzono barjerą od strony kościoła i obstawiono ją wojskiem. Poza tą barjerą widniała w głębi świątyni przestrzeń wolna a olbrzymia, pozostawiona prawie wyłącznie do użytku papieża i jego dworu. Prawie — albowiem część zakłętego koła, ku lewej ręce, a w bezpośrednim sąsiedztwie tłumu zajmowały panie w czarnych sukniach i welonach; po prawej zaś w pobliżu konfesji ustawiono opartą o filar kopuły trybunę bogatą ze szkarłatu i złota, przeznaczoną dla ciała dyplomatycznego i dostojników zagranicznych.

W głębi, na miejscu wielkiego ołtarza, zaścielały ścianę całą od stropu do ziemi draperje kolosalne z adamaszków, mieniających się karmazynem jedwabiu, złotem sznurów, frendzli i podtrzymujących tysiączne upięcia aniołów skrzydlatych... Było to tło właściwego tronu, który wznosił się tam na podwyższeniu szkarłatnem, pod baldachimem z purpury i złota, zasłany lamą srebrną, ujętą w czerwony szlak aksamitny, przetykany złotem.

Przestrzeń zarezerwowana naokół tronu i konfesji była jeszcze niezajęta w chwili, kiedy po raz pierwszy wzrok na nią zwróciłem.

Zwolna zapełniała się ona uniformami dygnitarzy, dążących do trybuny, kostjumami historycznemi arystokracji i dostojników dworu papieskiego. W barwnym kalejdoskopie mieniły się tu: czerwień, lazur i złoto, błyski drogich kamieni, ałtasy i aksamity, gra pióropuszków, zdobiących kaski i hełmy.

Zewsząd płynęły te postaci, zapuszczając się nawet w głąb szpaleru,



prowadzącego ku wyjściu, jak gdyby im żal było rozstać się z roziskrzonym wejrzeniem tłumów i zająć przeznaczone miejsca na uboczu.

A tymczasem rósł pogwar w kościele, gdyż w loży, panującej nad portykiem, ukazali się trębacze papiescy. Szpaler przebiegać zaczęły malownicze strażę szwajcarów ze srebrzystymi halabardami w dłoniach, a za nimi napływał zdala szmer cichy, który zamienił się wkrótce jakby w potężny szum rzeki.

Ludzie gromadzili się na gzymsach u filarów, zazdroszcząc tym, którzy lepsze miejsca zdobyli, tłum chwiał się i kołysał, grożąc katastrofą, a woddali dały się słyszeć jęki zagrożonych, skierowując myśl ku wyjściu lub bodaj ku pomieszczonym w nawach oddziałom sanitarnym. Nagle zapanowała cisza i z ciszy tej wystrzelił oddalony gwar głosów, zwiastujących coś niezwykłego.

Pomimo zaduchu i gorąca, które pozbawić mogły przytomności, skierowałem wzrok ku wejściu, gdzie ruch jakiś się poczyniał. Zegar kościelny wskazywał 8 minut do 9-tej, gdy wśród ciszy chwilowej tłum zakołysał się znowu, dysząc niepokojem, a w podwojach świątyni ukazał się las halabard, wyprzedzających orszak papieski.

Nikt nie patrzył na barwną jego wstęgę, sunącą zwolna, poważnie, w głąb bazyliki. Upatrywano z oddechem zapartym kogoś i czegoś, co za moment ukazać się miało.

Mignął zdala krucyfiks złoty, wzmógł się szum ludzkiej fali i naraz głosy: „*Eccolo! Lui! Lui!*” zwiastowały zbliżanie się arcykapłana.

Wzrok wyteżyłem ku wejściu: w olbrzymich podwojach zajaśniało nagle zjawisko niezwykłe.

Tłum przestonił na chwilę widok na orszak papieski; ze stropu bazyliki padła smuga elektrycznego światła i, przemknąwszy ponad głowami ludu, zadrgała falą białego blasku w odrzwiach świątyni.

A z blasku tego wyłoniła się, jak na zaklęcie, siedząca postać biskupia, z ręką do błogosławieństwa wzniesioną, w infule srebrno-białej, jak światło, z którego wyszła, i, zakołysawszy się na chwilę nad morzem głów ludzkich, spłynęła wolno, majestatycznie, niby tajemniczym powiewem niesiona, w głąb bazyliki.

Tłum poruszył się, stanął i w milczeniu wzrokiem wyteżonym śledził zbliżającą się sedję, około której na wysokości głowy papieskiej sunęły dwa wachlarze z białych piór strusich, ujętych w ciemny aksamit i srebro.

Szmer fali ludzkiej, towarzyszący zjawisku od wejścia, stopniał nagle w potężnym okrzyku: „*Eviva!*”, w powiewie chustek białych, skierowanych przez rąk tysiące w stronę papieża i we frenetycznym oklasku tłumów.

Szybkiem, energicznym cofnięciem ręki błogosławiącej papież przy-

wrócił milczenie i w ciszy tej zagrzniały niespodziewanie z górnych sfer świątyni, z logii¹⁾ od wejścia, słynne trąby srebrne, witające po raz pierwszy Piusa X hymnem przepiętnym: „*Tu es Petrus...*”.

Akompanjowały im od konfesji św. Piotra głosy śpiewaków.

Papież zbliżał się ku nam...

Otoczona wieńcem halabard i bagnietów, odwracając uwagę od wspaniałości orszaku, mijała sedja roziskrzone żrenice ludu, unosząc papieża dalej i dalej ku oczekującym go nowym zastępom. Wreszcie zrównała się z nami.

Na fotelu z aksamitu wiśniowego, pokrytego haftem bogatym, spoczywał Pius X w sutannie białej i płaszczu złotolitym. Srebrna infuła zdawała się ciążyć brzemieniem na jego głowie o twarzy pełnej, łagodnej, pobladłej ze wzruszenia, a noszącej na sobie piętno słodyczy i dobroci porywającej.

Nadawała ona rysom papieskim wyraz uduchowienia, przykuwający do siebie rozmodlone spojrzenia tłumów, które chyliły się kornie, usiłując przyklęknąć pod błogosławiącym je ruchem ręki arcykapłana.

A papież ze spojrzeniem zadumy, utkwionem w głowy ludu, czynił znak krzyża i z szepem modlitwy na ustach posuwał się dalej, dążąc do kaplicy Najśw. Sakramentu.

Na skrócie powitał go znowu grzmot oklasków i głosów... I znowu ruchem ręki przywrócił milczenie... Sedja skierowała się ku drzwiom kaplicy, zawisała przez chwilę nad głowami tłumy, a potem, otoczona barwnem kołem szwajcarów, gwardji i kawalerów maltańskich, zsunęła się cicho na ziemię. Pokrył ją las halabard i szyszaków straży... Papież w głębi kaplicy oddawał się adoracji Ciała i Krwi Pańskiej.

Po kwadransie ruszył Pius X w tym samym porządku wpoprzek kościoła, zmierzając ku ołtarzowi św. Grzegorza, gdzie kardynałowie hołd mu składać mieli.

Wyniesiono go stamtąd procesjonalnie pod baldachimem z jedwabów i złota, otoczonego kołem jarzącego światła, a poprzedzanego przez purpurowy tłum kardynałów.

Kiedy sedja znalazła się w pobliżu konfesji św. Piotra, głos jakiegoś wenecjanina zabrzmiał nagle z tłumy okrzykiem radosnym: *Viva il nostro Patriarca!*



¹⁾ = krużganek (wymów: lodzii)

Papież z uśmiechem zadowolenia na twarzy pogonił za nim spojrzeniem. Poniesiono go jednak dalej, a w drodze do tronu dopełnił monsignore Riggi w oczach arcykapłana symbolicznego całopalenia konopi, zakończonego filozoficzną przestrogą:

Pater Sancte! sic transit gloria mundi...

Kolistą przestrzeń bazyliki, przylegającą do konfesji, wypełnił tłum dostojny. Na lewo wyrósł las białych infuł, ożywiony polichromją mitr i kołpaków egzotycznych książąt Kościoła; na prawo stanęli w zwartych szeregach dygnitarze świeccy w mundurach, lśniących od złota, a u stóp konfesji i poza nią mieniły się w słońcu purpury, krzyże i łańcuchy licznych eminencyj.

W głębi — za tym kalejdoskopem barw, marmurów i złota, za szeregiem wart honorowych, okalających konfesję od strony ludu, za bronzami grobu św. Piotra — siadł w majestacie Pius X na srebrnym tronie. Strumień elektrycznego światła padł na jego postać, tonącą w morzu kolorów, w bieli szat papieskich, a obramioną karmazynami kolosalnego tła baldachimu, z którego boków wyrastały strusie pióra wachlarzy i lśniły bezcenne klejnoty asystentów tronu.

Zapanowała chwila milczenia; papież zstąpił z wysokości i, dosiadłszy sedji, podążył w gronie asysty na stopnie ołtarza. Stamtąd już wśród dźwięków hymnu triumfalnego Palestriny: „*Laudate Sion...*“ zabrzmiał głos jego, tłumiony wzruszeniem: „*Introibo ad altare Dei...*“

Hymn bił z kopuły falami melodji i pieśni, tłum szumiał, jak rzeka wezbrana, a poza konfesją św. Piotra, twarzą do ludu zwrócony, błądy i w białem zuchetto¹⁾ na głowie rozpoczyna Pius X świętą ofiarę.

Po chwili — już po *Confiteor* — znikła nam jego postać z oczu. Papież zasiadł wtedy na małym tronie u stopni ołtarza, oczekując na *palium* z rąk kardynałów. Niebawem ukazał się znowu na tronie głównym, w potokach światła elektrycznego, przodując obecnością swoją szeregowi obrządków długich, symbolicznych i religijnych, związanych z uroczystą mszą koronacyjną.

Kardynałowie ponowili na klęczkach hołd przed jego majestatem. Tymczasem jednak na pienia i modły biskupów, na hymny, rozbrzmiewające z wyżyn kopuły, padał głośny, bezceremonjalny pogwar ludu, nie licujący ani z miejscem i powagą chwili ani z obecnością arcykapłana ani wreszcie z usprawiedliwionem dążeniem wielu do pochwycenia paru bodaj niezagłuszonych melodyj wzniosłej muzyki, przedzierającej się z trudnością z pod batuty Perosiego do uszu słuchaczy.

— *Domino nostro Pio, a Deo decreto summo Pontifici et universali*

¹⁾ = mała czapeczka na wierzch głowy.

Papae, vita! — woła chór głosem potężnym, ale zbyt nikłym wobec tłumu, co szumi, jak burza...

A nieruchoma, biała postać Piusa X, zmartwiała ze znużenia, tonie w głębi tronu, spowita blaskiem barw i światła, rzucanych ze stropu świątyni.

Po Epistole i Ewangeliach, odśpiewanych przez przedstawicieli różnych obrządków u tronu, nastąpiła ceremonia średniowieczna z Hostją i winem, niewidoczna dla publiczności.

Konsekrację wśród srebrnej fali dzwonków odbył papież u ołtarza, poczem natychmiast na tron powrócił. Zajaśniała tam jego postać w otoczeniu kardynałów, z których jeden wręczył mu Hostję, a drugi kielich złoty.

Pius X, spełniając najważniejszy akt symboliczny swego dostojęstwa, przyjął Komunię, nie powstając z tronu; z rąk jego komunikowali się, klęcząc u stóp papieskich, kardynałowie. Msza dobiegała kresu.

Rozległy się ciche słowa benedykcji i wnet potem papież, przyjmawszy od kardynała Rampolli archaiczny podarek zbiorowy 25 paolów (12 i pół lir.), t. zw. *Presbiterium pro missa bene cantata*, ukazał się na sedji w otoczeniu dworu poprzód Konfesją św. Piotra.

Nastąpił szereg chwil równie uroczystych, jak ta, kiedy papież po raz pierwszy zstąpił do bazyliki.

Wspaniały orszak rozwinął się wszecz kościoła, u stóp konfesji, od strony ludu. Nieco ku ręce prawej opuszczono sedję, która spoczęła na lekkim wzniesieniu. Kardynałowie, patryjarchowie i tłum biskupów otoczyli papieża, nie przesłaniając jednak widoku na jego postać siedzącą. Po lewej ręce Piusa X stanął wielki asystent tronu, Filip ks. Orsini, w aksamitach, brylantami tkanych; po prawej — duchowni jego towarzysze.

— *Corona aurea super caput ejus!* — zabrzmiały chóry, a kardynał Macchi, stojąc u stóp papieża, szeptał słowa modlitwy Pańskiej.

Nastała cisza śmierci. Kardynał Steinhuber, zbliżywszy się do papieża, zdjął ruchem poważnym z jego głowy srebrzystą infułę biskupią, pod którą zajaśniało białe zuchetto.

I wtedy, jak wyrosła z ziemi, ukazała się nagle w sąsiedztwie papieża postać wyniosła kardynała Macchi ze złotą, klejnotami sadzoną tiarą w dłoniach.

— *Accipe tiaram, tribus coronis ornatam, et sci te esse patrem principum et regum* — mówił głosem doniosłym kardynał. Dalsze słowa formuły odwiecznej utonęły w pogwarze tłumu.

Wraz z wyrazem *Amen*, wypowiedzianym dobitniej, a wśród ogłuszających oklasków i krzyków ludu tiara spoczęła na głowie Piusa X.

Pochyliły się halabardy straży, która na klęczkach witała tę chwilę,

a o mury bazyliki odbił się hymn uroczysty trąb i głosów śpiewaczych: „*Tu es Petrus...*“.

I nastała znowu chwila milczenia: papież szeptem rozpoczął modlitwy, których tekst dwaj biskupi, klęcząc, zbliżali mu do oczu, poczem wstał, i stojąc, wygłosił mową drżącą wielką benedykcję, wysłuchaną przez obecnych z nabożnem skupieniem.

Czuło się, że lud rzymski, świadomy obrzędów koronacyjnych, zbliżył się w tym momencie uroczystym z ufnością do „swego“ arcykapłana, że dziękował mu za jego miłość, za modlitwę i poniesione trudy.

Moment ostatni, zamykający uroczystość dnia tego, przeszedł powagą nastroju i potęgą swego wyrazu wszystkie chwile, jakich świadkami byliśmy w kościele.

Sedja zawisła znowu na barkach służby papieskiej, a orszak wspinały sunął wolno i uroczysto szpalerem barwnej straży ku widniejącym zdala podwojom świątyni.

Przodem kroczyły malownicze oddziały szwajcarów z halabardami stylowymi w dłoniach. Wśród lasu stali złocił się krzyż krucyfery, zwrócony w stronę papieża. Dalej kroczył tłum mitr srebrzystych, które zaślały całunem białym przejście papieskie niemal od konfesji aż do dalekich wrót kościoła, za niemi postępowali dostojnicy wschodni w infułach szafirowych, w kołpakach szytych perłami, w mitrach baniastych z blachy złocistej i srebrnej; sunęli kardynałowie w płaszczach książęcych z purpury, a papież między wachlarzami z piór na sedji pod baldachimem, błyszczący klejnotami korony potrójnej, stał jeszcze w miejscu i ścigał wzrokiem niknące wdali infuły.

Wreszcie ruszył i on, a wtedy zdało się nam, że spojrzeniem miłości i wzruszenia ogarnął ten tłum kierowników chrześcijańskiego ludu, kroczących kornie u stóp jego rydwanu, u majestatu arcypasterza, nad olbrzymią rzeszą pasterzów świata.

Jan K. Kochanowski.

XCVII.

Na ojcowym zagonie.

Brzęknęły kosy po żytach na cichą, słoneczną pogodę. Kosiarze, choć po dwóch, po trzech z chat wyszli, teraz się rozrzucili flankiem po pstrej szachownicy zbóż płowych i złoto-zielonych. Nie była to bowiem regularna armja, której doborowy żołnierz pod wodzą dworskiego ekonoma zwartym szeregiem do ataku idzie, ale gerylasówka, luza, gdzie się różna siła trafi, różna zręczność w boju, każdy na swoim miejscu i gdzie sam odpowiada za siebie.

Nic więc dziwnego, że znalazł się w niej mały, wychudzony żołnierz, który, dźwigając kosę, za innymi szedł, mało co po drodze przy-

stając, aby broń z ramienia na ramię przełożyć. Broń była widocznie za ciężka dla niego; niósł ją przecież ochoczo i ochoczo z nią na zagonie stanął.

W tej chwili właśnie najpierw na kilku, potem na kilkunastu punktach rozległo się przedwstępne, rytmiczne klepanie osek o kosy. I Stach sięgnął po swoją i nierówno o nią klepać zaczął. Słysząc go wtedy było w wysokiem życie, ale go nie było widać.

Nad płowemi kwadratami i sznurkami żyta bieleły się i pstrzyły ramiona w koszulach, w lejebikach, w kamizelkach, w spencerach; nad ramionami wyciągały się ogorzałe szyje w odwiniętych kołnierzach, z zawiązkami, ze spinkami, z tasiemkami, z guziczkami; ponad szyją wznosiły się to żółte, słomiane i brunatne kapelusze, to u starszych czapy ciepłe, z pod których widać było długo spuszczone włosy wszelakich odcieni, a nad temi dopiero sterczały kosy, błyszcząc zdala w słońcu, jak wielkie, miesięczne nowie.

Ale Stacho zginął w rostem życie tak, że nad lekko wzruszoną falą kłosów, kiedy brózdą szedł, widać było tylko samą kosę, jak się posuwała nad półkiem modro-złocista, iskrami sypiąca. Nikt tam wielce nie zważał na nią; jeden tylko Domin wyciągnął w tę stronę długą swoją żorawią, ogorzałą szyję i, z ręki sobie u magierki daszek przyprawiwszy, zmrużonem okiem mierzył w nią, jak teleskopem w gwiazdę. Nie czynił tego stary przez troskę o chłopca, ale mu szło o krzywdę, jaką niewprawna kosa bujnemu plonowi świętej ziemi uczynić mogła. Lecz kosa zachodziła dobrze, okręgiem się z prawa na lewo biorąc, aż nikła w kłosach, jak gwiazda w obłoku płowym, a tuż zaraz poczęła się przed nią droga śłać, nie szeroka wprawdzie, ale dosyć równa.

Wszystko to widział Domin i uspokojony fajeczkę krótką pykał, a kosę klepał zlekka. Czego wszakże nie widział, to tego błysku w siwych żrenicach Stacha, kiedy mu pierwszy raz kłosy chrzęsnęły pod kosą. Ręce chłopcu trochę drżały, ale twarz znędniała oblokła się szczęściem i pogodą, a w sercu taki trzepot, taki świergot miał, jakby mu się w niem skowronki wylęły. Kosisko mocno ujął, w kroku mocno stanął; jak mógł, najszerszym sięgiem się zamierzył i, nisko podebrawszy słomę, ku sobie ją garnał. Kosa, prowadzona wychudłą ręką chłopca, spotykała wszakże silny opór. Żyto rozkrzyło się niezwykle: stało tego zwarte, a zielonkawsza jeszcze od przyziemku słoma nie tylko była twarda, ale też i wiśna. Zadziwił się Stacho, że to tak ciężko idzie. Kiedy łonskiego żniwa na tatusia patrzył, widziało mu się, że kosa sama chodzi i sama tnie, a tatuś tyle, że sobie kosiskiem macha, i już. A tu gorące poty biją, nim się garść o ziemię położy.

Dziwił się, ale nie ustawał. Osekę dopiero wtedy z kieszeni dobywał, kiedy Szymek Zabroźny, który o miedzę od Szafarzowego syna żyto

swoje siekł, do ostrzenia kosi się zabierał. Wtedy i Stacho wypoczywał chwilę, naklepując swoją. Sam już dźwięk klepania tego napełniał go otuchą i dumą. Był to odgłos nietylko triumfu, ale i nadziei. Stawiał on chłopaka na równi z każdym parobkiem, ba! z gospodarzem niemal, boć na swoim, nie na cudzem siekł, a zaś mu het precz powiadał, jak onto duży wyrósł i mocny nadewszystko, jak żniwa skończywszy, życisko zaorze, jak je kartoflami na wiosnę obsadzi, jak znów kartoflisko pięknie na jesień obsieje, jak to wszystko wszyściutko sam robi i jak nikt nad nim przewodzić nie będzie, jak się z gruntu nikomu wyłuskać nie da i jak sobie z matusią radzić pięknie będą. Przechylał głowę Stach i łowił te dźwięki to prawem, to lewem uchem. Godna była muzyka. Piękniejszej nie słyszał nigdy.

Było już po śniadaniu, kiedy Zabroźny huknął na niego ze swego pólka:

— Chłopak!

— A czego? — odhuknął Stacho.

— A to niech matka wódki choć z garniec szykuje, żebyś się miał czem do kosi wkupić!...

Stacho roześmiał się głośno, radośnie. Było to najmielsze słowo, jakie mu kto mógł powiedzieć.

W tej samej wszakże chwili uczuł ból nagły w piersiach i chwycił się za nie. Strach go przeniknął.

Postał, podyszał, otarł czoło, na które mu zimne wystąpiły poty, i na świeżym zagonie zajął żyto kosą. Kosa, z ciężkością przez słomę się przebiwszy, położyła na ziemi garść z wielkim mozołem. Wziął Stach drugą mniejszą, ale i tak ciężko było. Ból nie ustawał. Ostry, kolący, przenikliwy — tchnąć mu prawie nie dał, nawylot go biorąc, jakby wilczym zębem.

Pierwszy raz zrywając dobrowolnie przyjętą komendę, wyjął chłopak osetkę i dla wypoczynku więcej, niż z potrzeby, kosę nabijać zaczął. Nabijał długo, dobrze chciał wypocząć, a potem tego siec. Niechby choć i ten Zabroźny widział, jeszcze po takim słowie!... Jakoż zdawało się, że ból ustąpił nieco. Poprawił Stach czuprynę, osetkę za pas, na wypuszczonej koszuli spięty, zasadził, a dla dodania otuchy i sobie i koście puścił głos polem w zwykłej przyspiewce: Oj, da dana! Oj, da dana!

Ale głosu tego sam się przestraszył: drżący, chrypliwy, do pisku ptaka podobny, wybiegł on mu z piersi jakimś przeciągłym jękiem; urwał tedy nagle Stacho i znów kosił w ciszy. Ale za każdym ruchem ramion, za każdym rozmachem kosi budził się ból i kasał coraz silniej. Chłopak zacisnął zęby, brew ściągnął, poźółtkie czoło zbiegło mu się w fałdy, głęboka, bolesna zmarszczka okoliła drżące, posiniące usta. Za nim coraz mniejsze kładły się pokosi, przed nim coraz dalej, coraz sł-

